

**Edith Layton**

**Szansa**

W tłumie weselników tylko jeden miał zachmurzoną minę. Stał z rękoma skrzyżowanymi na piersi i obserwował pozostałych gości, którzy przybyli na tę radosną uroczystość. Nawet pogoda idealnie harmonizowała z nastrojem chwili; był ciepły, balsamicznie pachnący wieczór - jakby żywcem wyjęty ze *Snu nocy letniej* Szekspira. Jeden z tych, które w rzeczywistości zdarzają się w Anglii niezmiernie rzadko.

Po zakończeniu ceremonii ślubnej całe towarzystwo przeniosło się z kościoła do pobliskiej rezydencji wiejskiej pana młodego, gdzie miała się odbyć uczta weselna. Przeciągnęła się ona od rana do zmroku. Biesiadującym przygrywali muzykanci ukryci w porośniętych gęstym listowiem altankach. Rozwieszane na drzewach latarenki migotały jak gwiazdy, schwyte w zieloną pułapkę gałęzi. Weselni goście tańczyli w sali balowej, na tarasie, nawet na strzyżonych trawnikach, ciągnących się aż do rzeki. Pląsy trwały do późna w noc.

Pochmurnemu weselnikowi zmarszczki na czole nie dodawały urody. Zresztą, choć lord Raphael Dalton miał niewiele po trzydziestce, do piękności nie należał. W surowych rysach trudno było dopatrzeć się uroku. Chyba tylko w zdumiewająco ciemnych rzęsach, okalających głęboko osadzone niebieskie oczy. Zdaniem Daltona najgorsze w jego powierzchowności były ogniście rude włosy. Pragnąc ograniczyć to okropieństwo do minimum, strzygł się bardzo krótko, niemal tuż przy skórze. Traf chciał, że ostateczny efekt przypominał fryzurę *a' la*. Brutus, będącą właśnie ostatnim krzykiem mody. Na szczęście natura nie obdarzyła Daltona charakterystyczną dla większości rudzielców bladością ani piegami. Jego skóra była opalona i gładka.

Miał szerokie bary, szczupłą figurę i żołnierską postawę. Nie dziwota: do niedawna służył w wojsku. Ogólnie rzecz biorąc, powierzchowność lorda trudno byłoby nazwać ujmującą, a mars na czole sprawiał, że wydawała się wręcz groźna.

Dalton nie spoglądał na parę nowożeńców. Nie odrywał oczu od ciemnowłosej damy, stojącej na pobliskim tarasie. Wpatrywał się w nią tak zachłannie i zazdrośnie jak kot w mysią dziurę.

W każdym razie tak to wyglądało w oczach hrabiego Drummonda, który

niezwłocznie przekazał szeptem przyjacielowi swoją opinię.

Rafe natychmiast odwrócił głowę i spiorunował druha spojrzeniem.

-Nic byś nie zauważył, gdybyś sam się na nią nie gapił! -warknął.

-Gapiłem się, i owszem, ale na ciebie. Na nią nawet nie zerknąłem. No i przekonałem się, że „oczy są zwierciadłem duszy”, przynajmniej u ciebie!

- wycedził hrabia. A widząc minę przyjaciela, dorzucił ciszej: -Jeśli dasz mi teraz po pysku, zakłócisz weselny nastrój i zrobisz świństwo nowożeńcom.

Rafe zamrugał półprzytomnie i przygarbił się.

- Racja! - przyznał, pocierając kark. - Masz rację, Drum. Znowu masz rację, niech to szlag! Nie znudziła ci się jeszcze? Bo ja mam tej twojej racji po dziurki w nosie!

Hrabia wzruszył ramionami i uśmiechnął się pod wąsem.

-No, cóż...? Doskonałość bywa niekiedy męcząca. A jeśli chodzi o ciebie, Rafe, to myślałem, że cieszysz się jak ja, iż tych dwoje wreszcie się pobrało. Jeśli będziesz dłużej obnosił się z tą krzywą gębą, ludzie gotowi pomyśleć, że z ich małżeństwem jest coś nie tak...

-Nie tak? Z ich małżeństwem?! - zdumiał się Dalton. - Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby Wycoff tak promieniał! I odmłodził z tego szczęścia o dobrych parę lat! A jego Lucy? Psiakrew, serce człowiekowi rośnie na taki widok!

-No, właśnie. Więc przestań się krzywić jak po occie!

Twarz lorda złagodniała. Pojawił się na niej wyraz zdumienia.

-Wyglądasz jak zbój Madej!

- Naprawdę? - Rafe podniósł głowę. Na twarz wystąpiły mu rumieńce. - Przepraszam. Zamyśliłem się i tyle. Nic mnie bardziej nie cieszy niż widok tej pary gołąbeczków!

-No to niewiele ci do szczęścia potrzeba! - mruknął Drum.

Dalton nadal wpatrywał się w swoją ciemnowłosą damę. Tyle że lady Annabella Wylde wcale nie była jego damą i pewnie nigdy nią nie będzie - zmitygował się w duchu. Pomijając już fakt, że należał do tych, na których żadna panna nie zerknie po raz drugi (i trudno jej się dziwić!), serce i dusza lady Annabelli wyrywały się do innego. I to do kogoś, kto jest dla niej równie nieosiągalny, jak ona dla mnie! - myślał z goryczą. Ten, za kim Annabella wzdycha, to wspaniały chłop... Ale upodobał sobie

i pojał za żonę inną dziewczynę, równie jak on wspaniałała... Więc panna Wylde mogłaby wreszcie spisać go na straty i rozejrzeć się za kimś innym, prawda? Co ją trzyma przy tamtym? Ano, to samo, co tobie każe do niej wzdychać, wbrew zdrowemu rozsądkowi! - odpowiedział samemu sobie Rafe i stał dalej wpatrzony w Annabellę. Nie wiedział, że spotka ją na tym weselu, nie miał pojęcia, że jest daleką kuzynką pana młodego. Ale tak to bywa w arystokracji; panna Wylde jest pewnie spokrewniona z połową parów Anglii. Lecz z nim i z jego rodziną nic jej nie łączyło. I bardzo wątpliwe, czy kiedyś połączy. Z tej właśnie przyczyny Rafe nie był w weselnym nastroju.

Lady Annabella miała na sobie coś, co przypominało błękitną mgiełkę. Wyglądała przepięknie. Więcej niż przepięknie! Na temat jej urody pisano sonety. Słusznie okrzyknięto ją jedną z „niezrównanych”, jak w Londynie nazywano gwiazdy sezonu. Czarne włosy, miękkie i lśniące jak sobolowe futro, oczy szafirowe niczym pogodne niebo w letnią noc, zgrabny nosek, alabastrowa cera. Postać smukła, filigranowa, ale niepozobawiona uroczych krągłości. Panna Wylde posiadała wszelkie zalety, jakie każdy mężczyzna pragnąłby widzieć u swej żony. Jej śmiech przypominał świergot ptaka. Rzadko, zbyt rzadko się śmieje - skonstatował Rafe i znów się zachmurzył na widok smętnego uśmiechu, jakim jego bóstwo powitało którąś z przyjaciółek.

Annabella była w dodatku dobrze urodzona, utytułowana (córka hrabiego) i posażna. I z tymi wszystkimi zaletami do tej pory nie wyszła za mąż. Dwadzieścia cztery lata. Czysta zgroza! Mogłaby mieć każdego na kiwnięcie palcem! Ale akurat ten jeden, na którym jej zależało, znalazł sobie inną... i Annabella nie mogła tego przeboleć. Damon Ryder był nie tylko jej sąsiadem. Wychowali się razem, a ona pokochała go jeszcze w dzieciństwie. Przyzwyczajonej do tego, że czego tylko zapragnie, zaraz dostanie, los spletał tym razem okrutnego figla. Damon spotkał dziewczynę, zakochał się w niej na zabój i od tej pory świat przestał dla niego istnieć. Wszyscy powtarzali, że Annabella była wesoła jak szczygiełek, póki mężczyzna, którego kochała, nie ożenił się z inną. Ale Rafe poznał ją dopiero po metamorfozie.

Czasem mówił sobie z bezlitosną szczerością (z powodu której nieraz wpadał w tarapaty), że wesolutka i ożywiona Annabella pewnie by go

tak nie zauroczyła. Może by ją podziwiał, jak ktoś zwiedzający muzeum podziwia znajdujące się w nim )bezcenne skarby, po czym idzie dalej, nie martwiąc się, że do niego nie należą. To właśnie smutek Annabelli sprawił, że wylała się Rafe'owi mniej niedosiężna. Pomyślał, że może - kto wie? - zdołałby jej jakoś pomóc...? Przywrócić jej radość życia...? W tej chwili myślał tylko o tym, jak sprawić, by uśmiechnęła się znowu.

Wreszcie oderwał od niej wzrok i spojrzał na tańczącą parę, na widok której jego melancholijna dama tak posmutniała. Damon Ryder był nad wyraz przystojny. Równie przystojny, jak Annabella była piękna. Jednak poza uderzającą urodą miał też szlachetny charakter; o takich jak on mawiano „porządny z kośćmi”! Jego wybranka, Gilly, była też niezwykle piękna, zresztą nawet bez swej urody byłaby cennym unikatem: ze świecą szukać drugiej takiej dziewczyny! Bezpośrednia jak mężczyzna, wielkoduszna i wierna. Rafe pokochał Gilly jak siostrę i cieszył się jej szczęściem. Ale panny Wylde szczęście rywalki wcale nie cieszyło...

Drum zauważył, że przyjaciel zwrócił wreszcie wzrok na coś innego. Uśmiechnął się.

- Dobrze się złożyło, że Gilly dostarczyła Wycoffowi pretekstu do wyprawienia wesela właśnie tutaj. Dzięki temu nie musiał wracać na północ, by urządzić bankiet w domu swoich rodziców.

- No, cóż... Panna młoda uparła się, że koniecznie muszę być na jej weselu! - roześmiała się Gilly Ryder. Oboje z mężem przerwali właśnie taniec i usłyszeli rozmowę przyjaciół. - A ponieważ w moim stanie nie mogę się narażać na trudy podróży, matka Wycoffa musiała się z tym pogodzić. Wycoff omal mnie po rękach nie całował z wdzięczności...! Nie mam nic przeciwko temu, żeby być dla przyjaciół wygodnym pretekstem!

-Tylko nie hasaj jak opętana, szelmo! - skarcił ją żartobliwie Drum. - Matka Wycoffa gotowa pomyśleć, że to nie był nawet pretekst, tylko zwykła bujda!

- Nie wyobrażaj sobie - odcięła się Gilly - że twoje morały odstraszą mnie od tańca! Lada chwila zrobię się taka gruba, że nie zmieszczę się w ramionach mego ukochanego! Tylko patrzeć, jak dzieciak tak się rozpanoszy, że w ogóle nie będzie

mowy o uściskach! - powiedziała, przesuając ręką po całkiem jeszcze płaskim brzuszku. - Wiem, wiem! - dodała, spoglądając na męża z zawadiackim błyskiem w oku. - Znow się wyrwałam z czymś, co nie uchodzi damie!

Damon Ryder uśmiechnął się szeroko do żony.

-A nie uchodzi, nie uchodzi. Dzięki Bogu, że nie jesteś damą! No to nie tracmy czasu, przytulmy się, póki jeszcze można!

-Ten to ma szczęście! - zauważył Drum, spoglądając za odchodzącą tanecznym krokiem parą.

-A oto jeszcze jeden wybraniec losu! - zauważył Rafe, spoglądając na wicehrabiego Wycoffa.

Tańczył ze swą dopiero co poślubioną małżonką; nie odrywali od siebie oczu. Choć nie pierwszej już młodości, stanowili piękną parę, szczególnie teraz, gdy promienieli szczęściem.

-Kto by pomyślał, że Wycoff, właśnie Wycoff, tak się da ujeździć...?

-Kto by pomyślał? Każdy, kto ma trochę oleju w głowie -odparł Drum.

Dalton zamilkł. Po chwili rozejrzał się dokoła w poszukiwaniu magnesu, który coraz to przyciągał jego wzrok. Annabella stała bliżej, niż sądził, przy balustradzie tarasu. Wyglądała tak,

jakby piorun ugodził ją prosto w serce. Przyciskała je dłonią i nieprzytomnym wzrokiem wpatrywała się w Gilly i Damona Ryderów.

- Niech to szlag! Słyszała naszą rozmowę. Widać jeszcze nie wiedziała o... - wymamrotał Rafe gniewnie. Skąd zresztą miała wiedzieć? Gilly wciąż wygląda jak mała dziewczynka, choć niebawem będzie matką. Urodzi dziecko mężczyźnie, o którym Annabella marzyła od dzieciństwa. Kolejny gwóźdź do trumny niespełnionych marzeń tej biedulki! - pomyślał. Dobrze wiedział, co to znaczy grzebać własne marzenia.

Uzuchwaliło go to i popchnęło do działania. Nie namyślając się, podszedł do panny Wylde, pozostawiając przyjaciela na pastwę ciemności.

-Lady Annabello - spytał z ukłonem - czy zechce pani zatańczyć ze mną?

-Bardzo mi przykro... Ja... nie mogę... bo... - jąkała się nieporadnie. Nadal wpatrywała się w Ryderów, jak spętana złym urokiem.

Dalton powinien skłonić się raz jeszcze i odejść, jak wypadało po otrzymaniu odmownej odpowiedzi. Stał jednak nadal i wpatrywał się w

lady Annabellę. Spojrzała na niego i dostrzegła zmarszczkę na jego czole.

-Tak! - powiedziała z gorzkim śmiechem. - Ma pan całkowitą rację! Robię z siebie widowisko, prawda?

-Nie. To ja robię z siebie błazna. Pani mi odmówiła, a ja jeszcze tu sterczę

- odparł. - Wszyscy powiedzą, że ze mnie prostak i głupek. Niech sobie mówią! A ja, kompletny bałwan, spytam jeszcze raz: może pani mimo wszystko zatańczy ze mną?

Skinęła główką.

-Z przyjemnością, milordzie.

-Wszyscy mówią do mnie „Rafe” - rzekł, podając jej ramię.

-O...! Już pan mi to kiedyś powiedział..- - Zajęli miejsca, które przewidywał układ figurowego tańca. - Zapomniałam... proszę mi wybaczyć. A więc, spotkaliśmy się już... Gdzie to było?

-Na przyjęciu u Andersonów, na balu w Almacku, na weselu Ryderów... - wyliczał Rafe i spostrzegł, że zeszywniała, gdy wymówił ostatnie nazwisko. Spotykali się na wielu innych imprezach, nawet kilkakrotnie tańczyli ze sobą. Ale prawie nie rozmawiali. Rafe nigdy nie był rozmowny, a w obecności Annabelli piękne słówka do reszty ulatywały mu z głowy.

-No, tak... - powiedziała ze wzrokiem utkwionym w ziemię. Dalton wiedział, że chce uniknąć jego spojrzenia; z pewnością nie musiała spoglądać na nogi, czy się nie plączą. Tańczyła cudownie, podziwiał ją w tańcu wiele razy. - Na ślubie Ryderów. Ale nie pamiętam, jakie pokrewieństwo łączy pana z nimi? Pan jest... jej kuzynem? Mówię o pani Ryder, oczywiście.

-Nie jesteśmy spokrewnieni, choć znam ją od dawna. Jestem przyjacielem hrabiego Drummonda. To kuzyn Sinclairów, przybranych rodziców Gilly. Mam zaszczyt i przyjemność przyjaźnić się z nimi wszystkimi.

-Widzę... a raczej słyszę, że zwykł pan mówić krótko i do rzeczy - zauważyła z tak słodkim uśmiechem, że omal nie pomylił kroków.

-Wolę słuchać, niż gadać - odparł zwięźle, starając się zachować należyty dystans w tańcu i w rozmowie. Nigdy dotąd Annabella nie rozmawiała z nim tak przyjaźnie. Spojrzał na jej smutną twarzyczkę i niewinne oczy. Ta niewinność wydała mu się podejrzana. Jakkolwiek by był urzeczony, orientował się, jeśli ktoś próbował nim manipulować. Ale było mu tak

przyjemnie, gdy na niego patrzyła, że... A niech sobie manipuluje!

-Może się przestęszalałam... Zdawało mi się, że pani Ryder wspomniała, iż jest *enceinte*...? - spytała Annabella naiwnie, jakby oboje dobrze nie wiedzieli, że słyszała każdziutkie słowo. -Nie chciałabym być niedelikatna, wścibska ani wulgarna - dodała - ale znamy się z jej mężem od dawna i wolałabym wiedzieć, na kiedy szykować najpiękniejszy prezent dla najpiękniejszego w świecie dziecka!

-Owszem, Gilly jest w ciąży. Od niedawna. Dziecko zjawi się na wiosnę. Panna Wylde raptownie zaczerpnęła powietrza. Wydychając je, wydała ni to westchnienie, ni to jęk. Wreszcie wykrzyknęła ze sztucznym ożywieniem:

- To cudowne! - Nadal wpatrywała się w swoje pantofelki, wykonując taneczne *pas*. - Pomyśleć tylko - Damon zostanie tatusiem! Czuję się prawdziwą staruszką... Tak niedawno sam był małym chłopcem. Mieszkaliśmy po sąsiedzku i znałam go... od zawsze. Nasi rodzice ogromnie się przyjaźnili... - Paplała jak najęta, automatycznie wykonując wszystkie figury tańca. Była taka ożywiona... zbyt ożywiona.

Dalton wiedział, co to odwaga, i potrafił się na niej poznać. Annabella zaimponowała mu. Żałował, że nie może jej wyznać, jak bardzo ją podziwia. Zresztą, to by i tak nie pomogło. Żadne komplementy nie poprawiłyby jej humoru teraz, gdy dowiedziała się, że jedynemu mężczyźnie, którego kochała, inna kobieta wkrótce urodzi dziecko.

Nie mógł jej także powiedzieć, że doskonale rozumie jej uczucia. Żałował, nie po raz pierwszy ani nawet dziesiąty, że nie ma tak obrotnego języka jak jego przyjaciel Drum. I nie potrafi odciąć się w mgnieniu oka jak drugi przyjaciel, Wycoff. Albo jak tuzin innych znanych mu mężczyzn, którzy z wdziękiem i swobodą czarowali damy. A on? Jak już coś powiedział, to prosto z mostu i konkretnie. Mężczyznom to się nawet podobało. Ale rozmowa z kobietami to całkiem co innego!

Może jednak przydałby się jej ktoś, kto potrafi słuchać...? Może swą wytrwałością zdołałby ją przekonać, że pragnie jej szczęścia...? Że chce jej służyć? Do tego się najlepiej nadawał.

- Czy po weselu zabawi pani dłużej w tych stronach - spytał, gdy Annabella przerwała, by zaczerpnąć tchu - czy wraca



do Londynu?

-Jadę do domu - odparła zwięźle, całkiem w jego stylu.

- Szkoda wielka! - powiedział. - Miałem nadzieję, że niebawem znów się spotkamy i pogawędzimy.

Ich spojrzenia spotkały się. Rafe miał wrażenie, że jego partnerka po raz pierwszy rzeczywiście patrzy na niego.

-Naprawdę by pan tego chciał? - spytała i zamyśliła się.

Chodziłem za tobą jak wierny pies z balu na bal, z przyjęcia na przyjęcie. Byłem uszczęśliwiony, gdy cię ujrzałem. Gdybyś choć raz spojrzała w moją stronę, tobyś nie zadawała głupich pytań! - przemawiał do niej w duchu. A ponieważ miał

już dość wiecznego wpatrywania się i wzdychania do gwiazdki z nieba, powiedział głośno:

- Naprawdę. Od dawna o tym marzę. Ale koło pani zawsze taki tłok, że nigdy nie mogłem się dopchać.

-Zląkł się pan tłoku? - spytała ze śmiechem.

Co za flirciara! Rafe czuł, że przepadł z kretesem.

- Byle czego się nie boję - stwierdził i dodał pod wpływem nagłego olśnienia -... ale na samą myśl, że nie ujrzę pani więcej tego lata, bierze mnie strach.

-Tego lata...? Więc jeśli przypadnę jesienią albo w zimie, wcale to pana nie obejdzie? - spytała kpiąco. Dalton zacisnął usta. - Ależ ja tylko żartuję! - dodała spieszenie. - Dziękuję za piękny komplement, mi... Rafe. - Przechyliła główkę na bok i znów na niego popatrzyła.

Widowała lorda nieraz, oczywiście. Ale uważniej przyjrzała mu się po raz pierwszy. Najgorsze były te rude włosy! Takie okropne, że przesłaniały całą resztę. Jednak Annabella zdobyła się na wysiłek. No, cóż... trudno byłoby nazwać go przystojnym... ale brzydalem też nie był. Smukły, atletycznej budowy... może trochę nieokrzesany... i nerwus. Ale schludny, dobrze ubrany... Z dobrej rodziny, zapewne majątny. Ma przyjaciół z najwyższych sfer. Ona znalazła się na tym weselu, ponieważ jej ojciec był jakoś tam spowinowacony z rodziną Wycoffów. Ale ten młodzieniec przyjaźnił się i z Wycoffem, i z Dantonem. No i - przede wszystkim - był w niej zakochany. Po uszy!

Znów przemknęli koło niej w tańcu Damon i jego żona. Annabella

dostrzegła ich kątem oka. Tym razem nie odwróciła głowy, by raz jeszcze spojrzeć na Damona. Popatrzyła za to na lorda Raphaela Daltona.

- Wie pan co? - zagadnęła. - Moja mama miała ochotę zostać w Londynie... To ja uparłam się, żeby wracać do domu. Ale właśnie pomyślałam sobie... - Dalton wpatrywał się w nią z napięciem. -... że wrócę chyba do Londynu... Pan, zdaje się, też tam będzie? Chyba się nie przesłyszałam... Rafe?

Ślub się odbył, uroczystości weselne dobiegły końca. Goście porozjeżdżali się; każdy wrócił do swego domu i swego życia.

Tylko Rafe i Drum jeszcze następnego dnia jedli śniadanie w zajeździe, w którym zatrzymali się, przybywszy na wesele Wycoffa.

-Zbyt piękny dzień, by go marnować w dusznym pudle -odezwał się w końcu Rafe, wyglądając przez okno. - Zamiast tłuc się powozem, wrócę do Londynu konno.

-Gdyby nawet padał deszcz ognisty, jak w Biblii, powiedziałałbyś to samo - zaśmiał się Drummond. - Twoja dama w końcu cię spostrzegła, więc czujesz się panem świata, co? I pewnie planujesz własne wesele...? Uważaj, przyjacielu - dodał całkiem serio. - Czasem kobiecie ze złamanym sercem sprawia ulgę łamanie cudzych serc!

-Moje serce nie należy do łamliwych! - odparł Rafe.

- Coś mi się zdaje, że jest kruchsze, niż myślisz! - skomentował po namyśle hrabia. - Cieszę się twoim szczęściem, choć jestem troszkę rozczarowany. Mieliśmy razem pojechać do Włoch na resztę lata, nie pamiętasz?

W Daltona jakby piorun strzelił.

-Bez obawy! - roześmiał się znów Drum. - Nie będę cię trzymał za słowo. Nie jestem ani dzieckiem, ani matołkiem: byłem już we Włoszech i bez ciebie też do nich trafię!

-Ty mnie zawsze zrozumiesz! - stwierdził z ulgą Rafe. - Wybierzemy się kiedy indziej... Choć, prawdę rzekłszy, jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, nie będę miał czasu na takie wyprawy. - Ściszył głos; wydawał się nieco zażenowany, ale zdeterminowany. - Wiesz co, Drum...? Znasz mnie dobrze... aż za dobrze...! A ja ostatnio zupełnie siebie nie poznaję. Zwłaszcza jeśli chodzi o nią... Miałem już wiele kobiet i rozstawałem się z nimi. Prawdę mówiąc, potrzebne mi były przeważnie na godzinę, za którą

trzeba było słono zapłacić. No więc... Ogólnie rzecz biorąc, lubię kobiety, a jeszcze bardziej to, co się z nimi robi. Ale nigdy nie czułem do żadnej z nich czegoś takiego... To zupełnie do mnie niepodobne!

Hrabia Drummond postukał łyżką o stół.

-Czyżby? A co było z Mary Hastings?

-Dziecinada, i tyle! - odparł Rafe, wzruszając ramionami.

-A z Catherine Devereaux?

- Zwykły flirt. Szybko się wydała za tego, kogo jej rodzina swatała - wyjaśnił Dalton i znowu wzruszył ramionami.

-A Maria Sanchez?

-Co też ty gadasz?! Jej krewni obdarliby ją żywcem ze skóry. Mnie zresztą też, gdyby podejrzewali, że to do mnie oczko puszcza! - wykrzyknął Rafe, zaszokowany tym przypuszczeniem. - Niech to szlag, Drum! Przecież ona tylko odwiedziła mnie raz czy drugi w szpitalu, kiedy oberwałem w bitwie! Niejedna portugalska seniorita krzepiła w ten sposób ducha sprzymierzonej armii. Z czystego patriotyzmu, rozumiesz?

-Wyszłaby za ciebie w każdej chwili! Wystarczyło kiwnąć palcem. Ale tobie by to nawet przez myśl nie przeszło, co? Sęk w tym, że zawsze brakowało ci pewności siebie, jeśli chodzi o kobiety.

-Bo wszystkie miały mnie za nic - wymamrotał Rafe.

- A wiesz czemu? Bo nie dawałeś im, że tak powiem, rozwinać skrzydeł. Sam powiedziałeś, że potrzebne ci były tylko na godzinę, jak cię przyparło. Przyjaźniłeś się wyłącznie z tymi, które nie były już wolne, a więc nie zagrażały twemu sercu...! A jeśli chodzi o tę małą Devereaux, o Mary albo o senioritę Sanchez... mógłbym wymienić jeszcze tuzin innych, z góry stawiałeś na nich krzyżyk, nawet nie próbując z nimi flirtować. Dziwisz się, że to je zniechęcało? Nie masz pojęcia, psiakrew, jakie mógłbyś mieć powodzenie, gdybyś tylko chciał!

Jego przyjaciel uśmiechnął się pośępnie.

-Na rozum ci padło, Drum, czy co?! Każdy widać sądzi po sobie! Wszystkie baby na ciebie lecą, diabli wiedzą czemu! Chyba przez to przymilne gadanie. Tak je potrafisz skołować, że nie widzą tej twojej trąby słoniowej i wielkich jak u słonia kości! Ale ja?! Prosty ze mnie chłop, żaden mówca... Na kochanka z panięskich marzeń też nie mam

kwalifikacji. Chodzi mi o to -zastrzegł się pospiesznie - że nie potrafię ich czarować słodkimi słówkami i zalecać się jak należy. Jeśli chodzi o... tamto, żadna do mnie nie miała pretensji. Może się bały - dodał ponuro - bo mam groźną minę. A poza tym płaciłem im sowicie.

-No i wyszło na moje! - stwierdził z satysfakcją Drum. - Nie zadajesz się z przyzwoitymi kobietami, bo zakładasz z góry, że żadna na ciebie nie polecą. A zainteresowałyby się niejedną! Cóż w tym dziwnego? Jesteś dzielny, uczciwy, bardzo sympatyczny i masz cholernie miękkie serce.

Dalton odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. Wesołość dodawała mu uroku. Kiedy się uśmiechał, jego twarde rysy łagodniały i był całkiem przystojny.

-A jakże! Każda panienka chciałaby mieć wiernego pieska...! Ale pies to pies, a nie kochanek z dziewczęcych snów, Drum! Do rej roli trzeba mieć nienaganne maniery i przystojną gębę. No i o rudych włosach nie może być mowy. Nie tylko budzą odrazę, ale podobno przynoszą pecha! Wiem o tym od małego. Pierwszy gówniarz, któremu rozkwaśnięty nos, wołał za mną „Ryży łeb!”. Nie myśl, że użalam się nad sobą. Chyba właśnie dzięki tym bójkom zorientowałem się, że potrafię walczyć, więc wstąpiłem do wojska. To było coś w sam raz dla mnie. Zresztą, nigdy nie mówiłem, że czegoś mi brak. Jestem równie dobry, jak każdy inny! Tyle tylko, że damy wymagają całkiem innych zalet.

-Te, co mają rozum, potrafią poznać się na dobrym towarze. Ale skąd ty mógłbyś o tym wiedzieć? - perorował Drum. - Włóczyś się jak cień za taką, co traktuje cię gorzej niż psa!

Uśmiech Rafe'a zgasł.

-Nie obrażaj się, tylko słuchaj! - prawił dalej kazanie hrabia. - Łazisz za nią krok w krok od Bóg wie ilu tygodni. W końcu raczyła cię zauważyć, a ty cały jesteś szczęśliwy. Raz gwizdnie i już lecisz. Według mnie to, co do niej czujesz, nie ma nic wspólnego z miłością. To nuda i samotność, pół na pół. Wszyscy wiedzą, że wesela są zaraźliwe! Złapałeś po prostu matrymonialną febrę. I tym ciężiej przechodzisz to choróbsko, że po raz pierwszy w życiu nie wiesz, co ze sobą począć!

-Nie wiem, co ze sobą począć...? - powtórzył zaskoczony Dalton.

-Żadnej wojny na horyzoncie, miły żołnierzyku! Ani cię nie wyślą na

rozpoznanie terenu, ani na kontynent z tajną misją. Ani ci bębny nie zagrają do ataku! Pokój ci wyraźnie nie służy, Rafe - uśmiechnął się Drummond. - Uciekałeś z Londynu na wieś i z wiejskiego zacisza do stolicy tak często, że straciłem

rachubę. Różnałeś w karty, łajdaczyłeś się... a teraz, z deszczu pod rynnę, udajesz eleganta z morskiej pianki na wytwornych balach i przyjęciach. Hazard i dziwki mogę jeszcze zrozumieć. Nie twierdzę, że pochwalam. Tobie zresztą do niedawna też się to nie podobało. No, niech mu tam! - mówiłem sobie. Ale jak zacząłeś balować, zadawać się z tą perfumowaną hołotą... I to ty?! Jesteś bezbronny i bezwolny jak dziecko, mój stary! I właśnie dlatego lękam się o ciebie, a nie o tę lalkę, która robi sobie zabawkę z porządnych ludzi, ponieważ raz w życiu los jej poskapił tego, na co miała ochotę!

-Uważasz, że coś z nią jest nie w porządku? - wycedził Rafe, a jego leżące na stole ręce same się zacisnęły w pięści.

-Nie, nic jej nie jest. A w każdym razie nic poważnego - odparł ze znużeniem hrabia, przesuwając wąską dłońią po przymkniętych powiekach. Następnie spojrzał przenikliwie na przyjaciela lazurowymi oczyma. - Minał już rok od ślubu Damona z Gilly. Przez cały ten czas lady Annabella flirtuje z każdym i zmienia adoratorów jak rękawiczki. Kto wie, czy i kiedy potraktuje wreszcie kogoś poważnie?

-Ma wierne serce - wtrącił Dalton.

-Dość tych bzdur, mówmy otwarcie! - odparował Drum. -Dobrze wiesz, że raz na zawsze straciła jedyne go mężczyznę, na którym jej zależało. I mimo to nadal tylko jego ma w głowie. A ty wiedząc o tym, uderzasz do niej w konkury?! Na litość boską, Rafe, czemu uparłeś się grać wiecznie drugie skrzypce?

-Bo tak było zawsze. Tylko do tego się nadaję - odparł z prostotą zapytany. - Sam dobrze wiesz!

Jego przyjaciel zamilkł nagle.

- Ale to niesprawiedliwe - powiedział w końcu. - Zasługujesz na coś więcej!

Dalton wzruszył ramionami.

-Już się do tego przyzwyczaiłem. Kto wie? Może z czasem zdołam ją przekonać, że drugie skrzypce też mają swoje zalety i mogą się jej

przydać?

-Wystarczy ci na to czasu i cierpliwości? - spytał Drum.

-Mam nadzieję - odparł Rafe. - A choćby mi się nawet sprzykrzyło, to od czego siła woli? Nie brak mi wiary w siebie, Drum! Potrafię walczyć o swoje szczęście, jeśli okaże się to konieczne. Przekonasz się!

-I ty twierdzisz, że nie umiesz wygłaszać mów?! - zdumiał się hrabia, potrząsając głową.

-Nie wygłaszam żadnych mów! Mówię prawdę, i tyle. Nigdy mi to nie sprawiało trudności. I na tym właśnie polega cały problem... No, rzeczy spakowane, koń czeka - powiedział, wstając z krzesła. - Jadę do Londynu. Baw się dobrze w słonecznej Italii, stary! I wracaj rychło! Możesz mi życzyć szczęścia? - spytał, wyciągając rękę.

-No... chyba tak. - Drum westchnął, wstał i uściśnął podawaną dłoń. - Choć szczerze mówiąc, nie tracę nadziei, że spotkasz jeszcze kobietę, która od pierwszego wejrzenia pozna, ile jesteś wart, i powie sobie: ten albo żaden!

-Ostatnio kręci się w pobliżu niewiele urodziwych wariatek - zauważył Rafe i dorzucił na odchodnym: -Ale rozejrzę się dokładniej, jeśli ci to potrzebne do szczęścia!

-Mylisz się, stary druhu - mruknął do siebie hrabia, gdy Dalton był już za drzwiami. -Jeśli ją znajdziesz, to nie dla mojego, tylko dla własnego szczęścia. Uczciwie na nie zasłużyłeś... choć sam w to nie wierzysz.

## 2

Miejska siedziba lorda Daltona stała przy cichej uliczce w pobliżu parku. Dom był równie schludny i bezpretensjonalny, jak jego właściciel. Tym razem jednak ów właściciel nie sprawiał wrażenia czyścioszka, kiedy o zmierzchu stanął przed frontowym wejściem. Był pokryty kurzem, brudny i nieładnie zmęczony. Co prawda zdążył przed Zapadnięciem nocy wrócić do

domowych pieleszy, ale była to bardzo długa i bardzo wyczerpująca podróż - i dla jeźdźcy, i dla konia.

Rafe marzył tylko o orzeźwiającej kąpieli i dodającym ducha trunku, wszystko jedno w jakiej kolejności. Mogą być razem - dumiał, jadąc wąską

dróżką do położonej na tyłach domu stajni. Z ulgą powierzył swego wierzchowca chłopcu stajennemu, który wybiegł mu na powitanie. Dalton poklepał konia, który doskonale się dziś spisał. Potem zarzucił na ramię zdjętą z siodła skórzaną torbę i wrócił do frontowego wejścia. Po kilku stopniach dotarł do drzwi, ujął kołatkę z brązu i łupnął nią z rozmachem. Stał tak ze zmarszczonym czołem, czas mijał, a nikt jakoś nie reagował na głośnie stukanie.

Rafe'owi trudno było uwierzyć, że Peck wyszedł z domu o tej porze. Chociaż jego uniwersalny służący miał - oczywiście - wolną rękę. Peck, dawny ordynans Daltona, obecnie pełnił obowiązki majordoma, lokaja i kamerdynera. Ów jednoosobowy personel wydawał się znajomym lorda - nie wiedzieć czemu - ogromnie zabawny. Takie ograniczenie służby do minimum nie wynikało jednak z nadmiernej oszczędności. Rafe miał dość (a raczej o wiele za dużo) pieniędzy na swoje potrzeby. Układ ten najbardziej mu odpowiadał z powodu swej prostoty i efektywności. Peck miał na głowie cały dom. To on wynajmował dochodzące sprzętaczki, by utrzymywały mieszkanie w czystości. To on dbał o to, by w spiżarni niczego nie zabrakło. Co prawda żadne wielkie zapasy nie były potrzebne, gdyż jego pan jadał przeważnie poza domem.

- A jeśli chodzi o przygotowywanie posiłków, to Peck po mistrzowsku przyrządza jedyne danie, które jadam w domu - wyjaśnił kiedyś Rafe Drumowi, który uniesieniem brwi skwitował uszczuplony do przesady personel w londyńskiej rezydencji przyjaciela. - Potrafi usmażyć jajecznicę i przypiec grzanki równie dobrze, jak pierwszy lepszy kucharz. Żaden lokaj nie musi mi towarzyszyć na ulicy, bo nie potrzebuję obrońcy; sam mógłbym kogoś obronić. Osobiste sprawunki załatwiam sam, resztą zajmuje się Peck. Co się zaś tyczy warowania przy drzwiach, to mogę sam sobie otwierać i zamykać za sobą wejściowe. A jeśli chodzi o gości, to prawie nikt mnie tu nie odwiedza oprócz was, chłopaki!

Jako stary wiarus Rafe bożył się również, że żaden osobisty lokaj czy kamerdyner nie jest mu potrzebny.

-Golę się sam znacznie szybciej i staranniej, niżby to zrobił jakiś tam sługus! Jeśli zaś chodzi o moje ubrania, to Peck je czyści i wykłada mi to, które według niego powinienem włożyć. Ubieram się w nie i mam spokój. Nie jestem manekinem krawieckim, psiakrew! A Peck potrafi

zrobić wszystko, co trzeba. Czego więcej można chcieć?!

No, cóż... w tej chwili chciałbym sforsować te cholerne drzwi i po dłuższej nieobecności dostać się do własnego domu! - pomyślał Rafe, wzdychając ze zniecierpliwieniem. Położywszy na ziemi skórzaną torbę, zaczął przeglądać jej zawartość. W ukrytej kieszeni znalazł potrzebny mu klucz i wszedł wreszcie do domu.

Wewnątrz było zdumiewająco cicho i załatywało stęchlizną. Dalton zmarszczył brwi. Mieszkanie nie wietrzone? To niepodobne do Pecka! I lampy w hallu powinny już się palić o tej porze... Zaniepokoił się. Nie miał zwyczaju wyobrazać sobie od razu jakichś okropieństw... ale Peck trochę się już postarzał, a życie w Londynie nie było takie znów bezpieczne... No, cóż... Gdzie kota nie ma, myszy harczą. Ponieważ pana nie było w domu przez dwa tygodnie, Peck uznał widocznie, że nie ma dla kogo sprzątać... Tylko że Peck był z natury porządny i systematyczny... I gdzie, do wszystkich diabłów, podziewa się o tej porze?!

- Stać! - rozległ się jakiś głos, cokolwieczek drżący.

Rafe upuścił torbę. Płynnym, błyskawicznym ruchem obrócił się na pięcie, przyklęknął i schylił się. Ukryty w kieszeni surduta niewielki pistolet, który zawsze towarzyszył lordowi w podróży, sam wskoczył mu do ręki.

Krępy mężczyzna o łysej głowie wynurzył się z cienia z muszkietem wycelowanym w pierś Rafe'a.

- Stać, powiadam! A jak nie... - ostrzegł groźnie i urwał w pół zdania. - O...! To pan, milordzie? - W głosie Pecka brzmiała wyraźna ulga. Zniżył lufę muszkietu. - Rany boskie! - jęknął znowu, przeciągając drżącą ręką po spoconym czole. - O mało żem nie odstrzelił panu głowy! A w ogólności to co pan tu robi...? Znaczy się...

- Majordom zreflektował się nieco. Zamiast wrodzonej

londyńskiej gwary, która w chwilach pełnych emocji uparcie powracała mu na usta, popłynęła z nich poprawna angielszczyzna, wyuczona z wielkim staraniem. - Proszę o wybaczenie, milordzie - zwrócił się do chlebodawcy. - Pragnę jedynie zauważyć, że miał pan wziąć udział w uroczystościach weselnych, a następnie udać się w towarzystwie hrabiego Drummonda do Włoch. Słyszałem to z własnych pańskich ust, milordzie. - Spojrzał na trzymany lufą w dół muszkiet. - Najmocniej



przepraszam, że ośmieliłem się do pana mierzyć, milordzie, ale kiedy się pan zjawił bez żadnego uprzedzenia, strach tak mną trząchnął, że mi nie tylko łupież zginął, ale włosy co do jednego powypadali! - zakończył mniej klasycznym stylem.

Teraz z kolei jego pan uniósł dłoń do czoła. Nawet w nie postukał grzbietem ręki.

-Niech to szlag! Gdzie ja mam głowę?! Czyżby skradziono mi ją razem z sercem? - mruknął. - Przepraszam, Peck! Powinienem był powiadomić cię o zmianie planów. Hrabia jedzie do Włoch w pojedynkę. A ja zostaję na razie w Londynie. Pomyśleć tylko, że bawiliśmy się w policjantów i złodziei w moim własnym frontowym hallu! O mały włos nie doszło do strzelaniny... Zastanawiałem się, czemu lampy niezapalone... Wystarczyło napisać kilka słów... Przepraszam, Peck!

-To ja przepraszam, milordzie. Pakowałem się właśnie i nagle słyszę: drzwi się otwierają. Schodzę na paluszkach ze schodów zobaczyć, kto tam łązi?! Nikogo się nie spodziewałem. Cały dzień nie było mnie w domu... to przez te przygotowania do wyjazdu... Wróciłem tylko po bagaże i żeby wszystko pozamykać na ten czas...

Daiton uniósł brwi.

-No... - zaczął niepewnym tonem Peck - może wasza lordowska mość nie pamięta? Dostałem miesiąc urlopu. Obiecał mi to pan, milordzie, tuż przed wyjazdem na to całe wesele. Więc się wybierałem do mojej siostry w Kent. Ale nie ma sprawy, milordzie, napiszę do niej, że innym razem. A mieszkanie zaraz sprzątnę jak się patrzy, piorunem!

-Nie zawracaj sobie tym głowy! - zaproponował Rafe. Czoło mu się wypogodziło. -Teraz sobie przypominam! Nie widzieliście się z siostrą od wieków, prawda? Najwyższy czas, żebyś ją odwiedził! Już cię tu nie ma, Peck! Myślisz, że taki ze mnie oferma, że nie poradzę sobie bez ciebie?

-Ale kto poda panu śniadanie...? I o cały dom trzeba zadbać...

-Będę jadać w moim klubie. A ty skontaktuj się z tą agencją pośrednictwa pracy. Powiedz, że będzie potrzebna dochodząca sprzątaczką, na wtorki i czwartki, jak zawsze - odparł Rafe i zabrał się do ściągania rękawiczek.

-Ale... pańskie ubrania! ... Pańskie chustki na szyję...?

Ten argument dał Daltonowi nieco do myślenia. Zamierzał złożyć wizytę

Annabelli, więc nie mógł być zaniedbany! Na szczęście olśniło go.

- Nie kłopotz się! - powiedział wyniośle. - Daj mi tylko kilka najpotrzebniejszych adresów: krawca i praczki, z której usług korzystamy, i tym podobne. Ubrać się potrafię sam. Nawet wolę! Za kogo ty mnie masz? Za jakiegoś fircyka?! - Ruszył schodami na górę. Nagle przystanął i zwrócił się do majordoma z groźnym marsem na czole. -Ale nim wyjedziesz, jedno musisz dla mnie zrobić. Od tego nie odstępaj!

-Od czego? - spytał podejrzliwie Peck.

- Muszę się wykąpać. Niezwłocznie! Mam na sobie tyle błota, że można by sadzić na mnie nagietki, psiakrew! A póki co, przynieś mi trochę tego zdobycznego sherry z Hiszpanii. I kieliszek...! Nie, nie! Obejdzie się bez kieliszka. Byle prędko!

Następnego dnia Rafe obudził się wczesnym rankiem. Umył się i zabrał do ubierania. Zajęło mu to więcej czasu niż zwykle. Był rad, że namówił swego uniwersalnego sługę do wyjazdu. Gdyby Peck teraz go zobaczył, pomyślałby pewnie, że jego pan podczas wojaży stracił rozum! Rafe sam chwilami podejrzewał, że tak się stało.

Zerwał z szyi kompletnie wygnieciony fular i skrzywił się groźnie do swego odbicia w lustrze. Każdy elegancik, marzący tylko o tym, by uznano go za prawdziwego dandysa, spędzał całe godziny przed zwierciadłem, wiążąc misternie krawatkę. Wzgardzone i wymięte chustki na szyję zaścielały podłogę jak

jesienne liście, zanim węzeł pod szyją nie był (zdaniem twórcy) zawiązany idealnie. Zresztą, nie tylko dandysi, interesujący się wyłącznie modą, spędzali mnóstwo czasu przed lustrem. W obecnej dobie każdy liczący się londyńczyk musiał być modnie ubrany. Nawet tak zwani koryntianie, których fascynowały męskie sporty: szaleńcza jazda konna i boks, chociaż ubierali się po sportowemu, dbali o swój wygląd z równą starannością, jak ich zażarci przeciwnicy i rywale - dandysi.

Lord Dalton nie zawracał sobie głowy modą. Wyglądał zawsze schludnie, ale ubiór miał dla niego wyłącznie znaczenie praktyczne. Musiał być odpowiedni do tego, dokąd się wybierał i co zamierzał robić. Tak było do wczoraj. Dzisiejszego ranka troszczył się o swój wygląd jak jakiś mizdrzący się fircyk. Ta smutna prawda napęłniła go niesmakiem.

Wreszcie udało mu się zawiązać tę przekłętą chustkę dokładnie tak, jak należało! Cofnął brodę, by podziwiać w lustrze ukończone dzieło.

Śnieżnobiała chustka na szyję związana została niewymyślnie, ale bezbłędnie. Błękitny surdut i ciemnozłota kamizelka były obcisłe, zgodnie z nakazem mody, ale nie do tego stopnia, by unieruchomić ramiona (co przytrafiało się niektórym elegantom!). Sięgające powyżej kostki buty zwane „wellingtonami” lśniły tak, że sam książę Wellington mógłby się w nich przejrzeć, gdyby akurat był w pobliżu i miał na to ochotę. Beżowe spodnie - również obcisłe - nie marszczyły się na udach. Z włosami sprawa przedstawiała się najgorzej, bo na ich kolor nie było rady. Były jednak czyste i porządnie wyszczotkowane. Dawało się zauważyć także, że tego ranka Rafe ogolił się wyjątkowo starannie.

Wielka szkoda, że nie można zgolić brwi! - dumał, przyglądając się w lustrze dwóm rdzawym pasemkom, które w tej chwili zbiegły mu się nad nosem. Zgolić to paskudztwo do samej skóry, by mu nie bruździło! Nawet łysina nie przynosiła takiego wstydu jak ryży łeb - może dlatego, że łysych i łysiejących spotykało się na każdym kroku. Dalton doszedł jednak do wniosku, że nie może zgolić brwi. Bez nich nikt by go chyba nie poznał. Na szczęście były nieco ciemniejsze od czupryny.

Na ostatek spojrzął we własne pełne niepokoju oczy i na widok ich smętnego błękitu odwrócił się od lustra. Wyglądał jak zawsze. Nie było na to rady. Zrobił co w ludzkiej mocy. A zatem - wszystkie przygotowania ukończone, broń w pogotowiu. Taki stary wiarus jak on dobrze wiedział, że pora ruszać do bitwy. Zaraz po śniadaniu złoży poranną wizytę; tylko ze względu na nią tak się dziś stroił. Nie, nie - poprawił się w myśli - tylko ze względu na nią podniósł się w ogóle z łóżka!

Rafe wystroił się, by złożyć wizytę damie, a tymczasem w polu widzenia miał wyłącznie mężczyzn. Salon był kompletnie zapchany osobnikami płci brzydkiej. Lady Annabella, jej promieniejąca uśmiechem mamuśka, hrabina Wylde, oraz praktycznie niedostrzegalna pokojówka były jedynymi kobietami w tym pokoju. Rafe słyszał melodyjny śmiech Annabelli i niekiedy migała mu jej śliczna twarzyczka, zasadniczo jednak damę oddzielał od niego zwarty mur tłoczących się wokół niej dżentelmenów, którzy podobnie jak on wpadli na pomysł złożenia jej

porannej wizyty. W niewielkim saloniku oprócz Daltona było ośmiu innych wielbicieli. Wytwornie odzianych, obytych towarzysko dżentelmenów. Instynkt nakazywał Rafe'owi rozejrzeć się za swym kapeluszem i wiać stąd, gdzie pieprz rośnie. Nie ruszył się jednak, tylko tkwił tu nadal, milczący, rozwścieczony własną bezradnością. Pozostali adoratorzy byli doświadczoneymi flirciarzami. On mógł tylko stać, słuchać i czekać na odpowiedni moment. Miał do powiedzenia Annabelli coś konkretnego.

Ale nie wiedział, jak i kiedy zdoła jej to powiedzieć.

Poruszył się niespokojnie. Najwyższy czas zabierać się stąd! Umiał co prawda cierpliwie czekać, choćby kilka godzin, jeśli konieczność tego wymagała. Teraz jednak nie wierzył, by jego męki na cokolwiek się zdały. Choćby nawet zabrał głos, nie zakasowałby z pewnością żadnego ze swych rywali. Przeważnie paplali o błahostkach, jako że na tym właśnie polega salonowa konwersacja. On natomiast nie umiał gadać o niczym.

Jednakowoż odejść z niczym także nie miał ochoty. Nigdy nie wygra ten, co nie stanie do wałki. Rafe wyprostował się więc, zaparł nogami w podłogę i czekał.

Zdołał się uplasować tak, że mógł wpatrywać się w Annabellę. W pierwszej chwili jej uroda poraziła go (jak zawsze), ale gdy się otrząsnął z szoku, z obserwowaniem poszło mu jak po maśle. Lady Annabella była nieco starsza od większości panien na wydaniu. Przyczynił się do tego zawód miłosny, jakiego doznała. Słynna piękność straciła skutkiem tego nieco uroku w oczach wielu dżentelmenów. Ale Rafe'owi wcale to nie przeszkadzało. Panna Wylde od pierwszej chwili wydawała mu się uosobieniem subtelnej wdzięku.

Tego ranka miała na sobie suknię o barwie żonkili. Śmiejąc się, potrząsała długimi kruczoczarnymi lokami. Cera Annabelli była śnieżnobiała, bez skazy. Usta różowe, z uroczym dąsem, nawet wtedy, gdy wcale się nie dąsała. Była uosobieniem kruchej, eterycznej kobiecości.

Lord Dalton spędził wiele - zbyt wiele - lat w wyłącznie męskim towarzystwie, nic więc dziwnego, że zafascynowała go ta istota z całkiem innego świata. Była taka drobniutka, że przy niej wydawał się sobie grubo ciosany, zwalisty i niezdarny. Wiedział jednak to i owo o kobietach. Co prawda, do tej pory nie pokochał szczerze żadnej ani nie

był kochany. Jednak niezmiernie lubił kilka z nich, one zaś odwzajemniały jego sympatię. Niektóre szczerze i bezinteresownie darzyły go swoim ciałem. Inne użyczały go z większym wyrachowaniem. Od wszystkich Rafe nauczył się wielu rzeczy. Między innymi tego, że najdrobniejsza, najbardziej eteryczna kobietka potrafi wyczerpać do cna niejednego mężczyznę. Drobniutka kobietka, w którą wpatrywał się w tej chwili, zdawała się obiecywać takie właśnie rozkosze... a może i coś więcej, znacznie więcej...? Coś, czego nigdy jeszcze nie zaznał.

Rafe poznał naturę ludzką zbyt dobrze, by zbiły go z nóg wyłącznie fizyczne zalety jakiejś damy. W odróżnieniu od wielu swoich znajomych był zdania, że kobiecy umysł może być równie bystry (albo równie tępy), jak męski. Płeć mogła mieć wpływ na sposób rozumowania, ale nie na stopień inteligencji. W ludziach zaś należało cenić rozum i charakter.

Dalton spotkał

w swoim życiu kobiety twarde i nieustępliwe jak skała, zdolne przetrwać wojnę lub osobistą tragedię. Znał też zahartowanych w bojach sierżantów obdarzonych wrażliwością mimozy.

Ku własnemu zaskoczeniu odkrył, że właściwie odpowiada mu, że stoi z boku i obserwuje innych popisujących się przed lady Annabellą. Jako widz mógł ją lepiej ocenić. Podobnie jak ktoś obserwujący przez okno przechodniów na zatłoczonej ulicy, Rafe dostrzegał drobiazgi, na które nikt z kłębiącej się ciżby nie zwracał uwagi.

Lady Annabella nie była wcale tak zachwycona popisami wielbicieli, jak się wydawało. Rafe dostrzegł błyski zniecierpliwienia w jej pięknych błękitnych oczach. Spoglądały one na tego czy innego dżentelmena, jakby brały z niego miarę. Niekiedy jednak w tych świetlistych oczach dostrzegał dziwną pustkę. Annabella jakby kryła się w swoim wnętrzu. Dalton mógłby przysiąc, że to objaw głębokiego smutku. Była taka bezbronna. I taka samotna, choć oblegana i podziwiana. Dręczył ją wielki, wszechogarniający ból. To właśnie on uderzył Rafe'a, przyciągnął go do niej, nakazywał pozostać przy niej.

Tego dnia Annabella wyraźnie dostrzegała Rafe'a. Nie rzekła do niego ani słowa oprócz powitalnego „Dzień dobry”, kiedy wszedł do salonu, ale coraz to zerknęła w jego kierunku. Może zachowywała się tak przez kokieterię? Nie przeszkadzało mu to. A niech zerka na niego tymi

błękitnymi oczyma! Nareszcie go widzi...! I faktycznie zerkała. Często. Śmiała się z tego, co mówili inni wielbiciele. Od czasu do czasu rzuciła jakieś słówko, ale ogólnie rzecz biorąc, była prawie tak milcząca jak jej rudowłosa adorator. Prawdę rzekłszy, zalotnicy na wyprzedki starali się ją zagadać. Więc panna Wylde słuchała i obserwowała - znowu tak samo jak on! Rafe zaś mógł tylko żywić nadzieję, że piękna dama dojdzie do tych samych wniosków co on. A mianowicie, że jego rywale to kupa durniów, manekinów krawieckich, rozpustników i - na dobitkę - łowców posagów!

Czas upływał w żółtym tempie, ale upływał. Obowiązywały ściśle przepisy co do długości wizyt. Toteż, choć z wyraźnym żalem, goście - jeden po drugim - zaczęli się żegnać. Ujmowali drobną rączkę Annabelli i pochylali się nad nią w głębokim ukłonie. Szeptali ostatnie komplementy, zaklęcia, zapewnienia miłości, po czym mijali Daltona, odbierali z rąk służby swoje laseczki i cylindry i znikali. Przyszła wreszcie kolej na niego. Rafe wstał, by pożegnać się z lady Annabellą. Po raz pierwszy ujrzał ją z bliska i zamarł wpatrzony w nią bezradnie. Pospiesznie ujął rękę, którą do niego wyciągnęła, i skłonił się nisko, by nie wyczytała z jego oczu tego, co tak wyraźnie się w nich malowało.

- Jakże się cieszę, że mnie pan odwiedził, lordzie Dalton - powiedziała z zadowoleniem. - To znaczy... Rafe - dodała i uśmiechnęła się, ukazując rozkoszny dołeczek tuż obok ust. - Ale był pan taki milczący, że już myślałam, iż wyjdzie pan bez pożegnania!

-Nigdy bym czegoś podobnego nie zrobił! - zapewnił ją.

- No, cóż... Nie zdziwiłabym się, gdyby pan to uczynił. Co za gaduły...! A prawda, byłabym zapomniała: dziękuję za kwiaty!

Przysłał je, gdyż tamtego wieczora tańczyli ze sobą; pragnął, by Annabella zapamiętała ten taniec. Ale w pokoju było jak w kwiaciarni. Tańczyła przecież przez całą noc.

- Cieszę się, jeśli się pani spodobały. A milczałem... - mówiąc to, ośmielił się spojrzeć jej prosto w oczy - ... bo nie umiem prowadzić salonowej konwersacji. Sama pani widziała... to znaczy słyszała. A właściwie nie słyszała! Zostawiam innym żarty i dykteryjki. Za to umiem słuchać. Więc pomyślałem sobie, że może

wybrałaby się pani ze mną na przejażdżkę dziś po południu? Podobno niezłe powożę, a dzień taki piękny...

Panna Wylde przechyliła głowę na bok i głęboko się nad czymś zastanawiała.

- To bardzo uprzejmie z pańskiej strony. Ale strasznie mi przykro: obiecałam już panu Radcliffe'owi, że z nim się przejadę dziś po południu.

Rafe skinął głową.

-Przeczuwałem, że tak będzie. Wobec tego może mógłbym odwiedzić panią w piątek wieczór na bal do Swansonów?

-Boże świąty! Jeszcze jedno przyjęcie w ich domu... Ale znów pan się spóźnił- Pan Croft zaofiarował się wystąpić w roli mojej eskorty i przyjąłem jego ofertę.

Rafe usłyszał już dość. Śmiałek może porwać się na najbardziej warowną twierdzę. Ale jej nie zdobędzie samą odwagą, bez dostatecznego zaopatrzenia.

-Wobec tego proszę z łaski swojej zarezerwować dla mnie jakiś taniec. Życzę miłego dnia, lady Annabello.

-Tak chętnie przejechałabym się z panem po parku...! - powiedziała z żalem. - Słyszałam, że jest pan członkiem klubu „Czwórka w garści”?

Był to słynny klub dla mistrzów w powożeniu wielokonnym zaprzęgiem. Mało kto mógł się ubiegać o członkostwo, gdyż jedyne kryterium doboru stanowiła biegłość w sztuce powożenia. Nie liczyły się ani koneksje, ani fortuna. Dalton skinął potakująco głową.

- Istotnie, należę do klubu. Wobec tego może pani raczy przejechać się ze mną w sobotę?

-Niestety, nie mogę - westchnęła.

No, cóż... to załatwiało sprawę ostatecznie. Rafe był co prawda oczarowany, ale nie zamierzał robić z siebie durnia. Dobrze wiedział, co sobą reprezentuje. Jeśli to za mało dla lady Annabeili, to trudno. Twarz mu stężała. Powiedział chłodno:

- Wielka szkoda. Może innym razem. - Skłonił głowę w ukłonie i skierował się do wyjścia.

-Na przykład jutro? - spytała niespodziewanie.

Odwrócił się znów do niej, wyraźnie zaskoczony.

- Niech pan nie zdradzi mamie, że sama się wprosiłam, bo obedrze mnie ze skóry! - dodała z uśmiechem, zerkając w stronę siedzącej nieco na uboczu matki. - Nie chciałabym się panu narzucać, ale akurat jutro jestem wolna... a pan?

-Ja też - zapewnił, usiłując pohamować rozpierającą go radość. Tylko tego brakowało, by szczerzył się do niej jak idiota! Może Annabelli zaimponowało członkostwo ekskluzywnego klubu? A może po prostu nudziła się i szukała nowej rozrywki? Mniejsza z tym! Grunt, że wybierze się z nim na przejażdżkę. I powinno to wystarczyć Rafe'owi do szczęścia... ale nie wystarczyło. Choć nie należało kusić losu, postanowił pójść za ciosem.

-Może o drugiej? Czy to pani odpowiada? I moglibyśmy napić się herbaty. W pobliżu parku jest miła herbaciarnia...

Panna Wylde nie od razu odpowiedziała. Rozważała sprawę. Czyżbym żądał zbyt wiele? - myślał Dalton, czekając na wyrok.

- Doskonale - odparła. - Już się na to cieszę! Mam nadzieję, że i jutro pogoda dopisze.

Rafe skłonił się, wyszedł na korytarz, wbił kapelusz na głowę i znalazł się na ulicy. Nie miał pojęcia, dokąd idzie. Był zbyt podniecony; gorączkowo poszukiwał też rozwiązania poważnego problemu: jakich użyć zaklęć, by nazajutrz nie padało?

Wrócił do domu pieszo, analizując po drodze swoje atuty. Chciał za wszelką cenę udowodnić sobie samemu, że to nie był tylko szczęśliwy traf. Kto wie? Może Annabella naprawdę chciała spędzić z nim trochę czasu?

No, cóż... Przede wszystkim pochodził z arystokratycznej rodziny. Miał spory majątek, który jeszcze powiększył, roztropnie inwestując kapitał. Miał naprawdę wiernych, lojalnych przyjaciół, którym wiele zawdzięczał. To dzięki nim stały dla niego otworem drzwi najznamienitszych domów w Anglii... Snując te rozważania, Rafe szedł coraz wolniej, aż stanął, uświadomiwszy sobie, że to już chyba wszystko, co mogło skłonić młodą damę do zainteresowania się jego osobą.

Nie był co prawda podobny do ukochanego Annabelli, o którym nie mogła zapomnieć... ale z drugiej strony żadna kobieta nie uciekła na jego widok z krzykiem przerażenia. Miał mocne plecy, zdrowe zęby. Żadnych



plam czy blizn na gębie. I umiał powozić jak mało kto. Wierzchem też nieźle jeździł. Nie pił za wiele. Nigdy nie podniósł ręki na kobietę i nie zamierzał tego robić w przyszłości. Znakomicie! - pomyślał z bolesną autoironią. Dodaj jeszcze, że jesteś dobry dla kotków i piesków!

Naturalnym porządkiem rzeczy przeszedł od plusów do minusów i bezlitośnie wyliczał wszystkie swoje braki.

Nie przypominał greckiego boga. Z żadnej strony. Wstyd nawet porównywać! Gębę miał taką, jakby ją ktoś niezdarnie wykuł z kamienia. No i te cholerne włosy...! Wierszy nie pisał. Raz spróbował wyrazić się poetycznie... dawno temu, w Hiszpanii. Śliczna Isabella, jego ówczesna kochanka śmiała się do

rozpuku, a kiedy wreszcie się uspokoiła, rzekła: „Raphael, *mi amor!* Mówić dziewczynie, że włosy tak jej błyszczą jak u konia?! To żaden komplement!”.

Dalton uśmiechnął się na to wspomnienie. Dziewczyna miała długie, jedwabiste włosy, tak czarne, że aż granatowe. Urzekły go. „Rozwiana na wietrze czarna grzywa”. Rzeczywiście, nie był to najzręczniejszy epitet. Isabella była wierną towarzyszką armii. Wesoła, dobrodusznna, pozbawiona moralnych hamulców, w swym krótkim życiu miała tylu kochanków, że Rafe - ani pierwszy, ani ostatni z nich -wolał o tym nie myśleć. Mimo to pozostało w jego pamięci miłe wspomnienie o dziewczynie, która szczerze go lubiła. Kiedy był ranny i przez kilka miesięcy leżał w szpitalu, Isabella odwiedzała go regularnie, choć nie była już wówczas jego utrzymanką,

Ostatecznie stwierdził, że nie ma pojęcia, co los i Annabella chowają dla niego w zanadrzu, Ale mężczyzna musi spróbować szczęścia, jeśli nie jest ostatnim strachajłą... a zadrećcać się na zapas nie warto. Zdarzały się przecież jeszcze większe cuda. On też ma z pewnością jakieś szanse-choćby dlatego, że ludzkie życie jest jedną wielką szansą.

Doszedłszy do tego wniosku, a zarazem do domu, pospiesznie otworzył drzwi i wszedł do środka. Idąc po schodach, planował w duchu: zmienić ubranie, wpaść do klubu na lunch, sprawdzić, gdzie się podziewa Drum...

Potem uprzytomnił sobie, że Drum jest w drodze do Włoch. Ryderowie na wsi. Ich sąsiedzi, Sinclairowie - jego stary przyjaciel Ewen i jego żona

Bridget -w swojej posiadłości, razem z dziećmi. W Londynie bywało latem rzeczywiście dość pusto! Ale była tu Annabella. To wystarczało Rafe'owi w zupełności.

Pogwizdując, zdjął surdut, Umył się i poszukał innego, wygodniejszego. Zamierzał po lunchu przejechać się czwórką, dać konikom szkołę, a jeśli nabrały jakichś narowów, wybić im te głupstwa z głowy. Podczas przejażdżki z Annabellą wszystko musiało być w idealnym porządku. Kiedy wychodził z pokoju, usłyszał kołatanie do drzwi. Napętniło gromkim echem cały dom. Widać Londyn nie jest taki wyludniony, jak mi się zdawało-

pomyślał i ruszył ku drzwiom. A może Drumowi odechciało się samotnej włóczędzy i postanowił zostać w ojczystym kraju?

Otworzył z rozmachem drzwi i spojrzał na stojącego na progu mężczyznę. W pierwszej chwili nie poznał go.

Był bardzo wysoki, barczysty, ale ubranie wisiało na nim. Gęste włosy w kolorze miodu, choć zbyt długie, stanowiły idealną oprawę twarzy o klasycznych rysach - teraz zbyt wychudzonej, o ziemistej barwie. W piwnych oczach widać było zmęczenie. Nawet gdy przybyły uśmiechnął się szeroko, wargi mu drżały. Była to ruina człowieka, tym bardziej żałowna, że do niedawna odznaczał się on wybitną urodą.

-Eric? Eric Ford? Co za niespodzianka! - wykrzyknął Rafe, usiłując ukryć przeżyty przed chwilą szok. To przecież dawny towarzysz broni; razem walczyli na Półwyspie Iberyjskim. Wówczas Eric był zdrowym młodym olbrzymem, w dodatku niezwykle przystojnym. Mówiono, że uroda nieraz ocaliła mu życie, gdyż nawet żabojady nie miały serca ukatrupić kogoś tak pięknego! Prawdziwe dzieło sztuki...! Właśnie wtedy panowie zaprzyjaźnili się, a od chwili rozstania nie przerywali korespondencji. Dalton wrócił do Anglii, natomiast Ford postanowił kontynuować karierę wojskową. Ostatnie wieści od niego nadeszły z Indii; wspominał w liście o swojej chorobie. Rafe nie miał jednak pojęcia, że była tak poważna. Przyjaciel z trudem trzymał się na nogach. Nie chorował chyba zbyt długo, a jednak pozostał z niego tylko cień.

-Eric, Boże wielki! - wykrzyknął Rafe, otrząsnąwszy się z osłupienia. - Wchodź, wchodź! Od jak dawna nie widzieliśmy się?

Wychudzony mężczyzna stojący na jego progu wzruszył ramionami.

-Od dobrych kilku lat. Naprawdę chcesz, żebyśmy weszli? Dopiero teraz Dalton zauważył, że na podeście frontowych schodów znajduje się również nieznamąca kobieta. Stała ukryta w cieniu Erica. Rafe spojrział na nią przelotnie. W jej twarzy i wielkich ciemnych oczach było coś egzotycznego. Młoda kobieta skłoniła się lekko, a Rafe nie przypatrywał się jej dłużej. Dostrzegł za to stos podniszczonych waliz i kufrów na podeście tuż obok nieoczekiwanych gości. Ponownie przeniósł wzrok na starego przyjaciela.

Ford po raz drugi wzruszył ramionami.

-Widzę, że zjawiamy się nie w porę... a może pomyliliśmy adres, co? Kiedy ci napisałem, że wybieram się do Londynu, sam zaproponowałeś, żebym zatrzymał się u ciebie. Ale ludzie zmieniają plany... Sami się też zmieniają. Któż to wie lepiej niż my, prawda, Bren? - zwrócił się do kobiety. - Całe szczęście, że woźnica jeszcze nie odjechał - dorzucił, spoglądając na wynajęty powóz, stojący nadal przy krawężniku. - Miło było cię zobaczyć, Rafe! Do widzenia.

-Nie waż się stąd ruszyć, ani na krok! - huknął Dalton, otwierając drzwi na oścież. - Teraz sobie przypominam. Ostatnimi czasy głowę mam jak sito! Pisałeś, jasne. A ja cię zaprosiłem. Na litość boską, Ericu! Nie jesteś nieproszonym gościem! Miejsca mamy dosyć. Moje plany się zmieniły, owszem. Ale to nie dotyczy ciebie i twojej ślicznej żony!

-Żony?! Broń Boże...! Mojej ślicznej... siostry... - wymamrotał Eric. - Słowo daję, Rafe, zaraz się wyniesiemy... Tylko teraz... chyba muszę... usiąść... - zaśmiał się słabo. Przymknął oczy, zachwiał się i upadł.

Rafe zaniósł Forda do sypialni i czuwał przy nim pełen niepokoju, póki przyjaciel się nie ocknął.

- Dzięki! - powiedział Eric, jednym haustem wypiwszy koniak, o który

upomniał się zaraz po odzyskaniu przytomności. -  
Pomyśleć tylko: zemdlałem jak panienka! Kto by w to uwierzył?!

-Ja pierwsza - odezwała się jego siostra z kąta pokoju, gdzie rozpakowywała swą podręczną torbę.

-Zapomniałem o lunchu - burknął Eric, nie zwracając uwagi na jej słowa i podsuwając Daltonowi kieliszek do powtórnego napełnienia. -Jak tylko coś przegryzę, będę zdrów jak ryba!

-Samo jedzenie z pewnością cię nie wyleczy - odparł Rafe, odsuwając karafkę. - Najpierw powiedz, co ci dolega, a potem dopraszaj się koniaku.

-Tak jest, panie kapitanie! Wedle rozkazu, panie kapitanie!

-Nie zamierzam stawiać cię na baczność ani ci wytykać, żeś niższy rangą - odparł spokojnie Rafe. - Tamte czasy się skończyły. Wystąpiłeś z armii, tak samo jak ja. Jesteśmy teraz równi... albo prawie. Kiedy uda ci się pokonać mnie w trzech rundach (o dwie i pół więcej, niżbyś na to potrzebował, będąc w pełnej formie!), to będzie wart Pac pałaca, a pałac Paca.

-Ho, ho! - zaśmiał się Eric dziwnie głucho. - Tobie nikt by nie dał rady, wszystko jedno - zdrowy czy chory! Jesteś szczupły, ale mocny, Rafe! Jak dąb rosnący blisko wody.

Dalton rzucił mu obojętne spojrzenie.

- Powiesz mi wreszcie, co ci dolega, czy wolisz się dalej podlizywać? Nie wyobrażaj sobie, że spiekę raczka i zmienię temat rozmowy! Gadajże wreszcie, chłopie!

Ford westchnął i wbił oczy w dno kieliszka.

- Wiesz, że na Półwyspie ranili mnie w nogę... - Spojrzał na przyjaciela. - A propos, co z twoją ręką?

-Trzyma się - odparł Rafe.

-Niewiele brakowało, a byłoby po niej, prawda?

- Prawda. Na szczęście druga była zdrowa i mogłem się nią opędać, gdy tylko zbliżał się jakiś rzezignat z piłą - odpowiedział Rafe, marszcząc brwi. Uwaga przyjaciela sprawiła, że uświadomił sobie, jak paskudne są jego blizny; z pewnością wzbudziłyby odrazę delikatnej damy... przynajmniej z początku. Ale możesz kochać się z nią po ciemku albo wykręcić do niej drugim bokiem, albo nie zdejmować koszuli, psiakrew! -

ofuknął się w duchu, a głośno spytał: - No, powiesz mi wreszcie czy nie? Eric wzruszył ramionami i podciągnął się wyżej na poduszkach.

-Nogę mi wyleczyli, ale to choróbsko podkopało mi zdrowie. Dawniej byłem nie do zdarcia. Potem w Indiach przyplątała się do mnie jakaś gorączka, i wyciągnąłbym kopyta, gdyby nie Brenna. Jak tylko dowiedziała się o mojej chorobie, wsiadła na pierwszy statek do Indii i póty mnie pielęgnowała, aż wy-dobrzałem. Odzyskuję już siły, Rafe. Ale byłem trzy ćwierci do śmierci... więc nie tak prędko wrócę do dawnej formy. Właśnie dlatego zatrzymaliśmy się w Londynie. Ta smarkula upiera się, że musi mnie zbadać najlepszy specjalista, zanim wrócimy do domu. Nawiasem mówiąc, zastanawiam się, czy starczy nam pieniędzy na ten powrót... Nie myśl, że jesteśmy bez pensa -dodał pospiesznie. - Tylko, widzisz, te londyńskie konowały cholernie się cenią. Dałby Bóg, żeby ich rady były przynajmniej tego warte!

-Tym sobie nie zawracaj głowy! - uspokoił go Rafe. - Dopilnuję, żebyś miał najlepszych lekarzy! I zostanieie u mnie, póki nie odzyskasz na tyle krzepy, żebyś sam mógł odwieźć siostrę do domu!

-Ani myślę marnować tyle czasu! - odparował Eric. Usiadł na pościeli i próbował spuścić nogi z łóżka.

Dalton był przy nim, zanim dotknął stopami podłogi. Chwycił mocno przyjaciela za ramiona i spojrzał mu w oczy.

-Biały jak płótno! - wymamrotał gniewnie. - Niech to szlag! Słuchaj no, przyjacielu: wyświadczyłeś mi niegdyś wielką przysługę i bardzo bym chciał zrewanżować się za nią. Nie pozwolę, psiakrew, żebyś w głupi sposób pozbawił mnie tej przyjemności! Jesteś pod moim dachem i zostaniesz tu, póki ci się nie polepszy. Póki całkiem nie wyzdrowiejesz, zrozumiano? A w ogóle to po diabła miałbym cię wyganiać do jakiegoś zajazdu, kiedy dom stoi pustką?! Wybij to sobie z głowy, zakop się w pościeli i leż spokojnie! Sprowadzę ci doktora, jakiego będziesz chciał.

-Nie możemy tak wykorzystywać... - wtrąciła się z niepokojem panna Ford.

-Nie możemy i nie będziemy! - poparł ją brat.

Rafe przerwał im bez ceremonii.

- Wyświadczycie mi tylko grzeczność. Tkwię tu samotny jak palec. Peck, mój ordynans... pamiętasz go, Ericu? No więc on

jest teraz moim kamerdynerem i majordomem. Akurat wyjechał do siostry. Ja również miałem zamiar wyjechać... pocałowalibyście klamkę. Dzięki Bogu, zmieniłem plany! Szczerze mówiąc, całkiem wypadło mi z głowy, że będziesz niebawem w Londynie! Wybierałem się do Włoch z moim starym przyjacielem Drumem, to znaczy z hrabią Drummondem. Z pewnością go pamiętasz! Leżałeś jeszcze w szpitalu, kiedy obaj wyjechaliśmy... a raczej Drum wyciągnął mnie stamtąd za łeb. I namówił do zabawy ze zwolennikami Bonapartego: najpierw w kotka i myszkę, a potem w berka po całej Europie!

-Jak ja ci tego zazdrościłem! - wyznał Eric z bladym uśmiechem i opadł znów na poduszki.

- Wcale ci się nie dziwię - odparł Rafe. - Przedtem nawet by mi nie przyszło do głowy, że walka z wrogiem to nie tylko szarża kawalerii, ale i zawiłe intrygi w eleganckim towarzystwie, na salonach. Ale się przekonałem, że i ten rodzaj walki dostarcza mocnych wrażeń. I całkiem mi się to spodobało! Wróćmy jednak do chwili obecnej. Miałem jechać do Włoch z Drumem i w ostatniej chwili zmieniłem plany. Nagle i niespodziewanie. - Dalton uśmiechnął się. - Właśnie dlatego zapomniałem o wszystkim. Chodzi o pewną damę... Prawdziwą damę, nie jakąś tam dziewczuszyne! No więc, owa dama postanowiła zostać na lato w Londynie. Wobec tego zostaje i ja. Ale poza nią z nikim się nie widuję. Nic dziwnego, że w tej sytuacji wasz przyjazd do Londynu cieszy mnie podwójnie. Czuję się trochę samotnie.

- Samotnie? - zdziwił się Ford. - Kiedy masz pod bokiem tę swoją damę?!

Na pociągłej twarzy Rafe'a pojawiły się wypieki.

-Ona... ona jeszcze nie jest moją damą. Czas pokaże, czy nią kiedykolwiek będzie.

-Pozwól, że z nią pogadam! Tak cię zachwalę... - zaofiarował się Eric.

-Mowy nie ma! - roześmiał się Rafe. - Raz tylko zerknie na ciebie i koniec. Nawet na mnie nie spojrzy! Takiego szczęścia do kobiet jak twoje nigdy jeszcze nie widziałem. Pamiętasz tę małą senioritę w... - Rafe uprzytomnił sobie nagle, że w pokoju znajduje się siostra przyjaciela. Urwał w pół

zdania i zakaszłał nerwowo. - To chyba nie najlepsza pora na takie wspominki!

-Może się pan nie krępować moją osobą - uspokoiła go Brenna. - Wszystko na ten temat już słyszałam, a to i owo na własne oczy widziałam! Mój braciszek ma rzeczywiście niesłychane powodzenie. W Indiach zażarcie broniłam biednego Erica przed moskitami... Ale, choć był już chory, musiałam odganiać od niego więcej nieproszonych wielbicielek niż moskitów!

Dalton odwrócił głowę i przyjrzał się pannie Ford. Było w niej coś... egzotycznego. Wysoka, smukła, o rzeźbionych rysach i ciemnej karnacji, wyglądała raczej na Hiszpankę niż na Angielkę. Nie była już podlotkiem, a ciemny ubiór i widoczne zmęczenie długą, uciążliwą podróżą sprawiały, że wydawała się równie wyczerpana, jak Eric. Poza tym nie byli do siebie podobni, nic a nic. Eric miał lśniące, niesforne, złote włosy, a ona czarne, szesane gładziutko do tyłu. Taka fryzura podkreślała jej wyraziste rysy i uwydatniała znużenie. Oczy miała wielkie, ciemne, migdałowe. Nos orli. Usta o klasycznym wykroju; dzięki uniesionym kącikom wyglądały, jakby wiecznie gościł na nich półuśmiech. Głos Bren był niski, miękki i lekko ironiczny.

-Tak - potwierdziła, jakby czytając w myślach Rafe'a, i tym razem uśmiechnęła się naprawdę. - Trudno uwierzyć, że jesteśmy rodzeństwem, nieprawdaż? Wszyscy biorą mnie za żonę Erica, Hiszpankę albo Hinduskę, której się dorobił w swoich dalekich podróżach. On naprawdę zwiedzał egzotyczne kraje!

-A tymczasem Bren jest Walijką równie dobrą, jak sam Llewellen\*... - wtrącił Eric - przynajmniej po kądzieli. Jesteśmy przyrodnim rodzeństwem, Bren ma o siedem lat mniej niż ja. No i na dodatek różnimy się powierzchownością. Moja matka była promienna i złotowłosa jak słońce. Mój ojciec nadal jest blondynem. Siwawym. Za to drugą żonę ma „światlistą jak księżyc”. Tak właśnie lubi określać jej wygląd. Bardzo trafnie. A dzieci - Bren i ja - różnią się jak dzień i noc. - Uśmiechnął się. - Będę błogosławił moją siostrzyczkę do końca życia! Kiedy uparła się, że pojedzie do Indii, by pielęgnować mnie w chorobie, rodzina podniosła wrzask. Ja zresztą też protestowałem. Nadaremnie! Kiedy raz sobie coś wbije do głowy, to nikt jej tego nie wyperswaduje. Jej

pokojówka zrezygnowała z pracy po dwóch tygodniach pobytu w Indiach. A hinduska służąca wymówiła od razu, jak tylko dowiedziała się, że wracamy do Anglii. Ale nawet to nie zmoгло Bren! Zniosła wszystko po bohatersku i dowiozła mnie bezpiecznie do Anglii. Szczęściarz ze mnie, co?

-Zawsze ci się szczęściło z kobietami - stwierdził Rafe. - Nie tylko w rodzinie, ale na każdym kroku. - Wyjął z kieszeni zegarek. - Mam jeszcze to i owo do załatwienia. Napiszę do mego lekarza, by tu przyszedł. Potem znajdę dla ciebie pielęgniarkę...

-O, co to, to nie! - zagrział Ford. - Sam sobie doskonale radzę!

-Owszem, o ile się nie przemęczasz - wtrąciła słodko jego siostra.

-Jeszcze zobaczymy, jak to będzie - powiedział Rafe, wstając z miejsca. - A na razie czujcie się jak u siebie w domu. Między waszymi pokojami są wewnętrzne drzwi - wyjaśnił Brennie. - Sypialnia może w pierwszej chwili wydać się pani duszna,

ale wystarczy otworzyć okno. Jest tam zawsze posprzątane i wszystko przygotowane dla gości. Gdyby coś jeszcze było pani potrzebne, proszę mnie powiadomić. Będę na dole. Obiad o dziewiątej, dobrze? Polecę, by przysłali go nam z restauracji. Jeśli nie będziesz miał siły na spacer po schodach, zjemy tutaj, zgoda?

-Zejdę na dół - oświadczył Eric.

-Zobaczymy - powiedziała jego siostra. Dalton uśmiechnął się i wyszedł z pokoju.

*\*Imię to nosiło dwóch władców walijskich, którzy w XIII w. walczyli o niepodległość swego kraju (przyp. tłum.).*

Kiedy gościnny gospodarz zniknął za drzwiami, Brenna podeszła do łóżka brata i spojrzała na niego nieprzeniknionym wzrokiem.

-Uważasz, że powinniśmy tu zostać, Ericu?

- Chyba tak - odparł. - Jestem słaby jak osesek. Bardzo ci to nie na rękę? Musimy gdzieś się zatrzymać w Londynie, a tu będzie nam najlepiej... no i jesteśmy już na miejscu. Powiem ci szczerze (tylko nie powtarzaj tego Rafe'owi!), że chyba bym nie dowlókl się do hotelu. Jutro, jeśli to będzie konieczne, znajdziemy



sobie inną kwaterę. Jednak nie wydaje mi się, żebyśmy musieli się stąd wynosić. Myślę, że Rafe naprawdę zapomniał o tym zaproszeniu. On nie potrafi kłamać, biedaczysko!

Zmusił się do uśmiechu.

-Nie martw się tak! Chyba nie dostanę znów gorączki. To tylko cholerne zmęczenie po tych wszystkich podróżach. Powinniśmy zatrzymać się tu na jakiś czas. Mam nadzieję, że długo to nie potrwa. Przekonasz się, że Rafe to porządny chłop. Uczciwy aż do przesady. Choć nieco szorstki w obejściu, niestety. Zawsze taki był! W męskim gronie nikt nie zwraca uwagi na takie rzeczy. Nie zrażaj się tym, on naprawdę ma złote serce!

-W takim razie zatrzymamy się tu, póki nie poczujesz się lepiej - zawyrokowała Bren. - Co się tyczy twego przyjaciela, lorda Daltona, to i ja sądzę, że powiedział prawdę. A jego szorstkość wcale mi nie przeszkadza. Nawet mi się podoba. Tylko nieszczerze pochlebstwa doprowadzają mnie do szału. Szczera prawda z pewnością nie! Masz całkowitą rację: to bardzo dobry człowiek.

... Ale już zajęty, oczywiście! - westchnęła w głębi duszy, zabierając się znów do rozpakowywania rzeczy brata. Ci porządni są zawsze rozchwytywani! I nie dziwota...! Ten jest doprawdy bardzo przystojny: żywe kolory, inteligentny wyraz twarzy, żołnierska postawa i urok prawdziwego dżentelmena. Z opowieści Erica wiedziała, jaki Dalton był waleczny i wierny w przyjaźni. A o jego złotym sercu świadczył nie tylko wyraz twarzy, ale i czyny. Tak, wyglądał na człowieka, któremu każdy może zaufać. Nawet kobieta...! Chociaż prawie na nią nie patrzył. Co prawda wyglądała dziś okropnie... ale nie to było powodem braku zainteresowania. Był zakochany, a dla takich jak on miłość to nie przelewki!

Czy już zawsze tak musi być? - myślała posępnie. Eric powiedział, że zanadto przebiera. Ale, prawdę mówiąc, nie bardzo miała w czym przebierać...! Ze smutnym uśmiechem pochyliła się nad otwartym kufrem. Ci najlepsi z reguły byli już zajęci... albo odchodzili na zawsze.

Rafe zbudził się o świcie i usiadł wyprostowany na łóżku, jakby usłyszał dźwięk trąbki bojowej. Dziś czekało go coś równie ważkiego, jak walna bitwa: przejazdka z Annabellą do parku.

Wyskoczył z łóżka, umył się, ogolił i zaczął przeglądać wiszącą w szafie

garderobę w nadziei, że znajdzie coś prostego, ale wykwintnego, szykownego, a równocześnie... Porównujesz się do żołnierza w dniu decydującej bitwy? A zachowujesz się jak podfruwajka przed pierwszym balem! - ofuknął się w duchu z niesmakiem. Z energią zamknął drzwi szafy. Annabella musi zaakceptować go takim, jaki jest, albo odtrącić definitywnie. A gdyby nawet - mówił sobie w duchu, wkładając przez głowę czystą koszulę - czekało go kompletne odrzucenie, ma przynajmniej przy sobie dobrego przyjaciela. W jego towarzystwie zdoła jakoś przetrwać godziny dzielące go od spotkania z panną Wylde. Przyjacielska pogawędka ukoji rozdygotane nerwy. Eric i jego siostra zjawili się w samą porę i Rafe był ogromnie rad z ich przybycia.

Ubiegłej nocy długo się zasiedzieli przy rozmowie, żartach i wspominkach. Przerwali dopiero na kategoryczne stwierdzenie panny Ford, że najwyższa już pora, by Eric położył się spać. Dopiero wówczas Rafe dostrzegł bladość przyjaciela. Razem z jego siostrą doholowali go jakoś do sypialni. Brenna przez cały wieczór towarzyszyła im, szyjąc i czuwając nad bratem. Instynktownie wiedziała, kiedy rzucić jakieś pytanie, a kiedy milczeć. Śmiała się tak serdecznie z ich anegdotek, że dali upust swej nostalgii i snuli wspomnienia - oczywiście w okrojonej wersji dla dam! - pomyślał Rafe z rozbawieniem.

Rodzeństwo zeszło na dół na śniadanie, zgodnie z obietnicą. Rafe czuł się doskonale w ich towarzystwie. Uświadomił sobie nagle, że nie znosi jadać w samotności. Spostrzegł z ulgą, że jego przyjaciel wygląda nieco lepiej. Wychudłe policzki zaróżowiły się, miał też niezły apetyt. Brenna również wyglądała na wypoczętą. Znów wspólnie żartowali. Ranek szybko im minął.

Jednak w miarę upływu godzin Rafe stawał się coraz bardziej roztargniony. Nie uszło to uwagi gości, oczywiście. Kiedy znów całkiem bez potrzeby spojrzął na zegarek, zamilkli oboje. Rafe sam zauważył bezsensowność swego ruchu i zarumienił się ze wstydu. Poczerwieniał jeszcze bardziej, gdy zorientował się, że przyjaciel i jego siostra to dostrzegli. Ta skłonność do rumieńców była jeszcze jednym upokorzeniem, zsyłanym przez zły los na rudzielców.

-No, przyłapaliście mnie na gorącym uczynku! - przyznał, potrząsając głową. - Na mnie już pora! Dacie sobie radę beze mnie? Zabieram dziś

moją damę na popołudniową przejażdżkę, a potem na herbatę. Ale, ale mój doktor obiecał przyjść tu po zakończeniu codziennych wizyt. Nie poganiałem go, bo przecież to nie nagły wypadek. Zjawi się około siódmej wieczór. Do tej pory powinienem być już w domu. Gdyby wam był potrzebny wcześniej, zostawiłem na biurku kartkę z jego adresem. Nie spodziewam się żadnych gości. W Londynie nie ma teraz prawie nikogo z moich znajomych. Możecie więc oboje wypoczywać w spokoju. Co mam jeszcze dla was zrobić przed wyjściem?

-Zrobiłeś już dla nas dość. Aż za dużo! - odparł Eric. - Zamierzam przespać resztę dnia. Dzięki temu Bren będzie mogła wziąć kąpiel i zająć się tym wszystkim, na co dotąd nie starczało jej czasu. Bóg świadkiem, że zasłużyła na całe tygodnie miłego leniuchowania!

- Kiedyś sobie odbiję tę harówkę - odparła panna Ford z prostotą. - Życzę miłego popołudnia! - zwróciła się do Daltona. - I proszę się nie obawiać: doskonale sobie poradzimy. Pan z pewnością także! Bardzo elegancko pan wygląda. Każda dama byłaby dumna z takiej eskorty!

Ale czy jego dama będzie tego samego zdania...?

Zaprzątnięty tym problemem Rafe podziękował Brennie, ukłonił się jej i pospieszył na spotkanie, które miało rozstrzygnąć wszelkie jego wątpliwości.

#### 4

Miała na sobie suknię błękitną jak niebo... i jej oczy. Niebieskie kwiatki na kapelusiku były w tym samym odcieniu.

Annabella ma oczy najśodsze w Londynie.

Tak jaśnieją, że reszta dam z zazdrości ginie.

Tak to ujął jeden z jej wielbicieli. Szczera prawda! - pomyślał Rafe, pomagając lady Annabelli wsiąść do swego odkrytego faetonu.

-Wygląda pani uroczo! - powiedział, usadowiwszy się na miejscu dla woźnicy, a serce waliło mu tak głośno, jakby dopiero co wspiał się na szczyt najwyższej drabiny pożarniczej w Londynie.

-Dziękuję! - odpowiedziała z tak czarującym uśmiechem, że Rafe pożałował, iż nie zdobył się na coś godniejszego takiej nagrody.

-Mamy szczęście - oznajmił. - Pogoda nadal dopisuje. Przejedziemy się po parku, dobrze? A potem do Hammonda? Słyszałem, że podają tam

naprawdę dobrą herbatę, a poza tym to niedaleko od parku. A może wolałaby pani u Guntera?

Potrząsnęła głową.

- U Hammonda, oczywiście! Przepadam za herbatą, którą tam podają! Ale przedtem musimy wrócić tu po przyzwoitkę. Chyba pan pojmuję, Rafe, że to wcale nie oznacza braku zaufania do pana! Mogę się pokazać u pana boku w otwartym powozie... nawiasem mówiąc, jest bardzo szykowny! Ale pójść we dwójkę z panem na herbatę? Nie ma mowy! Plotki w Londynie szerzą się z najblęższego powodu. Gdyby się te stare kwoki dowiedziały, że byłam na herbatce sam na sam z takim eleganckim kawalerem, dopieroż by zaczęły gdać! Zawlokły by nas do ołtarza, zanimbyśmy się obejrżeli!

- Wobec tego przespacerujemy się tam od razu, bez ich pomocy!

Panna Wylde roześmiała się rozbawiona.

- Łatwo panu mówić, Rafe! Przecież pan mnie wcale nie zna.

- Postarajmy się to zło naprawić - odparł i wstrząsnął lekko lejcami.

Konie zareagowały jak trzeba. Serce Rafe'a powoli uspokajało się, powracała mu zdolność myślenia. Ilekroć zajął się czymś konkretnym, szło mu jak po maśle. Był przecież człowiekiem czynu. Skierował konie w stronę parku. Panujący w mieście hałas uniemożliwiał rozmowę. Ochryple krzyki ulicznych sprzedawców, turkot ciężkich kół wozów dostawczych, wreszcie ogólny rwetes sprawiał, że zachowali milczenie do chwili, gdy wjechali w bramę parku.

- Pan pierwszy na cenzurowanym! - odezwała się panna Wylde skoro tylko odgłosy miasta ścichły w oddali i można było porozmawiać. - Chciałabym dowiedzieć się o panu czegoś więcej. Proszę mi opowiedzieć o sobie!

- Nie mam wiele do powiedzenia - odparł Rafe i zdumiał się, jak gderliwie i niegrzecznie to zabrzmiało. A poza tym nie była to wcale prawda. Po prostu nie lubił mówić o sobie. - Mój dom rodzinny znajduje się na południu Anglii, blisko morza. Arrow Court stoi tam chyba od początku dziejów! Moi rodzice nadal tam mieszkają. Mój starszy brat odziedziczył tytuł i rodowe dobra. Jako młodszy syn miałem do wyboru wojsko, flotę i kościół. Może sobie pani wyobrazić mnie w sutannie?! Za to kawaleria pasowała mi jak ulał!

- Naprawdę? - spytała z ożywieniem. - Gdzie pan służył? - Wyprostowała się i słuchała go z objawami najżywszego zainteresowania.

Była istotnie zainteresowana, lecz nie tyle tym, co Dalton mówił, ile jego osobą. Obserwowała go bacznie. Nie był zbyt mowny, ale żaden mężczyzna nie oprze się pokusie mówienia o sobie! Działania wojenne niedawno dobiegły końca. Annabella miała tuziny wielbicieli, którzy służyli w takiej czy innej formacji; wszyscy ubóstwiali opowiadać o swych wojennych wyczynach. A tego rodzaju monolog pozwalał jej lepiej poznać opowiadającego.

Mama miała rację - myślała, przyglądając się, jak Rafe wprawnie kieruje zaprzęgiem. Rzeczywiście był przystojny... na swój sposób. Wielka szkoda, że ten rodzaj urody zupełnie do niej nie przemawiał. Raziły ją nie tylko rude włosy. Ideałem Annabelli był Damon Ryder. Nikt w całej Anglii nie mógł się z nim równać. Od dzieciństwa był jej bożyszczem. Nie wyobrażała sobie życia bez niego. Była pewna, że zostanie jego żoną. Nikt nie wątpił, że są dla siebie stworzeni... z wyjątkiem samego Damona. Jego rodzice tak uważali, Annabella tak uważała... Tylko on nie!

Nadal ją to bolało. Z upływem czasu ból nie malał, raczej nasilał się. Stawał się szczególnie dojmujący, kiedy myślała o swoim dalszym życiu. Od ślubu Damona minął już rok. Ale cóż znaczy jeden mizerny rok wobec wszystkich tych lat, które ją jeszcze czekały...? Ból po utracie ukochanego odmienił Annabellę. Mówiono, że jej serce zmieniło się w bryłkę lodu. Nieprawda! Czułaby wówczas zimno. A ona nie czuła zimna. Nie czuła nic. Miała wrażenie, że jakaś niewidzialna kurtyna oddziela ją od reszty świata. Widziała i słyszała wszystko, ale nic jej to nie obchodziło. Ta absolutna obojętność nawet jej odpowiadała. Jedynie poczucie nierealności budziło w niej lęk.

Wielu mężczyzn rywalizowało o jej względy, ale ona w dalszym ciągu pragnęła tylko Damona. Musiała jednak dostosować się do nowych okoliczności. Dokonać nowego wyboru. Zacząć nowe życie.

Czy u boku tego właśnie mężczyzny...? Damon wyglądał jak grecki posąg, który nagle ożył. Dalton wyglądał dość pospolicie. Ale Damon miał żonę, która niebawem urodzi mu synka. Annabella poruszyła się niespokojnie na twardej, wysokiej ławeczce. Postanowiła jeszcze raz przyjrzeć się Rafe'owi. Może znajdzie w nim inne zalety,

których wcześniej nie dostrzegła? Tak, najwyższy czas wyjść za mąż! Żeby nikt nie mógł już litować się nad nią! Annabella wiedziała, że jej namiętnej miłości do Damona nic nie zabije; mogła jednak ukryć ją w głębi serca. Jej wielbiciel zapewniali zgodnym chórem, iż mają w sercu tyle miłości, że wystarczy jej na dwoje. Oby to okazało się prawdą! - pomyślała.

Dalton był schludny, zadbany, nieskazitelny od stóp do głów. Ale, jeśli już o głowie mowa, miał te koszmarne, rude włosy! Jaka szkoda! Błyszcząco to na słońcu jak miedziany garnek...! I w jakiś niepojęty sposób harmonizowało z jego oczyma. Przynajmniej oczy ma niezłe - pomyślała. Przejrzyste, wyraziste, jasnoniebieskie jak dopiero co skrzące lód. Stanowczy wyraz twarzy, silne ręce o długich palcach. Powoził całkiem zręcznie, a poza tym...

Odwrócił się do niej i przeszył ją jasnym spojrzeniem. Annabella zamrugnęła powiekami. Przestał mówić... O czym to on właściwie mówił...?

Roześmiał się na widok jej stropionej miny.

- Nie powinna pani zachęcać rozmówców do gadulstwa! Naprawdę nie chciałem uśpić pani moimi wynurzeniami. Pora na zamianę ról! Proszę opowiedzieć o sobie. Tylko niech mnie pani nie uśpi, bo kto by pokierował końmi?

Annabella roześmiała się, mile zaskoczona. Kto by pomyślał, że jeden szczerzy uśmiech może aż tak zmienić twarz...? Rafe wyraźnie zyskał w jej oczach. Dobrze urodzony, sympatyczny, bogaty - nawet według wysokich wymogów jej papy - zaakceptowany przez mamę... Może nie będzie to świetne małżeństwo, ale z pewnością nie megalians! Tak, lord Raphael Dalton stanowił obiecujący materiał na męża. No i był zakochany po uszy. Już ona się o to postara, żeby mu nie przeszło! Annabella postanowiła przetańczyć beztrąsko nadchodzący sezon, nim podejmie ostateczną decyzję... ale ten konkurent robił bardzo dobre wrażenie.

Mówienie o sobie nie sprawiało jej żadnej trudności. Opowiedziała swemu towarzyszowi, jak bardzo czuła się samotna, nie mając rodzeństwa. Półzartem zwierzała się z utrapień dziecka rozpieszczanego do obrzydliwości i udawała, że bierze na serio wyrazy współczucia Rafe'a. Robiła rozkoszne minki, paplała jak najęta i bacznie obserwowała

reakcje swego adoratora. Z pewnym zdziwieniem dostrzegła nudę w jego przenikliwych oczach. Zmieniła więc temat i zaczęła mówić o urokach Londynu, zwłaszcza o przedstawieniach teatralnych, które oglądała. Wypowiadała swą opinię na ich temat i dostrzegła, że Dalton znów pilnie się jej przysłuchuje.

Ciekawe! - pomyślała. Kolejny punkt na jego korzyść.

-Jeśli już mowa o teatrze i londyńskim repertuarze... czy mogę o coś spytać? - odezwała się z namysłem. - Czy pan zostanie w Londynie przez resztę lata?

-Bardzo być może - odparł, nie odrywając oczu od rozciągającej się przed nimi drogi. - A pani?

-O, z całą pewnością! - odrzekła, spoglądając nań spod długich rzęs. - Niedawno okropnie się tu nudziłam, ale teraz - nie wiedzieć czemu - Londyn wydaje mi się znowu interesujący!

Rafe odwrócił głowę; cała jego uwaga skupiła się na Annabelli.

Wbiła wzrok w swe rękawiczki.

-No, cóż... to widać prawda, że nie można się znudzić urokami Londynu - dodała z miną niewiniątka. I zaraz potem rzuciła Rafe'owi spojrzenie i uśmiech tak przekorny, że od razu się domyślił, iż dwuznaczność jej wypowiedzi była zamierzona.

-W Londynie każdy znajdzie dla siebie coś ciekawego - powiedział - ale zawsze lepiej postarać się o miłe towarzystwo. Mam zaproszenie na maskaradę w Vauxhall\*. Odbędzie się w przyszłym tygodniu. Ale mój przyjaciel Drum opuścił mnie i podróżuje sobie po Europie, inni bawią na wsi... Może

moglibyśmy udać się tam razem? Jeśli oczywiście ma pani wolny czas i zechce uczynić mi ten zaszczyt...

- Chcieć, to bym chciała - odparła z szelmowskim uśmiechem, ale zaraz westchnęła. - Tylko nie wiem, czy znajdę wolny czas... Muszę sprawdzić w moim terminarzu... Czy mogę odpowiedzieć panu nieco później?

- Ależ oczywiście! - odparł. - Przecież to dopiero w przyszłym tygodniu. Tylko czy lubi pani Vauxhall? Moim zdaniem jedzenie jest tam marne, ale spektakle bywają całkiem dobre, zwłaszcza w lecie.

Nie nalegał, by odpowiedziała od razu na jego zaproszenie. Nie błagał jej, nie naprzykrzał się. Nie wrócił więcej do tej sprawy. Annabella była

zaskoczona i zaintrygowana. Po godzinie Rafe zawrócił. Gdy dojechali do domu państwa Wylde'ów, wyskoczył z powozu i podbiegł do drzwi, by przekazać lokajowi wiadomość o ich powrocie. I znów sprawił Annabelli miłą niespodziankę. Wielu dżentelmenów przywołałoby jakiegoś urwisa, by ich wyręczył za parę pensów.

*\*Słynny w owych czasach park rozrywki. Oprócz malowniczych ścieżek i zakątków, oświetlonych wieczorem lampionami, Vauxhall oferowało usługi gastronomiczne (słynne płaty szynki cieńsze niż papier) i programy muzyczno-taneczno-rozrywkowe. Urządzano tam również bale, zwłaszcza kostiumowe (przyp. tłum.).*

Być może Rafe chciał się popisać swą zgrabną figurą i zwinnymi ruchami? Nie wzięłaby mu tego za złe. Kształtna postać stanowiła cenną zaletę i jej wielbiciel na pewno o tym wiedział. Był rzeczywiście dobrze zbudowany. Nie tak jak Damon... tamten był chodzącą doskonałością! Ale Dalton - jeśli nawet w porównaniu z Ryderem wydawał się tyczkowaty - był niewątpliwie wysportowany i zwinny.

Zaczekał przed głównym wejściem na przyzwoitkę, która miała im towarzyszyć. Po dłuższej chwili w drzwiach pojawiła się hrabina Wylde, bardzo okazała w swych fioletach. Przywitała Daltona, on zaś skłonił się, wypatrując za plecami matrony pokojówki czy damy do towarzystwa. Nie było nikogo. Drzwi frontowe zamknęły się i hrabina ruszyła w stronę powozu. Dopiero wówczas Rafe pojął, że nikt inny się nie ukaże.

Sama hrabina raczyła służyć im za przyzwoitkę? Rafe zrobił wielkie oczy. Nie spodziewał się takiego zaszczytu! Podał matce Annabelli ramię, podprowadził ją do faetonu i pomógł przy wsiadaniu. Hrabina podziękowała i zajęła miejsce

między nim a swoją córką. Zerknęła na nią przelotnie. Annabella odpowiedziała ledwie widocznym uśmiechem i jeszcze bardziej dyskretnym skinieniem głowy. Oczy matki także rozszerzyły się; błysnęło w nich nagłe zainteresowanie. Rafe zauważył tę wymianę spojrzeń. Cmoknął na konie i elegancki powozik potoczył się żwawo po ulicy.

- A zatem do Hammonda, łaskawe panie? - spytał, wyraźnie



podniesiony na duchu.

Nim panna Wylde zdążyła odpowiedzieć, odezwała się jej matka.

-Jak najbardziej! Ale słyszałam, że pańska rezydencja znajduje się gdzieś w pobliżu. Czy mógłby nam ją pan wskazać, gdy będziemy przejeżdżali obok? Powoduje mną wulgarna ciekawość - dodała tonem, który mówił wyraźnie „choćbym nawet chciała, nie potrafiłabym być wulgarna!”. - ... ale każdy jest ciekaw, gdzie i jak mieszkają przyjaciele, nieprawdaż?

Annabella zarumieniła się. Rafe uśmiechnął się w duchu. Totalna inspekcja! W zwykłych warunkach oburzyłoby go podobne wścibstwo. Ale na matkę Annabelli nie obraziłby się, choćby chciała sprawdzić, czy porządnie umył uszy i zęby. Zainteresowanie jego domem miało tę samą wymowę, co pytanie o stan konta bankowego. Każdy mógł przejechać koło czyjegokolwiek domu, nie pytając właściciela o pozwolenie. Hrabina chciała uświadomić mu, że jest poddawany oględzinom jako poważny kandydat do ręki jej córki.

- Ależ oczywiście! - odparł i jego pewność siebie wzrosła jeszcze bardziej. Skierował konie na zachód. - Nie nadłożymy wiele drogi.

Annabella rumieniła się coraz mocniej. Była prześlicznie różowiutka, gdy wjechali w ulicę, przy której Rafe mieszkał. Jej matka wręcz zasypywała go pytaniami, przez co jechał coraz wolniej, a w końcu zatrzymał powóz, by pokazać im swój dom.

- Może panie zechciałyby wejść do środka? - spytał od niechcienia. - Mego majordoma akurat nie ma i zatrzymał się u mnie jeden z przyjaciół... ale poza tym wszystko powinno wyglądać jako tako. Dopiero co wróciłem z podróży i nie zdążyłem jeszcze narobić rozgardiaszu!

-Gdyby to panu sprawiało kłopot, zajrzemy innym razem -oświadczyła Annabella. - Mama z pewnością nie weźmie panu tego za złe.

-To doprawdy żaden kłopot! - zapewnił Rafe. Sama myśl o tym, że będzie gościł pannę Wylde pod swoim dachem, była niezwykle nęcąca.

-Nie chciałybyśmy narzucać się... - certowała się Annabella.

-Nie ma mowy o czymś podobnym! - Mówiąc to, odwrócił się i wprost zatonął w jej wielkich oczach, i... całkiem stracił wątek. Wyrwał się z odurzenia i zamaskował je, potrząsając energicznie lejcami. Oby tylko

jego damy nie natknęły się na niebezpiecznego dla całej płci niewieściej Erica! Ale Eric zamierzał przespać cały dzień. A poza tym był chory.

-Doskonale! - uradowała się matka Annabelli. - Może to niezbyt taktowne, ale w każdym domu najbardziej interesują mnie wszelkie nowoczesne udogodnienia.

-Na naszej ulicy wszystkie domy zostały w nie wyposażone - zapewnił Dalton, nie mijając się z prawdą. - Mamy na przykład bieżącą wodę, gorącą i zimną... nawet na piętrze!

-Doprawdy? - odparła z żywym zainteresowaniem hrabina. -Cóż za luksusy! My jeszcze nie wprowadziliśmy podobnych nowinek.

Rafe Zatrzymał powóz od frontu, pomógł wysiąść obu damom, prędko zajechał do stajni na tyłach domu i wrócił pędem do głównego wejścia, gdzie zostawił hrabinę z córką. Ale obie panie znikły. Zmarszczył brwi i ujął za klamkę. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Popchnął je czym prędzej.

I natychmiast tego pożałował.

Annabella i jej matka stały jak skamieniałe na progu frontowego hallu. Przed nimi zaś, twarzą do gości, stała kobieta, oświetlona promieniami popołudniowego słońca, które wpadały przez okienko nad drzwiami. Miała na sobie szkarłatny męski szlafrok. Rozpuszczone kruczoczarne włosy ociekały wodą. Niczym mokry czarny jedwab przywierały do ramion i spływały połyskliwą kaskadą na piersi. Wyraźnie rysujące się pod przemoczoną tkaniną, sterczące piersi. Kobieta była bosa i niezaprzeczalnie nie miała na sobie nic prócz szlafroka, który przytrzymała pod szyją. Jej czarne, błyszczące oczy były szeroko otwarte z przerażenia, a policzki szkarłatne. Dodawało to jeszcze uroku jej egzotycznej twarzy; wydawała się uosobieniem zmysłowości. Usta miała otwarte ze zdumienia.

Jednak usta lady Annabelli i jej matki otwarte były znacznie szerzej w bezgłośnym krzyku.

- To niemożliwe - oświadczyła Brenna. Powiedziała to cicho, lecz stanowczo. Trzymała ręce na kolanach, by nikt nie mógł dostrzec ich lekkiego drżenia.

Jej brat zamknął oczy, odchylił głowę na oparcie fotela i raz jeszcze zaczął liczyć do trzydziestu. Rafe przestał krążyć po pokoju.

-To wcale nie jest niemożliwe! - zaprzeczył równie stanowczo, jak panna Ford. - To jest konieczne!

-Wcale niekonieczne! - odparowała i nagle roześmiała się. Jej śmiech brzmiał całkiem szczerze. Eric otworzył jedno oko. -...milordzie - dodała, pochwyciwszy spojrzenie Daltona.

-Rafe - poprawił ją burkliwie.

- Niech będzie! - zgodziła się i kontynuowała: - ... Rafe. Nie lubisz dużo gadać, a powtarzasz w kółko to samo! Zechciej teraz wysłuchać mnie! Podam ci powody, dla których nie mogę przyjąć twej propozycji. Wyliczę je tak szybko, jak mój braciszek, który liczy właśnie do trzydziestu, by nie wybuchnąć gniewem. A zatem... po pierwsze: to była moja wina, więc nie można karać za nią ciebie! Popełniłam idiotyczny błąd! Nie powinnam była otwierać tych drzwi. Ale nie masz służby i mówiłeś, że nie spodziewasz się nikogo. Pomyślałam więc, że nie wzięłeś klucza i stukasz, żeby jedno z nas ci otworzyło.

To prawda, że dopiero co wyszłam z kąpieli, ale nie chciałam zakłócać Ericowi wypoczynku.

Po drugie: nawet mi do głowy nie przyszło, że ujrawszy mnie w szlafroku Erica (bo mój zawieruszył się w czasie podróży), zaczniesz mi czynić niestosowne propozycje. Ja - w roli nieodpartej pokusy! - Wybuchnęła śmiechem, jakby takie podejrzenie było szczytem absurdu.

Rafe nie odwracał od niej wzroku. Wczoraj wieczorem wydała mu się niepozorna i wyblakła. Tego ranka prezentowała się nieco lepiej. A po południu, w szlafroku...? Może odniósł takie wrażenie dlatego, że spojrzał na nią oczyma Annabelli, ale Brenna wyglądała wypisz, wymaluj jak „nierządnicą babilońską”, jak się wyraziła hrabina, zanim wyciągnęła córkę z tego „przybytku nieprawości”.

Teraz, gdy rumieniec wstydu zaróżowił policzki Brenny niczym barwiczka, twarz jej wydała się Rafe'owi pełna życia, zdumiewająco atrakcyjna i niewątpliwie zmysłowa. Nie pojmował, jak mógł tego wcześniej nie zauważyć. Te oczy jak owoce tarniny, te kształtne, czerwone jak wiśnie usta, to smukłe, acz niepozbawione miłych krągłości

ciało... Mokra jeszcze włosy zaczesła do tyłu i upięła w prosty, gładki kok. Taka fryzura podkreślała niebezpieczny urok pełnych warg panny Ford i jej egzotycznych rysów. Wyglądała jak uosobienie najwymyślniejszych erotycznych marzeń.

Gdyby nie była siostrą Erica... Rafe spiesznie zdławił w zarodku niepokojącą myśl. Siostra Erica nie mogła być ladacznicą! A gdyby nawet była, to Eric nigdy nie sprowadziłby jej do domu przyjaciela. Gdyby zaś to zrobił, to przecież by go uprzedził...! Bez względu na to, kim była przyrodnia siostra Forda, on sam był człowiekiem honoru. I to Rafe'owi całkowicie wystarczało. Zresztą, któż lepiej niż on wiedział, że wygląd zewnętrzny o niczym nie świadczy? Mimo swych rzekomo przynoszących pecha rudych włosów wyszedł cało z wojny, nie stracił w niej przyjaciół, nawet kilku ocalał... Jego ruda czupryna nikomu nie przyniosła pecha... choć diabelnie utrudniała mu życie.

- Po trzecie - kontynuowała Brenna - zostałam przyłapana w... nieco kompromitującej sytuacji, więc...

- Nieco? - zauważył z przekąsem jej brat. - Równie dobrze mogłabyś powiedzieć, że „morze bywa nieco wilgotne”.

Brenna zignorowała go kompletnie.

-Wreszcie po czwarte i ostatnie - mówiła dalej spokojnie, lecz zdecydowanie - wyjadę z Londynu i wszystko pójdzie w niepamięć. Bardzo mi przykro, że niechcący spowodowałam rozdźwięk między tobą, Rafe, a twoją wybranką. Zamierzam wszystko jej wyjaśnić i naprawić wyrządzoną szkodę. Wygląda na inteligentną osobę.

-Inteligencja i spostrzegawczość to całkiem co innego! Niech to szlag... - Dalton urwał. - Błagam o wybaczenie, ale jestem trochę zdenerwowany obrotem sprawy, panno Ford.

-Brenno - poprawiła go szeptem.

- Annabelli i jej matce z pewnością nie brak rozsądku - ciągnął, nie zwracając uwagi na jej słowa. - Ale cóż innego mogły pomyśleć w tej sytuacji? Niech to sz... Psiakr... Do licha z tym wszystkim! - jękał się w bezsilnej złości. - Proszę wybaczyć ten żołnierski język, ale nie jestem przyzwyczajony do damskiego towarzystwa. Tak, właśnie o to chodzi! Skąd te damy mogły wiedzieć, jakie mam zwyczaje? Ujrzały obcą kobietę, wyraźnie

tu zadomowioną, samotną... Tylko ja wiedziałem, kto to taki. To był mój błąd, niewybaczalny błąd, że...

Rafe ugryzł się w język. Nie mógł przecież wyjawić Brennie, że urzeczony łaskawością Annabelli zapomniał z kretesem o goszczącej w jego domu damie. A tak właśnie przedstawiała się prawda. Zdecydował się więc na inny, bardziej jeszcze gorzki okrucieństwo prawdy.

- Popęliłem błąd, nie zawiadamiając was obojga o naszym przybyciu. A potem byłem taki skołowany, że nie umiałem wymyślić naprędce nic mądrego. Chodziło mi o twoje dobre imię, Brenno! Traciłem cenne sekundy, zastanawiając się, czy nie skłamać, że jesteś kimś ze służby...

-Mimo że byłem półnaga i w męskim szlafroku? - spytała.

- Służąca? - Eric był wyraźnie ubawiony. - No, no! Londyn się doprawdy zmienił od mojej poprzedniej wizyty! Oświeć mnie, przyjacielu, jakiego rodzaju usługi miałyby świadczyć taka służąca? Rafe rzucił mu mordercze spojrzenie.

-A zatem, jesteśmy od tej chwili zaręczeni, panno Ford -oświadczył oficjalnym tonem.

-Nic podobnego! - zaprzeczyła stanowczo. - Musisz jej powiedzieć prawdę!

-Mówiłem. Sama słyszałaś. To je skłoniło do jeszcze szybszej ucieczki - wymamrotał Rafe. - Nigdy jeszcze nie widziałem dam wychodzących w takim pośpiechu. W jednej sekundzie były tu, a w następnej już na ulicy. Musiałem posłać za nimi stajennego z powozem, żeby odwiózł je do domu. To było jedyne, co mogłem zrobić! Nie wypadało biec za nimi i wrzeszczeć. Ona... oświadczyła wyraźnie, że nie chce mieć ze mną do czynienia.

-Była po prostu zdenerwowana. Trudno jej się dziwić! - tłumaczyła Brenna. - Łatwo wyciągnąć z takiej sceny fałszywe wnioski. Nie byłam przyzwoicie ubrana. A poza tym, jak mogła słuchać twoich wyjaśnień, kiedy jej matka wrzeszczała wniebogłosy?

-Słyszałem ją na górze - potwierdził Eric. - Śniło mi się, że jestem w operze, a pierwszy sopran zardzewiał i skrzypi!

-I wobec tego - perswadowała Brenna z udawaną powagą, przypomniawszy sobie skrzeczenie hrabiny - musisz jej wytłumaczyć

wszystko jeszcze raz. Ja również odwiedzę lady Annabellę i wyjaśnię co trzeba. W razie potrzeby namówimy także Erica, by wstawił się za nami. Żadna kobieta nie oprze się jego argumentom! A potem wyniesiemy się stąd oboje i cały skandal rozwieje się w powietrzu.

-O ile te paniusie nie zaczną o tym gadać na prawo i lewo -wtrącił jej brat.

- A jakaż kobieta nie podzieliłaby się taką sensacją z przyjaciółkami?

-Kobieta, która chce naprawić popełnioną omyłkę, nie będzie o tym paplać. Jestem pewna, że lady Annabella tego właśnie pragnie - przeciwstawiła się jego słowom Brenna. Pochwyciwszy posępne spojrzenie Daltona, dodała: - Jeśli Rafe rozmówi się z nią czym prędzej, ani ona, ani jej matka nie będą plotkowały. Poza tym nie mają pojęcia, kim była ta „nierządnicą”, nieprawdaż? Rafe wyjaśnił, że jest siostrą jego przyjaciela, ale nie wymieniał żadnych nazwisk.

-Nauczyłem się, gdy wciągnięto mnie do tajnych działań na kontynencie - wtrącił Dalton - że nie należy szastać nazwiskami.

-Na wojnie i w miłości dyskrekcja popłaca - skomentował Ford z lekkim uśmiechem. - No, tak! Być może zdołasz ją zagadać. A jeżeli wyjedziemy stąd tak nagle, jak przybyliśmy, wszystko powinno wrócić do normy.

-Nie masz jeszcze dość sił, by ruszyć w drogę - zaproponował Rafe.

Ale Brenna dostrzegła błysk nadziei w jego intensywnie niebieskich oczach.

-Niech mnie wszyscy diabli, jeśli będę tu tkwił bez potrzeby! - obruszył się Eric. - Usłyszysz nie takie przekleństwa, jak będziesz mnie tu więził! - dodał w odpowiedzi na karcące spojrzenie druha.

-Od nieboszczyka niczego nie usłyszę - odwarknął gniewnie Rafe. - A jeśli będziesz się po głupiemu rwał do podróży, zanim nie wyzdrowiejesz, zabiję cię własnymi rękami! Popamiętasz sobie!

Nagle dotarło do niego, jakich głupstw nagadał. Groźna mina znikła, usta mu zadrgały.

Eric roześmiał się, jego siostra też się uśmiechnęła.

- Zobaczymy, co powie doktor - powiedziała ugodowo. - Potem wrócimy do tematu.

Dalton skinął głową.

-W porządku - zgodził się Eric.

- Tośmy się dogadali! - podsumowała Brenna ze spokojem, którego wcale nie czuła. Epitety, jakimi obrzuciła ją hrabina Wylde, nadal rozbrzmiewały gromkim echem w jej głowie. „Ladaczniczka!”, „nierządnica!” wykrzykiwała w ferworze czcigodna dama, a na ostatek, już od drzwi, syknęła: „Jezebel\*<sup>\*</sup>. Kobieta, która rzuciła jej w twarz te słowa, niełatwo będzie przekonać, że zaszło zwykłe nieporozumienie. Mimo to oboje z Rafe'em spróbują ugłaskać obie panie. Potem „Jezebel” opuści Londyn i zostawi to wszystko za sobą!

Spojrzała na Daltona. Był dziś ubrany na niebiesko, co podkreślało błękit jego oczu i - o dziwo! - tworzyło miłą kompozycję kolorystyczną z rudymi włosami. Gdy tak stał przed nią barczysty i wyprostowany, gotów do działania, Brenna poczuła nagłe ukłucie bólu. Niebawem stąd wyjedzie i nigdy już go nie ujrzy.

-Wpadnę do naszego doktora i sprawdzę, czemu się spóźnia -powiedział Rafe i nagle urwał. Potrzęsnał ognistą czupryną. -Ależ ze mnie gościnny gospodarz, co? Do diabła, nie chodzi mi o to, żeby pozbyć się was jak najszybciej - usprawiedliwiał się przed przyjacielem. - Po prostu m u s z ę się czymś zająć!

-Zawsze byłeś taki, dobrze pamiętam - odparł ze śmiechem Eric. - Nic a nic się nie zmieniłeś. W szpitalu myślałem, że beczynność wykończy cię prędzej niż ta twoja rana! Nie krępuj się, chłopie, znajdź sobie coś do roboty! Nim wrócisz, wszystko się odrobinę uspokoi, uleży... A żadnych rozszrożonych mamus nie wpuszczę za próg, przysięgam!

*\*Imię królowej Jezebel, zazartej przeciwniczki wiary w jedyne niewidzialnego Boga, aż do początku XX w. było synonimem wyuzdanej grzesznicy (przyp. tłum.).*

-Trzeba będzie kupić trochę mleka... - myślał głośno Rafe. -Pijecie herbatę z mlekiem, prawda...? A może panna Ford ma jakieś życzenie? Co by ci się przydało, Brenno?

-Trochę spokoju, trochę ciszy... Możesz się o to wystarać, milordzie? - spytała kapryśnie.

-Zaraz wyjdę; będziesz mogła się cieszyć jednym i drugim -odparł, po

czym skinął jej głową i szybkim krokiem opuścił pokój.

-Ale raptus! - szepnęła Brenna, gdy drzwi się za nim zamknęły.

-„Szalona pałka”, jak ktoś tam mawiał... Szekspir, zdaje się...? - rzekł Eric wyraźnie rozbawiony. - Nie, nie, Bren! Nie daj się zmylić! Rafe jest prędko, ale nie brak mu rozważli. Po prostu myśli mu się lepiej, kiedy ma coś do roboty. Zawsze mu dogadywaliśmy, że miał szczęście: postrzelili go w rękę, a nie w nogę. A on na to, że jakby mu nogi odmówiły posłuszeństwa, chodziłby na rękach. - Ford uśmiechnął się. - To porządny chłop, Bren! Mogłabyś trafić gorzej. Znacznie gorzej!

-Tak - przyznała. - Całkiem przyjemnie byłoby za niego wyjść. Tylko, widzisz, on strasznie kocha tę swoją lady Annabelle. Gdybym zaciągnęła go do ołtarza, popełniłabym największą podłość pod słońcem!

- No, dobrze. Oddasz go tej dziewczusze. Ale co z twoją reputacją? - spytał brat, przyglądając się jej bacznie.

Wzruszyła ramionami.

-Położyłam na niej krzyżyk dawno temu, kiedy wyruszyłam do Indii, żeby ciebie pielęgnować. Ależ się wtedy nasłuchiwałam! „To niegodne damy!” „Wołające o pomstę do nieba!” „Jawna bezczelność!” Nic sobie z tego nie robiłam. Teraz też nie będę się tym przejmować.

-Bo ojciec ostatecznie skapitulował i dał ci swoje błogosławieństwo? - spytał Eric. - Wiesz, co mi napisał na twój temat? „Jest nieugięta w swoich kapryсах!” Niezłe powiedzonko, co? I po takim efektownym preludium chcesz wrócić do domu bez męża?! Kiedy ludzie się o tym dowiedzą, języki znów pójdą w ruch. Uważaj, Bren! To może zniweczyć wszelkie twe nadzieje. Chyba chciałabyś wyjść za mąż i dochować się własnych dzieci?

-Własnych? - spytała ze zdziwieniem. - Czyżby w planie były jakieś cudze? Nie zamierzasz się przypadkiem ożenić, mój drogi?

-Ani myślę! Może za dziesięć lat... Ale czy naprawdę chcesz spędzić resztę życia na doglądaniu starzejących się rodziców albo prowadzeniu gospodarstwa samotnemu bratu? Masz tylko dwadzieścia trzy lata, kotku, i nadal jesteś śliczna. O wiele ładniejsza niż większość Angielek!

-Nigdy nie byłam „ładna” ani „śliczna”- zaprzeczyła. - To określenia stosowne dla lady Annabelii.



-Wobec tego... cholernie apetyczna.

-Serdeczne dzięki! Oto komplement, o jakim marzy każda kobieta!

-Zachciewa ci się słodkich słówek, dzieciaku? - spytał. - Nie nasłuchiłaś się ich dość w czasie podróży? Nie było chyba na statku majtka, który nie uderzałby do ciebie w zaloty! Nie spuszczałem cię z oczu nawet na minutę. Co prawda, taki zdechłak jak ja nikomu by nie napędził stracha... Ale zawsze miałem pistolet pod ręką.

- Sam twój wygląd każdego by odstraszył! - zapewniła go. - Ale jak przytyjesz o kilka funtów, będziesz wyglądał po ludzku! Nawet teraz prezentujesz się całkiem znośnie.

Była to szczerza prawda. Brenna przeraziła się śmiertelnie, gdy w szpitalu po raz pierwszy ujrzała, co zostało z jej złotowłosego brata olbrzyma. Zmienił się nie do poznania. Wyglądał jak kukła z wosku; był strasznie wychudzony: sama skóra i kości. Pożółkła cera, zmętniały wzrok... Obawiała się, że brat nie wyżyje. Trwała jednak przy nim wiernie i pielęgnowała go, aż w końcu poprawiło mu się na tyle, że postanowili wracać do domu. Podróż do Anglii była dla ozdrowieńca ciężką próbą. Teraz jednak, choć chudy i słaby, wyglądał zdecydowanie lepiej niż przed przyjazdem siostry do Indii. Brenna błogosławiła Raphaela Daltona za bezpieczną przystań, którą znaleźli w jego domu.

-Tak strzegłeś swej niewinnej siostrzyczki? - spytała. - Mój drogi, łatwowierny braciszku! Zamiary tych wszystkich mężczyzn z pewnością nie były szlachetne! Będę tym razem prawdziwą damą i nie powiem ci, czego u mnie szukali... No, cóż... los pokarał mnie powierzchownością która kojarzy się większości mężczyzn z... łatwością pozyskania względów, którymi wcale nie zamierzam szafować. Od lat ciągnie się za mną to przekleństwo.

-Przekonasz się, że to raczej błogosławieństwo - powiedział Eric, przymykając znów oczy. - Niech no się tylko zjawi ten, którego los ci przeznaczył!

Już się zjawił. Nawet dwukrotnie - pomyślała. Wyglądało na to, że brat czyta w jej myślach, gdyż dodał spieszenie:

-Nie mówię o przeszłości, tylko o przyszłości, Bren! Jesteś niezwykle pociągająca. Ale czas ucieka!

-Jak to ładnie, że mi o tym przypominasz! - odrzekła słodko. - Ale

wysilasz się na próżno. Nie, nie i jeszcze raz nie! To nie byłoby uczciwe, braciszku. Twój przyjaciel postąpił po rycersku, prosząc mnie o rękę. Ale wcale mnie nie pragnie ani nie potrzebuje. Eric skinął głową. Nagle ogarnęło go znużenie, nie miał siły na szukanie nowych argumentów. Wielka szkoda... Ale w gruncie rzeczy Bren miała rację: Rafe nie pragnął jej ani nie potrzebował. Nie powiedziała jednak, że ona również nie pragnie i nie potrzebuje Rafe'a.

-Lady Annabella nie przyjmuje dziś gości - oznajmił przybyszowi majordomus, rzuciwszy okiem na wręczoną mu wizytówkę.

-Rozumiem - odparł Dalton. - Ale oświeć mnie, czy nie przyjmuje dziś gości, czy tylko jednego konkretnego gościa?

-Doprawdy, nie potrafię odpowiedzieć - wykręcał się majordomus.

-Fatalnie się składa - stwierdził Rafe. Był przygotowany i na taką ewentualność. Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej niewielki liścik oraz sztukę złota. Wręczył majordomowi jedno i drugie. Moneta błyskawicznie znikła w kieszeni służącego. Ale na liścik spojrzał podejrzliwie.

-Postaraj się, by to dotarło do rąk własnych lady Annabelli, rozumiesz?

Majordomus skinął głową.

- Czy wolno mi coś powiedzieć? Otóż pani hrabina jest znacznie bardziej zbulwersowana niż panienka. A pan hrabia oświadczył kategorycznie, że nie chce już słyszeć ani słowa o całej tej awanturze!

Trudno mu się dziwić - pomyślał Rafe. To dla niego drażliwy temat, wzięwszy pod uwagę fakt utrzymywania metresy od dwudziestu chyba lat!

- Wobec tego postaraj się, by ten list trafił do lady Annabelli - powiedział głośno. Był to bardzo zwięzły liścik.

*Wrócę tu jutro rano. Jeśli zechce Pani rozważyć całą sprawę, zrozumie Pani, że jestem niewinny, tak jak zapewniałem. Byłbym przecież wyjątkowym głupcem, gdybym zapraszał*

*Panią do mego domu, wiedząc, kto tam przebywa. Z niegasnącą nadzieją na Pani wyrozumiałość i ze szczerymi wyrazami żalu z powodu przykrości, na jakie Panią niechcący naraziłem*

Uznał, że lepiej nie podpisywać się „Rafe”. Miał jednak nadzieję, że niebawem będzie znów godny tego przywileju.

-Wróć tu jutro. Bądź tak dobry i przekaż to lady Annabelli. Do widzenia.

- Do widzenia, milordzie - odparł majordomus i łagodnie, lecz stanowczo zamknął mu drzwi przed nosem.

Rafe odszedł pogrążony w myślach. Annabella przyjmie go jutro, a jeśli nie jutro, to pojutrze. Albo popojutrze. Nie zamierzał się poddawać. Nie popełnił niecnego występu, o który go podejrzewała. Kiedyś będą się wspólnie śmiać z tego nieporozumienia. Dziś jednak nie było mu do śmiechu. Niemal już dotarł do celu: pozwolono mu prawie na oficjalne konkury... A teraz musi zaczynać wszystko od początku. Podniósł dumnie głowę i przyspieszył kroku. Dokona tego! Umiał zaplanować kampanię wojenną. I był nieczuły na zniewagi. Nic dziwnego, miał duże doświadczenie i w jednym, i w drugim!

Zawrócił w stronę swego domu, ale wybrał drogę okrężną. Zamówił dostawę posiłków z pobliskiej restauracji. Zatrzymał przechodzącą mleczarke i złożył zamówienie także u niej. Potem odwiedził oddaloną o kilka przecznic agencję pośrednictwa pracy. Było już późne popołudnie, gdy wrócił do domu. Udał się na górę do pokoju Erica i zatrzymał się we drzwiach.

- A otóż i lord Dalton! - powiedział doktor, który właśnie pochylał się nad leżącym w łóżku. - Proszę się nie obawiać! - dodał, ujrawszy zdumienie i lęk na twarzy gospodarza. - Naszemu pacjentowi nie pogorszyło się. Udało mi się po prostu przybyć wcześniej, niż przewidywałem. I widzę, że wyraźnie z nim lepiej! Te tropikalne gorączki wysysają z chorego wszystkie siły... ale teraz, gdy znów znalazł się na ojczystej ziemi, ani się obejrzymy, jak pacjent nam wyzdrowieje. Trzeba mu oczywiście wypoczynku, pożywnej jedzenia i odpowiednich leków.

-Chce stąd wyjechać jeszcze w tym tygodniu - oznajmił Rafe, marszcząc brwi.

-Wykluczone! - oświadczył doktor, zamykając z trzaskiem swą torbę. Rafe skinął głową.

- Tak też myślałem. Dziękuję, panie doktorze. Dopilnuję, by nie porywał się z motyką na słońce.

Ford usiadł w pościeli.

-Wyjeżdżamy stąd, Rafe! Czuję się znacznie lepiej. Doktor też widzi poprawę, nie słyszałeś?

-Słyszałem wszystko. To raczej ty ogłuchłeś, mój stary. Zostaniesz tu, choćbym musiał usiąść na tobie, żeby cię unieruchomić!

-Wymyśl coś lepszego, bo to mnie nie powstrzyma. Nie ma sensu, bym dłużej nadużywał twojej gościnności - wyklócał się Eric. - Wrócę do domu śpiewająco! To tylko kilka dni podróży.

-Nie ma mowy! Póki doktor nie stwierdzi, że nadajesz się do podróży, zostaniesz tutaj! Koniec dyskusji. Poczyłem już niezbędne przygotowania. Wynająłem kamerdynera dla nas obu i gospodynię, bo ktoś musi zadbać o cały dom. A ponadto lokaja i kucharza. Wysłałem list do rodziny z prośbą o wynalezienie jakiejś szacownej damy, która odgrywałaby rolę przyzwoitki w trakcie waszego pobytu.

-Niepotrzebnie zadałeś sobie tyle fatygi - upierał się Eric. -Wyjeżdżam i tyle! A ta twoja szacowna dama nie zabawi długo, kiedy się przekona, że ma zamieszkać we dwójkę z tobą. Do jutra nas tu nie będzie, możesz być tego pewny!

-Zastanów się... - zaczął gniewnym tonem Dalton, ale nie zdążył powiedzieć nic więcej. Przerwał mu spokojny głos Brenny. Rafe nie dostrzegł jej, gdyż siedziała w cieniu. Teraz jednak wstała i podeszła do lekarza.

-Panie doktorze - zaczęła tonem łagodnej perswazji, spoglądając na niego migdałowymi oczyma. - Proszę wybaczyć, że się wtrącam, ale widzę, że ci dwaj zaparli się kopytami i zaklinowali porożem. Może nam uda się osiągnąć rozsądny kompromis...?

Gdyby mój brat podróżował wolno, krótkimi etapami, w powozie na dobrych resorach, a ja czuwałabym nad nim przez cały czas i pilnowałabym, żeby zażywał wszystkie leki, panie doktorze... czy to byłoby aż tak ryzykowne...? Widzi pan przecież, że nie może znieść tego leżenia w łóżku, dzień po dniu. Taka nieustanna irytacja także mu nie wyjdzie na zdrowie.

-Dzień po dniu?! - powtórzył z oburzeniem Rafe.

Ale ani doktor, ani Brenna nie zwracali na niego uwagi. Panna Ford uśmiechnęła się do wyraźnie zafascynowanego medyka i mówiła dalej:

-Drogi panie doktorze, czy zmniejszy to pańskie obawy, jeśli przyrzeknę, że rozłożymy podróż na trzy etapy? Nawet na cztery, jeśli to konieczne. W wygodnym powozie mój brat wypocznie równie dobrze, jak w łóżku, nieprawdaż? Chyba nawet lepiej, bo jeśli postawi na swoim, łatwiej się odpręży i nie będzie miał kłopotów ze snem. Cierpi na bezsenność, bo ciągle się niepokoi. Co pan doktor na to? Jeśli zostaniemy tu do końca tygodnia, czy pańskim zdaniem będzie mógł wtedy wyjechać?

-No, cóż... Chyba, droga pani... jeśli pani tak stawia sprawę, to doprawdy... sądzę, że całkiem możliwe... - dukał lekarz, nie odrywając oczu od słodkiego uśmiechu dziewczyny.

-Niech to szlag! - warknął Dalton i urwał pod karcącym wzrokiem doktora, który błyskawicznie odwrócił się do niego.

-Ależ, milordzie! - ofuknął go. -Jest z nami dama...

- ...kuta na cztery nogi - dokończył Eric i uśmiechnął się szeroko.

-Dziękuję, panie doktorze - rzekła Brenna, nie zwracając uwagi na brata. - Tym sposobem będę mogła złożyć pewną ważną wizytę. Spróbuję naprawić przed wyjazdem, co w mojej mocy.

Choć zwracała się do lekarza, spoglądała na Rafe'a pytającym wzrokiem. Niechętnie skinął głową.

-Niech będzie. To nie powinno zaszkodzić. Ale w razie jakichś kłopotów proszę wracać bez zwłoki!

Brenna również kiwnęła głową na znak zgody. Rafe nie sprecyzował, czy jego zgoda i ostrzeżenie dotyczy zamierzonego powrotu do domu, czy wizyty, którą chciała złożyć lady Annabelli.

Podejrzewała, że miał na myśli jedno i drugie. Oba przedsięwzięcia były ryzykowne.

-To niezwykle uprzejmie z pani strony, lady Anrnabello, że zechciała mnie pani przyjąć - zwróciła się do hrabianki Brenna, gdy lokaj wprowadził ją do salonu.

-Mama by mnie zabiła, gdyby się o tym dowiedziała - odparła Annabella bez ogródek - ale akurat nie ma jej w domu. Jeśli pani krótko wyjaśni, co

ją tu sprowadza, nie wpadniecie na siebie. Szczerze radzę unikać spotkania z moją matką, panno... Ford - dodała, odczytując nazwisko z podanej przez lokaja karty wizytowej. Udawała, że nie może go sobie przypomnieć, choć na dobre wyryło się w jej pamięci.

-Dziękuję za ostrzeżenie. Będę się streszczać - odparła Brenna, unosząc dumnie głowę. Była wściekła, że musiała podać swoje nazwisko, ale bez tego z pewnością nie zostałyby przyjęta. - Czy mogę usiąść?

-Jeśli pani ma ochotę - rzuciła niedbale panna Wylde, jakby nie uświadamiała sobie, że dopuszcza się zniewagi wobec gościa, zapominając o elementarnej grzeczności.

Brenna ostrożnie usiadła i odetchnęła głęboko. Rozejrzała się dokoła, pragnąc odzyskać kontenans. Był to bardzo piękny pokój, urządzone w najmodniejszym, orientalnym stylu: od luksusowych mebli po niebiesko-żółte tapety z chińskim wzorem czy draperie w pasującym odcieniu zieleni. Młoda dama, siedząca w wystudiowanej pozie na obitej żółtym aksamitem

sofie, była - podobnie jak wszystkie przedmioty w salonie -prześlicznym, wdzięcznym i kosztownym cackiem.

Obie panie miały ciemne włosy, ale na tym kończyło się podobieństwo.

Lady Annabelia była ubrana w poranną suknię ze złocistego jedwabiu, przybraną białą koronką. Piękne niebieskie oczy świeciły w równie pięknej twarzyczce. Przypominała figurynkę z saskiej porcelany: filigranowa, wdzięcznie zaokrąglona; czarujące połączenie mlecznobiałej cery z hebanową czernią włosów. Efekt psuł nieco wyraz twarzy młodej damy. Wydawała się bardzo pewna siebie i spoglądała na swego gościa z nieukrywaną odrazą.

Salon i jego właścicielka do tego stopnia pasowały do siebie, że Brenna poczuła się tu nie na miejscu. Wydawała się samej sobie zwałista, grubokoścista i niechlujna, choć dobrze wiedziała, że spośród rozmaitych braków, te akurat jej nie dotyczą. Nawet jej nie przyszło do głowy, że myśli jej rozmówczynie biegną podobnym torem.

Panna Wylde spoglądała na nieproszonego gościa ze skrywaną zazdrością. Nie szcędząc czasu ani pieniędzy, matka urządziła ten pokój specjalnie dla niej. Miał stanowić idealną oprawę dla córki. I było tak rzeczywiście - do tej chwili. Nagle okazało się, że do wydobycia pełnego

efektu wypieszczonego wnętrza brakowało tylko jednego: tej smukłej, wdzięcznej kobiety. Pasowała do niego stokroć lepiej od prawowitej właścicielki. Miała na sobie zieloną, bardzo skromną suknię spacerową, ale jej uroda była równie egzotyczna, jak wszystkie sprowadzone z najdalszych zakątków świata ozdoby salonu. Nawet zapach jej perfum nie odznaczał się zbyt pospolitą słodyczą; była to woń korzeni - egzotyczna i pikantna.

Te spostrzeżenia sprawiły, że Annabella zwątpiła na chwilę w swą urodę i czar. A myślała, że tylko na widok pięknej żony Damona ogarnia ją podobny niepokój!

W kobiecie, na którą teraz patrzyła, wszystko było szokujące i intrygujące. Buszowała po cudzym domu - siedzibie nieżonatego mężczyzny - w niekompletnym stroju (czyli, nazywając rzeczy po imieniu, półnaga). Prosto z kąpieli, jeszcze ociekająca wodą i pachnąca jak cały harem sułtana...! A Rafe

usiłował im wmówić, że to tylko siostra jego przyjaciela! Dobre sobie! Siostra przyjaciela! Tak ubrana... a raczej tak rozebrana! Dla Annabelli był to wystarczający dowód, że kobieta, która ją odwiedziła, nie dorasta jej do pięt pod względem pozycji towarzyskiej, inteligencji i zasad moralnych.

Po raz pierwszy jednak nie wiedziała, jak się zachować. Ostatecznie uznała, że musi znieść tę ciężką próbę, jeśli myśli poważnie o poślubieniu lorda Daltona. Okropnie ją to drażniło!

- Rafe twierdzi, że pani nie jest jego kochanką - wypaliła.

Bren zbladła. A więc nie mogła liczyć nawet na kurtuazyjną grzeczność czy delikatność! Wstała z miejsca.

-Tam do licha! Niechże pani siada! - burknęła Annabella, zirytowana własną gruboskórnością. - To nie była żadna zniewaga. Gdybym chciała panią obrazić, zrobiłabym to o wiele zręczniejsze! Sądzę, że możemy się obejść bez zdawkowych uprzejmości. Czy naprawdę uważa pani za konieczne, byśmy rozmawiały o kapryśkach pogody albo o najnowszej modzie, zamiast przejść od razu do sedna sprawy? Rafe zazwyczaj mówi bez ogródek. Będę równie prostolinijna. A więc... Czy to, co powiedział, jest prawdą? I czy może pani to udowodnić?

-To szczerą prawdą - odparła Brenna, siadając znów na krześle. - Nie znałam go do chwili, gdy oboje z bratem zjawiliśmy się w jego domu.

Było to dwa dni temu. Lord Dalton nie pamiętał nawet, że nas zaprosił. Mój brat, Eric, podobnie jak on walczył na Półwyspie Iberyjskim. Spotkali się w szpitalu, kiedy kapitan został ranny w bitwie - dodała, dostrzegając zmarszczkę zdziwienia na czole hrabianki.

-Tak, tak. Przypominam sobie - wtrąciła Annabella, chociaż nie miała pojęcia, że lord był kiedyś ranny.

-Przedwczoraj podczas rozmowy z Rafe'em mój brat stracił przytomność - ciągnęła Brenna. - Przybyliśmy dopiero co z Indii, gdzie Eric ciężko chorował, rozumie pani. Rafe nalegał, żebyśmy zatrzymali się u niego. Obiecał sprowadzić dobrego lekarza, by zbadał Erica.

-Rafe, Rafe... Mimo tak krótkiej znajomości mówi mu pani po imieniu? - spytała z przekąsem Annabella, spoglądając z góry na swą rozmówczynię.

Twarz Brenny oblała się rumieńcem. Uniosła dumnie głowę.

-Sam nalegał, bym zwracała się do niego po imieniu. Lecz ma pani słuszność. Powinnam była powiedzieć „lord Dalton”.

-Istotnie - przytaknęła panna Wylde. - Ale pani słowa brzmią szczerze... może właśnie dzięki tym niestosownym zwrotom. Rafe jest bardzo lekkomyślny. Pozwala byle komu na poufałości!

-Nie mam zwyczaju poufalić się z nikim - odparła Brenna pewniejszym głosem. Miała już dość zabawy w kotka i myszkę z lady Annabellą. Przekaze jej to, co miała do przekazania, i czym prędzej opuści ten dom. - Z lordem Daltonem włącznie. To właśnie chciałam pani powiedzieć. Nie okłamuję pani, bo nic by mi z tego nie przyszło. W końcu tygodnia opuścimy jego gościnny dom i wyjedziemy z Londynu. Nie chciałabym, żeby zwykła pomyłka przyczyniła się do rozdźwięku między panią a lordem Daltonem.

Wbiła wzrok w swe leżące na kolanach ręce.

- Tak, powinnam była pomyśleć o przyzwoitce, jako że mieliśmy zatrzymać się z bratem w kawalerskiej siedzibie. I nie należało, oczywiście, otwierać drzwi w dezabilu. Ale zrobiłam to bez zastanowienia. - Spojrzała znów na hrabiankę, na jej ustach pojawił się niewesoły uśmiech. - Myślałam, że szybko otworzę drzwi i zdążę uciec z powrotem na górę. Ani mi w głowie było jakieś kuszenie czy uwodzenie! Wyszłam właśnie z kąpieli, gdy rozległo



się stukanie. Pomyślałam, że pewnie lord Dalton zapomniał klucza. Wiem, że byłam niemądra i nie ostrożna. Ale niczym innym nie zgrzeszyłam.

Annabella zauważyła, że twarz jej rozmówcy promienieje wewnętrznym światłem, ilekroć dziewczyna się uśmiechnie. Łatwo się domyślić, jak to pociąga mężczyzn. Lecz to, co mówiła, brzmiało prawdziwie.

- Czy może pani udowodnić swą niewinność? Już raz o to pytałam.

Ku zdumieniu Annabelli panna Ford roześmiała się na całe gardło. Był to śmiech równie swobodny, jak szczerzy.

-Ależ, łaskawa pani - powiedziała -w jaki sposób mogłabym dowieść prawdziwości moich słów?! Proszę jednak rozważyć fakty. Nigdy przedtem nie spotkałam lorda Daltona. Ostatnie cztery miesiące spędziłam w Indiach. Przybyliśmy do Londynu na dzień przed całą tą awanturą. Czy pani zdaniem lord Dalton jest tak niezwykłym uwodzicielem, że zaraz po poznaniu go popędziłam do jego sypialni?! W dodatku na oczach mego brata? Lord Dalton jest wart grzechu, przyznaję, ale jeszcze nie zwariowałam!

Panna Wylde bacznie obserwowała swego gościa. Zwróciła przede wszystkim uwagę na wyraz twarzy. Brenna była opanowana, nie potrafiła jednak ukryć ognistych błysków w czarnych jak tarki oczach.

- Uważa pani, że lord Dalton jest wart grzechu? - spytała ze szczerym zaciekawieniem, nie mogąc się powstrzymać. - Zabawne... Bardzo go lubię, ale pod takim kątem nigdy na niego nie patrzyłam. Czyżby na Dalekim Wschodzie zapanowała ostatnio moda na rude włosy?

Brenna spoważniała.

- Nie pochodzę ze Wschodu... a w każdym razie nie z Dalekiego Wschodu! Mój rodzinny dom znajduje się w hrabstwie Shropshire. Istotnie uważam, że lord Dalton jest bardzo atrakcyjny. Nie ma to jednak żadnego znaczenia. Jestem mu po prostu wdzięczna za dobroć, jaką okazał memu choremu bratu. Może pani w to wierzyć albo nie, lady Annabelle. Za kilka dni wracam do domu i zapewne już nigdy nie zobaczę lorda Daltona. Ale

byłaby wielka szkoda, gdyby pani postąpiła tak samo. Zauważyłam, jak bardzo jest mu pani droga.

Ton głosu panny Ford wyraźnie implikował, że nie może ona zrozumieć tego upodobania.

Po raz drugi podniosła się z krzesła.

- Dziękuję, że zechciała mi pani poświęcić chwilę. Mam nadzieję, że zastanowi się pani nad tym, co powiedziałam. Miałabym ogromne wyrzuty sumienia, gdyby się okazało, że przez nierozwagę wyrzuciłam krzywdę lordowi Daltonowi, który okazał nam tyle serca. Do widzenia, lady Annabello.

Annabella nie wstała, by pożegnać gościa. Była to jeszcze jedna z góry zaplanowana zniewaga. Brenna podeszła do drzwi. Jej palce zacisnęły się na torebce.

-Będzie mnie to kosztowało wiele czasu i fady, nim zdołam przekonać mamę, by spojrzała na całą sprawę w innym świetle... o ile to światło nie okaże się błędnym ognikiem...! Ale pani argumenty zaczynają do mnie przemawiać, więc może i mama da się przekonać... z czasem.

-A zatem wszystko pójdzie w niepamięć? - spytała żywo Brenna.

-O ile pani wyjedzie, a pani słowa okażą się prawdziwe -odparła po namyśle panna Wylde. - Jestem skłonna wierzyć, że tak właśnie będzie. Mało prawdopodobne, by łączył was tajemny romans. Albo żeby pani była utrzymanką lorda Daltona.. Wątpię również, choć mama święcie w to wierzy, że zawodowo uprawia pani... ten proceder. Rozumie pani chyba, skąd się wzięło takie podejrzenie. Tamtego dnia przypominała pani do złudzenia... tego rodzaju damę.

Brenna zacisnęła szczęki. Zaśmiała się z przymusem.

-Ale dzisiaj jej nie przypominam? Im mniej mam na sobie, tym ponętniej wyglądam? Serdeczne dzięki za komplement! Zazwyczaj tylko mężczyźni potrafią to ocenić!

Annabella pokraśniała. Obserwowała bacznie wychodzącą. Odprężyła się dopiero wówczas, gdy drzwi frontowe zamknęły się za nią z trzaskiem.

-No i co o tym myślisz, mamó? - spytała, kiedy lady Wylde wyszła zza uchylonych drzwi do sąsiedniego pokoju.

-Nie jest jego kochanką - orzekła hrabina. - Gdyby mogła rościć sobie do niego jakieś prawa, zrobiłaby to z pewnością. Wzięłam na spytki lady

Claire, która wie wszystko o wszystkich, i panią Teller, która potrafi z byle głupstwa zrobić sensację. Żadna z nich nie słyszała, by tych dwoje coś łączyło. Dalton, rzecz jasna, zadawał się z rozmaitymi lafiryndami, ale cały świat wie, z kim to było i kiedy; nigdy nie robił z tego tajemnicy. O żadnej egzotycznej brunetce nikt nie słyszał. Powiedziała, że pochodzi z Shropshire... Fordowie z hrabstwa Shropshire... Każę Betsy, niech się popyta, która z pokojówek pochodzi z tamtych stron. Służba zawsze o wszystkim wie. My też się dowiemy wszystkiego, nie martw się!

Ale bez względu na to, jakie ta pannica ma grzechy na sumieniu (a założę się, że ma... słyszałaś ten jej śmiech?) - hrabina odeszła nieco od głównego tematu - to urodzona kurtyzana, zapamiętaj moje słowa...! Tak czy owak, nie przypuszczam, by coś ją łączyło z Daltonem. Po pierwsze, daty się nie zgadzają. A po drugie, jak on sam stwierdził, musiałby być skończonym głupcem, by zapraszać nas do domu akurat wtedy, gdy była tam jego kochanka. W każdym razie ta pannica wyniesie się pod koniec tygodnia. Reszta zależy od ciebie. Jeśli mu teraz przebaczysz i pozwolisz się znów adorować, Dalton zrobi dla ciebie wszystko!

-I tak by zrobił! - odparła Annabella. - Ale wiesz co? On jej naprawdę wpadł w oko! Chętnie by go zagarnęła dla siebie, gdyby tylko mogła!

-Cóż w tym dziwnego? - spytała lady Wylde. - Majętny, z dobrej rodziny. Ma wpływowych przyjaciół i wstęp do najlepszych domów. Co prawda, mogłabyś trafić jeszcze lepiej...

-Ale mogło być znacznie gorzej - weszła jej w słowo córka, rozważając coś, o czym jej gość nie wspomniał ani słowem. Wyczytała to z oczu panny Ford, gdy ta mówiła o Rafie. Odkryła w nim takie zalety, jakich Annabella nigdy by się w swym wielbicielu nie dopatrzyła. Myśli te sprawiały, że czuła się nieswojo.

-Gdyby nie te włosy... Boże święty! Na szczęście są na świecie brzytwy i nożyce. No, dobrze. Zaczekamy jeszcze tydzień. Co najmniej. A potem - jeśli ona naprawdę wyjedzie - zaprosimy Daltona na herbatę. Nie ma co się spieszyć! Sezon jeszcze się nie zaczął. Niech sobie nasz lord poleży na lodzie.

-Przynajmniej się nie zepsuje. Jak kiełbie! - roześmiała się jej matka. - ... Skąd u mnie takie porównania...? Widać za długo przebywałam dziś ze

służbą!

Annabella nie roześmiała się. Zmrużyła śliczne oczy i uniosła palec do góry.

-Właśnie! To jest myśl. Nie róbmy z tego tajemnicy, mamó! Zresztą i tak by wszystko wyszło na jaw. Rozpytywałaś przecież o tę dziewczynę. Ludzie będą się zastanawiać, po co ci to było. Bóg raczy wiedzieć, kto i kiedy wpadnie na właściwy trop. Zduśmy w załączku wszelkie domysły; opowiadając o wszystkim udowodnimy, że wcale nie przejęłyśmy się tą sprawą. Jeśli w końcu zdecyduję się na Daltona, nikt nie ośmieli się powiedzieć, że po raz drugi szczęśliwsza rywalka sprzątnęła mi kogoś sprzed nosa... choćby tylko na jeden dzień.

-Ależ, moje dziecko! Któż by uwierzył w takie bzdury?!

- Nie zapominaj, że jedna taka „bzdura” już się zdarzyła - wytknęła jej córka.

Śmiech hrabiny urwał się nagle.

-I plotki na mój temat także już krążyły - ciągnęła Annabella, nie zdając sobie sprawy, że w jej głosie dźwięczy ból. -Nie dopuszczę, by się to powtórzyło! Jeśli mają plotkować, to tylko o tamtej. Czemu nie? Uniewinnienie tej Jezebel, a nawet wątpliwości co do jej winy nie byłyby dla nas korzystne. Nie możemy sobie pozwolić na wielkoduszność. Ta kobieta zastawiła pułapkę na Daltona. On nie ponosi żadnej winy. Nie pozwoliliśmy się zwieść tej oszustce, a jemu podałyśmy pomocną dłoń. Trzymajmy się tej wersji.

- Oczywiście! - poparta ją hrabina. - Czyż sama ci tego nie radziłam?

Panna Wylde uśmiechnęła się. Życie nie zawsze traktowało ją tak, jak należy, ale mama była niezawodnym sojusznikiem. Teraz los pożałował widać swej srogości i postanowił wynagrodzić Annabelli dawne krzywdy. Co prawda nie pozwolił jej poślubić człowieka, do którego wrywa się jej serce... ale da jej przynajmniej takiego, który poświęciłby dla niej wszystko. Zresztą bez względu na to, czy ostatecznie wyjdzie za Daltona, czy nie, warto mu się przyjrzeć jeszcze dokładniej. Zastugiwała na to, by po bolesnym rozczarowaniu mieć u boku kogoś, kto będzie ją kochał bezgranicznie. I wcale nie dlatego, że żadna inna się na niego nie

połakomiła!

Wracając do domu, Brenna rozmyślała nad przebiegiem wizyty, którą właśnie złożyła. Przytknęła do okna powozu policzek, chcąc ochłodzić piekącą ze wstydu twarz. Było to doprawdy upokarzające przeżycie. Musiała jednak odbyć tę rozmowę ze względu na siebie i na Annabellę. Nic dziwnego, że Rafe tak się w niej kocha! W istocie hrabianka odniosła się do niej

z niechęcią, ale była taka piękna i elegancka... a równocześnie dziwnie bezbronna. To prawda, że zachowywała się niegrzecznie, niekiedy po grubiańsku, i była mściwa. Lecz miała do tego pełne prawo! Pewnie go bardzo kocha! - pomyślała Bren ze smutkiem. - Ale któż by Rafe'a nie kochał?

-Zabrałeś mi skoczka! - stwierdziła Brenna ze zdumieniem.

Pochylony dotąd nad szachownicą Dalton wyprostował się.

-Owszem. Ale nie mam pojęcia, czemu tak cię to zbulwersowało. Aż się o to prosił!

-Ona jest nie tylko zbulwersowana - odezwał się Eric z fotela przed kominkiem - ale wstrząśnięta! Ilekroć gra w szachy z mężczyznami, rozkłada ich na obie łopatki. Flirtują z nią z takim ferworem, że żadnemu nie przyjdzie do głowy, jaka z niej łebska dziewczyna!

-Bezczelne łgarstwo! - oburzyła się Brenna, lecz oczy jej skrzyły się wesołością. - Po prostu mężczyźni nie wierzą, że i my, kobiety, mamy swój rozum. Zasiadają z nami do szachów, by sprawić nam przyjemność. Żadnemu nie przyjdzie do głowy, że mógłby przegrać. I właśnie dlatego ponoszą klęskę. Ale lord Dalton potraktował mnie poważnie. Miło mieć takiego przeciwnika!

-Dzięki za komplement! - rozpromienił się Rafe.

-A poza tym jeszcze nie przegrałam! - dorzuciła.

-Ale przegrasz - zapewnił ją Rafe. - Widzę, do czego zmierzasz, i nic z tego nie będzie. Stary frontowy wyga ze mnie, Bren. Każdego przeciwnika traktuję poważnie. Może bym się tego nie nauczył, gdybym walczył tylko na bitewnym polu. Brałem jednak udział i w takich bojach, gdzie najgroźniejszymi przeciwnikami były kobiety. A działania wojenne toczyły się na balach albo w łóż... w salonach - poprawił się spieszenie. -

Do chol... Do licha, Bren! Taki z ciebie wspaniały kompan... człowiek zapomina, że nosisz kieckę!

Oczy panny Ford nieco przygały; wbiła je znów w szachownicę.

- Nie musisz się krępować ze względu na mnie - mruknęła. - Spędziłam trzy miesiące w szpitalu wojskowym. Znam cały repertuar na pamięć!

-Radzę czym prędzej wszystko zapomnieć, siostrzyczko! -rzucił Eric. - Reszta świata nie postępuje tak jak nasz przyjaciel. On potrafi ocenić motywy, które kazały ci wyruszyć do Indii. Ale wielu uzna to za karygodny wybryk. Opuścić rodzinny dom i pędzić samopas na drugi koniec świata, żeby zobaczyć się z bratem? To głupota! Mówiłem ci to wtedy, powtórzę i dzisiaj! Wolałbym, żebyś tego nie zrobiła. Choć muszę przyznać, że gdyby nie ty, nie siedziałbym tu i nie prawiłbym ci kazania!

- Uśmiechnął się niewesoło. - Była postrachem pielęgniarek! Szkoda, żeś jej nie widział, Rafe! Odganiała je ode mnie jak szkocki owczarek. Deptała im po piętach, a w razie potrzeby nawet szczekała!

-Wypraszam sobie! Wcale nie szczekałam - obruszyła się Brenna.

-Była nieugięta - kontynuował Ford, ignorując tę uwagę. -Sprowadzała do mnie lekarzy, ilekroć uznała to za konieczne. Dzięki niej miałem wodę, jedzenie... i nadzieję. Wyruszyła natychmiast, skoro tylko dotarła do niej wieść o mojej chorobie, i trwała wiernie, póki nie poczułem się lepiej. W tej sytuacji nie śmiałem po prostu umrzeć! Nie miała nawet czasu zwieździć czegokolwiek. Dzień w dzień tkwiła u mego wezgłowia, a zaraz po opuszczeniu szpitala przywiozła mnie z powrotem do ojczyzny. Bała się, żebym w tym fatalnym klimacie znowu się nie rozchorował. Ale choć w pełni doceniam wszystko, co dla mnie uczyniłaś, boleję nad twym nieprzemyślanym zrywem. Dobrze o tym wiesz, Bren.

Wzruszyła ramionami.

- Przez cały czas miałam przy sobie pokojówkę. Zatrzymałam się w szacownym domu, byłam gościem żony i siostry twego przyjaciela. Podróż z Anglii do Indii odbyłam w towarzystwie starszej pani, osoby niewątpliwie przyzwoitej, acz przeraźliwie nudnej. Stosowałam się pod każdym względem do ogólnie przyjętych reguł.

Jej brat potrzęsnał złotą głową.

- Opuściłaś dom i podróżowałaś sama... a przynajmniej bez męskiej opieki. Najlepiej męża. A co gorsza, wróciłaś również bez męża. Panna w twoim wieku?! Skandal!

-Mama nie mogła pojechać - wyjaśniła z prostotą Brenna. -Ani tatuś, ani nikt inny. Miałam cię zostawić bez pomocy?! Całkiem logiczne, że pojechałam właśnie ja: bez żadnych obowiązków, całkowicie wolna. I dość już o tym!

-Oby rzeczywiście tak było! - westchnął Eric. - Wiem, że zrobiłaś to dla mnie. Ale żałuję, że tak się stało. A teraz kolejny skandal!

-Uważasz grę w szachy z lordem Daltonem za skandal? -spytała z lekkim uśmiechem.

-Większość moich znajomych twierdzi, że to wręcz obraza boska - wyjaśnił z najpoważniejszą w świecie miną Rafe.

Panna Ford spojrzała na niego i się uśmiechnęła. -Jeśli wyjdzie na jaw, co się wydarzyło... - zaczął Eric.

-Nie wyjdzie! - przerwali mu równocześnie grający. Uśmiechnęli się do siebie porozumiewawczo. Rafe gestem zachęcił Bren, by mówiła pierwsza.

-Rozmawiałam z lady Annabellą - oznajmiła. - Podziela moją opinię, że jeśli wyjedziemy zgodnie z zapowiedzią, nie będzie o czym gadać i sprawa szybko zostanie zapomniana. Tyle że ja nie zapomnę tego do śmierci. Otworzyłam drzwi i zobaczyłam ich twarze... Nawet polowanie na węża, który ukrył się w moich pantoflach, było dziecinną zabawą w porównaniu z tym!

-A potem wszedłem ja i zobaczyłem wasze miny - powiedział Rafe i wybuchnął śmiechem. - Wyglądałaś tak, jakby ktoś właśnie do ciebie strzelił. A one tak, jakby natknęły się na twego trupa!

-Nie! - zaprotestowała Brenna. - Wtedy może spojrzałyby na mnie ze współczuciem. Może, powiadam! Bo w tym szlafroku... Czemu nie sprawiłeś sobie przyzwoitego, granatowego szlafroka, Ericu? Po co ci był szkarłatny?! Szkarłatny jedwab w cynobrowe smoki. Brrr! Twoje przyjaciółeczki mają widać okropny gust!

-Kradzionemu szlafrokowi nie zaglądać w zęby! - odparował jej brat bez cienia współczucia. - Trzeba było włożyć własny.

-Kiedy mi się zawieruszył! - wyjaśniła. - Zresztą, jakbym włożyła mój,

byłoby jeszcze gorzej!

- Doprawdy? - spytał Dalton z przesadnym zainteresowaniem. - A jak on wyglądał?

Ciepło bijące od ognia na kominku nie mogło wywołać tak gorących rumieńców jak te, które wykwitły na policzkach Brenny, gdy pochyliła się znów nad szachownicą. Dotknęła pionka jednym palcem, jakby planowała następny ruch. Groteskowo lubieżny grymas znikł z twarzy Rafe'a. Palce Brenny były długie i smukłe, ale dopiero w tej chwili dostrzegł jej paznokcie, obgryzione do żywego. Zaskoczyło go to. Panna Ford była prawdziwą damą, a damy zawsze dbają o ręce!

Brenna cofnęła dłoń, jakby wyczuła jego spojrzenie, i podkurczyła palce tak, że paznokcie były niewidoczne. Rafe uprzytomnił sobie, że przeważnie tak je właśnie trzymała. Rozczuliło go to niespodziewanie. Chciał ją zapewnić, że lubi ją i z takimi paznokciami... Wiedział jednak, że nie może o tym wspomnieć.

-Naprawdę musicie już wyjechać?! - jęknął nieoczekiwanie. -Chodzi mi o to - dodał, gdy Bren podniosła głowę i spojrzała na niego - że tak wspaniale bawiliśmy się we trójkę!

-Miałbyś jeszcze lepszą zabawę, gdybyśmy zostali! - mruknęła zaskoczona.

-Wiem, wiem... - przytaknął. - Robię się okropnie zachłanny: wszystko bym garnał do siebie! Słuchajcie! - Obrócił się w fotelu i spojrzał na Erica. - Jeśli zdobędę moją damę... jeśli się pobierzemy, z czasem wszystko ulegnie zapomnieniu. Nie chcę tracić z wami kontaktu! I bez tego czuję się podle, bo przeze mnie musicie opuścić Londyn przedwcześnie. Gdyby to od mnie zależało, nie pozwoliłbym wam wyjechać przez wiele wiele tygodni...

-Wiem - odparł Ford.

-Powóz już wynajęty i gotowy do drogi. Wszystkie rzeczy spakowane - poinformowała jego siostra. - Czekamy jeszcze tylko na błogosławieństwo doktora i na kilka flaszek z lekarstwami. A potem w drogę! Ale jesteśmy naprawdę wdzięczni za twoją gościnność.

-Napiszecie do mnie, żebym wiedział, jak sprawy stoją? - spytał Rafe.

Brenna nie odpowiedziała od razu. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w niego. Rafe nie mógł nic wyczytać z jej twarzy.



Cieszył się ogromnie, że znów ma przy sobie Erica, który był dobrym przyjacielem i wesołym kompanem. Odkrył to jeszcze w hiszpańskim szpitalu. Z początku nie spodziewał się zbyt wiele po nowej znajomości. Potężna budowa ciała i niezwykle przystojna twarz Forda zdawały się świadczyć o jego próżności i zadufaniu. Przypominał rozleniwionego lwa. Jednak choć miał wszelkie powody do tego, by stać się pyszałkiem, wcale nim nie był. Mężnie znosił przeciwności losu. Rafe przekonał się, że piękny osiłek jest wielkoduszny, troskliwy i wyjątkowo dzielny.

Siostra Erica okazała się również wspaniałym kompanem. Czas spędzony w jej towarzystwie leciał jak na skrzydłach. Była powściągliwa i spokojna, ale miała ogromne poczucie humoru. Zaskakiwała Rafe'a; odkrywał coraz to nowe, urzekające rysy jej charakteru. Zorientował się, że z przyjemnością oczekuje na spędzane z gośćmi wieczory. Rozmawiali, grali w karty, śpiewali (Brenna akompaniowała im na fortepianie) i wymyślali zabawne gry, by rozweselić Erica.

Dalton czuł się najswobodniej w damskim towarzystwie pod wieczór. Przyćmione światło sprawiało, że jego rude włosy mniej się rzucały w oczy, upodabniał się do otoczenia. W blasku ognia z kominka wszystkie głowy, jasne czy ciemne, połyskiwały czerwienią. Nawet na kruczych włosach Brenny lśniły szkarłatne światełka.

W tej chwili jednak własny salon wydał się Rafe'owi ponury, pełen cieni i mrocznych tajemnic. Panna Ford siedziała poza kręgiem światła padającego na szachownicę. Nie mógł odgadnąć wyrazu jej ciemnych oczu. Widział tylko jej wydatne kości policzkowe i ruch warg, na których rodził się właśnie przelotny uśmiech.

- Oczywiście - odpowiedziała wreszcie na jego pytanie. - Napiszemy do ciebie. I spodziewamy się, że i ty odpiszesz, i zawiadomisz nas o swoich zaręczynach - dodała i znów pochyliła się nad szachownicą. - Twój ruch! - przypomniała mu.

- Macie mnie natychmiast zawiadomić, kiedy dotrzecie szczęśliwie do domu! - zażądał Rafe, gdy powóz już ruszał.

Eric siedział przy oknie. Ranne słońce oblewało jego twarz różowym blaskiem. Uśmiechał się i wyglądał w tej chwili zdrowo i krzepko. Lekarz orzekł, że poprawa jest wręcz zdumiewająca. Rafe przestąpił niepewnie z

nogi na nogę. Nadal było mu głupio, że wyprasza przyjaciół przed czasem. Aż się zmarszczył, takie mu się to wydawało paskudne.

- Nie krzyw się tak! - upomniał go Eric. - Nic mi nie będzie. Mam nadzieję, że znowu się spotkamy, i to w pomyślniejszych okolicznościach. Zawiadom mnie o ślubie. Pamiętaj, że chcę zatańczyć na twoim weselu! Do widzenia, stary druhu!

Dalton nie widział kryjącej się za plecami brata Brenny, ale słyszał jej niski, donośny głos.

- Napiszemy do ciebie! Niech ci się szczęści! - wołała - i serdeczne dzięki!

Woźnica strzelił z bata. Rafe wpatrywał się w odjeżdżający powóz, póki nie zniknął z pola widzenia. Jakoś nie chciało mu się wracać do domu.

Nie on jeden zresztą ubolewał nad wyjazdem gości.

-No i masz! Pracę diabli wzięli - doszły go w hallu słowa niedawno wynajętego lokaja wypowiedziane do równie nowego majordoma. - Przyjdzie nam znowu pakować manatki i zwrócić się do pośredniaka!

-Niekoniecznie - rzekł Rafe ku ogromnemu zaskoczeniu obu służących. - Jestem zadowolony z waszych usług. Możecie zostać do powrotu mego kamerdynera, a potem zobaczymy. Przekonałem się, że warto mieć w domu kilkoro służby. Mam już dość latania niczym chłopak na posyłki. Kucharz też się sprawdził. - Na koniec zwrócił się do lokaja: - A propos latania na posyłki: dam ci list do odniesienia. Ale musisz chwilę poczekać, bo jeszcze go nie napisałem.

Wszedł dziarskim krokiem do gabinetu, wziął arkusz papieru i pióro. Oparł się dłońmi o blat biurka i pochylił nad pustą kartką, zbierając myśli. Potem usiadł, umoczył pióro w kałamarzu i napisał:

*Droga lady Annabello. Wszystko załatwione. Odjechali.*

*Oddany sługa Dalton*

Zmarszczył czoło. Nie tak powinien wyglądać ten list! Był zbyt szorstki, zbyt krótki, zbyt podobny do niego. Pragnął wszak stać się dla Annabelli kimś innym, znacznie lepszym. Pomyślał moment, potem znów wziął pióro do ręki i dodał jeszcze jedną linijkę:

*I już nie wrócę.*

Nachmurzył się, odczytując te słowa. Ale była to szczerza prawda

(przynajmniej w chwili obecnej). On zaś gotów był na wszystko, byle wygrać sprawę. Złożył list i wyszedł na poszukiwanie lokaja, który miał tę wiadomość doręczyć.

Kiedy Rafe wspiał się na wysoki kozioł woźnicy, rozpierała go duma, jakby zdobył niedostępny szczyt. Szczęście tamowało mu dech i wywoływało zawrót głowy. W powozie czekała na niego Annabella. A co więcej, powitała go uśmiechem. Promienie słońca nieciły błękitnawe iskry w jedwabistych kruczonych lokach i uwydatniały białą jak mleko, gładką cerę. Oczy Annabelli były niebieściutkie jak bławatki. Otaczała ją woń róż. Rafe cmoknął na konie, które posłusznie ruszyły. Mimo obaw, czy zdoła cokolwiek wykrztusić, postanowił rozpocząć konwersację; nie należał do tych, którzy cofają się w obliczu trudnego wyzwania.

- Bardzo się cieszę, że zmieniała pani zdanie - powiedział, starannie dobierając słowa - i nie stroni już od mego towarzystwa.

-Istotnie, zmieniłam zdanie - potwierdziła panna Wyłde.

-Dopiero po dziesięciu dniach.

-Czyżby pan je liczył? - spytała ze śmiechem.

-Tak - potwierdził z całą powagą.

Po raz pierwszy od bardzo dawna Annabelli zabrakło słów. Dalton nie flirtował. Konwersacja z kimś takim jak on stanowiła twardy orzech do zgryzienia. Tymczasem ona przepadała za flirtem i grą słówek. Wiedziała, że jej towarzysz ma swoiste, nieco gorzkie poczucie humoru. Jednak do wszystkiego, co wiązało się z jej osobą, podchodził niesłychanie serio. Nie była jeszcze pewna, czy chce potraktować jego osobę i zamiary z równą powagą. Zmieniła więc temat rozmowy.

- Jeśli chodzi o mnie, nie mogę sobie pozwolić na liczenie dni. Jestem zajęta sprawunkami od rana do nocy! - oznajmiła, otwierając parasolkę. - W tej chwili nie ma w Londynie prawie nikogo ze znajomych, ale lato ma się już ku końcowi i niebawem zacznie się pora balów i innych rozrywek. Mama nie chce nawet myśleć o tym, bym pokazała się choć raz w zeszłorocznej kreacji! Moim zdaniem to strata czasu i pieniędzy, ale mama bywa okropnie uparta!

-Czy pani hrabina zechce wypić razem z nami herbatę?

-O, tak! Już wszystko zapomniane i wybaczone. Ale jakąż... osobliwą młodą osobę gościł pan pod swoim dachem! Taka , nieostrożna, lekkomyślna...! Nie dziwię się, że na jej widok moja mama uwierzyła od razu w najgorsze! Ja zresztą też... To właśnie mama uprzytomniła mi, że nikt nie może w pełni odpowiadać za zachowanie swojego gościa... a tym bardziej jego siostry!

-Panna Ford nie jest wcale osobliwa ani lekkomyślna, i Wszystko, co się wydarzyło, wynikło z jej niepokoju o brata. Miała myśli zaprzątnięte jego chorobą.

-No, tak... - powiedziała Annabeila, mierząc wzrokiem swego adoratora. - Chyba źle się wyraziłam. Jest taka... prowincjonalna. Tak, to lepiej pasuje. Och, nie mówmy o tym więcej! -dodała na widok jego ponurej miny.

- Doskonale. Może zechce mi pani zdradzić, w jakiej kreacji wystąpi pani w sobotę wieczór w Vauxhall? O ile, oczywiście, przyjmie pani moje zaproszenie na kolację.

Roześmiała się, szczerze rozbawiona. To był prawdziwy Rafe! W jednej chwili taki srogi i zimny, że nie pojmowała, jak mogła myśleć o zacieśnieniu z nim stosunków... A w następnym momencie mówi coś tak czarującego i jest przy tym taki miły, że miałyby ochotę przespacerować się z nim do ołtarza... Natychmiast, by ktoś jej nie uprzedził! Rafe nigdy nie zastąpi jej Damona... Nikt nie mógłby go zastąpić. Ale nietuzinkowy, nieprzewidywalny lord intrygował ją. Od tak dawna była obojętna na wszystko. I wreszcie znalazła coś, czym się zainteresowała! To był wyraźny postęp. W dodatku Dalton ubóstwiał ją. A w chwili obecnej tego nade wszystko łaknęła.

- Obiad w Vauxhall...? - powtórzyła, kręcąc trzymaną na ramieniu parasolką. - Czy trochę nie za późno na takie zaproszenie?

-Jeśli istotnie popełniłem nietakt, przepraszam i nie będę nalegał.

Czyżby jej pokorny niewolnik nie był aż tak bezkrytyczny, jak sądziła? To się nawet Annabelli spodobało!

- Nie popełnił pan nietaktu - orzekła. - Mam się znów ubrać na niebiesko?

Rafe odwrócił się i spojrzał jej prosto w oczy.

- Proszę włożyć, co tylko pani chce - odparł. - Ja i tak widzę tylko panią. Zamrugła oczyma. Takie słowa z jego ust były więcej warte niż sonet

któregoś z pozostałych wielbicieli!

- W takim razie włożę niebieską suknię - rzekła z uśmiechem.

Herbatę wypili już we troje. Było to nieco krępujące. Dalton czuł się niezręcznie w obecności hrabiny. Annabella zdecydowanie wrodziła się w ojca - zarówno z wyglądu, jak i z usposobienia. Lady Wylde była - co tu ukrywać? - niska i pękata, ale natura obdarzyła ją nader silną osobowością. Potrafiła zdominować całe towarzystwo, prawie się nie odzywając; jej bystre

oczy bacznie śledziły każdy ruch i minę nie tylko siedzącej razem z nią młodej pary, ale wszystkich zgromadzonych w herbaciarni.

Rafe skoncentrował się więc na osobie Annabelli. Przyglądał się z zadowoleniem, jak nalewa mu herbatę. Sprawiało mu niezwykłą przyjemność, gdy robiła coś dla niego... w dodatku z takim wdziękiem. Jej ręce trzepotały jak motyle. Przypominały dłonie japońskich dam, które znał z orientalnych malowideł. Drobne białe rączki zakończone wypiełgnowanymi, połyskliwymi owalami paznokietków. Nagłe zastygł w bezruchu.

Przed oczami stanęły mu paznokcie innej kobiety, krótkie i obgryzione, które wiecznie ukrywała, z wyjątkiem chwil, gdy siadała do fortepianu. Rafe zwrócił uwagę na ich opłakany stan podczas ostatniego wieczoru przed wyjazdem Fordów. Siostra Erica akompaniowała na fortepianie, gdy wszyscy troje śpiewali. Przypomniały mu się utwory, które grała Brenna, i jej śmiech. Co się z nią teraz dzieje...?

Panna Wylde przytoczyła jakiś żarcik. Usłyszała śmiech matki, ale Dalton jej - o dziwo! - nie zawtórował. Młoda dama podniosła główkę znad imbryka, by zobaczyć minę swego konkurenta. Przejrzyste niebieskie oczy Rafe'a nadal wpatrywały się w jej ręce, ale wyraz tych oczu był nieobecny - jakby nie widziały jej, tylko coś innego, bardzo odległego. Dziwne...! I intrygujące.

Akurat wczoraj wieczorem matka rzuciła od niechcienia:

- Interesujesz się lordem tylko dlatego, że nie jesteś go pewna!

-Możliwe - odparła jej córka z całą szczerością.

- Przecież masz go już w kieszeni. Jest twój! - zapewniła ją

hrabina.

Możliwe - pomyślała wówczas Annabella. A teraz powtórzyła w duchu to samo. Głośno zaś spytała:

- Chce pan mleka? A może za gorąca? Mówię o herbacie - dodała z uśmiechem, gdy adorator oprzytomniał i spojrzał na nią Ze skruchą.

- Jest wyśmienita, dziękuję - odparł.

Herbata była istotnie wyśmienita, ale szybko się skończyła. Zbyt szybko. Przynajmniej dla Rafe'a.

Po odwiezieniu pań do domu i rozstaniu z Annabellą czas zaczął się Rafe'owi okropnie dłużyć. Ileż nieznośnie wlokących się dni dzieliło go od soboty! W dodatku nie będzie mógł damy swego serca widywać, nawet przelotnie. Była dosłownie rozrywana. Wcale go to nie dziwiło. Poza tym oboje dobrze wiedzieli, że gdyby zaczęli się zbyt często spotykać, wszyscy uznaliby to za zapowiedź rychłych zaręczyn. Annabellą nie była jeszcze gotowa do podjęcia takiej decyzji. A Rafe nie miał do niej o to pretensji.

Trzy dni to jeszcze nie wieczność, choć jemu do złudzenia ją przypominały!

Przed pójściem spać musiał stawić czoła uświęconej tradycji zwanej „obiadem” (aczkolwiek była to raczej kolacja). Chociaż nowy kucharz był mistrzem w swoim fachu, Daltonowi nie spieszyło się do stołu; nie znosił samotnych posiłków. Po odjeździe miłych gości dom wydawał mu się jeszcze bardziej pusty niż przed ich przybyciem. Eric i jego siostra wypełnili go swoim śmiechem i ożywioną rozmową.

Dalton odprowadził powóz i konie do stajni i powierzył stajennemu. Sam zaś skierował się w stronę drzwi frontowych. Przekonał się jednak, że nogi bardzo niechętnie niosą go w tamtym kierunku.

Jego najlepsi przyjaciele wyjechali z Londynu. Ci nieco nowsi uciekli do Shropshire... Pozostają jeszcze kluby! Należał do niejednego. Na samą myśl o tym od razu się rozchmurzył. Co prawda, rzadko ostatnimi czasy pokazywał się w tym czy innym klubie... Ale był prawie pewien, że składki uiszczal jak należy. Zresztą, choćby nawet któryś klub przeoczył, w każdym przyjęto by go z otwartymi ramionami. Niech więc nowa

służba uraczy się przygotowanym dla niego domowym obiadem. On sam zje na mieście i poszuka sobie takiej czy innej rozrywki. Rozważył wszystkie możliwości. Nie miał ochoty dyskutować przy obiedzie o wierzchowcach i zaprzęgach; wobec tego klub „Czwórka w garści” odpadał. Nie nęciły go również

dyskusje polityczne, więc lepiej trzymać się z daleka od White'a i Brooka. Boodle'a także nie zamierzał odwiedzić. Hazard bywał podniecający, ale w tej chwili Rafe zaprzątnięty był zgoła innym problemem. Dokonał właśnie rewelacyjnego odkrycia, że głowa jest ściśle powiązana z sercem. Obaj z Drumem spędzili wiele miłych chwil w klubie Roxburghe. Tam jednak obiad ciągnął się godzinami, a on nie miał dziś ochoty na pięć sutych dań, podlanych siedmioma butelkami wina. Nie nęciła go perspektywa lekkiego zamroczenia, zwłaszcza że przebrawszy miarę, stawał się płaczliwy. Nie pociągał go również w tej chwili seks. No, nie...! To mijano się z prawdą. Ale o zbliżeniu tego rodzaju z jedyną osobą, której pragnął, na razie nie było mowy. A liche namiastki nie interesowały go. A zatem wizyta w którymś z najbardziej luksusowych londyńskich burdeli także odpadała. Szkoda, bo mógłby tam spotkać kilku znajomych.

Rafe skrzywił się jak po occie. Nieoczekiwana wizyta Erica okazała się - mimo wszystko - tak udana, że trudno było mu teraz dogodzić byle czym. Miał ochotę spotkać się z kimś, kogo naprawdę znał i lubił. W ciągu ostatnich kilku lat spędził tyle czasu na kontynencie, że trudno oczekiwać... Stał nagle jak wryty i uśmiechnął się od ucha do ucha. Rozwiązanie samo się nasuwało. Klub Podróżników! Każdy, kto przyjeżdża z zagranicy, zatrzymuje się w Londynie właśnie tam, zanim wróci do domowych pieleszy. I zawsze znajdzie się w klubie ktoś, kto wybiera się do odległego cudzoziemskiego portu i czeka na statek, który go tam zawiezie. Rafe miał pewność, że spotka w Klubie Podróżników dobrze znane twarze.

Lord Dalton nie mógł jakoś skupić się na tym, o czym mówili podczas obiadu jego towarzysze. Nie byli nudziarzami, uchowaj Boże! John Farkas i lord Roman umieli opowiadać bardzo zajmująco, ale jeden z nich wrócił dopiero co z Egiptu i mówił wyłącznie o tym kraju; drugi zaś wybierał się właśnie do Ameryki i plany tej podróży zaprzętały go bez

reszty. Dawny kolega szkolny Rafe'a, wicehrabia Hazelton, miał zazwyczaj moc anegdotek na podorędziu; teraz jednak był urzeczony jakąś damulką do tego stopnia, że przez cały wieczór nic wy powiedział ani jednego sensownego zdania. Zresztą, Rafe nie mógłby słuchać ich wynurzeń, choćby nawet chciał. Przy sąsiednim stole siedziało stanowczo zbyt liczne i zbyt wrzaskliwe towarzystwo.

Jadalnia w Klubie Podróżników powoli się opróżniała. Obiad miał się ku końcowi. Czterej mężczyźni, którzy pozostali przy sąsiednim stole, plotkowali z zapałem. Tyle że oni nie nazwaliby tego plotkami. Plotki były dla kobiet. Oni „wymieniali poglądy”.

Głosy ich rozbrzmiewały gromkim echem w znacznie już opustoszałej jadalni.

- Pamiętacie tę jędzulkę Huntleya? - darł się na całe gardło jeden z nich, uniemożliwiając rozmowę przy innych stołach.

-A jakże! - odparł jeden z jego kompanów, muskularny jegomość obdarzony stentorowym głosem. - Po nim odziedziczył ją Freddie Bell, a potem Copley. Ja też się z nią przez jakiś czas zadawałem. Nie macie pojęcia, jakie ta dziwka robiła wygibasy! Potrafiła zarzucić sobie nogi na szyję. Kostki miała za uszami, słowo honoru! Nigdzie indziej nie widziałem takich sztuczek. Nie powiem, żeby taka znów była dobra do tej roboty, ale za to inna. Rozumiecie, chłopaki? Inna. Takiej to człowiek nie zapomni.

Towarzysze Daltona przestali udawać, że rozmawiają ze sobą, i przysłuchiwali się otwarcie, wymieniając szerokie uśmiechy.

-Tak, tak, miała w sobie coś... - kontynuował muskularny gość z pijackim rozczuleniem. - Co też się z nią stało...?

-Zwiała na kontynent - poinformował go jeden z kompanów i wzruszył ramionami. - Ktoś mi mówił, że wylądowała w Austrii. Może się z nią tam spotkasz, kto wie?

-E tam! Stuknęła jej co najmniej trzydziestka - ryknął muskularny mężczyzna. - Już za stara na takie sztuczki! Ale Freddie Bell... To dopiero był zabijaka, co...? A ta jego siostrunia... Mówię o tej z ciemnymi włosami. Ta dopiero miała gorąco pod kiecką, co? Na pierwszy rzut oka niby nic... ale wszystkich nas zaliczyła, może nie? Nasze londyńskie ślicznotki niejednego mogłyby się od niej nauczyć!



Jego słowa zabrzmiały szczególnie donośnie w ciszy, która nagle zapadła w jadalni. To było naruszenie reguł gry. Dżentelmen nie oczernia siostry przyjaciela. Choćby był pijany w sztok!

-Z siostrami zawsze najgorsze utrapienie - pożałił się drugi z rozwrzeszczanej czwórki. - Jak człowiek na nią polecą, to go raz dwa zawlecze do ołtarza. A jak trzyma się z daleka, to przyjaciel się wścieka, że lekceważy jego siostrzyczkę! Właśnie dlatego tak często podróżuję: - Rozejrzał się dokoła kaprawymi oczkami i zauważył niezwykłą ciszę w sali. - Powiedzcie szczerze, chłopaki, żaden z was nie ma siostry, prawda? - zwrócił się do siedzących przy tym samym stole. - Bo jak ma, to pryskam stąd, słowo honoru!

-Moja już złapała męża, Bogu dzięki - odparł siedzący obok niego wysoki dżentelmen. - Ale jeśli już mowa o siostrach... Słyszeliście, w jakie tarapaty wpadł Dalton z powodu siostrzyczki starego kumpla? Jak się skompromitował przed naszą śliczną Annabellą?

-Dalton? To on wrócił z wojny? - zainteresował się najgrubszy z nich, odrywając wzrok od kieliszka.

-Wrócił, wrócił... I wpadł z deszczu pod rynnę - wycedził wysoki jegomość. Tak się rwał do uraczenia przyjaciół pieprzną anegdotką, że nie zauważył przerażonych spojrzeń ani rozpaczliwych znaków swych kompanów, którzy mieli dobry widok na sąsiedni stół i Rafe'a. - Widzicie, było tak: gościł u siebie dawnego kolegę z wojska, Forda z Shropshire; tak przynajmniej ludzie gadają. No więc, Ford przyjechał z siostrzyczką. Dalton zostawił ich w domu, a sam wybrał się na przejażdżkę ze śliczną Annabellą i jej mamusią. (Co to za baba! Istny smok!) Byli na najlepszej drodze do ołtarza... Sam postawiłem na tego chłoptasia i wpisałem się do Księgi Zakładów... Czemu na mnie kiwacie? Nie zalałem się, wiem co mówię! Ale nasza ślicznotka słynie ze zmiennych gustów.

No więc, Dalton zaprasza smoka i piękną damę do swego domu, żeby się rozejrzały. Wiecie, takie przedślubne oględziny. Drzwi się otwierają... a tam ta siostrzyczka! Nagusieńka, tylko włosami się okryła. Ale i włosy odrzuca do tyłu i pokazuje im

wszyscyutko! A było na co patrzeć. Podobno zbudowana jak Wenus...

Rozparł się wygodnie, całkiem opacznie tłumacząc sobie osłupienie na twarzach kompanów.

- Próbowwała go usidlić, rozumiecie? Ale nic nie wskórała - dodał z lekkim rozczarowaniem. - Lady Annabella jest równie dobra, jak piękna. Przebaczyła zbłąkanemu, kiedy wyrzucił tę flandrę na ulicę, ma się rozumieć... Ooo...

Odwrócił się i pojął wreszcie, na co gapiła się trójka jego pobladyłych słuchaczy.

Dalton wyglądał doprawdy imponująco.

-Bardzo interesująca historyjka - stwierdził. - Tyle że zełgana.

-Śmiesz mi zarzucać kłamstwo?! - zaperzył się wysoki dżentelmen.

-Jeśli będziesz rozpowiadał tę historyjkę, to tak - odparł Rafe, spoglądając nań złym wzrokiem.

- Nie kłamię! Powtarzam, co słyszałem - upierał się plotkarz.

- Widać źle słyszałeś - uciał Rafe.

- Przeproś, człowieku! - syknął jeden z kompanów.

- Za to, że powiedziałem prawdę?! - obruszył się tamten. - Jeszcze czego! No, i co mi teraz zrobisz, Dalton?

Rafe zacisnął pięści. Wysoki zauważył to i wzdrygnął się. Obstawał jednak przy swoim. Przymusił się do śmiechu.

- Bójka w porządnym klubie? A to dobre! Nazwisko tej dziwki rozejdzie się po całym mieście!

Twarz Rafe'a pociemniała.

-No więc, co zrobisz? - spytał ponownie wysoki. - Wyzwiesz mnie?

-Jeśli tak się do tego palisz - odparł Rafe przez zaciśnięte zęby. - Choć wolałbym rozkwasić ci gębę. Nie musiałbym zwiewać za granicę, bo czy na pistolety, czy na szpady, z pewnością cię zabiję.

Dżentelmen wstał i wyprostował się; wyglądał istotnie okazale: wysoki, szczupły, z przyklepionym do ust szyderczym uśmieszkiem i ze złośliwym błyskiem w przymrużonych

oczach. Na jego twarzy widać: było żalosne resztki wyjątkowej urody, zniweczonej przez nałogi i rozpustę.

- A ja z przyjemnością wybiorę się za granicę, kiedy cię wykończę - odparł pogardliwie. - I tak miałem wyjechać na kontynent. Mam drobne kłopoty... chodzi o ustalenie ojcostwa.

Jednak ciebie, Dalton, nie przeproszę. I już. No to jak? Rzucasz mi wyzwanie? A może strach cię obleciał?

Przyjaciele Rafe'a zerwali się na równe nogi.

-Nie zwracaj na niego uwagi! Ten człowiek jest w trzech czwartych zalany, a w dwóch trzecich to skończony dureń!

-Chcesz się bić z takim pijaczną? Przecież to już nie człowiek, tylko marynata! - przekonywał wicehrabia Hazelton, obejmując ramieniem sprężonego Rafe'a. - Zachowaj kulkę dla groźniejszego wroga!

-Chcesz mi napędzić stracha? - zwrócił się do niego wysoki z niemiłym uśmiechem. - Butelka wina nigdy mi jeszcze nie zaszkodziła. A spotkania ze słynnym lordem Daltonem też się nie złękę - dorzucił szyderczo. - Nie jestem kłamcą: powtarzam to, co usłyszałem i w co nie mam powodu wątpić. Jak milordzik chce mnie uciszyć, niech próbuje!

Rafe skłonił się.

-Do usług, mości łgarzu!

Wysoki dżentelmen zeszywniał. Postąpił o krok, spojrzał Daltonowi w oczy i stanął jak wryty.

- Nazywam się Dearborne - przedstawił się innym już tonem. - Powiedz gdzie i kiedy, to się stawię. Ale zamów lepiej grabarza, bo skończę z tobą.

-Jeśli wolisz opuścić Anglię w trumnie, bardzo proszę - odparł równie lodowatym tonem Rafe. - Julianie - zwrócił się do przyjaciela - będziesz moim sekundantem?

Wicehrabia był wyraźnie przygnębiony.

-Oczywiście... jeśli już musisz się bić.

- Tośmy się dogadali! - stwierdził z triumfem Dearborne. - Jako wyzwany... wszyscy słyszeliście, że mnie wyzwiał, prawda? Więc jako wyzwany mam prawo do wyboru broni. Wybieram szpady. Nadal chcesz się ze mną bić?

Rafe kiwnął zdawkowo głową.

-Doprawdy? - spytał z udawaną słodyczą Dearborne. - Wybrałem białą broń zamiast palnej, bo wolę zręczność od celności. Szermierka to niełatwa sztuka... zwłaszcza dla takiego, co omal nie stracił ręki na wojnie. Słyszałem, że tobie się to przydarzyło? - Roześmiał się. - A mnie uczył robić bronią sam wielki Angelo! - rzucił tonem przechwałki. - No to jak? Może przeprosisz mnie i odpuścisz sobie, Dalton?

-Jeszcze nie zwariowałem - odparł Rafe. - Można wiedzieć, który Angelo

uczył cię szermierki? Harold?

Dearborne zdumiał się.

-Tak, Harold Angelo. Najlepszy szermierz w całej Anglii!

- Nawet on sam nie zgodziłby się z tą opinią - odparł Rafe. - Prawdziwym mistrzem był jego ojciec. To on uczył mnie szermierki, zanim skończyłem Eton. Był już stary, ale nawet wtedy nie miał sobie równych. Potem ćwiczyłem pod kierunkiem Henry'ego, brata Harolda.

Rumiana - nie tyle z natury, co skutkiem portwajnu - twarz lorda Dearborne'a wyraźnie pobladła.

- No, tak... - kontynuował swą opowieść Rafe. - Henry wziął nas do galopu, gdy byłem w armii. Jak szermierz się rozleniwi, ręka mu rdzewieje. Dlatego trenowałem potem z moim przyjacielem, drugim bratem Harolda. Z Edwarda był dobry żołnierz i instruktor jak się patrzy. Tak, tak, wszyscy Angelowie to asy szermierki... - wspominał. - Kiedyś pojedykowałem się z Haroldem. Jego bracia zawsze z nim wygrywali.

-Ale twoja ręka... - wtrącił z niepokojem Hazelton.

-No właśnie, co z twoją ręką, Dalton? - Dearborne odzyskał znów pewność siebie. - Musisz chyba wziąć pod uwagę ten mały defekt?

-O którą rękę ci chodzi? - spytał Rafe. - Dzięki treningom mogę równie dobrze posługiwać się każdą z nich. No to jak? -zwrócił się szyderczo do swego adwersarza. - Omów warunki z moim sekundantem - wskazał na Hazeltona - albo przeproś. Rób, jak chcesz. Wystarczy, że przyznasz się do kłamstwa. To dla ciebie nie pierwszozna.

Dearborne warknął gniewnie; jego pięść wystrzeliła do przodu. Rafe przerzucił ciężar ciała na drugą nogę, uchylił się przed ciosem i w odpowiedzi walnął Dearborne'a potężnym prostym w podbródek. Kiedy głowa przeciwnika odskoczyła do tyłu, walnął go w nos. Pod następnym uderzeniem (w żołądek) Dearborne stęknął boleśnie. Kolejny cios w głowę omal nie zbił go z nóg. Ostatni, powtórka w podbródek, dokonał dzieła. Dearborne zwałił się na podłogę. Nokaut.

Pokonany leżał na ziemi, pojękiwał i obficie krwawił z nosa.

- Oberwałeś za zniesławienie damy - wyjaśnił mu Rafe, poprawiając rękawy, - I mego starego przyjaciela. Możesz sobie

dorzucić kilku innych, bo wszystkich, których zmieszałeś z błotem, pewnie byś nie zliczył. - Spojrzał z góry na Dearborne'a. - Nie miałem najmniejszego zamiaru marnować kuli ani brudzić ostrza krwią takiego ścierwa jak ty. Radzę ci, wyjedź pierwszym statkiem na kontynent, bo zaznajomisz się z innymi bolesnymi sztuczkami. A znam ich sporo. - Przeszł przez wciąż leżącego na podłodze przeciwnika. - Zapłacił za czyszczenie dywanu - poinformował oszołomionego kelnera i opuścił jadalnię.

Hazelton pospieszył za nim.

-Wyśmiewał się z boksu w klubie, a potem zaatakował bez uprzedzenia! Ale ty byłeś na to przygotowany - dodał z podziwem.

-Zawsze trzeba się mieć na baczności przed zdradą i nieczystą grą - odparł Rafe i skrzywił się boleśnie.

-Uszkodziłeś sobie coś? - spytał z niepokojem przyjaciel, widząc, z jakim trudem Dalton porusza ramieniem. - A mówiłeś, że możesz równie dobrze walczyć obiema rękami!

- Bo mogę - odparł Rafe i znowu się skrzywił. - Ale to nie znaczy, że powinienem.

Kiedy Rafe wybrał się wieczorem na obiad, znowu się wzdrygnął. Tym razem nie z powodu bólu w ramieniu. Dostrzegł spojrzenia, jakimi go obrzucano. Był w nich podziw. Lęk. A nawet zazdrość. Starał się więc skoncentrować uwagę na jedzonym kotlecie.

-Takie to już zwyczaje w eleganckim świecie - zaśmiał się Hazelton, gdy ujrzał przyjaciela zgarbionego nad talerzem i obrzucającego morderczym spojrzeniem Bogu ducha winną cielęcinę. - W całym Londynie zawrzało! Dearborne zwał na kontynent z nosem na temblaku i całkiem dobrym nazwiskiem zaszarganym na amen. Wszyscy jak jeden mąż wychwalają cię za ten wyczyn. To był specjalista od rozpowszechniania oszczerstw.

-Wolałbym, żeby zapomnieli o tej awanturze. - Rafe westchnął z głębi serca. - Im prędzej to się stanie, tym prędzej przestaną gadać o przyczynie całego zamieszania.

-Już im zamknąłeś gęby! - pocieszał go przyjaciel.

Rafe potrząsnął głową. Wrócił z wojaczki żywy i mniej więcej cały po

części dlatego, że instynkt ostrzegał go o grożącym niebezpieczeństwie. Teraz też czuł w obolałych kościach, że znów się na coś zanosi. Nie po raz pierwszy pożałował, że nie ma przy nim Druma. Jemu nigdy nie musiał niczego wyjaśniać; razem walczyli i zwyciężali mimo niesprzyjających okoliczności. A teraz trafiło go niemiłe przeczucie, że problem szerzących się plotek wcale nie został rozwiązany.

Obiad minął bez większych zakłóceń. Spojrzenia, jakimi obrzucano Daltona, gorliwość, z jaką pozdrawiali go prawie obcy ludzie, zapamiętał, z jakim cisnęli się, chcąc zamienić kilka słów z bohaterem, szepty za jego plecami - wszystko to drażniło Rafe'a, ale nie stanowiło zagrożenia. Inaczej sprawa się miała z tym, na co się natknął, wyszedłszy z jadalni.

W hallu dwóch podpitych młokosów czekających na swe kapelusze dostrzegło Rafe'a, który również zażądał swego cylindra. Spędzili wieczór w pokoju karcianym na tyłach klubu, a pili z jeszcze większym zapamiętaniem, niż rżnęli w karty. Teraz zaś wychodzili dość chwiejnym krokiem, spragnieni lepszej rozrywki. I znaleźli ją.

-Słowo daję - huknął jeden z nich. - To przecież Dalton! Nikt inny nie ma takiej marchewki na głowie! To ten rudzielec, co dał Dearborne'owi w kość. Dobra robota!

-Dobra robota? Może i dobra - powiedział z wyraźną ironią drugi. - Ale całkiem dana... nada...remna. Tylko ostami dureń broni byle wycirucha. Jak wykąpiesz świnię, znów się utyła. Nawet w Biblii o tym piszą! A tej dziwce w dodatku brak piątej klepki! Wy...wysza...szażała się nad naszą Annabelką. Zdjęła kieckę, powiadasz? Ba! Choćby się rozebrała do kość... kosica... no, do gnatów...! to i tak jej nie dorówna!

Rafe wyprostował się gwałtownie. Hazelton wywrócił oczyma.

-Daj że spokój - mitygował. - Nie zważaj na tych opojów! Ale on już podszedł do pijaczków.

-Powiem wam coś i nie będę powtarzał - zwrócił się do nich zwodniczo łagodnym tonem. - Po pierwsze: to nieprawda. Po drugie: takie brednie działają mi na nerwy.

-Chcesz mnie zaprawić, Dalton? - spytał z przymilnym uśmiechem ciężej zbudowany. - Barrrdzo mi przykrro... ale ze mną nie tak łatwo! Mogę zasa... zakaża... za...sować Dearborne'a z każdej strony! Spróbujemy,

milordzie?

Zaczął rozpinać surdut.

- Ależ, panowie! - Zaoponował Hazelton. - Można to załatwić w późniejszym terminie... I w należytej formie.

-Ja tam jestem w dosz...konalej formie! - oświadczył pijany hulaka, pozbywszy się surduta. Podwinął rękawy koszuli i stanął w postawie bojowej z uniesionymi pięściami. - Załatwimy to od ręki. Ale może ciebie rąsia boli, co?

- O mnie się nie kłopotz - odparł Dalton z rezygnacją. - Nie mam ochoty wszczynać burd - rzucił przez ramię do przyjaciela - ale tego nie puszcę płazem. Ludziska gadają jak najęci. Może to ich przyhamuje.

I uniósł pięści.

Zalany amator boksu usiłował zmylić go fintą. Rafe uskoczył ze zręcznością tancerza, nie spuszczając przeciwnika z oczu, oceniając wyraz jego twarzy, pozę i zasięg pięści.

-Nie prosiłem cię do walca! - rzucił szyderczo młokos.

Rafe skinął głową. Jego pięść wystrzeliła błyskawicznie do przodu. Gdy zderzyła się ze szczęką przeciwnika, zabrzmiało to jak wystrzał z pistoletu. Ale jeszcze donośniejszy efekt akustyczny towarzyszył upadkowi masywnego ciała na marmurową posadzkę.

- Dokonałem epokowego odkrycia - poinformował Rafe Hazeltona, odbierając kapelusz od lokaja o beznamietnej twarzy. - Nie można umrzeć z bólu, choćby się nie wiem jak chciało - wykrztusił przez zaciśnięte zęby. - Niech to szlag! - dodał, usiłując zgiąć ramię. - Jak ja dotrwam do końca sezonu?!

-Oby plotki nie dotrwały! - westchnął jego przyjaciel.

Powóz turkotał na wyboistej drodze do Shropshire. Brenna wyglądała przez zakurzone okno. W zapadającym zmroku żywopłoty nabrały fioletowo-brunatnych odcieni, a pola okryły się liliową mgiełką.

Bren zerknęła na brata wtulonego w najciemniejszy kąt powozu. Opierał się plecami o skórzaną tapicerkę. Mimo to była pewna, że Eric nie śpi. Zbyt często zmieniał pozycję w ciągu ostatniej półgodziny.

-Musimy się zatrzymać - oświadczyła. Otworzył oczy.

-Czuję się znakomicie. Jedziemy dalej!

Nie mogła dostrzec wyrazu jego twarzy, ale w niskim głosie brakło zwykłych tonów.

- Nie - rzekła stanowczo. - Może ty jesteś silny jak byk, ale ja nie. Trzęsło mną tak, że omal nie pogubiłam zębów. Moje nerki zawarły bliższą znajomość z płucami i wątrobą. Nie mam pojęcia, co się teraz gdzie znajduje. I dałabym nie jedną, ale kilka fortun za możliwość skorzystania z ustronnego miejsca... Tego, o którym damie nie wypada wspomnieć. Proszę cię, braciszku, zatrzymajmy się w najbliższym zajęździe na noc, dosyć tej trzęsionki!

Ford zaśmiał się cicho.

- Ach, ty czarownico! - powiedział pieszczotliwie. - Dobrze wiesz, że nie zdołam się oprzeć takiej argumentacji. Nie wierzę ani trochę w twoje zmęczenie, ani w tęsknotę do ustronnego miejsca...! Ale, oczywiście, powiedz woźnicy, by zajechał do najbliższego zajazdu.

Kiedy powóz zatrzymał się kilka mil dalej na dziedzińcu oberży, Eric pomógł siostrze wysiąść. Gdy wyłoniła się z mrocznego wnętrza, ujrzał jej twarz w świetle latarni.

-Naprawdę jesteś zmęczona! - zauważył z nagłą skruchą. -Wybacz, siostrzyczko! Nie pomyślałem o tobie, cholerny egoista!

-Przestań się kajać! - odpowiedziała. - Miałeś rację, nie jestem zmęczona. Tylko - w odróżnieniu od ciebie - myślałam aż za dużo. I nie były to przyjemne myśli... Ale nawarzyłam piwa, co...? -Jej oczy, ciemne jak zapadająca noc, poszukały oczu brata. - Jak myślisz, czy kiedykolwiek będę mogła tam wrócić...?

Uścisnął jej rękę.

- Za dzień czy dwa wszyscy o tym zapomną. Specjalność Londynu to krótkotrwałe sensacje. Po tygodniu nikt już o nich nie pamięta.

Za to ja nigdy nie zapomnę lorda Raphaela Daltona! - pomyślała ze smutkiem Brenna. Próbowwała zapomnieć, starała się, jak mogła... Bez rezultatu. Nie wystarczy siedem dni ani nawet siedem lat. Utkwił w jej



pamięci na zawsze w swej czerwono-złotej glorii. Nie mogła otrząsnąć się z zauroczenia. Tak się starała... Był wspaniały, szczery, prawy, mężny i uczciwy. Takich ludzi ze świecą szukać! W Londynie było ich może kilku... Ale tam, dokąd zmierzała, chyba ani jednego. Odległość między nią a Rafe'em ciągle się zwiększała. Poza tym, kiedy minie owych siedem dni, on będzie już żonaty albo prawie... Powinna raczej myśleć o powrocie do domu... Czemu wcale jej to nie obchodziło...? W gruncie rzeczy Rafe w ogóle jej nie dostrzegał. Nawet kiedy na nią patrzył.

-Tak, niebawem wszyscy o tym zapomną, z nami włącznie -przytaknęła bratu, siląc się na uśmiech. - Masz oczywiście rację.

-Wolałbym tym razem nie mieć racji - odpowiedział, wpatrując się w jej twarz.

Zwiesiła głowę. Eric zbyt dobrze ją znał.

8

Na widok twarzy Rafe'a słodkie mleko zsiadłoby się z wrażenia. On jednak stał spokojnie i cierpiał w milczeniu, gdy nowy kamerdyner wiązał mu fular według najnowszych wymogów sztuki. Nawiasem mówiąc, lord Dalton nie miał innego wyjścia: jego prawe ramię wisiało na temblaku. Gdy kamerdyner odstąpił na bok, by chlebodawca mógł przejrzeć się w lustrze, Rafe skrzywił się okropnie.

Oderwał wzrok od swego odbicia i ujrzał niepokój na twarzy służącego.

- Nie bierz moich grymasów do siebie - uspokoił go. - Na prawdę dobrze się spisałeś.

Oczy Rafe'a powędrowały znów do lustrzanego odbicia. Tak, to była naprawdę dobra robota! Krawatka zawiązana perfekcyjnie, policzki gładko ogolone, nawet włosy dały się ujarzmić. Modny, obcisły surdut leżał całkiem dobrze, mimo ręki na temblaku.

Jednak twarzy nawet przystawienie pijawek niewiele pomogło. Co prawda obrzęk pod lewym okiem trochę się zmniejszył, ale skórę miał nadal w kilku interesujących odcieniach. Podniósł głowę. Rozległy siniak na szczęce wyglądał okropnie, choć zmienił się z fioletowego na zielono-żółty...

- Może odrobina makijażu, milordzie? - zaproponował nieśmiało kamerdyner, spostrzegłszy, czemu się przygląda jego

pan. - Mam coś w rodzaju kryjącej maści. Mój poprzedni pracodawca odznaczał się fatalną cerą. Ten specyfik działał znakomicie: wygładzał skórę i pokrywał skazy. Jaśnie pan nie potrzebuje, rzecz jasna, podobnych środków na co dzień... ale może dziś wyjątkowo... odrobinę...?

- Mam udawać, że nic mi nie jest, jak francowata dziwka?! Mowy nie ma!  
- obruszył się Dalton, po czym dodał spiesznie: -Dokonałeś wprost cudów, nikt nie zrobiłby tego lepiej. Ale o makijażu zapomnij raz na zawsze. Nie można brać udziału w bójce i wyglądać jak nietknięta dziewczyna! Musi być tak, jak jest.

Ostrożnie dotknął szczęki. Tego siniaka dorobił się w alejce za klubem Watiera, zaraz po tym, jak usłyszał, że jakiś półgłówek (z tych herbowych!) lży Brennę Ford podczas gry w faraona. Z kolei oko podbił mu inny dureń, pobierający lekcje boksu u Dzentelmena Jacksona, który pozwolił sobie na sprośne żarty na temat tejże panny. Rafe odplacił obu przeciwnikom z nawiązką, ale nie odczuwał z tego powodu większej satysfakcji. Zwłaszcza że ręka na temblaku pokutowała za wszystkie bójki, w których brał udział. W tej chwili dokuczała mu tak, że na razie nie mógł odgrywać roli anioła-mściciela.

Pozostało mu jeszcze tylko spotkanie z Johnem Stilesem. Warunki zostały ustalone po tym, jak Stiles wystąpił ze stekiem złośliwych insynuacji pod adresem Breny, a Rafe to usłyszał. Nawiasem mówiąc, wyglądało na to, że do pojedynku nie dojdzie. Chodziły słuchy, że Stiles cichcem pakuje manatki i wybiera się w dłuższą podróż morską.

Jednak dziesiątki języków w całym Londynie nadal obrabiały ten sam temat według utartego schematu: Brenna Ford, bezwstydną intrygantką, rozebrała się do rosołu i usiłowała zaciągnąć lorda Daltona do ołtarza na złość lady Annabelli. Tak wyglądała najbardziej powściągliwa wersja tej ekscytującej opowieści. Rafe nie miał zielonego pojęcia, gdzie znajdowało się źródło owych plotek i jakim sposobem osiągnęły one tak wielki zasięg. Najgorsze było to, że plotkarze znali nazwisko Brenny.

Dalton opuścił pokój, nie spojrzawszy już ani razu w lustro. Dość miał widoku swoich sińców! Nie przywiązywał do nich większej wagi. O wiele gorsze były udreki sumienia. Przez pół dnia i większą część nocy krążył po domu, próbując znaleźć jakieś rozwiązanie. Nie mógł rzucić

wyzwania całemu miastu. Ale nie zamierzał dać za wygraną.

Był w połowie schodów, gdy dobiegły go jakieś głosy od drzwi frontowych. A więc Stiles jednak nie zwiął! Przysyła widocznie sekundanta, żeby omówił warunki pojedynku. Rafe zacisnął zęby i spieszenie pokonał resztę stopni. Jedyne szczegóły wart dyskusji dotyczyły terminu spotkania. Czy odłożyć pojedynek do czasu, gdy ramię wróci do formy, czy załatwić sprawę jak najszybciej? Stiles był w końcu dobrym strzelcem, więc...

-Drum! - zdumiał się Rafe, gdy dotarłszy do podnóża schodów, ujrzał, kto stoi w hallu.

-We własnej osobie - odparł hrabia. - A więc pogłoski okazały się prawdziwe! - stwierdził z żywym zainteresowaniem, objąwszy spojrzeniem rękę na temblaku i posiniaczoną twarz przyjaciela.

-Jakie pogłoski? Zresztą, nieważne! Skądś się tu wziął, do wszystkich diabłów?!

-Ja też się cieszę, że cię widzę - odparł Drum, ściągając rękawiczki. - I rzeczywiście, napiłbym się koniaku i odpoczął przy kominku po trudach podróży. Jak to ładnie, żeś o tym pomyślał...! No, no! Nie strosz się, to tylko żarty. Ale koniak naprawdę by się przydał.

-Wszystko, czego zapragniesz - odparł Rafe, prowadząc gościa do gabinetu. - Opowiesz mi, co cię tu przygnało, kiedy sam zechcesz.

-Dzięki! - odparł Drum, biorąc kieliszek, który gospodarz pospiesznie napełnił koniakiem z karafki.

Hrabia usadowił się w fotelu przy kominku i uniół kieliszek do góry w toaście.

-Gdy lejesz KON-JAK w brzuch. JAK KON jest zdrow twój duch! - westchnął z satysfakcją, pociągawszy łyk. - A propos koni: pędziłem tu na złamanie karku! - Dostrzegł wyraz twarzy przyjaciela i obdarzył go krzywym uśmiechem. - No, może nie aż tak... i nie przez całą drogę z Włoch! Krótko mówiąc, tak się złożyło, że w ogóle nie dotarłem do słonecznej Italii. Nie, nie zablądziłem; skusiły mnie przyjemności, jakimi raczył nas stary Hightower w swej posiadłości na wybrzeżu Francji. Hightower nadal żyje w wielkim stylu, a w jego siedzibie nie brak zarówno gości, jak i dobrego jedzenia. I zawsze znajdzie się miejsce dla rodaka

przebywającego na obczyźnie. Tak mi tam było wygodnie, że postanowiłem zostać dłużej.

Łyknął znowu i skrzywił się. Nie z powodu jakości trunku.

-A potem zjawił się nasz stary przyjaciel Dearborne - kontynuował. - I w ten sposób dotarły do mnie plotki na twój temat. Wróciłem do Londynu, by przekonać się, ile w nich prawdy. Gdyby jej było choć trochę, mógłbym ci służyć dobrą radą... żeby nie wspomnieć o sprawnej prawicy - zakończył, zerkając na rękę przyjaciela zawieszoną na temblaku.

Dalton skinął głową.

-Co ci Dearborne powiedział?

- To, co słyszałem od niego, pokrywa się z tym, o czym trąbią po całym Londynie. Przekonałem się o tym dziś rano. Tylko Dearborne opowiadał... barwniej. Będzie jednak mniej wygadany w przyszłości. Złamałem mu szczękę.

-Doprawdy? - spytał Rafe. Humor mu się od razu poprawił.

-Tak, to było nieuniknione... zwłaszcza po tym, jak zapowiedziałem mu, co zrobię, jeśli sam nie powściągnie ozora. Wyciągnął od razu majchra - jakiś tam sztylecik - kiedy się odwróciłem. Okazało się, że jest oburęczny. To nawet pasuje do tego dwulicowego typka, nieprawdaż? Artystyczna symetria.

-Uważaj, co mówisz! - odparł Rafe z uśmiechem. - Wiesz przecież, że i ja jestem oburęczny.

-Tylko dlatego, że musiałeś wyćwiczyć lewą, kiedy prawa poszła w kawałki - odparł gładko Drummond. - Nie przyszło ci to łatwo. Tamten gad jest oburęczny z natury. Całe szczęście, że nie okazał się taki szybki, jak mu się zdawało - ani w prawej, ani w lewej. Ale mniejsza z tym! Powiedz, Rafe, co się tu, u diabła, dzieje? Czy jest coś w tym, co ludzie mówią? - spytał, obrzucając gospodarza uważnym spojrzeniem. - Mam na myśli historyjkę o bezwstydnicy, która pokazała się bez osłonek damie twojego serca i próbowała ją zniechęcić, uzurpując sobie jakieś prawa do ciebie? I jaka jest twoja rola w tym zamieszaniu? Wypowiedziałeś wojnę wszystkim rodakom płci męskiej? Jeśli tak, to uprzedzam cię, że to ci się nie uda.

-To nieprawda! - odparł Rafe, przeczesując zdrową ręką krótko przystrzyżone włosy. - Ona nie jest żadną bezwstydnicą! I nigdy

by czegoś podobnego nie zrobiła! Nazywa się Brenna Ford. To siostra Erica Forda.

-Wiedziałem już, kim jest. Ale czy naprawdę tego nie zrobiła? - spytał hrabia. Jego ręka z kieliszkiem znieruchomiła w połowie drogi do ust.

-Oczywiście, że nie! Jest w porządku, tak samo jak Eric. Sporo od niego młodsza, ale nad wiek rozsądna. I urocza. I inteligentna. Wrażliwa dziewczyna, ale opanowana i spokojna. Naprawdę przyzwoita i niczym sobie nie zasłużyła na coś takiego! - Rafe wstał i zaczął krążyć po pokoju. Opowiedział przyjacielowi całą historię i zmarszczył brwi. W jego relacji wszystko przedstawiało się jeszcze gorzej, niż sądził.

-Wiem, że zachowałem się jak ostatni głupiec! - wybuchnął bezsilnym gniewem. - Powinienem być od razu zaangażować jakąś przyzwoitkę, kiedy gościłem pod swoim dachem niewinną pannę. Ale, widzisz... nie myślałem o siostrze Erica w taki sposób; a i ona wcale tak się do mnie nie odnosiła.

-Co to znaczy „w taki sposób”? - spytał zdezorientowany Drummond. - I jak ona się właściwie do ciebie odnosiła?!

-No... nie jak kobieta. - Dalton potrząsnął głową. - Ale nią jest, bez względu na to, co o niej myślałem. Niech to szlag! Dobrze wiesz, że nie istnieje dla mnie żadna inna prócz Annabelli! I właśnie z tego powodu, psia krew, wszystko się zaczęło! Fordowie mieli za sobą męczącą podróż, więc następnego dnia po ich przybyciu zostawiłem ich w domu, żeby wypoczęli. A sam wybrałem się z Annabellą i hrabiną na herbatę. Mamuśka uparła się obejrzeć moje mieszkanie. No, cóż... wyglądało na to, że traktuje mnie jak poważnego konkurenta. - W jego głosie mimo woli zabrzmiała nutka dumy. - Zostawiłem obie panie przy drzwiach frontowych i popędziłem odstawić zaprzęg do stajni. W tym czasie one zastukały do drzwi. A Bren... to znaczy Brenna Ford, pomyślała, że to ja. Brwi hrabiego poszybowały w górę, gdy zdrobnienie „Bren” tak lekko spłynęło z ust przyjaciela.

- Myślała, że zapomniałem klucza i nie mogę dostać do domu - wyjaśnił Rafe.

-Paskudna wpadka, ale to jeszcze nie katastrofa - zauważył Drum, sącąc koniak i bacznie obserwując Daltona.

-Właśnie że katastrofa! - jęknął Rafe. - Wyszła akurat z kąpieli. Nie była

naga! - dodał pospiesznie, gdy lazururowe oczy Drummonda powiększyły się do rozmiarów spodka. - Ale włożyła na siebie tylko szlafrok brata. Szkarłatny. I w smoki - dodał ponuro. - Włosy miała rozpuszczone i mokre. Długie, czarne, jakieś takie... egzotyczne włosy. I pachniała jaśminowym olejkiem.

-Bardzo interesujące - powiedział hrabia. - Ale rzeczywiście kłopotliwe.

-Zaraz się jej oświadczyłem, ma się rozumieć.

-Annabelli?

-Nie, Bren - wyjaśnił Dalton.

-Oczywiście - odparł Drum niby to od niechcienia, ale oczy robiły mu się coraz większe.

-Odmówiła mi. I to nie raz. Twierdziła, że wszystko rozejdzie się po kościach. Potem oboje udali się do domu w Shropshire. A tymczasem w Londynie wszyscy mieszają ją z błotem!

-I co zamierzasz zrobić?

-Myślę, że... słowo daję, Drum, myślę o tym od rana do wieczora...! No więc, myślę całkiem poważnie, że powinienem pojechać do Fordów i przekonać się, czy plotki i tam dotarły.

-Może panna Ford ma rację i wszystko rozejdzie się po kościach? - głośno zastanawiał się hrabia.

-I tak, i nie. Mnie się upiekło. Zwłaszcza że nadal staram się o Annabellę. Ale coś mi się zdaje, że Bren i Ericowi nie pójdzie tak łatwo. Zrobiłem, co mogłem, nie wytaczając najcięższych dział... Starłem się też oczyścić własne imię. Wynająłem tyle służby, że wystarczyłoby tego na cały zamek! Jeśli się gdzieś wybieram, to tylko tam, gdzie by najskromniejsza ciotka-panna mogła udać się na herbatkę. Ale plotki ciągle się szerzą. Jakoś bym to zniósł... bo coraz częściej mówi się o mnie jako o jednym z pokrzywdzonych. Ale co z nią? Z nimi? Oboje są dumni jak szatan we własnej osobie. Musiałem się z nimi wyklócać, nim zgodzili się, żebym wezwał lekarza do Erica. Leżał na łóżku, biały jak płótno. Nie masz pojęcia, jaki był

chory... a mimo to musiałem iść z nim na udry, zanim zgodzi się, by go zbadał cudzy lekarz za cudze pieniądze...!

Stąd wiem, że nigdy by mi nie powiedzieli, choćby wszyscy unikali ich jak zarazy - dodał Rafe w bezsilnym gniewie. - No i nie mam wyboru.

Muszę przekonać się na własne oczy, z której strony wiatr wieje w Shropshire. Gdyby okazało się, że plotki i oszczerstwa nie dotarły tak daleko, że wszystko się rozwiało, nie wyrządzając im krzywdy, w te pędy wracam do Londynu i z lekkim sercem staram się o rękę Annabelli. W ten sposób wszystko dobrze się zakończy - podsumował z radością i odrobiną zdziwienia. - Ale jeżeli nie... - Wzruszył ramionami, a jego twarz stała się nieprzeniknioną maską. - Zacisnę zęby i ożenię się z siostrą Erica. To dobra dziewczyna, Drum! Niczym nie zasłużyła na te wszystkie przykrości.

-Ty też - odpowiedział mu przyjaciel w zadumie. - No, cóż? To z dwojga złego lepszy pomysł niż wybicie co do nogi mieszkających w Londynie mężczyzn, a przynajmniej wszystkich, do których dotarły te plotki... Co zresztą na jedno wychodzi. Pojadę z tobą do Shropshire, jeśli można.

-Bardzo się cieszę! Dzięki, Drum. Jedziemy jutro? A może chcesz trochę wypocząć po ostatniej podróży?

-To zbyt interesujące, by zwlekać. Jutro, oczywiście!

- Muszę tylko napisać kilka słów do Annabelli. Mieliśmy w sobotę pojechać razem do Vauxhall - powiedział Rafe.

Na dźwięk jego głosu Drum podniósł głowę. Przyjaźnili się od lat i często - zbyt często - widział, jak Dalton cierpi. Ale chyba nigdy nie ujrzał na jego twarzy tak wielkiego bólu.

- Nawet lepiej, że ominie mnie ta wyprawa - rzucił szorstko Rafe, dostrzegłszy współczucie w oczach przyjaciela. - Moja gęba przypomina mielony kotlet. I porządnie mi dokucza. Ale powinno się zagoić, nim dotrzemy do Tidbury. Pomyśleć tylko! Zabite deskami Tidbury zamiast rajskich ogrodów w Vauxhall! - powiedział to takim tonem, jakby sam nie mógł uwierzyć. -I ślub z konieczności, dla wynagrodzenia porządnej dziewczynie dotkliwej krzywdy... zamiast - kto wie, może szczęśliwych? - zalotów do najpiękniejszej dziewczyny w całej Anglii... Życie jest pełne niespodzianek!

Zmarszczył brwi.

- Idę pisać liścik do Annabelli. Dostanie go zaraz po przebudzeniu. A my wyruszymy o świcie. - Wykręcił się na pięcie i odszedł, pozostawiając przyjaciela przy kominku, pogrążone

go w myślach.

Panna Wylde cisnęła na podłogę liścik przyniesiony przed chwilą przez lokaja. Czytając, czuła, że krew odpływa jej z twarzy. Hrabina pochwyciła porzucony arkusik.

-Dalton wyjechał? W sprawach „niecierpiących zwłoki”? Dokąd? - dopytywała się.

-Och, kogo to obchodzi? Sam zaprzepścił swoje szanse, jeśli w ogóle jakieś miał - oświadczyła wyniośle Annabella, odwracając się, jakby chciała raz jeszcze zerknąć do lustra. Spuściła jednak oczy, żeby matka nie mogła w nie spojrzeć. -Nie zamierzam zmieniać swoich planów z powodu wyjazdu jego lordowskiej mości! Wszyscy wiedzą, że wybieram się w sobotę do Vauxhall, więc będę w sobotę w Vauxhall! Może mi towarzyszyć równie dobrze Williams, pan Oaks albo lord Carling.

-Oczywiście, że nie zabraknie ci eskorty, moja droga! -przypadła hrabina. - Nie tylko ci trzej, ale mnóstwo innych dżentelmenów będzie do twojej dyspozycji na jedno kiwnięcie palcem. Ale jestem pewna, że lord Dalton ani myślał ci ubliżyć. Przecież szaleje za tobą! To musiała być jakaś nagła sprawa, rodzinna czy coś w tym rodzaju.

-Być może - odparła Annabella. - Oby istotnie tak było! -mruknęła i zwróciła ku matce nie tylko spokojną, ale niemal promienną twarz. - Niemniej jednak odpisałam mu bezzwłocznie, że po powrocie nie musi się już do nas fatygować. Niech wie, że nie zostawia się damy na lodzie... zwłaszcza tej damy! Nie będę przed tobą udawała, że wcale mnie to nie wzrusza, mamó. Czuję się upokorzona. Gdybym przyjęła to zdawkowe usprawiedliwienie wyrządzonego mi afrontu, Rafe miałby prawo lekko mnie traktować. Pomyślałby, że boję się wytknąć mu poważne uchybienie, żeby nie zrezygnował z zapraszania mnie w przyszłości. Nie martw się, mamó! W każdej chwili, o ile ze chcę, mogę naprawić wszystko i przyciągnąć go z powrotem. Już tak robiłam, nie pamiętasz? - spytała i chciała się roześmiać, ale ku jej wielkiemu zdumieniu głos odmówił jej posłuszeństwa.

Odchrząknęła i mówiła dalej.

- Nie wiem, czy przebaczę mu po raz drugi! Zobaczymy jeszcze. Teraz pomyślmy lepiej, kto mógłby go zastąpić - rzuciła bez troski, jakby nie zaszło nic ważnego. - Oaks jest dowcipniejszy, ale Carling tańczy wprost



bosko!

Hrabina wyraziła swą opinię o każdym z adoratorów córki. Annabella prawie jej nie słuchała. Czuła ucisk w gardle, w piersi zaś serce ciążyło jej jak bryła ołowiu. Nie podjęła wprawdzie ostatecznej decyzji co do Daltona, ale traktowała go poważnie. Być może dlatego, że dzięki niemu odzyskała pewność siebie. Względy, jakie jej okazywał, niezmiernie jej pochlebiały. Co więcej, były jej niezbędne jako ważki dowód jej atrakcyjności. Ale ten jego nowy wyskok? Zły znak, mógł okazać się zapowiedzią poważniejszych kłopotów... Dobrze wiedziała, jak wyglądają poważne kłopoty!

Była najpiękniejszą dziewczyną w Londynie. Wszyscy to powtarzali. Zyskała tytuł „niezrównanej”. I nie była głupią i płytką laleczką. Ozdobnym cackiem. Mogła się poszczycić wykształceniem, talentami i wrażliwością. Jej rówieśniczki - rozmyślała, walcząc ze łzami - które nie potrafiły tak kochać jak ona, których los nie wyposażył tak sownie, dawno temu wyszły za mąż; niektóre nawet szczęśliwie. Czemu więc ona, właśnie ona, jest taka nieszczęśliwa w miłości?!

Jedyny mężczyzna, na którym jej rzeczywiście zależało, nigdy nie traktował jej poważnie i nie starał się zgłębić tajemnicy jej serca. Wszyscy dokoła uważali ich za idealną parę, byli przekonani, że sąsiadując ze sobą od urodzenia i przyjaźniąc się od dzieciństwa, muszą prędzej czy później pobrać się. W dodatku Damon był zawsze taki miły dla niej! A jednak nie chciał jej za żonę. Właśnie on - jedyny ze wszystkich mężczyzn, którzy palili się wprost do ożenku! Nigdy nie przypuszczała, że obniży swe wymagania i zdecyduje się na coś pośledniejszego od doskonałości, której wcieleniem był Damon Ryder. A jednak ugięła się na tyle, że poważnie zastanawiała się nad poślubieniem Rafe'a Daltona. Był zakochany w niej do szaleństwa. I taki wytrwały, taki uparty w swoich staraniach o jej rękę. Intrygowały ją również rzadkie, nieoczekiwane przebłyski niezależności, które czyniły go bardziej interesującym od pozostałych wielbicieli. Miał jednak okropne włosy, grubo ciosane rysy i szorstkie maniery; nie ulegało wątpliwości, że nie dorasta Damonowi do pięt. Ale właśnie z powodu tej niedoskonałości Annabella mogła być pewna, że będzie jej dogonnie wdzięczny za to, że raczyła wyjść za niego. Było to całkiem logiczne. Czuła się dzięki temu potężna i bezpieczna. Kto jak kto, ale Rafe nigdy by



za sobą drugie i w końcu jesteś całkiem nimi oplątany. Ale nie widzę nic złego w pominięciu jakiegoś szczegółu. Mam zamiar powiedzieć jej tylko, że muszę wyjechać i że wrócę najszybciej, jak zdołam. I że ogromnie żałuję, jeśli sprawiam jej kłopot, gdyż za żadne skarby nie chciałbym jej zasmucić. To chyba powinno jej wystarczyć?

- Powinno. Ale jeśli zaczniesz dopytywać się o szczegóły?

Dalton wzruszył ramionami.

- Wtedy powiem jej wszystko. Poproszę, by okazała mi trochę zaufania. Nie wyjeżdżam przecież w tajemnicy przed nią. Kłamca tak by właśnie postąpił. To ją chyba uspokoi?

Drum skinął głową.

- Chyba tak. No, dobrze! Ponieważ tak spieszyłem się do ciebie, zjadłem w przelocie tylko kilka jaj i bochenek chleba przed wyjściem z domu. Znajdzie się u ciebie coś do przegryzienia? Przynajmniej nie umrę z głodu, zanim się ubierzesz!

Rafe roześmiał się.

- Nadal jesteś żarłoczny jak szarańcza? Na szczęście w całym tym chaosie błyska jeden jaśniejszy punkt: dorobiłem się kucharza z prawdziwego zdarzenia. Moje śniadanie należy do ciebie! Tylko się pośpiesz, bo potrafię ubrać się raz-dwa, nawet z ręką na temblaku. I zostaw jakiegoś okruszka dla mnie, zgoda?

Kilka godzin później przyjaciele wyruszyli w drogę, strzemię w strzemię.

- Jesteś pewien, że dasz sobie radę z jedną łapą na temblaku? - spytał hrabia, zanim jeszcze wsiedli na konie.

- Już prawie wyleczona. A poza tym - dodał Rafe, poklepując dereszowatego wałacha - Srokacz zna mnie lepiej niż większość moich znajomych. Dam sobie radę. Trzeba mi dużo ruchu, a na nim będę mógł pokłusować i pocwałować.

Jednakże kilka ulic przebyli w ślimaczym tempie. Znajdowali się co prawda w jednej z najwytworniejszych dzielnic Londynu, ale ulice były zatłoczone: chłopskie furmanki, załadowane po brzegi wozy dostawcze, powoziki eleganckich dam i dżentelmenów i dziesiątki szykownych jeźdźców składających poranne wizyty.

Po zbyt długim, szarpiącym nerwy oczekiwaniu Rafe zatrzymał konia

przed frontowym wejściem do londyńskiej siedziby rodziców Annabelli. Ześlizgnął się z siodła, otrzepał nieskazitelnie czysty strój do konnej jazdy i w ostatniej chwili przypomniał sobie o przygładzeniu włosów. Potem, nie rzuciwszy nawet okiem w stronę, gdzie czekał na niego nie zsiadając z konia wierny przyjaciel, szczerząc zęby jak średniowieczny maskaron, wbiegł na schody wiodące do frontowych drzwi.

Majordomus poznał go i przez sekundę na jego twarzy odbił się niepokój.

- Chciałbym się widzieć z lady Annabellą - powiedział Rafe i zamierzał przekroczyć próg.

Majordomus zagroził mu drogę.

- Muszę się upewnić, czy lady Annabellą jest w domu, mi lordzie - powiedział, unikając wzroku przybysza.

Pora była jak najbardziej odpowiednia na poranną wizytę. A twierdzenie majordoma, że musi upewnić się, czy hrabianka jest w domu, zakrawało na farsę. Nie, było czymś znacznie gorszym: zniewagą dla gościa. Rafe skinął jednak głową, cofnął się o krok i nie protestował, kiedy majordomus zamknął drzwi. Nie obejrzał się również na Druma, by zobaczyć jego minę.

Po kilku minutach drzwi znowu się otworzyły. Majordomus miał jeszcze kwaśniejszy wyraz twarzy.

-Lady Annabelli nie ma w domu, milordzie - oznajmił.

Uszy Rafe'a zapiekły go żywym ogniem. Uniósł jednak dumnie głowę.

-Rozumiem. A jutro będzie w domu?

-Zaraz się dowiem, proszę zaczekać jeszcze chwilę.

Tym razem majordomus zostawił drzwi otwarte. Dalton usłyszał gwar rozmów i wybuchy śmiechu. Annabella widocznie była nieobecna tylko dla niego. Poczł gorący rumieniec na twarzy. Gdyby w podobny sposób potraktowała go jakaś inna kobieta, odszedłby i nie wrócił nigdy więcej. Ale to była Annabella! Może obraził ją swoim listem...? Czekał więc cierpliwie.

Majordomus wszedł statecznym krokiem do salonu i zdołał się przecisnąć przez zwarte szeregi adorujących hrabiankę dżentelmenów. Zbliżył się do lady Annabelli. Odwróciła się od jednego z gości, który bawił ją jakąś anegdotką. Zawsze znał najświeższe ploteczki. Jednakże to,

co miał jej do powiedzenia majordomus, mogło mieć znacznie większe znaczenie.

Przed chwilą ten sam służący wręczył jej kartę wizytową. Zmiała ją w rękę i rzuciła z powrotem na srebrną tackę, którą majordomus jej podsunął. I oświadczyła, że dla tego pana nie ma jej w domu. Jeśli Rafe zjawiał się ponownie, i to tak prędko, widać nie zamierzał przyjąć odmowy do wiadomości. Poczula słaby dreszcz podniecenia. Zwróciła pytające spojrzenie na majordoma.

-Ten dżentelmen pyta, czy milady zechce go przyjąć jutro -powiedział bardzo cicho.

-Oho! - Wielbiciel, który gawędził przed chwilą z hrabianką, roześmiał się. - Ciekawe, któż to wypadł z łask? Zdradź mi, królowo, czym ten nieszczęśnik zawinił, bo nie chciałbym narazić się na to samo, co on!

-To nic ważnego... i nikt ważny - odparła wyniośle; nie zamierzała nikomu wyjawic, że owym banitą jest Dalton. Popsułoby to jej szyki, gdyby w przyszłości chciała się z nim pogodzić.

-Biedaczysko! - uzalił się ciekawski adorator, usiłując coś dostrzec ponad ramieniem majordoma. Zapewne wzgardzony wielbiciel czekał w hallu.

- A jeśli spyta o następny dzień z kolei? - dopytywał się majordomus.

-Jeśli spyta, to mu powiesz, że nie będzie mnie dla niego w domu ani jutro, ani pojutrze, ani w ogóle nigdy! - odparła poirytowana Annabella.

-„Jutro i jutro, i ponownie jutro”? - zacytował z wyraźną przyjemnością Szekspira wścibski gość. - Mój Boże! Cóż za nieszczęśnik!

-Właśnie! „Jutro i jutro, i ponownie jutro...” - zaśmiała się nerwowo Annabella, pragnąc zakończyć niemiłą sprawę, zanim ciekawski odkryje, kto dostał taką ripostę. - Powtórz mu to!

Majordomus ociężałym krokiem ruszył w stronę drzwi frontowych, by przekazać odpowiedź. Dalton nawet okiem nie mrugnął, usłyszawszy wszystko, z Szekspirem włącznie. Skinął głową, odwrócił się i zszedł po schodkach jak pierwszy lepszy dżentelmen, który złożył poranną wizytę, a nie jak ktoś, kogo znieważono z całym rozmysłem.

Mocno mnie przygięło, ale nie złamało - mówił sobie w duchu. Była w tej bezlitosnej odprawie jakaś żałobna symetria... nie mówiąc już o jej ostatecznym charakterze. Stało się. Ubiegał się o coś, co leżało poza zasięgiem jego możliwości... i przegrał. Trudno. Jakoś się z tego wyliże.

Dotąd zawsze mu się to udawało. Starał się nie zwracać uwagi na palący rumieniec upokorzenia i na to, jak bardzo czuł się bezradny, niepotrzebny, ośmieszony.

Drum spojrział tylko na przyjaciela i bez słowa chwycił za cugle.

Dopiero gdy pozostawili za sobą Londyn i zatrzymali się na lunch w stojącej przy głównym trakcie oberży, poruszyli drażliwy temat.

- Nie spytałeś, jak mi się powiodło - odezwał się nagle Rafe, odstawiając kufel piwa na stół i spoglądając na Druma błyszczącymi niebieskimi oczyma. - A przecież wiem, jaki jesteś ciekawski! W porządku, powiem ci. Nie chciała widzieć się ze mną. Co więcej, oświadczyła, że tę samą odpowiedź otrzymam „jutro i jutro, i ponownie jutro”. Poetyczne, nieprawdaż? I definitywne. No, cóż... niech i tak będzie. Nie zamierzam się jej naprzykrzać. Widać mierzyłem zbyt wysoko. Musiało się to zakończyć upadkiem. Im wcześniej, tym lepiej.

-Niech to wszyscy diabli! - uniósł się Drum; oczy błyszczały mu jak rozżarzone węgle. -Masz prawo sięgać na sam szczyt, Rafe! Nikt ci tego nie może zabronić!

-Sięgać owszem, ale osiągnąć...? Skończyłem z tym raz na zawsze. To mi nawet ułatwi sprawę.

-Naprawdę chcesz się ożenić z tą Fordówną? - spytał ze zdumieniem hrabia. - Nie decyduj się na łapu-capu! Annabella może jeszcze zmienić zdanie!

-Nie wierzę w to. Tak widocznie było sądzone. W każdym razie przejaśniło mi się w głowie. I mam już wolne ręce.

Ale czy w sercu też się zwolniło miejsce? - zadał sobie gorzkie pytanie i zmienił temat rozmowy, by okazane mu przez Druma współczucie nie spotęgowało bólu, który odczuwał... o ile ten ból mógł się jeszcze zwiększyć...

Było to małe miasteczko, położone w dolinie, na poboczu krętej drogi, stanowiącej odgałęzienie głównego szlaku. Podróżni docierali tam jedynie wówczas, gdy zjechali z traktu. W centrum miasteczka znajdowało się gminne błonie, ze stawem i stadkiem kaczek dla ozdoby.

Stary kościół, dopraszający się generalnego remontu, stanowił odpowiednik ruin położonego na górkach zamku. Przy dwóch ulicach, którymi miasto mogło się pochwalić, znajdowało się aż pięć sklepów. Była tam również kuźnia i oberża, w której teoretycznie podróżny mógł zatrzymać się

na noc; w rzeczywistości pomieszczenia te wiecznie świeciły pustką. Brenna ubrała się na wyprawę do miasteczka tak, jakby zmierzała zadać szyku w Regent's Park, a nie przejść się po głównej (pożal się Boże!) ulicy Tidbury. Włożyła różową suknię spacerową i modny kapelusik jak na spotkanie ze śmietanką londyńskiej elity zamiast kilkorgiem sąsiadów z prowincjonalnego miasteczka. Trzymała się tak godnie i z taką uwagą niosła koszyk ze słomy, jakby w jego wnętrzu znajdowały się kruche szklane czy kryształowe cacka, choć jedynym jej sprawunkiem tego dnia była tekturka z tuzinem szpilek do włosów.

- Trzymasz się tak prosto, jakbyś kij połknęła - szepnął jej wesoło brat, gdy szli wolnym krokiem po ulicy Głównej. - I idziesz jak na ścieżce. Odpręż się, dziewczyno! Jesteśmy wśród przyjaciół!

Brenna zwróciła ku niemu głowę w eleganckim kapelusiku. Nakrycia głowy tego rodzaju nazywano (i słusznie!) „wiaderkami na węgle”. Ich kształt uniemożliwiał oglądanie twarzy; Ericowi mignął tylko od czasu do czasu profil siostry. Zdołał jednak zauważyć, że Brenna się nie uśmiecha. Wargi, zazwyczaj lekko rozchylone, zacisnęła w twardą, wąską kreskę.

- Daisy wróciła dziś rano z Tidbury bardzo zdenerwowana - oznajmiła.

Ford zmarszczył brwi. Siostrzyczka była zdyszana. Po takim krótkim spacerze...? I głos jej się zmienił... Pewnie to nerwy.

- Spytałam Daisy, co się stało - mówiła dalej Brenna. - Od powiedziała „nic”. Najlepszy dowód, że przejęła się czymś, co ma związek z nami. Mimo woli przyszło mi do głowy, że londyńskie plotki dotarły aż tu... - Zwiesiła głowę i patrząc pod nogi, kontynuowała: - O Rafie i o tym skandalicznym zajściu... Wiem, że to nieprawdopodobne, pewnie jestem niemądra... Ale rozkazałam Daisy, by wyjaśniła mi, co ją tak przygnębiło. Po wiedziała tylko: „Niektórzy mieli ozorami od rana do nocy

bez żadnej potrzeby. I tyle, proszę panienki!". Sama już nie wiem, co o tym sądzić.

-Pomyśl, że skrećę kark każdemu, kto powie choć jedno złe słowo o mojej siostrze - odparł Eric. - Siły wracają mi z każdym dniem, więc dam sobie radę! Ale to nie do pomyślenia, by pogłoski o drobnym skandaliku w Londynie dotarły aż tu! To po prostu niemożliwe! Przecież tu nikt nawet nie słyszał o Daltonie ani o naszych odwiedzinach w jego domu! Jeśli ludzie gapią się na ciebie, to tylko dlatego, że jesteś tu największą sensacją od czasów Wilhelma Zdobywcy! Pomyśl tylko: opuściłaś rodzinne strony i nie było cię tu przez dłuższy czas. Dotarłaś aż do Indii, podczas gdy większość mieszkańców Tidbury nie była nawet w Londynie! W dodatku ubrałaś się dziś jak na przyjęcie w królewskim pałacu, a nie na wizytę u krawcowej. Wyglądasz przepięknie, siostrzyczko! Odpręż się. Nikt tu nie zna twoich grzesznych sekretów!

Brenna skinęła głową. Ale jej milczenie wyraźnie świadczyło o tym, że mu nie uwierzyła. Szli dalej. Napotkany kowal skłonił się na powitanie, ale gapił się na Bren tak, jakby nie mógł oderwać od niej oczu. Brenna poczuła lekki niepokój. Uczucie to nasiliło się, kiedy pani Hubble i jej przyjaciółka, pani Brent, powitały Erica zdawkowym kiwnięciem głowy, spojrzały bez słowa na nią i pospiesznie odwróciły wzrok. Na widok Johna Taylora Bren odetchnęła z ulgą. (Nawet nie wiedziała, że bezwiednie wstrzymuje dech!) John był starym przyjacielem.

- Toż to Eric! - wykrzyknął Taylor z niewątpliwą radością. Podbiegł i uścisnął rękę przyjaciela. - Miło cię znowu widzieć! Dochodziły do nas różne słuchy o twojej chorobie... A tu na nagle zjawiasz się zdrowy i cały! Ależ się Jane ucieszy, jak jej o tym powiem! Nie przyszedłem cię odwiedzić... bo dopiero teraz dowiedziałem się, żeś wrócił. Pogadałbym z tobą dłużej, ale Jane mi przykazała, żebym zaraz wracał z pocztą! Muszę lecieć, bo mi uszy oberwie. No to trzymaj się, Ericu, i zajrzyj do nas niebawem...! A, to pani, panno Ford? - wymamrotał z wyraźnym przymusem, nie patrząc na nią. Uchylił zdawkowo kapelusza i odszedł, nim zdążyła coś powiedzieć.

Brenna zwróciła przerażoną twarz do brata.

- John tak się ze mną przywitał?! „Panno Ford”, i nawet na



mnie nie spojrział! Och, Ericu!

Ford spogląda] w osłupieniu za dawnym przyjacielem.

- Otóż i jeden z tych, co „mielą ozorami bez żadnej potrzeby” - powiedział po namyśle. - Ale z Johna młody żonkoś, a wiesz, jaka Jane bywa despotyczna. Nie przejmuj się, Bren! To nic takiego!

Jednak reakcję proboszcza na ich widok trudno byłoby zbyć zwrotem „to nic takiego!”. Wielebny urządził całe przedstawienie. W pierwszej chwili na ich widok omal się nie uśmiechnął. Potem zatrzymał się, wyciągnął zegarek, demonstracyjnie sprawdził godzinę. Zgrywając się jak podrzędny aktor, udał zdziwienie i przestraszony, odwrócił się i ruszył niemal pędem, jakby się spóźnił na ważne spotkanie.

Tym razem Eric nachmurzył się wyraźnie.

- Zawsze był z niego dureń i tchórz, mięczak bez charakteru! Zawsze! Nawet kiedy chodziliśmy razem do szkoły. Już ja sobie z nim porozmawiam! Mam pełne prawo jako dawny kolega. Idź teraz do krawcowej, jak sobie zaplanowałaś. Przyjdę tam po ciebie.

Dzwonek nad drzwiami sklepu z konfekcją, a zarazem pracowni krawieckiej brzęknął, gdy panna Ford weszła do środka. Było to niewielkie pomieszczenie, nie mogła więc cofnąć się niepostrzeżenie. Dwie klientki aż podskoczyły na jej widok. Trzymająca szpilki w ustach panna Timmons, krawcowa, nie mogła się odezwać. Zrobiła jednak wielkie oczy.

Pierwsza oprzytomniała Jenny Slack. Była to chuda kobieta w wieku Brenny; odziedziczyła po matce nie tylko dom, ale i sławę największej plotkary w całym mieście.

-Brenna Ford! - wykrzyknęła i aż się zachłysnęła. - Wróciła z Londynu!

-Prawdę mówiąc, wróciłam z Indii, ale rzeczywiście po drodze wpadłam do Londynu - poprawiła ją Brenna. - Witaj, Jenny. Co tam u ciebie słychać?

-To, co zawsze - odparła pani Slack, mierząc przybyłą od stóp do głów, oceniając każdy szczegół z szybkością błyskawicy. - Za to u ciebie...! O, mój Boże! Prawdziwa z ciebie bohaterka! - zawołała, chwytając kościstymi, lodowatymi rękoma dłonie Brenny. - Jak to dobrze, że

dotarłaś wreszcie bezpiecznie

do domu po tych wszystkich podróżach! Niech sobie ludzie gadają, co chcą, ja zawsze powiem, że jesteś dzielna jak mało kto!

-W Indiach wcale nie było tak niebezpiecznie - odparła Brenna, bardzo zadowolona z normalnej rozmowy. Normalnej i życzliwej. Choć nigdy by się do tego przed Erikiem nie przyznała, w cichości ducha również uważała, że jej wyjazd do Indii był godnym podziwu wyczynem. - Co prawda szerzą się tam różne choroby i można się zarazić, niekiedy zdarzają się tam różne kataklizmy, a tubylcy nie mają lekkiego życia... Ale stacjonuje tam nasza armia i pilnuje ładu i porządku. Najważniejsze jednak, że udało mi się przywieźć Erica do domu! Uważam więc, że opłaciły się wszystkie trudy.

-Ale kto by tam mówił o Indiach?! - przerwała jej zdumiona Jenny. - No, może z wyjątkiem ogromnej straty, która cię tam spotkała...

Brenna uwolniła rękę z lodowatego uścisku i cofnęła się o krok.

-Przecież Thomas poległ w Hiszpanii - powiedziała szeptem. - I tyle lat już minęło...

-Tak, tak... ale kto mógłby zapomnieć o waszej tragedii? Byliście tacy zakochani, tacy do siebie dopasowani ... - westchnęła jej rozmówczyni. - Od razu się to rzucało w oczy! A potem go straciłaś... Myśleliśmy, że nigdy tego nie przebolejesz... A tu masz! Wyjeżdżasz do Indii i w kilka miesięcy tracisz drugiego narzeczonego! Biedna dziewczyno! Wszyscyśmy o tym słyszeli, możesz być pewna! - kontynuowała pani Slack z przejęciem, dostrzegając osłupienie na twarzy Brenny. - Co prawda pisałaś, a twoi rodzice powtarzali, że rozstaliście się za obopólną zgodą, po przyjacielsku... Ale my wiedzieliśmy lepiej, jak musiało ci być ciężko, biedactwo! Kuzyn Terrance Smith służy w wojsku w Indiach; opisał jej dokładnie, co i jak się tam zdarzyło, a ona nam powtórzyła.

Brenna znów cofnęła się o krok, ale zatrzymała się, słysząc, że drzwi tuż za nią otwierają się.

-O, to ty, Ericu! - radośnie przywitała go Jenny. - Mówiłam właśnie Brennie, jaka z niej bohaterka! Że też się odważyła..

[brak tekstu]

Musiała być jakaś ważna przyczyna, jeśli Brenna zrobiła z siebie takie

zenujące widowisko...! Nie mówię tego o tobie Ericu, ani o moim droгим mężu, ale my, kobiety, dobrze wiemy, że największą winę w takich sprawach ponosi zawsze jakiś chłop!

-Jaka wina? Co za widowisko? - spytał Ford podejrzenie łagodnym głosem.

-Mówię o tym skandalicznym zajściu w domu lorda Raphaela Daltona, oczywiście! - odparła zaskoczona pytaniem Jenny. - Czy wydarzyło się tam coś więcej?!

-Nie, Ericu! Nie możesz skrócić Jenny chudej szyi! - odparła Brenna z nieco histerycznym śmiechem, gdy siedzieli już w powozie i wracali do domu. - Prawo tego zabrania, wiesz? A Jenny zawsze była okropna! Nigdy ci nie wybaczyła, że nie zwracałeś na nią uwagi, kiedy była jeszcze wolna. Tym chętniej mnie oświeciła, jakie tu krążą plotki na mój temat. I jeśli o to chodzi... - Brenna wysunęła brodę do przodu; nie ukrywała już wyrazu twarzy, przed bratem nie musiała się maskować. -... rada jestem, że to uczyniła. Przynajmniej wiem, jak sprawy stoją.

-Zrozumiałaś w końcu, że musisz za niego wyjść? Nareszcie, Bogu dzięki! - powiedział Eric. Zacisnął ręce na cuglach, całkiem bez potrzeby. Ich stary koń znał drogę na pamięć i dowiozłby ich sam, bez woźnicy, statecznym truchtem.

-Co takiego? Wcale nie to miałam na myśli - zaprzeczyła jego siostra ze znużeniem. - Po prostu wolę wiedzieć, co o mnie myślą i mówią. Łatwiej mi będzie uporać się z tym. Ale jak nie dopuścić do tego, by mama i tata dowiedzieli się o wszystkim...?

-Temu nie zdołamy zapobiec - odparł Eric, zaciskając gniewnie usta.

-Musimy! - upierała się Brenna. - Nie możemy pozwolić, by tatuś popędził do Londynu ze szpicrutą w garści, by wybatożyć Rafe'a! Kiedy tatusiowi się wydaje, że ktoś nas znieważył, zapomina o swoim wieku i o zdrowym rozsądku! Przecież nie ma mowy o żadnej zniewadze!

-Musisz za niego wyjść, dziecino - powiedział łagodnie -Eric, spoglądając na siostrę. Zauważył, że kurczowo zaciska leżące na kolanach ręce. - Rafe to porządny chłop i postąpi tak, jak powinien.

- Powinien ożenić się z kobietą, którą kocha! - obstawała

uparcie przy swoim Brenna. - Ale dajmy temu spokój. Sama wszystko wytłumaczę rodzicom. Na pewno zrozumieją! Kochają mnie naprawdę.

-A ja nie?!

- Aż za bardzo... i dlatego nie rozumiesz, że nigdy nie byłabym szczęśliwa, gdybym pozbawiła kogoś tak dobrego jak Rafe wszelkich nadziei na szczęście! Nie sprzeczejmy się, Ericu! Sam zobaczysz, co z tego wyniknie.

I rzeczywiście zobaczył. Przez sekundę odczuwał gorzką satysfakcję, że jego przewidywania sprawdziły się. Gdy wrócili do domu i zasiedli do herbaty, Brenna wyjaśniła rodzicom sytuację.

-Teraz już wszystko rozumiem! Nie popełniłaś nic zdrożnego - zawyrokował ojciec dudniącym basem, kiedy córka skończyła swą opowieść.

Pułkownik Alexander Ford był wysoki, jasnowłosy i przystojny - podobnie jak jego pierwsza żona i syn. Obecnie w jego włosach było więcej srebrnych niż złotych nitok, a umykający czas odebrał mu nieco krzepy. Ale głos Forda seniora nie utracił nic ze swej siły.

-Ale te plotki w miasteczku... - zaczęła znów Brenna.

-Do diabła z plotkami! - odparł ojciec, uderzając pięścią w stół dla większego efektu. Serwis do herbaty aż podskoczył. Mama Brenny spojrzała na męża z wyrzutem. Zrobił niemądrą i skruszoną minę, która zupełnie nie pasowała do jego zwalistej postury, i zaczął ścierać serwetką kałużę herbaty ze stołu. - Powiadasz, że go nie chcesz? To mi wystarczy! - burknął do córki. - Pomyliłaś się i tyle! Lepiej się do tego przyznać, niż

obstawać przy swoim i brnąć w dalsze kłopoty. Nie pozwolę, żebyś się związała z byle durniem tylko po to, żeby ocalić reputację!

W Brennę jakby piorun strzelił.

- No właśnie! - poparła męża druga pani Ford, drobna, ciemnowłosa kobietka, nadal urocza mimo średniego wieku. Była zresztą o wiele młodsza od męża.

Pierwsza żona Alexandra Forda towarzyszyła mu wszędzie, dokąd udawała się armia. Jak wiele oficerskich żon pani pułkownikowa przemierzała bojowe szlaki, by nie rozstawać się z mężem. Ta wspaniała,

podobna do płowozłotej lwicy kobieta zmarła w młodym wieku na jedną z trapiących to koczownicze grono chorób. Była to prawdziwa tragedia. Wszyscy jednak twierdzili zgodnie, że los okazał się wyjątkowo życzliwy dla pułkownika Forda, stawiając na jego drodze zachwycającą małą wróżkę, która uleczyła jego złamane serce. Eric i Brenna najlepiej wiedzieli, że tak było w istocie.

O Brennie Ford mówiono, że swą cygańską urodę odziedziczyła po walijskiej matce, posturę po przypominającym Wikinga ojcu, a cholerny upór po obojgu rodzicach. Alexander Ford, który od dawna już rozstał się z czynną służbą, zwykł mawiać, że iskry, które krzeszą dwie jego czarnuszki, utrzymują go w młodzieńczej formie. One twierdziły natomiast że to jego piekielny upór nie pozwala mu zestarzeć się przykładowo. Pułkownik zaś kwitował, że nigdy by nie śmiał sprawić im takiego zawodu i zramoleć!

- Naprawdę poprosił cię o rękę? - wzięła córkę na spytki Maura Ford.

-Niech by nie poprosił! - zahuczał groźnie ojciec.

-Oświadczył się jej nie raz - zapewnił Eric. Brenna potwierdziła to skinieniem głowy.

-A ty odmawiałaś mu za każdym razem? - upewniła się matka. - No to w porządku! Każda plotka w końcu wygasa. Niekiedy po kilku, czasem po kilkudziesięciu latach, ale wygasa. A małżeństwo to dożywotni wyrok, nawet jeśli szczęście dopisze. - Spojrzała czule na męża. - Ale związać się na resztę życia z jakimś wulgarnym prostakiem i gburem?! Brrr! Z każdym mężem ma się kłopoty, nawet jeśli się go kocha. Uśmiechnęła się do swego małżonka. - Lecz bez miłości?! jakie muszą być okropne intymne chwile z niekochanym mężczyzną! A jeszcze gorsze miesiące, gdy nosisz pod sercem jego dziecko... a potem musisz je wychowywać! Wzdrygnęła się nieco teatralnie.

- To doprawdy byłaby zbyt wysoka kara za niewielki grzeszek! A tak, to ucierpi na tym tylko twoja opinia... I nasza, ma się rozumieć... A zapewne i twego brata! Ale z Erica taki czarujący łotrzyk, że mimo wszystko będzie mógł wybierać i przebierać... - Pani Ford zawiesiła głos, a po chwili ciągnęła z nieco większym smutkiem: - W każdym razie znajdzie sobie

w końcu całkiem przyzwoitą żonę. Nie martw się, Bren! Eric jakoś sobie poradzi, choćbyś nawet kogoś zamordowała, a ty przecież dostałaś się tylko na ludzkie języki! Niech sobie gadają w całej Anglii, żeś próbowała uwieść jakiegoś tam lorda!

W jej ujęciu brzmiało to koszmarnie.

Eric zerknął zniechęcony na ojca i dostrzegł podejrzany błysk w jego oczach. Rozpoznał również dobrze mu znane niewinne spojrzenie macochy. Odprężył się. A więc to tak?! Widocznie plotki dotarły do nich wcześniej. A oni wrócili do swych starych sztuczek! Jak daleko sięgnął pamięcią, wszelkie decyzje, które rzekomo podejmowali na oczach dzieci, były uprzednio starannie przemyślane. Oczy Erica również roziskrzyły się wesołością.

Ale jego siostra spoglądała na rodzicielkę z przerażeniem.

-Postąpiłaś słusznie, Brenno! - zapewniła ją mężnie matka. -Bez względu na to, ile będzie to kosztować całą rodzinę.

-Nie pojmuję, Ericu, jak mogłeś narazić siostrę na kontakty z kimś takim, jak ten twój „przyjaciel”! - Pułkownik spojrzał groźnie na syna.

Ten ukrył rozbawienie pod maską zmieszania i skruchy.

-Nie sądziłem... Nie miałem zamiaru pozostawiać Brenny pod jego wyłączną opieką... Ale byłem chory i...

-Eric nie ponosi żadnej winy! - Brenna pospiesznie ujęła się za bratem. - Absolutnie żadnej! A Rafe... to znaczy lord Dalton, wcale nie jest prostacki, grubiański ani wulgarny, jak mówiliście.

Wręcz przeciwnie! Trudno o miłszego człowieka: wielkoduszny, troskliwy... i świetny z niego kompan! Na pewno byś go polubił, tatusiu! To mężny oficer i prawdziwy dżentelmen. A tobie, mamó, z pewnością spodobałyby się jego maniery: jest naturalny, uroczy, nie ma w nim ani śladu pozy czy hipokryzji. Nie hołduje niewolniczo modzie, ale zawsze wygląda tak, jak powinien. To szlachetny, z gruntu dobry człowiek! Głos jej był coraz smutniejszy, coraz cichszy.

- Na tym właśnie polega cały problem. Jest zbyt dobrym człowiekiem, by tak go unieszczęśliwić. Nie mogę przyjąć jego oświadczeń. On kocha inną! - zakończyła i wbiła wzrok w podłogę, jakby nagle dostrzegła na niej coś niezwykle interesującego.

Całe rozbawienie opuściło Erica. Uśmiech jego ojca znikł. Wesołe iskierki

w oczach matki Brenny zgasły.

- Ach, tak... - rzekła Maura Ford. - Rozumiem... No, cóż...  
Musimy jakoś uporać się z tym sami.

Nie wspomniała, że nie po raz pierwszy znaleźli się w podobnej sytuacji.  
I tak wszyscy troje o tym wiedzieli.

Brenna skinęła tylko głową; obawiała się, że głos odmówi jej posłuszeństwa. Pod pierwszym lepszym pretekstem wybiegła do ogrodu. Rodzice i brat przyglądali się bezradnie, jak krąży po alejkach. Byli równie bezradni wówczas, gdy pierwsza miłość Brenny skończyła się tragicznie. Thomas Powers był także żołnierzem. Taki młody... zaledwie o cztery lata starszy od siedemnastoletniej wówczas Bren, której ślubował wieczną miłość dwa miesiące po pierwszym spotkaniu. Tom był wysokim, trochę niezdarnym młodzieńcem, ale w wojskowym mundurze prezentował się wspaniale. Brenna nie pamiętała już, o czym wtedy rozmawiali i z czego śmiali się tak serdecznie. Nie pamiętała nawet, czy łączyły ich wspólne zainteresowania i poglądy. To wszystko nie miało wówczas dla nich znaczenia. Nie istniało nic prócz wzajemnego zauroczenia. Powers był jednym z przyjaciół Erica, porządnym chłopcem z dobrej rodziny. I choć Brenna nie miała jeszcze za sobą londyńskiego debiutu, a doświadczenie Toma ograniczało się do kilku tańców z panienkami z tej samej sfery, rodzice i krewni obojga byli zachwyceni, gdy młodzi postanowili się pobrać. Wydawali się wręcz stworzeni dla siebie.

Okrutny los sprawił, że nigdy nie przekonali się, czy tak było w istocie. Pięć miesięcy po zaręczynach Powers wyjechał z wojskiem do Hiszpanii i już stamtąd nie powrócił. Brenna zaś nigdy nie odzyskała nadwerżonej w okresie narzeczeństwa reputacji. Byli młodzi i pełni życia, i choć starali się nie afiszować ze swymi uczuciami, ich miłość wydawała się postronnym nieprzyzwoicie gorąca. Gdyby Tom wyjechał do Hiszpanii wcześniej, po jego śmierci wszyscy współczuliby Brennie, zamiast nią gardzić.

Problem polegał na tym, że oboje kochali się namiętnie, a byli kompletnie niedoświadczeni. Pragnęli się wzajemnie, mimo to nigdy nie złamali wpajanych im od dzieciństwa zasad moralnych. A to, co uważano w całej okolicy za dowody grzesznego związku, było jedynie wyrazem

rozpaczliwej, niespełnionej namiętności.

Gdy w towarzystwie Tom przelotnie dotknął ramienia Brenny lub przesunął palcem po jej policzku, oboje stawali w płomieniach. Kiedy zaś ona rzuciła mu spojrzenie pełne miłości, czytała z jego oczu, że poszedłby za nią na kraj świata. Ilekroć byli sam na sam, padali sobie w objęcia. Nigdy jednak nie pozostawali sami dłużej, a ich sekretne uściski podpatrywano i komentowano.

Brenna pamiętała tamte niecierpliwe, gorące pieścizoty i długie, wilgotne pocałunki. Ich młodzieńczy romans pełen był tęsknoty i niespełnionych pragnień. Kiedy patrzyli na siebie przez całą długość pokoju, od ich spojrzeń płonęło rozdzielające ich powietrze.

Na trzy dni przed wyjazdem Powersa spotkali się sam na sam. Dołożyli starań, by nikt im nie przeszkadzał w tej ostatniej randce. Tom oznajmił rodzicom, że musi jeszcze dokupić to i owo z niezbędnego wyposażenia. Brenna zmyśliła, że chce odwiedzić jedną z przyjaciółek. Żadne z nich do tej pory nie okłamywało swoich bliskich. Kiedy więc spotkali się zgodnie z umową w opuszczonej stodole, oboje drżeli w poczuciu własnej niegodziwości. I z nieodpartego pożądania.

Tom rozpiął suknię ukochanej aż do pasa; kiedy upadli oboje na słomę, spódnica Bren sama podjechała do góry. Chłopak ściągnął kurtkę, rozpiął z przodu koszulę i spodnie. I wówczas oboje uświadomili sobie, jak bliscy byli popełnienia śmiertelnego grzechu. Tom przetoczył się na plecy; jedną rękę przyłożył do rozpalonego czoła, drugą zakrył wstydliwie swą nagość.

Brenna, opierając się na ramionach, pochyliła się nad ukochanym.

-Co się stało? - spytała. - O co chodzi?

-O cóż by? O to! - zaśmiał się ochryple. - Wybraliśmy się z tym nie w porę: i za późno, i za wcześnie! Och, Bren...! Powinienem być ożenić się z tobą kilka tygodni temu, jak chciałaś. Tylko że... - Odwrócił się, walcząc z pokusą dotknięcia narzeczonej. Objął głowę drżącymi rękoma. - Nie chciałem zawiązywać ci życia... może zostałabyś sama z naszym dzieckiem...? Idę przecież na wojnę...! Byłoby nam jeszcze trudniej rozstać się...

-Mogłabym pojechać za tobą - odparła z zapałem, jak zawsze, ilekroć w ich rozmowie wypłynął ten problem.

-Mogłabyś, ale nie zrobisz tego, Bren! - rzekł Powers, Zapinając koszulę i



wsuwając ją w spodnie. - Nie pochodzę z żołnierskiego rodu. Nie chcę, by moja żona włączyła się za wojskiem jak markietanka! Pragnę, byś tutaj, w domu, czekała bezpiecznie na mój powrót. Dzięki temu zachowam spokój ducha i będę mógł sprawnie wykonywać rozkazy. Wrócę do ciebie, Bren, i będziemy się kochać dzień i noc. Ale nie teraz. To byłby grzech!

Słowa Toma podziały na nią jak kubek lodowatej wody, gasząc płomienie namiętności. Ona też wiedziała, że to byłby grzech. Lecz popełniłaby go, byle sprawić radość Tomowi. Wyglądało jednak na to, że on wcale się z tego nie ucieszył. Niespełnione pożądanie sprawiło, że wibrowała jak napięta struna. Rozdzierana sprzecznymi emocjami siedziała przez chwilę z głową na ramieniu narzeczonego. Potem zapięła stanik i obciągnęła spódnicę. Wyszli, trzymając się za ręce, wsiedli do dwukółki i wrócili do domu. Trzy dni później Tom odjechał. I nigdy już nie wrócił.

Czekała na niego cierpliwie, przechowując listy, skreślając w kalendarzu każdy miniony dzień. Dziwiło ją trochę czemu z upływem tygodni coraz więcej osób w miasteczku przygląda się jej z nieskrywanym zaciekawieniem. Zgodnie z ówczesną modą nosiła suknie z podwyższonym stanem przewiązane wstążką tuż pod biustem, niżej zaś opadające luźny mi fałdami. Smukła dziewczyna o bujnych, sprężystych piersiach mogła w takim stroju z powodzeniem zamaskować to i owo. Brenna jednak nie miała pojęcia, o co ją podejrzewają, do chwili gdy - udając się na górne pięterko w trakcie jakiegoś przyjęcia - podsłuchiwała niechcący rozmowę kilku dziewcząt.

- Minęło już siedem miesięcy i nic! Mam u ciebie napałek i trzy tekturki szpilek - upomniała się jedna z nich.

-Może dziecko jest bardzo małe? - zastanawiała się inna.

- Moim zdaniem nie będzie żadnego dziecka - wtrąciła się trzecia. - Ależ z niej szczęściara? Pomyśleć, ile Tom włożył w to trudu! Ale Brennie uszło na sucho, więc przegrałaś i teraz płac. Nie ma dzieciaka, i już!

Dziecka istotnie nie było i na tym sprawa powinna była się zakończyć. Jednak reputacja Bren pozostawała zaszargana. Zwłaszcza że Tom nie wrócił, by się ożenić. Tylko on mógłby przywrócić Bren do czci. Ale padł w boju rok po wyjeździe z Anglii.

Okolicznym plotkarzom zrobiło się trochę głupio, gdy dotarła do nich wieść o jego śmierci. Jednak pamięć dawnego skandalu wciąż kryła się za uprzejmymi uśmiechami dawnych przyjaciółek Brenny i wszystkich jej sąsiadów. Nie mieli pojęcia, jak rozpaczała po stracie narzeczonego, jak gorzko żałowała, że tamtego pamiętnego dnia nie kochała się z nim, choćby to był najstraszliwszy grzech. Jak bolała nad tym, że zmarł tak młodo, nie zaznawszy wymarzonego szczęścia.

Plotkarze nie wiedzieli o tym, a gdyby próbowała im to wyjaśnić, nigdy by jej nie uwierzyli. Mieli przecież niezbite dowody: widzieli na własne oczy, jak zachowuje się ta para przy ludziach, i wyobrażali sobie bardzo dokładnie, co wyrabiają sam na sam. Rówieśnice Brenny dobrze wiedziały, jak same zachowałyby się na jej miejscu, i mierzyły ją własną miarką. A mężczyznom robiło się gorąco na samą myśl, że mogliby pójść w ślady Toma.

Ostatecznie przyjaciółki i znajome trzymały się od panny Ford na dystans, a młodzi mężczyźni ochoczo zbiegli się do niej, gdy minął okres żałoby. Odrzucała jednak wszystkie zaloty; kilku adoratorów dostało nawet po gębie.

Nic dziwnego, że zniechęcili się i poszukali sobie innych dziewcząt.

Rodzice wysłali Brennę do ciotki mieszkającej w Londynie, w nadziei, że znajdzie tam męża. Była córką żołnierza, siostrą żołnierza i niewiele brakowało, by została również żoną żołnierza. Trudno się więc dziwić, że wykpiwała dandysów i fircyków, i błagała rodziców w każdym liście, by pozwolili jej wrócić do domu. Wreszcie zgodzili się, nie mogąc znieść myśli, że ich dziecko tak cierpi. Odmówiła kategorycznie wzięcia udziału w następnym londyńskim sezonie. Może kiedyś, gdy wojna się skończy, a jej brat wróci do domu. Jednak po zakończeniu wojny Eric zamiast do domu wybrał się do Indii. I pewnego dnia Brenna nagle uświadomiła sobie, że ma już dwadzieścia dwa lata i nadal jest niezamężna.

Głównym powodem jej wyjazdu do Indii była oczywiście choroba brata i szczerze pragnienie udzielenia mu pomocy. Jednakże opuszczała rodzinne strony dość chętnie, a podróż na koniec świata wcale jej nie przerażała. Rodzice sprzeciwiali się jej zamiarom, ale nie tak gorąco, jak się spodziewała. Kochali ją i pragnęli, by wyszła za męża. Ericowi nie brakło

przyjaciół. Za jednego z nich - Toma - Brenna omal nie wyszła. Dobrze wiedzieli, jak gorące i czułe jest serce córki. Może trafi się jej jeszcze jeden...?

Trafił się.

Spencer Fry był przyjacielem Erica. Średniego wzrostu, mocno zbudowany młodzieniec nie odznaczał się niezwykłą urodą, bogactwem ani inteligencją. Miał jednak ciepły uśmiech i sprawiał wrażenie rozsądnego i zaradnego. Konsekwentnie dążył do obranego celu. Tak się przynajmniej zdawało. Brenna potrzebowała przewodnika, który wskaże jej drogę, a Spencer pragnął nim być. Całe dni spędzała w szpitalu przy bracie. Eric był tak ciężko chory, że prawie go nie odstępowała. Wieczóory upływały jej bardzo spokojnie w domu siostry Spencera i jego szwagra.

Prawie nie zwiedzała Indii, nie stykała się z innymi ludźmi. Za to Spencer zjawiał się każdego dnia. Coraz bardziej ceniła sobie jego rady i jego niekrepujące towarzystwo. Cieszyła się na kolejny wspólny wieczór. Niekiedy zabierał ją na spacer. Pocalunki Spencera nie podniecały jej, ale bardzo lubiła jego śmiech. Była przekonana, że zawinęła do bezpiecznej przystani.

Doszli do porozumienia, choć nie byty to oficjalne zaręczyny. Brenna nie miała pojęcia, że Fry jeszcze przed jej przyjazdem był w bardzo bliskich stosunkach z inną panną, lekkomyślną córką jednego z wyższych oficerów. Kiedy tamta powiadomiła go, że spodziewa się dziecka, złożył Brennie pożegnalną wizytę. Powiedział, że muszą się rozstać, i wyjawiał przyczynę zerwania. Zaklinał się, że kochał tylko ją. Został jednak schwyty w pułapkę i nie mógł się wywinąć.

No, cóż... kolejny narzeczony okazał się kochankiem innej kobiety, którą ze względu na honor musiał poślubić. A ja pozostałam znów sama, tym razem na zawsze... - myślała posępnie Brenna, krążąc niespokojnie po ogrodzie. Czyli kobieta mająca za nic swój honor, poświęcająca go bez skrupułów, by zdobyć męża, góruje nade mną!

Na świecie nie ma sprawiedliwości. Przestań jej wreszcie szukać! - nakazywała sobie. I nie myśl nawet o lordzie Raphaelu Daltonie! To szczyt głupoty...! Ale od śmierci Thomasa nikt nie pociągał jej do tego stopnia... W sposobie bycia przypominał nieco Spencera, ale przewyższał

go pod każdym względem. Tym lepiej! Będzie godnym partnerem dla najpiękniejszej z londyńskich dam, ty idiotko! - rugała się w myślach, błędząc po ogrodowych ścieżkach, wściekła na siebie i na cały świat, a przede wszystkim na okropieństwo zwane miłością.

10

- Otóż i nasza tętniąca życiem metropolia! - rzekł Drum, rozglądając się dokoła, gdy obaj z Rafe'em, strzemię w strzemię, jechali główną ulicą miasteczka. - Myślisz, że mają tu jakąś oberżę? A może przyjdzie nam rozbić namioty na miejskim błoniu?

-Jest zajazd - odparł Dalton, spoglądając przed siebie. - Nic nadzwyczajnego, ale nie zabawimy tu długo.

-Zamierzasz przerzucić pannę Ford przez siodło jak Saracen brankę i pocwałować z powrotem do Londynu? - spytał z zainteresowaniem hrabia.

-Jeśli okaże się to konieczne.

Nie dostrzegłszy żadnego forysia ani stajennego, uwiązali swe wierzchowce przed oberżą i weszli do środka. Ani żywej duszy! Ich kroki dudniły na niczym nieosłoniętych deskach podłogi. Rozglądali się dokoła, czekając na pojawienie się oberżysty. Budynek był oszalowany w stylu Tudorów, wewnątrz panował chłód i mrok. Pachniało - dość przyjemnie - piwem i dymem. Sklepienie było niskie, a ogólna sala jadalna zajmowała większą część parteru. Stały w niej drewniane stoły i proste krzesła. Kominek był okazały, ale nie płonął na nim ogień, gdyż letni dzień nie dobiegł jeszcze końca. Bielone wapnem ściany zachowały nieskazitelną czystość, nigdzie nie było śladu kurzu, brudu czy choćby pajęczyny zwieszającej się z wyeksponowanych stropowych belek z czarnego dębu.

W drzwiach w głębi sali ukazał się oberżysta. Na widok przybyszów doznał prawdziwego wstrząsu. Natychmiast jednak oprzytomniał, ukłonił się w pas, jakby miał przed sobą synów królewskich, a nie dwóch dobrze ubranych, lecz mocno zakurzonych podróżnych.

Niezmiernie uradowany perspektywą wynajęcia na noc dwóch izb, oberżysta zaczął je wychwalać; przysięgał, że ulokuje gości w najlepszych

pokojach.

- Są na piętrze! Zechciejcie sami się przekonać, łaskawi panowie, i rozgościć w nich. A potem zapraszam na dół, na kufelek piwa. Sam je utoczę z beczki. Teraz trochę tu pusto... ale pod wieczór schodzą się poczciwi ludziska z całego miasteczka, żeby pogwarzyć przy moim piwku.

-Z przyjemnością go spróbujemy - odparł Rafe.

-Czy obiadem też mogę służyć? Nie potrzebują się jaśnie panowie bratać z prostymi wieśniakami, mamy tu oddzielny salonik dla specjalnych gości - dodał oberżysta, zmierzyszy ponownie wzrokiem nowo przybyłych i oceniwszy doskonałą jakość ich podróżnego stroju.

-Obiad zamawiamy, jak najbardziej! Zgłodnieliśmy po długiej podróży i oddamy pełną sprawiedliwość tutejszej kuchni. Ale zjemy w ogólnej sali.

-... bo to najlepszy sposób, żeby się przekonać, jak sprawy stoją - tłumaczył Dalton hrabiemu, gdy kilka minut później odwiązywali przytroczone do siodeł bagaże.

-Rozeznanie terenu, co? - odparł Drummond. - Niezły pomysł. Dzięki temu może nawet unikniemy wizyty u nadobnej damy. - Widząc niebotyczne zdumienie na twarzy przyjaciela dodał: - Po co miałbyś się fatygować, jeśli się okaże-, że nikt tu nie rozsiewa londyńskich plotek? Rafe wciąż stał z jukami w garści. Zmarszczył brwi, zaczął coś mówić, zaciął się i zaczął od nowa.

-Myślałem, że i ty masz ochotę spotkać się z Ericem. Ja w każdym razie chciałbym wiedzieć, jak się czuje.

-Zupełnie zrozumiałe, ale i tego możesz się dowiedzieć z pogaduszek tubylców przy piwie - odpowiedział Drum zauważając wzburzenie Rafe'a. - Serce masz czyste jak źródłana woda, mój przyjacielu, ale z pomysłu gorzej. Nie rozumiesz, że jeśli odwiedzisz tę damę, możesz wywołać lawinę plotek? Proponuję zostać tu na noc, posłuchać, o czyni ludzie gadają, i jeśli nie będzie to nic niepokojącego, wrócimy czy prędzej do Londynu i

do normalnego życia. - Roześmiał się na widok miny Daltona - Zmieniłeś się, chłopie! Gdybyś dawnymi czasy myślał tak jak dziś, zgniłbyś we

francuskim więzieniu! Nie widzisz, że stałeś się fatalistą? Pokornie godzisz się z losem. Wbiłeś sobie do głowy, że bez najwyższej ofiary się nie obejdzie, i nie dostrzegasz perspektywy ocalenia, która się przed tobą otwiera. Rafe skinął głową.

- Coś w tym jest... - przyznał, rozważając słowa przyjaciela. Czy to możliwe, by mógł wyjść z tego obroną ręką...? Na tę myśl poczuł, że spada mu z karku ogromne brzemie... Ale ciężar na sercu pozostał. Rozwiązanie Drunia wydawało się zbyt łatwe... a on do wszelkiej łatwizny odnosił się podejrzliwie. Czy przez jeden wieczór można dowiedzieć się wszystkiego? I choćby nawet doszedł do ładu z Annabellą, skąd mógł wiedzieć, że nie unieszczęśliwił Brenny na resztę życia?

Zarzucił bagaż na barki - tak jak brał na nie wszystkie swoje obowiązki - i powoli ruszył ku oberży.

Nadciągał zmierzch. Koniki polne wywodziły swe piskliwe piosnki z podwójnym zapalem, jakby wiedziały, że lato dobiega kresu i zbliża się jesień. Panujący w zajeździe gwar zagłuszał dochodzące zza okien odgłosy zapadającej nocy. Oberzysta rozpałił ogień na kominku, by nie dopuścić wilgoci do wnętrza gospody. W powietrzu unosiła się jeszcze smakowita woń obiadu, który dopiero co zjedli dwaj podróżni.

Kilkunastu mężczyzn w różnym wieku i kilka starych kobiet siedziało w ogólnej sali, każde z kuflem piwa w garści. Choć rzucili zaledwie kilka dyskretnych spojrzeń w kierunku dwóch modnie ubranych dżentelmenów, którzy siedzieli nieco na uboczu, przy stole koło okna, nie ulegało wątpliwości, że nieznajomi stanowią przedmiot ogólnego zainteresowania. Każdy ze stałych bywalców, wszedłszy do oberży, stawał jak wryty i gapił się na przybyszów z innego świata. Ponieważ jednak dwaj wytworni panowie siedzieli spokojnie, jedząc i pijąc jak wszyscy, po jakimś czasie ich obecność nie wzbudzała już sensacji, choć nie została oczywiście zapomniana.

W miarę upływu czasu i ubywania piwa z beczki rozmowy stawały się coraz głośniejsze. Gwarzono o zbiorach, czynszach i pogodzie.

- To nam nic nie da - powiedział cicho Dalton po godzinie podsłuchiwania, gdy dialogi dotyczyły niezmiennie cen zboża albo suszy. - Chyba przyjdzie nam zbratać się z tubylcami. Po

stawimy im piwo i zadamy parę pytań.

-Jeszcze się z tym wstrzymaj - odparł równie cicho Drummond. - Byłoby znacznie lepiej, gdyby zapomnieli o naszej obecności i popuścili wodze językom. Z pewnością tak się stanie. O czym w końcu mogliby gadać w tej zabitej deskami dziurze?

-Myślisz, że w Londynie jest inaczej? - odparował Rafe. - Tam się niczym innym nie zajmują! Przecież z tego właśnie powodu przywlokłem się aż tu - dodał z goryczą. Usiadł jednak z powrotem i uzbroił się w cierpliwość.

Nie musiał długo czekać. Niebawem ktoś spytał kogoś o jakiś szczegół związany z balem dożynkowym, który miał się odbyć we dworze najbogatszego w tej okolicy ziemianina. Wkrótce wszyscy zebrani w oberży zaczęli o tym dyskutować, zastanawiając się, kto zjawi się na balu i w czyim towarzystwie. Naturalnym biegiem rzeczy dało to początek konwersacji na temat aktualnych zalotów, zbliżających się ślubów i pożycia rozmaitych par małżeńskich i niemałżeńskich. W trakcie obmawiania jakiegoś stadła któryś z mężczyzn spytał, czy ktoś słyszał o jakichś nowych bezceństwach „tej dziewczuchy Fordów”. Rafe natychmiast podniósł głowę i nadstawił uszu.

- Nicem o niej nie słyszała - odparła starszawa jejmość. - A na to, żeby było coś widać, jeszcze za wcześnie.

-A ino! - zachichotał. - Dam głowę, że wy, kobitki, jeszcze pilniej sprawdzacie, czy nie przerosła w pasie, jak wtedy, kiedy się prowadziła z tym żołnierzkiem.

-Szkoda chłopaka! - rozrzewniła się kobiecina, a kilkoro obecnych smutno pokiwało głowami. - Takie z nich były zakochane gołąbeczki, tak do siebie pasowali...

-Pasowali? A jakże! - zachichotał znowu jej rozmówca. -A jak się fest przypasowali, to cały świat mógł sobie na to po patrzeć. W biały dzień, na ludzkich oczach! Tfu! Ciężkim tak się umilali, całowali, w oczka sobie patrzyli... Tak gorąco, że jakby garnek ktoś na nich postawił, to woda by się raz-dwa zagotowała!

-Nie dziwota: pierwsza miłość! - stwierdziła filozoficznie starszawa jejmość.

-Pierwsza chcica! - zaśmiał się zagorzały przeciwnik „dziewuchy

Fordów".

-Tak czy owak - nie ustępowała kobieta - zawsze to wielki ból dla młodej dziewczyny stracić takiego chłopaka!

-Nie ona jedna kogoś straciła! - odciął się mężczyzna z wyraźną pretensją w głosie. - Kto się uzali nade mną? A przecie nasz Bill poszedł na dno ze swoim okrętem. Albo nad Johnem Thatcherem, jak mu syna zabili we Francji...?

-A mój synuś ukochany gdzieś się zapodział... Nie wrócił do swojej matuli, oj nie...! - pożałowała się inna stara kobieta.

Zapadło bolesne milczenie.

-Ale w końcu... - zagadała żywo oberżystka, by skierować rozmowę na weselsze tory -... Brenna przeboleła swoją stratę, może nie...? Znalazła sobie w Indiach nowego konkurenta... a tu masz! Urwał się z postronka i zwiął! Oj, pod złą gwiazdą urodziła się dziewczuszka, pod złą gwiazdą!

-Więcej ona straciła niż chłopaka, kiedy dom porzuciła i samopas pognąła aż do Indii! Kto to widział?! Dziewczyna się po świecie obija w pojedynkę! - mamrotała staruszka.

-Sama się prosiła o kłopoty! - przytaknęła inna.

- No i dopadły ją, jak postawiła nogę na ojczystej ziemi - odezwał się znów wróg kobiet, nie odrywając kufła od ust. Wypił piwo do dna, z głośnym stuknięciem odstawił opróżniony kufel i kontynuował wywód z wyraźną satysfakcją: - Pomyśleć tylko, co też ona wyrabiała w Londynie! Żeby się tak rozebrać do rosołu! I tylko po to, żeby zrobić na złość innej pannie i odbić jej kawalera! Wstyd i hańba, powiadam! I nie trza się nad taką bezwstydnicą litować, wycierpiała czy nie wycierpiała! Jak tu jesteśmy, prawie każdemu wojna kogoś zabrała... jakbyśmy chcieli taką żałobę okazywać jak ta nie przymierzając lafirynda, toby dopiero było! Niektóre to zawsze coś wymyślą, żeby ludzie przez palce na ich grzeszki spoglądali. Ale ja sto razy powtórzę, że Brenna Ford jest ostatnia flądra, i tylko wstyd nam przynosi, jak tu wszyscy jesteśmy!

Dalton zacisnął kurczowo pięści, zamierzając wstać. Stalowa ręka chwyciła go mocno za ramię, przytrzymała i zmusiła, by opadł znów na krzesło.



-Siedź spokojnie! - szepnął rozkazującym tonem Drummond. -Jedno słówko nie w porę i pograżysz dziewczynę raz na zawsze! Jedno uderzenie pięścią, a nazwisko tej twojej panny będą obnosić na językach po całej Anglii. Zszargają je na amen, choćbyś cuda czynił, żeby ją wybielić! Słuchaj, człowieku, i myśl! Przywaruj, wtop się w tło... jużś zapomniał tych sztuczek? A jak, nie daj Boże, zerwiesz się na nogi, to jakoś to zamaskuj: podrap się w tyłek albo pomachaj do oberżysty, żeby podał więcej piwa... Tylko za żadne skarby nie okazuj, że słyszysz, co mówią, i przejmujesz się tym! Zapomniałeś już wszystkich starych sposobów...? Wybryki tej twojej damy nie zagrażają całej Europie jak chorobliwe ambicje Napoleona, ale taktyka w obu przypadkach powinna być identyczna.

Rafe rzucił przyjacielowi mordercze spojrzenie. Przymknął na sekundę oczy. Kiedy znów je otworzył, jego twarz była pozbawioną wszelkiego wyrazu maską. Gestem ręki przywołał oberżystę i opadł znów na krzesło.

-Niech to szlag...! - szepnął i znieruchomiał.

Ogólna rozmowa stawała się coraz bardziej ożywiona.

- Chciałoby się samemu popatrzeć na to wszystko, co? - zwrócił się drwiącym tonem któryś z mężczyzn do świętoszka, który tak się gorszył występkami Brenny. - A może wolał byś sam rozebrać się do gołego? To by dopiero była gratka! Jak ci się czegoś takiego zachce, Clyde, to nie zapomnij uprzedzić nas wcześniej, żebyśmy zdążyli zwać!

Słowa te przyjęto gromkim śmiechem. A Clyde wściekł się jeszcze bardziej.

-Ja się nie puszczam! - warknął. - Ale Brenna Ford tak! I nikt temu nie zaprzeczy. Słyszałem, że własnymi rękami zdarła z siebie, co ino mogła, i stała golusienką, choć dokoła pełno było elegantów, co przyszli z wizytą do tego biednego milorda. A i co gorsza, odwiedziła go właśnie narzeczona! Co też sobie

to biedactwo pomyślało...? A podobno taka szykowna, że ją nazwali „gwiazdą sezonu” czy jak tam! I na dobitkę strasznie zakochana w tym swoim lordzie! A piękna jak obrazek! Podobno nic, tylko rozplakała się i uciekła. A nasza Brenna stoi i uśmiecha się, nagusienką jak wtedy, kiedy ją matka rodziła! Widać była pewna, że w taki sposób opęta jak nic tego

milorda. No i co? Zrobiła z siebie przedstawienie na darmo! Słuchy chodzą, że wyścigał ją od ręki ze swego domu. No i wróciła jak niepyszna do Shropshire, a tera zamyka się we dworze i milczy jak zakonnica. Doigrała się, oj, doigrała...! Nikt jej tam ręki nie poda!

-Jakoś mi dziwno tego słuchać - odezwał się inny biesiadnik. - Przecie znam tę Brennę od małego... Nigdy bym się po niej czegoś takiego nie spodziewał...! Zawsze była z niej skromna dziewczuszka, sprytna i dla ludzi życzliwa... Takiej dobrej sąsiadki ze świecą szukać...!

-Od wielkiego smutku czasem się dziewczynie w głowie przewraca - zauważył ktoś filozoficznie.

-No, cóż... nikt z nas nie wie, jak tam było naprawdę... -stwierdził starzec, potrząsając głową.

-Straciła obu kochasiów, to i nie dziwota, że się jej w głowie pokręciło - dorwał się znów do głosu zażarty przeciwnik Brenny, odstawiając na stół opróżniony kufel. - Dwóch ich miała, dwóch postradała. I nie mogła tego znieść. Kobiątka przyzwyczai się do tego miodu i nijak się bez niego obejść nie może, rozumiecie? No i gotowa zrobić wszystko, żeby się znów do tego dorwać!

Na te słowa podniósł się wrzask.

- Ho, ho! Chciałbyś, Clyde, żeby go u ciebie poszukała, co? - wołał jeden.

-Tyle o tym wiesz! Zadawałeś się z takimi, co? - szydził drugi.

- Cicho tam, chłopcy! Pilnować języka przy kobietach! - ofuknęła ich stara jejmość.

-Wstydzta się! - wydarła się inna.

-Brenna Ford...? - rozległ się czyjś spokojny, kulturalny głos. Nieznajomy mówił na tyle głośno, by jego słowa były dosłyszalne mimo gwaru. A zarazem tak cicho, że zaciekawieni ludzie zamilkli i nadstawili uszu. Oczy wszystkich

znajdujących się w obszernej jadalni zwróciły się w stronę stolika pod oknem, przy którym siedziało dwóch przybyszów, jeden z nich, wysoki i szczupły, wypowiedział przed chwilą znamienite dwa słowa.

- Najmocniej przepraszam - kontynuował Drum - ale czy naprawdę padło tu nazwisko „Brenna Ford”? Czy nie jest to przypadkiem siostra porucznika Erica Forda?

W sali zapadła taka cisza, że słychać było trzaskanie dREW pŁonących na kominku.

-A jakże... - odezwał się wreszcie ktoś, bardzo nieśmiało. -To ona.

- Boże święty! - zdumiał się przesadnie hrabia. - Widzę, że po drodze z Londynu ta historyjka zmieniła się nie do poznania...! Wydłużyła się, wzbogaciła... Nieprawdaż? - spytał swego towarzysza. Wszystkie oczy, utkwione dotąd w wysokim, chudym elegancie, zwróciły się na drugiego z dżentelmenów, o kamiennych rysach twarzy, ognistej czuprynie i błyszczących niebieskich oczach. - Panna Ford odwiedziła niedawno Londyn. To się zgadza - mówił dalej Drum. - Ja również tam byłem. Ale to, co ja słyszałem - i to od ludzi wiarygodnych, znających wszystkich bohaterów i wszelkie okoliczności tego dramatu... Otóż słyszałem, że panna Ford i jej brat bawili w domu przyjaciela, byłego oficera armii. Jest to arystokrata cieszący się ogólnym poważaniem... Ale, niestety...! znany z krewkiego temperamentu.

W oberży panowała nadal niezmałona cisza, w której rozlegał się jedynie aksamitny, melodyjny głos z leciuteńką nutką rozbawienia.

- Dobrze znam dżentelmena, który jest bohaterem waszej opowieści. Ale nie był on wtedy i nadal nie jest z nikim zaręczony. Z tego, co słyszałem - a była to istotnie nieco pikantna anegdotka - niezbitie wynika, że matka pewnej panny, znajomej wspomnianego już dżentelmena, zetknęła się z panną Ford i zwróciła uwagę na jej urodę. Całkiem prawdopodobne, że owa matrona upatrzyła sobie tego dżentelmena dla jej córki. Macierzyńskie ambicje wzięły w niej górę nad skrupułami. Sądząc, że panna Ford zagięła parol na kogoś, w kim pragnęła ujrzeć zięcia, starsza dama rozpuściła po Londynie kilka ploteczek na temat panny Ford. Zapewniam jednak, że niczym nie przypominały one tych oszczerstw, jakie usłyszałem tu dziś wieczorem.

Rafe nie odrywał oczu od zasłuchanej ciżby, Drum zaś kontynuował:

-Owa chytra dama napomykała półsłówkami, że panna Ford stara się uwieść dżentelmena, w którego domu gości razem z bratem. Wiem skądinąd z całą pewnością, że nie było w tej bajeczce słowa prawdy. Ale

gdyby nawet była mowa o jakichś specjalnych względach okazywanych mu przez siostrę przyjaciela, względy te ograniczyłyby się do kokieteryjnego trzepotania rzęsami, wymownych znaków dawanych wachlarzem i tym podobnych niewinnych zaczepek. O czymś równie sensacyjnym, jak przygoda, która wywołała tu dziś tyle szumu, nie było oczywiście mowy...! A może ty słyszałeś coś podobnego? - zwrócił się do przyjaciela z wyraźnym zainteresowaniem.

-Nic a nic! - warknął Rafe i omiółł wszystkich zebranych takim spojrzeniem, że stali bywalcy oberży aż się pod nim skulili.

-A więc sami widzicie - zabrał znów głos hrabia - jak się ta historia rozrosła. Boże wielki! Mam nadzieję, że nigdy nie dotrze do uszu porucznika Forda! Wraca powoli do sił, więc wszelkie bardziej drastyczne działania musiałyby z konieczności odłożyć na potem... Za to jego przyjaciel, dżentelmen z Londynu, u którego porucznik gościł, wpadłby z pewnością w straszny gniew. Jemu to zresztą nie pierwszyna! Wspaniały z niego szermierz, znakomity strzelec, a na dodatek mistrz bokserski. Wielokrotnie podczas wojny był wymieniany w komunikatach z frontu jako wzór męstwa... Dodajmy, że walka bardziej mu odpowiada niż atmosfera pokoju, nakładająca na wszystkich pewne ograniczenia. Krótko mówiąc - to urodzony zabijaka! Słynie ze zwycięskich pojedynków, w których zabił co najmniej pół tuzina przeciwników. Jeśli zaś chce dać nauczkę komuś, kogo nie może wyzwać na pojedynek, czyni użytek ze swych pięści i ze znajomości boks. Niezwykle wybuchowy temperament!

Rafe spojrzał na Druma wilkiem; hrabia uśmiechnął się słodko i mówił dalej:

- ...Gdyby więc dowiedział się, że Bogu ducha winna dama, w dodatku zaprzyjaźniona z nim, została tak nikczemnie oczerniona... nie mógłby tego puścić płazem! Nieprawdaż, mój drogi? - zwrócił się do Daltona z ujmującym uśmiechem

-Co...? O, tak...! - odparł Rafe, którego wreszcie olśniło: pojął, do czego przyjaciel zmierza. - Z całą pewnością!

-Drzę na samą myśl, co by się stało...! - Drum wzdrygnął z lekką przesadą. - Nie mógłby oczywiście mścić się na matronie, która pierwsza zaczęła rozpuszczać plotki... Jest przecież dżentelmenem...! Obawiam się

jednak, że wyzwałby i zabił jej najbliższego krewnego w linii męskiej, i każdego, kto rozgłaszał te plotki. Spytacie może: skąd by wiedział, kto je rozpowszechniał,..? No, cóż... jesteśmy z nim zaprzyjaźnieni. Ironia losu polega na tym, że przybyliśmy tu z przyjacielską wizytą do Erica Forda, żeby dowiedzieć się, jak postępuje jego rekonwalescencja. Chcieliśmy zabawić tu z tydzień. Na co można by zapolować w tej okolicy?

- Chyba tylko na króliki, sir - odezwał się po dłuższej chwili nieco drżący głos.

-I bażanty - dodał ktoś inny.

-I dzikie kaczki - doleciało z drugiego końca sali.

- Nie najgorzej! - stwierdził Drummond i wstał, by rozprostować długie nogi. - A w dodatku to świeże wiejskie powietrze...! Trochę człowieka usypia. Wspaniale się nam gawędziło, ale obawiam się, że powinniśmy położyć się dziś wcześniej, jeśli mamy jutro rano złożyć wizytę Fordom.

Daiton również wstał. Przez całą długość jadalni spojrzął prosto na Clyde'a.

- Porucznik Ford i jego siostra to moi przyjaciele - oznajmił zimnym, donośnym głosem. - W najbliższej przyszłości zamierzam ich częściej odwiedzać. Nie chciałbym nigdy więcej słyszeć, że ktoś szarga dobre imię damy, choćby to czynił z głupoty i nieświadomości.

Cykanie świerszczy i potrzaskiwanie ognia na kominku były wyraźnie słyszalne w dużym, pełnym ludzi pomieszczeniu, gdy dwaj dżentelmeni wchodzili po schodach na piętro.

- Widzisz? Miałem rację! - powiedział Rafe z gorzkim triumfem, dotarłszy do drzwi swego pokoju.

Drum skinął głową.

-Ale zauważyłeś chyba, jak skutecznie zatkaliśmy im gęby?

-Na jakiś czas. Zrobiłeś ze mnie wariata, podlec! Może jestem wybuchowy, ale wszystkie klepki mam w porządku. Czemu nie przemówiłeś im po prostu do rozumu?

-Bo Rozum nigdy nie pokona Plotki - odparł pogodnie hrabia. - Ale Strach sobie z tą damą poradzi!

-Zamierzasz przenieść się tu na resztę życia i utrzymywać ich w

nieustannym strachu?! - Dalton skrzywił się okropnie. -Jest gorzej, niż przypuszczałem. Muszę się z nią ożenić!

-Nie pal się aż tak do tej ofiary! - upomniął go przyjaciel. -Nie słyszałeś, co mówili...? Nie ma dymu bez ognia, mój stary... A wszystko wskazuje na to, że tej uciśnionej damie ognia nie brak! Mówili, że straciła dwóch kochanków.

-Mówili też, że rozebrała się do naga w przedsionku mego domu - rzucił pogardliwie Rafe.

-Pomyślałem, że wolisz nie dostrzegać pewnych rzeczy... -powiedział Drum, otwierając drzwi swego pokoju. - W ostatnim przypadku może być czysta jak łza, ale nad dwoma poprzednimi radziłbym się zastanowić.

-Cóż w tym złego, że kochała chłopca, z którym była zaręczona? - spytał Rafe. - Według ciebie powinna trzymać go na dystans...? A to, że zaręczyła się w Indiach i ten drugi się rozmyślił, to także jej wina? Ja tę dziewczynę znam, Drummond! Moje życie nieraz zależało od tego, czy zdołam rozszyfrować charakter tego czy innego osobnika... I podobno mam do tego smykałkę. Rozgryzałem przeważnie mężczyzn... ale czy kobiety to inny gatunek?!

-O, całkiem inny! - roześmiał się hrabia. - Ale nie będziemy teraz o tym dyskutować. Kładź się do łóżka! Jutro się przekonamy, jak sprawy stoją. Plotki tylko wówczas zatruwają nam życie, jeśli do nas dotrą. Dowiemy się, czy do Fordów dotarły. Kto wie? Może to burza, która przeszła bokiem, by spowodować ulewę w innej okolicy... albo tragedię w czyimś innym życiu...?

Dom był stary, zbudowany nieco chaotycznie z ciemnoróżowej cegły. Zachował, z grubsza rzecz biorąc, pierwotny kształt litery „U”, charakterystyczny dla epoki elżbietañskiej. Otaczające dwór pola i łąki pstrzyły się od kwiecica. Były tam. modre chabry, astry, nawłóć i nagietki. W dworskim ogrodzie kwitły ostatnie róże lata: z jednej strony domu białe, po drugiej czerwone, zgodnie z przesądem, ostrzegającym przed mieszaniami tych dwóch gatunków. Mimo wielkich rozmiarów dom sprawiał wrażenie swojskiej, przytulnej siedziby.

Obaj dżentelmeni zmierzający podjazdem do drzwi frontowych nie

dostrzegli ani żywego ducha. W końcu jednak chrzęst żwiru pod końskimi kopytami zwrócił czyjąś uwagę, gdyż z położonej na tyłach domu stajni wybiegł chłopak stajenny, zapinając pospiesznie kurtkę. Zatrzymał się niepewnie na widok dwóch obcych mężczyzn.

-Czy twoi państwo są w domu? - spytał Dalton.

-Starsi państwo wyjechali - odparł służący, spoglądając ciekawym okiem na gości. - Ale pan porucznik i panienska spacerują po ogrodzie. Mam ich sprowadzić? A może panowie wejdą do dworu? - dodał ponieważ. - Powinien tam być majordomus.

-Poszukamy pana porucznika w ogrodzie - zdecydował Rafe, zsiadając z konia, i podał chłopakowi cugle. - Pewnie na tyłach domu?

Chłopak kiwnął głową, wpatrując się w dwóch wytwornych przybyszów jak w tęczę.

-Wygląda na to, że nieczęsto miewają tu gości - zauważył Drum, gdy zmierzali po wysypanej żwirem ścieżce do położonego za domem ogrodu.

-Albo znajomi ostatnimi czasy przestali ich odwiedzać -mruknął Rafe.

W dworskim parku nie było nikogo. Po trawniku spacerowały tylko gawrony i podskakiwały rudziki. Dopiero zbliżywszy się do łagodnego wzniesienia, przyjaciele dostrzegli dwie postacie obok starej wierzby płaczącej, nurzającej zielone włosy w stawie.

Drummond od razu poznał Erica po wzroście, szerokich barach i lśniących złotych włosach, następnie skierował wzrok na stojącą obok porucznika smukłą kobietę. Miała na sobie suknię błękitną jak woda w pobliskim stawie. W gładko przyczesanych, czarnych jak noc włosach słońce nieciło błękitnawe iskry. Kobieta podniosła głowę i spostrzegła gości.

Dalton zatrzymał się. Rozprostował plecy.

-To ona - mruknął do hrabiego.

- Rafe! I Drum! - wykrzyknął Eric. - To dopiero niespodzianka!

Jego siostra nie powiedziała ani słowa. Wpatrywała się tylko w Rafe'a takim wzrokiem, jakby wrócił z za grobu.

- To jest ta twoja Bren?! - spytał Drum, po raz pierwszy zapominając o dobrych manierach.

Dalton nie odpowiedział. Sunął jak lunatyk w stronę Brenny. Ani na

chwilę nie odrywał oczu od dziewczyny.

Drum także wpatrywał się w pannę Ford. Czy to może być Brenna, którą Rafe określił jako „opanowaną, rozsądną, spokojną i przyzwoitą”?! - zdumiewał się w duchu. Owszem, wyglądała na opanowaną i rozsądną. Może nawet zachowywała się spokojnie i przyzwoicie. Ale z pewnością nie leżało to w jej naturze! Była egzotyczna jak hurysa i równie zmysłowa. Nawet nie zauważyła nieznajomego, który uparcie się w nią wpatrywał. Widziała tylko Rafe'a. Hrabia spostrzegł, jak na jego widok zapłonęły czarne oczy dziewczyny, choć pospiesznie ukryła nagłą radość i towarzyszącą jej konsternację.

Rafe był wyraźnie ogłuszony, jakby dostał pałką po głowie.

Drum także to wyczuł. Nic dziwnego! Z Annabelli był smakowity kąsek, bez wątpienia. Istny cukiereczek prześlicznie opakowany i wyeksponowany rarytas. Ale Brenna Ford? To uderzający do głowy, egzotyczny, korzenny trunek. To uosobienie zmysłowości o nieodpartej sile przyciągania, jak blask księżyca w pełni, wabiącego ku sobie morskie fale. Nic dziwnego, że Annabella była zazdrosna, a jej matka mściwa! Wczoraj wieczorem wymyślił na użytek miejscowych plotkarzy bajeczkę o zawistnej rywalce i jej mamusi... a tymczasem była to szczerza prawda! Całkowita i oczywista prawda. Zrozumiałe, że Rafe'ain miały sprzeczne uczucia! Hrabia obrócił głowę i spojrział na towarzysza. Nadal gapił się nieprzytomnie na Brennę.

Nie dziwota! - myślał Drum. Stracił upragniony cukierek i odkrył, że ma przed sobą całą górę przysmaków! O, mój biedny przyjacielu! W jakie rozkoszne tarapaty wpadłeś!

Rafe zdawał sobie sprawę z tego, że powinien coś powiedzieć, a przynajmniej przedstawić Druma... ale nie był w stanie sklecić dwóch zdań.

Zdumiewające, jak bardzo ucieszył go widok Brenny! Znali się przecież od niedawna. Ale poza radością z miłego spotkania odczuwał coś więcej. Tym razem dzień był jasny, a dziewczyna kompletnie i przyzwoicie ubrana. A jednak wyglądała równie podniecająco, jak tamtego nieszczęsnego poranka, który przesądził o losach ich obojga. Naga prawda o czekającej go wspólnej przyszłości z Brenną poraziła Rafe'a jak grom z jasnego nieba.



Nie znosił, kiedy go do czegoś zmuszano. Cenił sobie niezależność i nie zamierzał wyrzec się jej dla kogokolwiek... z wyjątkiem damy, którą chciał zdobyć... i stracił. Ale tamta była już dla niego nieosiągalna, a w zasięgu ręki znajdowała się inna: niesłusznie oczerniona siostra jego przyjaciela. Niewątpliwie inteligentna, o złotym sercu. I - co tu ukrywać? - niesłuchanie pociągająca! A jednak nie będzie to małżeństwo z wyboru... No, cóż... musi się z tym pogodzić.

Brenna go potrzebowała! To pewne, że czekał ją okropny los, gdyby jej nie poślubił. Miał święty obowiązek Zaopiekować się nią.

Dalton wyprostował się. Udźwignie i ten ciężar. Jego marzenia nie spełniły się... ale do tego już przywykł. Raz jeszcze trzeba będzie wyrzec się osobistych zachcianek. Zawsze tak było i wygląda na to, że zawsze tak będzie.

Przybył na spotkanie ze swą przyszłą żoną z sercem przepelnionym smutkiem. Ale im więcej myślał o Brennie, tym bardziej zaskakujące wzbierały w nim emocje... i to z całą pewnością nie w sercu! Rosło w nim napięcie i głębokie przekonanie, że jedzie tam, gdzie powinien; do tej, która była mu przeznaczona.

Wczoraj wieczorem w oberży ludzie plotkowali o Brennie. Mówili, że była zaręczona. Żartowali na temat jej bujnej przeszłości. Dla Rafe'a nie było to szokiem i wiele mu wyjaśniło. Panna Ford emanowała zmysłowością. Zaznała już miłości. Była piękna, dojrzała, doświadczona. Rozumiał motywy jej postępowania. Nie spodziewał się zresztą dziewiczej oblubienicy: nigdy i dla nikogo nie był dotychczas pierwszy i najważniejszy. Nie obchodziła go przeszłość żony, jeśli w przyszłości będzie mu wierna.

Ani przez chwilę nie wierzył w to, że Brenna zastawiła wówczas na niego pułapkę. Po pierwsze, w żaden sposób nie mogła się domyślić, kto owego ranka zastuka do drzwi frontowych. Choćby nawet doszły do niej jakieś słuchy o Annabelli, nigdy jej nie widziała. Poza tym nie zdążyłaby w tak krótkim czasie zanurzyć się w wannie, okryć się szlafrokiem i otworzyć drzwi. A po drugie (i najważniejsze), czemu, u licha, miałyby to zrobić?! Dlaczego miało jej zależeć na kimś takim jak on?!

Nie znał jej zbyt dobrze... Ale w gruncie rzeczy - Rafe był ze sobą bezlitośnie szczery - równie mało wiedział o Annabelli. Postanowił zrobić

wszystko, by małżeństwo z Brenną okazało się udane. Podchodził do sprawy realistycznie, bez romantycznych osłonek. Jeśli nawet jego serce zostało złamane, nie zamierzał się z tym obnosić. Każdy związek ma swoje dobre i złe strony. Nie miał już wątpliwości, co w ich małżeństwie będzie stanowiło największą osłodę. Panna Ford uosabiała zdrowego ducha w pięknym ciele, a on wiedział z doświadczenia, jak rozdzielić tęsknoty ducha od porywów ciała. Postara się zaspokoić pragnienia żony jak najlepiej.

Uświadomił sobie nagle, że stoi jak kołek i gapi się jak cielę na malowane wrota.

- Chciałem zobaczyć, co tam u was. Jak się czujecie? - zagaił niezgrabnie.

-Jeżeli o mnie chodzi, to doskonale. Zdrowieję z każdym dniem. Ładnie z twojej strony, żeś się pofatygował z tak daleka, by o to spytać - odparł Eric, nie wiedząc czym rozbawiony.

Dalton zerknął na przyjaciela.

-To widać na pierwszy rzut oka.

- Doprawdy, przypatrywałeś mi się? - spytał słodko Eric. - Pozwól, Brenno, że ci przedstawię hrabiego Drummonda. To Drum, o którym ci tyle opowiadałem! Poznaliśmy się w Hiszpanii.

Hrabia skłonił się przed Brenną.

-Ogromnie się cieszę, że mogę panią poznać, panno Ford! A co u ciebie, poruczniku? Podobno w Indiach było z tobą krucho...? Myślałem, że masz już dość wojaczki, kiedy opuściliśmy Hiszpanię.

-Powinienem był wtedy rzucić wojsko w diabły! - przyznał smętnie Eric. - Tak jak Rafe. Ale skusiły mnie Indie. Myślałem, że będą interesujące, tymczasem okazały się dla mnie znacznie groźniejsze niż Hiszpania. Nie było wojny, powalił mnie gorszy wróg: tropikalna gorączka. W Hiszpanii człowiek przynajmniej wiedział, kto go atakuje i co mu grozi: ciachnięcie pałaszem czy rana od kuli. A to choróbsko było niewidoczne i podstępne. Przyznam, że miałem stracha...

-Jeśli już mowa o niewidocznym i podstępnym wrogu... -zaczął Drum, spoglądając znacząco na Dal tona.

-Dotarły do was plotki? - spytał Rafe Brennę, nie odrywając oczu od jej poblądłej twarzy. - Bo w Londynie trochę ich było... - Urwał. Określenie

„trochę” mijało się z prawdą, on zaś nigdy nie umiał kłamać. - Przyjechałem tu specjalnie, żeby się dowiedzieć, czy bardzo wam dokuczyły - dodał pospiesznie.

-Nie słyszałam żadnych plotek - zapewniła go z równym pośpiechem.

Ciemnozłote brwi Erica zbiegły się nad nosem.

-Wstydź się, Bren! - zawołał.

Na wystających kościach policzkowych dziewczyny pojawił się ciemny rumieniec. Wysunęła brodę i spojrzała na brata.

- Nie słyszałam, by ktokolwiek obmawiał Rafe'a! A poza tym nie przysłuchiwałam się żadnym plotkom. Wiem, że ludzie coś tam wygadują! - odrzekła wyzywająco. - Szybko im się to znudzi.

Jej brat potrząsnął głową. Dalton też. Brenna spojrzała na jednego, potem na drugiego i uśmiechnęła się z przymusem.

-Kiwają głowami jak para mandarynów z porcelany, nieprawdaż? - zwróciła się do Druma i dodała z dumnie uniesioną brodą: - No tak, plotkują. I co z tego? Już raz mnie to spotkało i jakoś przeżyłam. Teraz też nic mi nie będzie! - Spozrzegła wyraz twarzy Rafe'a. - Byłam kiedyś zaręczona, dawno temu -wyjaśniła zwięźle. - Mój narzeczony poległ w bitwie. A ja straciłam reputację. Byliśmy bardzo młodzi i bardzo zakochani. Ludzie podejrzewali, że posunęliśmy się w okazywaniu sobie uczuć za daleko. W małych miasteczkach plotkuje się o byle czym. Po jakimś czasie zapomnieli i nikt się już ode mnie nie odwracał. Tak będzie i tym razem. W Indiach ktoś się do mnie zalecał, a potem wycofał z tego. Tam również o mnie plotkowano. I też nie trwało to wiecznie.

-Tym razem nie będziemy tak długo czekać - oświadczył Rafe. - Mówię „my”, bo i mnie to dotyczy.

-Nie! - zaprotestowała. - Już ci mówiłam: nie możesz pokutować za mój błąd. To ja zrobiłam głupstwo! Okazałeś tyle dobroci mojemu bratu... Nie pozwolę, byś cierpiał za swoje dobre uczynki. Nawet o tym nie myśl, milordzie!

-Powinienem był zadbać o wszystko, co trzeba - ripostował natychmiast Dalton - kiedy zaprosiłem was do swego domu. Nie zrobiłem nic i naraziłem cię na zniewagi. To ja nigdy nie pozwolę, byś nadal cierpiała z mojej winy!

Zastygli naprzeciw siebie równie zawzięci w uporze.

- Nie gadaj głupstw - powiedziała Brenna, spoglądając na niego oczyma pociemniałymi od gwałtownych uczuć. - Wiem, że jesteś dżentelmenem i dobrym człowiekiem. Ale nie ponosisz odpowiedzialności za mnie!

-Byłaś moim gościem, a ja zaniedbałem obowiązki gospodarza! - odparował Rafe. Teraz miał wobec niej znacznie poważniejsze obowiązki. Brenna chciała się dla niego poświęcić, a on dla niej... Wiedział jednak, kto będzie, kto musi być górą! - Nie będziesz się poświęcała, rozumiano?!

-Nie będę?! Jeszcze zobaczymy! - syknęła przez zaciśnięte zęby. Mężczyźni to skończone durnie! - myślała. Miała już dość ich wiecznego gadania o honorze. Nie dopuści, by Dalton zmarnował sobie życie z powodu głupich plotek! I wyrzekł się miłości, by ocalić jej reputację! Nigdy na to nie pozwoli. Ona też ma swój honor, psiakrew! Zresztą, nie byli już w jego domu ani w Londynie. To jej dom. Jej życie. Sama sobie poradzi!

-No, no, jak już późno! - wykrzyknęła z przesadnym zdumieniem. - Pora na herbatę. Idziemy, moi panowie?

-Nie masz zegarka - osadził ją krótko Rafe.

- Mam zegar słoneczny - odparła, wskazując ręką coś za swoimi plecami i nie odwracając głowy. - Przyłączysz się do nas?

-Z przyjemnością - odparł. - Wrócimy do naszej dyskusji przy herbacie.

-Nie sądzę - odparła, kierując się w stronę domu.

-A ja tak! - oświadczył Rafe, doganiając ją.

Drum i Eric podążyli bardziej statecznym krokiem za skłóconą parą.

-Zapowiada się interesująco - szepnął hrabia.

-Jeszcze jak! - przytaknął Eric. - Dobrze znam swoją siostrzyczkę.

Rafe i Drum zachowywali się, jak przystało dobrze wychowanym gościom, którzy składają najzwyczajszą w świecie wizytę, a ponieważ wszyscy panowie służyli w wojsku, doszło do wspominków z lat czynnej

służby.

-Równie dobrze mogłem wam opowiadać o zdobyciu Troi zamiast o naszym forcie na rubieżach Nowego Świata. Dla was i jedno, i drugie to stare dzieje! - burczał pułkownik Ford, opadając na krzesło i lustrując wzrokiem zastawiony stół, który osobiście przemienił w makietę pola bitwy: serwetki oznaczały forty, łyżeczki działa, a filiżanki i spodki - ścierające się ze sobą armie. -A mnie się czasem zdaje, że to wszystko wydarzyło się zaledwie wczoraj... Tylko że wówczas byłem niedorostkiem, a teraz spójrzcie na mnie: stary dziad...! Zresztą, walki w Ameryce mogą wydawać się błahostką wam, którzy sprawiliście tęgie lanie Francuzom i Hiszpanom na ich własnym terenie!

-Wojna nigdy nie jest błahostką, sir - rzekł Dalton. - A opowieść o pańskich przeżyciach była dla mnie fascynująca!

-Dla mnie też - poparł go Drummond.

-Sztuka wojenna nie zmieniła się tak bardzo od tamtych czasów - kontynuował Rafe. - I nie zmieni się, póki nie odkryjemy lepszych, a przynajmniej szybszych metod zażegnania konfliktów. Wszystko nadal sprowadza się do człowieka, jego siły i męstwa, doskonałości jego broni... a także odporności psychicznej, gdy musi stawić czoła nieprzyjacielowi w bitwie albo własnemu „ja”, czuwając samotnie w mroku nocy.

-Dobrze powiedziane! - myślał głośno Drum. - Wyjąłeś mi to z ust... choć nie brałem udziału w żadnej bitwie.

-Ale pokonywałeś naszych wrogów na równie niebezpiecznym gruncie - zaproponował Rafe. - Walczył nie tyle orężem, co rozumem - wyjaśnił pułkownikowi - i ocalił życie tysięcy ludzi. Sam również wyszedł bez szwanku, choć ryzykował głowę mnóstwo razy!

-Był pan szpiegiem? - spytał z żywym zainteresowaniem pułkownik Ford.

-Oni wolą, żeby ich nazywać „agentami wywiadu” - poprawił go z uśmiechem syn; przypomniał sobie, że i on został o tym poinformowany, gdy zetknął się z Drummondem w Hiszpanii.

-Istotnie - potwierdził Drum. - Ale teraz, sir, co się tyczy tej nocnej potyczki w siedemdziesiątym siódmym, czy mógłbym spytać...

-Nie mógłby pan, drogi hrabio - przerwała mu spieszenie Maura Ford. - Z

reguły spełniamy wszelkie zachcianki miłych gości, ale dzisiejsze popołudnie jest zbyt piękne, by marnować je na odgrzewanie dawnych bitew! Po obiedzie, kiedy zostawimy was przy portu, drodzy panowie, będziecie mogli do woli wskrzeszać stare dzieje! Nie odmówicie nam swego towarzystwa przy obiedzie, prawda?

-Z przyjemnością - zapewnił ją Drum.

-Czy nie sprawimy zbyt wiele kłopotu? - zatroskał się Rafe, dostrzegłszy wyraz twarzy Brenny; wyglądała jak rażona piorunem.

-Skądże znowu! Nie zwracaj uwagi na miny mojej siostrzyczki: czasem mi się zdaje, że niania zaprawiała jej kaszkę na mleku octem! - skomentował Eric.

Brenna zaczerwieniła się.

- Będziemy bardzo radzi, jeśli panowie zjedzą z nami obiad - powiedziała wyniosłym tonem. - Przybyliście z tak daleka, zadaliście sobie tyle fatygi... wypada zrewanżować się za takie trudy przynajmniej obiadem!

Eric pochylił się i szepnął do ucha siostry:

- Zachowywaliśmy się nad wyraz kulturalnie, badając grunt. Teraz ty udowodnij, że potrafisz być równie uprzejma, Bren! Radzę ci, wybierz się z Rafe'em do ogrodu i obgadajcie sprawę do końca!

-Dzięki za uroczne popołudnie - powiedział hrabia, wstając z krzesła. - Dajmy przemiłym gospodarzom odpocząć od nas... A jeśli istotnie nie sprawi to zbyt wiele kłopotu, z przyjemnością stawimy się na obiad.

-Panno Ford - spytał Rafe, podnosząc się również z miejsca - czy mogę zamienić z panią słówko przed odjazdem?

-Oczywiście - odparła z nerwowym pośpiechem i skinęła głową. Potem wzniosła ją dumnie i opuściła pokój w towarzystwie Daltona.

-Miły chłopak - zauważył pułkownik Ford.

- Bardzo - przytaknęła jego żona z nutką żalu, spoglądając za rudowłosym gościem idącym u boku jej córki. - Bystry, bezpretensjonalny, ma doskonałe maniery.

-Tacy jak on to sól ziemi - oświadczył pułkownik.

Jego żona i syn wymienili spojrzenia. To biblijne powiedzenie było w ustach Alexandra Forda oznaką najwyższego uznania.

- Tak, Drummond to wspaniały chłop! - odezwał się przekornie Eric.

Ojciec rzucił mu groźne spojrzenie spod zmarszczonych brwi.

-Doskonale wiesz, o kim mówimy. Jak myślisz, załatwi sprawę jak należy?

-Alexandrze! - jęknęła jego małżonka. - Obiecywałeś, że powstrzymasz się od wszelkich aluzji, póki Eric nie upewni się co do intencji lorda Daltona! Nie robiłem przy nim żadnych aluzji - burknął pułkownik. - Chciałem się przekonać, czy sam z siebie, bez popychania, naprawi krzywdę!

-Przecież o n nie wyrządził żadnej krzywdy! - zaprotestowała pani Ford.

-Moim zdaniem cały kłopot polega na tym, że Rafe niemal na siłę stara się wszystko naprawić - stwierdził z rezygnacją Eric. -Sami wiecie, jaka jest Brenna!

-Oj, tak! - jęknęli zgodnym chórem ojciec i matka. Z jednakowym żalem. Dobrze wiedzieli, jaka ona jest!

- To śmiechu warte! - oświadczyła Brenna. - Po prostu śmiechu warte - powtórzyła pod nosem, jakby była sama, choć Dalton znajdował się obok. Siedzieli w ogrodzie na kamiennej ławce pod wysokim płaczącym bukiem. Brenna robiła wrażenie całkowicie opanowanej. Rafe zauważył jednak, że jej leżące na kolanach ręce miętoszą chusteczkę. Ilekroć widział te biedne rączki z obgryzionymi do żywego paznokciami, serce mu się ścisnęło.

Nie pojmował różnorodnych uczuć, jakie budziły się w nim na widok panny Ford. Spoglądał na nią i starał się zrozumieć, czemu pociąga go do tego stopnia. Nie zapomniał przecież Annabelli; nie mógłby zapomnieć o niej, choćby chciał! Była jednak dla niego nieosiągalna. Dobry żołnierz wie, kiedy zakończyć kampanię, by przedłużając ją, nie stracić życia albo jeszcze gorzej, honoru. Cóż warte jest życie bez honoru?

Wpatrywał się w Brennę siedzącą w promieniach słońca. Nie była najpiękniejszą z kobiet... ale wydawała mu się najbardziej pociągająca. Pod pozornym spokojem tajiła się niezwykła moc. W liniach smukłego ciała, które cofało się przed wszelkim zbliżeniem, w zarysie drobnych, sterczących piersi, w łabędziej szyi... Sama obecność dziewczyny sprawiała, że męskie nozdrza wydymały się jak chrapy ogiera na widok klaczy. Na czym polegał ów przedziwny czar, który krył się w głębi oczu Brenny i w kształcie jej ust, zaciśniętych teraz w surową kreskę? Rafe mimo woli myślał o gładkiej jak atlas skórze, smukłych kończynach, o

gorącym, żadnym pieśczoł kobiecym ciele...

Może opinia, jaką mieli o pannie Ford mieszkańcy miasteczka, była słuszna...? I tak nie miał wyboru: musiał ubiegać się o jej rękę. Powinien twardo obstawać przy tym, co podpowiadał mu instynkt... albo raz na zawsze utracić wiarę w siebie. Poza tym czas naglił. A jeśli nawet podjęta przez niego decyzja nie zgadzała się z głosem serca, zmysły zaakceptowały ją radośnie. Rafe z najwyższym trudem powstrzymywał się od chwycenia Brenny w ramiona. Czy jego umysł zaakceptuje ten związek równie łatwo, jak uczyniły to zmysły? Czy w jego sercu znajdzie się choć odrobina miejsca dla Brenny? Na szczęście można oddzielić wymogi umysłu i potrzeby ciała od pragnień serca - myślał z ponurym cynizmem. Gdyby nie to, do tej pory byłby prawiczkim!

Wziął się w garść. W to, co miał do powiedzenia, musi włożyć więcej przekonania i pewności siebie niż zazwyczaj. Stracił bezpowrotnie Annabelle, ale ona nie będzie cierpieć z tego powodu. Gdyby opuścił teraz Brennę, biedaczka ucierpiałaby z pewnością. Miał przy tym dziwne przeczucie, że i on odczułby to boleśnie.

-To wcale nie jest śmieszne - odpowiedział wreszcie na słowa dziewczyny - ale konieczne. Przeze mnie straciłaś reputację. Nawet kobieta piękna, rozsądna, wywodząca się z dobrej rodziny - tak jak ty - bez nieposzlakowanej reputacji jest nikim. Pozbawiłem cię tego skarbu, i oczywiście, pragnę naprawić szkodę.

-Oczywiście?! - powtórzyła wyraźnie wstrząśnięta. Utkwiła w nim oczy, pociemniałe i rozszerzone. - Czyś ty oszalał?! Nie ma tu żadnej „oczywistości"! Tak łatwo godzisz się z losem? Przecież idzie o twoje życie, człowieku! - Usiłowała opanować się i ruchem ręki dała mu znak, by nic nie mówił, póki sama nie skończy. - O całe twoje życie - powtórzyła. - O wszystkie twoje plany, zamiary! Zastanów się nad tym! Może dojdiesz do wniosku, że to małżeństwo nie jest aż tyle warte.

-Jest tyle warte.

-Ale jeśli będziesz musiał wyrzec się w przyszłości wszelkich... A może zakładasz z góry, że nie ma mowy o dotrzymaniu wierności? Jeśli tak, to dowiedz się, że małżeństwo bez wierności nie jest dla mnie małżeństwem!

-Jestem tego samego zdania - stwierdził.



-I bez dzieci... - rozpaczliwie szukała argumentów.

-O nich również myślałem - odparł.

-Ale... ale jesteś przecież zakochany w innej! - Dostrzegła zimny wyraz jego oczu. - Nie zamierzam wtrącać się do twoich spraw - zapewniła go pospiesznie. - Słyszałam tylko...

-Tak istotnie było - odpowiedział z prostotą. - I masz pełne prawo wtrącać się do moich osobistych spraw. I pytać, o co chcesz. Mamy przecież wspólnie przeżyć resztę życia, nie prawdaż? A więc, jeśli chodzi o tę damę... - Zaczerpnął powietrza.

- Nie ma sensu udawać, że nigdy nikogo takiego nie było. Jednak nic już nas nie łączy... To była jej decyzja. Zamierzałem złożyć jej wizytę przed wyjazdem z Londynu. Nie chciała mnie przyjąć. Ani wtedy, ani w przyszłości. Na jej polecenie lokaj powtórzył mi, że nie spotka się ze mną, choćbym przychodził „jutro i jutro, i ponownie jutro...”.

-No, cóż... po tym, co widziała na własne oczy, czym jej matka tak się przejęła, zrozumiałe, że nie od razu... - zaczęła Bren.

-Nie - przerwał jej stanowczo Dalton. - To i tak zbyt długo trwało. Nie zrobiłem przecież nic złego.

Wstał z ławki, postąpił krok i zwrócił się twarzą do panny Ford. Tym razem ubrał się na brązowo. Było mu dobrze w tym kolorze. Rude włosy wydawały się mniej ogniste, zasługiwały niemal na nazwę kasztanowatych. Jego niebieskie oczy płonęły. Był wysportowany, zgrabny - przypominał posąg z lśniącego brązu. Brenna zawsze sądziła, że wojskowi przewyższają innych mężczyzn wzrostem, siłą, dobrocią i rozsądkiem - tak jak jej ojciec i brat. Do dragonów istotnie przyjmowano tylko najwyższych. Poza tym owo przekonanie było dowodem jej stroniczości... ale Bóg świadkiem, że Raphael Dalton przewyższał innych pod każdym względem! Przysłuchiwała się uważnie jego wywodom, bojąc się uwierzyć w to, o czym mówił.

- Nie zwykłem przechwalać się. I każdy ci powie, że nie mam o sobie wygórowanej opinii. Ale wiem, że jestem coś wart. A choćbym nawet nie był wart złamanego pensa, uważam za szczyt głupoty narzucanie się kobiecie, która nie ma do mnie ani krzty zaufania. Mój przyjaciel nie zwątpi we mnie z byle powodu i podobnie winna mi ufać związana ze mną kobieta.

Byłem oczarowany Annabellą, to prawda. Wiązałem z nią wielkie nadzieje. Ale to już minęło. Teraz proszę o twoją rękę, ciebie chcę mieć za żonę.

Małżeństwo ze mną ma swoje dobre strony - kontynuował, gdy Brenna nic mu nie odpowiedziała; siedziała nadal bez ruchu, wpatrując się w niego. - Mam własny majątek. Pokażny. Powiększyłem go dzięki rozważnym inwestycjom. Mój starszy brat dziedziczny tytuł, ale ja także noszę rodowe nazwisko. Mam

dom w Londynie, jak wiesz, i niewielką posiadłość w hrabstwie Kent. Nie piję, nie hazarduję się. Moją największą wadą jest porywczy charakter... Ale nie lękaj się, nigdy nie podniosłem ręki na kobietę. Proponuję ci tarczę mego nazwiska i wszelkie związane z tym korzyści, Twój brat jest moim przyjacielem, Brenno... Chciałbym, żebyś i ty uważała mnie za przyjaciela. Postaram się być przykładnym mężem. Przy dobrej woli obu stron nasze małżeństwo może być całkiem udane.

Ale jeśli masz już kogoś albo spodziewasz się lepszej oferty, powiedz mi. Zrozumiem i nie wezmę ci tego za złe. Gdybyś jednak nikogo takiego nie miała, będę nalegał na małżeństwo.

Dobrze wiem, że żaden ze mnie Adonis. Poza tym jestem milkliwy i mam więcej wad niż zalet. Ale naprawdę można mi ufać. Lepszy taki mąż niż perspektywa staropanieństwa, nieprawdaż? Jeśli nie zgadzasz się ze mną, powiedz to otwarcie!

-„Lepszy taki mąż niż perspektywa staropanieństwa”?! -powtórzyła z przekąsem, prostując się dumnie; słowa Rafe'a ubodły ją. - Zapewniam cię, że nie muszę wychodzić za mąż, by wieść czynne, interesujące życie!

-O, tak! - rzucił z irytacją. - Panna, której nie udało się znaleźć męża, ma przed sobą olśniewające perspektywy! Może doglądać cudzych dzieci jako bona albo nauczycielka. Czy nie lepiej wychowywać własne...? Albo wysiadywać na sesjach komitetów charytatywnych i wspierać ubogich, choćby stawiali opór! - zaperzył się. - Niech to szlag, znów wszystko spaprałem...! Ale pragnę dla ciebie tego, co najlepsze...

-A dla siebie? - spytała ze smutkiem.

-Jeżeli się pobierzemy, będę bardzo rad - zapewnił ją. -Pewnie chciałabyś, żebym pisał dla ciebie wiersze...? Przykro mi, ale nie potrafię. Uważam, że masz zadatki na dobrą żonę. A ja powinienem się ustatkować,

wcześniej czy później. Czemu nie teraz, kiedy nadarza się okazja? Czemu nie z tobą?

Mówił całkiem poważnie, choć nie okazywał specjalnego entuzjazmu. Czemu nie przyjąć jego propozycji? - pomyślała. Był taki dobry, taki ujmujący... I taki zagubiony w chaosie, do którego sam się przyczynił... Już w Londynie zrobił na niej wrażenie. Teraz była kompletnie urzeczona. Pojęła nagle, że nigdy

nie otrzyma oferty od kogoś równie szlachetnego. Kiedy mu poprzednio odmówiła, omal jej serce nie pękło. Była jednak przekonana, że gdyby przyjęła Rafe'a, prędzej czy później gorzko pożałowałaby swej decyzji. Wstała więc z ławki i z podniesioną głową stanęła oko w oko z Daltonem.

-Ofiarowujesz mi wszystko... oprócz miłości - powiedziała. -Nie wyobrażam sobie małżeństwa bez niej.

-Nie martw się - rzekł, pochylając nieco głowę na bok. -Mogę ci ofiarować także i to.

Zanim zdążyła go spytać, jak to możliwe, wziął ją w ramiona. Nim zdobyła się na protest, nachylił się ku niej i poczuła jego usta na swoich. Jakie miękkie! - pomyślała ze zdumieniem. Jakie delikatne... Słodkie, gorące... czułe.

Pocałunek - z początku powściągliwy - stał się gorętszy, gdy Brenna odprężyła się i przytuliła do Rafe'a. Całował ją teraz rozchylonymi ustami. Nagle poczuła dotknięcie jego języka na swoim. Zaparło jej dech, przejął ją cudowny, niepokojący dreszcz. Jęknęła cichutko. Ręka Daltona, obejmująca ją w talii, powędrowała w górę - do jej piersi, do szyi - wszędobylska, lecz delikatna. Brenna odpowiedziała na pieszczoty, przywierając do Rafe'a jeszcze mocniej. Od dawna tłumione namiętności zawrzały w niej, ogarnęły całe jej spragnione ciało, przeniknęły każdy jego zakątek. Oparła rękę na piersi Rafe'a, by odsunąć się nieco; poczuła jednak pod dłonią gwałtowne bicie jego serca i zatraciła się do reszty.

Wielka ręka przylgnęła pieszczotliwie do jej policzka. Powieki Brenny zatrzepotały i uniosły się. W jego płonących błękitnych oczach było coś gwałtownego, coś nieodgadnionego. Pocałował ją znowu, jeszcze żarliwiej.

Kiedy wreszcie oderwał się od niej, jego pierś wznosiła się i opadała pod dłonią dziewczyny w nierównym oddechu.

-Co mi teraz odpowiesz, Bren? - spytał. Spojrzała na niego z powagą.

-Czy to ma być miłość, Rafe...? Myślę, że to coś innego.

-To dopiero początek - odparł. - A więc?

-Nie powinieneś udawać, że mnie kochasz - powiedziała, mając nadzieję, że on jednak skłamię, iż ją kocha... W najgłębszym zakątku serca tliła się też bezrozumna nadzieja, że to, co Rafe powie, stanie się prawdą...

-Nie będę udawał - odparł. - To nie miłość. Ale wiem, że to, co nas łączy, jest szczere i dobre dla obojga. Szanujemy się nawzajem. Przekonałaś się, że możemy dać sobie wiele rozkoszy. Unikniesz długich lat wyobcowania i samotności... Być może ty zdołałabyś je znieść... ale ja nigdy. .

-Nie chcesz dowiedzieć się o mnie czegoś więcej? - spytała z wyzwaniem w głosie. - Jeśli nawet nie słuchałeś plotek, mogłeś wywnioskować to i owo z moich słów. Raz byłam już zaręczona, a drugi raz omal do tego nie doszło.

-Chcesz mnie uprzedzić, że miałaś kochanków?

-Nie - odparła. - Chcę, żebyś znał całą prawdę.

-Kochałaś ich?

-Kochałam mojego narzeczonego - odparła. - A Spencer ujął mnie swą dobrocią w chwili, gdy bardzo mi brakowało przyjaznej duszy. Innych mężczyzn w moim życiu nie było.

-Tak właśnie myślałem - rzekł Dalton spokojnie. - Byłaś więc zaręczona, mieliście się pobrać... Cóż w tym złego? Teraz masz dwadzieścia cztery lata i jesteś bardzo piękna. Nie uważam cię za niewiniątko chowane dotąd pod kloszem. Jestem od ciebie starszy prawie o dziesięć lat. Chyba nie wyobrażasz sobie, że żyłem dotąd jak mnich? Obchodzi mnie tylko jedno: czy w tej chwili nie jesteś zakochana w kimś innym? W takiej sytuacji nie mógłbym oczekiwać, że potraktujesz serio przysięgę małżeńską. A ja od swej żony oczekuję wierności.

-No pewnie! - wykrzyknęła. - Nie ma mowy o żadnej zdradzie!

-Doskonale - odparł. - Dogadaliśmy się wreszcie! -Jak to?

-Zgodziłaś się zostać moją żoną.

-Wcale nie to miałam na myśli! - zaprotestowała. Zajrzał jej głęboko w oczy.

-Naprawdę?

Jego spojrzenie było tak przenikliwe, że musiała odwrócić wzrok.

-Zasługujesz na coś lepszego - sprzeciwiła się słabo, dając mu ostatnią szansę zachowania wolności.

Rafe pochylił się i znów ją pocałował. Tym razem, gdy pocałunek dobiegł końca, Brenna poczuła, że silne ciało, przytulone mocno do jej ciała, przebiegł dreszcz. Kiedy Dalton odezwał się, jego głos był nieco ochrypły.

-Mogłem lepiej trafić, powiadasz? Nie sądzę.

-Przecież to... - powiedziała, kładąc głowę na jego ramieniu i czując pod policzkiem żar jego ciała -... to nie jest miłość, Rafe.

- Zobaczysz, że nam to wystarczy - zapewnił i odchyliwszy jej głowę, znów zaczął ją całować.

Drum stał na podjeździe, rozmawiając z Erikiem; czekał na Rafe'a, bo mieli razem wrócić do oberży. Obaj mężczyźni spostrzegli, że młoda para wraca, trzymając się za rączki, i wymienili znaczące uśmiechy.

-Dogadaliście się? - spytał Eric.

Dalton skinął głową. Brenna spuściła oczy.

Eric gratulował Rafe'owi. Drum ujął rękę Brenny.

- Moje najlepsze życzenia! - powiedział. - Szczęściarz z tego Rafe'a!

Dostrzegła szczerłość w jego badawczych lazurowych oczach.

- Skąd może pan to wiedzieć...? - spytała z powątpiewaniem. - Ale bardzo dziękuję.

-W takich okolicznościach zwykle używa się oklepanych zwrotów - odparł hrabia - ale wszyscy moi znajomi mogą przyświadczyć, że nie znoszę pustych frazesów. Powiedziałem szczerze, co myślę. Proszę, niech pani będzie dla niego dobra -dodał z lekko ironicznym uśmiechem. - Nie brak mu serca ani odwagi, i bardzo mu to przydało się w życiu. Ale niewiele doświadczył zwykłej ludzkiej dobroci i nie spodziewa się jej od nikogo.

- Gdybym była naprawdę dobra - wymamrotała Bren, przygryzając wargę - tobym mu odmówiła... Pan wie o wszystkim, prawda...? - spytała pod wpływem nagłego impulsu, spoglądając błagalnie na Drummonda. - Niech mi pan powie: czy postąpiłam uczciwie, zgadzając się wyjść za niego...? Czy to się godzi...?

-Czy to się godzi...? - zabrzmiał jak echo za jej plecami głos Rafe'a. Brenna odwróciła się błyskawicznie. Dalton skończył rozmowę z Erikiem i usłyszał jej ostatnie słowa.

- Czy się godzi? - roześmiał się. - Wszystko się godzi na wojnie i w miłości!

Wlepiała w niego wzrok, łudząc się, że wyczyta z jego twarzy, co miały znaczyć te słowa. Czy uważał ich przyszłe małżeństwo za pole walki? A może... Ale twarz Rafe'a była nieprzenikniona. Wziął Bren za rękę i weszli razem do domu, by obwieścić jej rodzicom radosną nowinę.

### 13

Obiad dobiegł końca. Zgodnie z przywilejem narzeczonych -Rafe i Brenna mieli teraz salon do własnej dyspozycji. Siedzieli obok siebie przy kominku, Rafe ze skrzyżowanymi nogami i ręką zarzuconą niedbale na oparcie kanapy. Zachowywał się swobodnie, w każdym razie Brenna nie spostrzegła w jego postawie nic osobliwego. Tylko noga w ciężkim bucie postukująca o podłogę mogła świadczyć o pewnym zdenerwowaniu.

Resztę dnia (po obwieszczeniu państwu Fordom o zaręczynach) Dalton spędził na pisaniu listów; chciał jak najszybciej przygotować wszystko do wesela. Młoda para uzgadniała teraz plany na najbliższą przyszłość.

-Długie zaręczyny nie mają najmniejszego sensu - twierdził Rafe.

-Pospieszny ślub wywoła jeszcze więcej plotek - perswadowała Brenna.

Brew jej narzeczonego poszybowała w górę.

-Jeszcze więcej plotek?! Czy to możliwe?

Panna Ford wbiła wzrok w ręce splecione na podołku.

- Zapowiedzi będą wychodziły przez trzy tygodnie... dodajmy do tego jeszcze trzy - ciągnął Rafe. - To dość czasu na przytarcie rogów (a raczej języka!) niedowiarkom i mądralom, jeśli to cię niepokoi.

Niepokoilo ją istotnie.

-Po co ten pośpiech?

-Na co taka zwłoka? - odparował.

-Chcę ci dać trochę czasu na zmianę decyzji.

-Jak raz się na coś zdecyduję, trzymam się tego rękami i nogami. Ośli upór to jedna z moich najgorszych wad. A jak z tym u ciebie? - spytał ją

znienacka.

-Z czym? - zdumiała się całkiem zbita z tropu Brenna.

-Jaka jest twoja największa wada?

-Moja...? Bo ja wiem... Chyba porywczość... Nie, nie! Przekora. Zawsze mam ochotę postąpić przeciwnie, niż mi radzą. Nie zawsze to robię, ale zawsze mam na to chętkę...! Ale to chyba nie jest aż taki grzech...? - Palec wskazujący Brenny sam jakoś znalazł drogę do jej ust. W zadumie zaczęła obgryzać paznokcie.

- O, już mam! Moja fałszywa duma. To naprawdę ogromna wada. Eric wciąż mi ją wytyka. I słusznie! Wolę zacisnąć zęby i cierpieć w milczeniu, niż przyznać się do tego, że ktoś mnie zranił. Albo doszukuję się zniewagi w całkiem niewinnym zdaniu... Mogłabym się bez trudu zorientować, że moje podejrzenia są bezpodstawne, ale wycofuję się wtedy z wielką godnością i dąsam się gdzieś na uboczu! Często mi się to zdarza.

Rafe ujął dłoń dziewczyny i odciągnął ją od ust. Drugą ręką gładził uspokajająco grzbiet jej dłoni, by odprężyła się i nie zaciskała palców.

- Dąsas się? Czujesz się obrażona? To nic takiego - drobne grzeszki!

Rumieńce Brenny pociemniały.

-Jest jeszcze coś. Obgryzam paznokcie...! Chyba to jest moja najgorsza wada.

- Niemożliwe! Obgryzasz paznokcie? Swoje czy cudze...? Swoje...? To w porządku. Jakbyś obgryzała cudze, toby doprawdy było okropne! Ale swoje? To tylko niewinne przyzwyczajenie. No, niech ci będzie: nałóg. Ale niegroźny.

Bren spojrzała na Daltona i zobaczyła, że ten uśmiecha się od ucha do ucha. Ona też wybuchnęła śmiechem.

-A kpiny w żywe oczy z innych ludzi to według ciebie nie wada?!

-Skąd! To zaleta - odparł z niewinnym uśmiechem i zdejmując rękę z oparcia kanapy, powiódł lekko palcami po ramieniu narzeczonej.

Przebiegł ją dreszcz. Rafe pochylił się i musnął wargami jej czoło u nasady włosów. Zbliżył twarz do twarzy Brenny. Cofnęła się raptownie. Była dziwnie spłoszona.

-Nie, tylko nie to! Nie teraz - protestowała, potrząsając głową. - To już

znam... aż za dobrze! Ale tak mało wiem o tobie... Powiedz mi coś więcej!  
-No, no! Zdaje ci się, że wiesz już wszystko, o moich pocałunkach? -  
przekomarzał się z nią. - Daleko ci do tego...! Ale może nie wypada mi się  
przechwalać...? Niech ci będzie. Opowiedzieć coś o sobie...? Hmm...  
Jestem bardzo zwyczajny. Nieskomplikowany. Dokładnie taki, jak ci się  
wydaje.

-A twoja rodzina?

- Rodzina...? O, to całkiem co innego! Znacznie więcej do  
opowiadania. No, więc... Mam starszego brata, bardzo szacownego.  
Spadkobierca doskonały! Różnimy się od siebie jak Sahara od oceanu.  
Wszystko jedno którego. On jest jasnowłosy  
i przypomina anioła... przynajmniej z powierzchowności. Jest  
wykształcony, poetyczny... coś w rodzaju centaury: postawa  
jeźdźcy, mózg intelektualisty. A wszystko z wierzchu wygładzone i  
pokryte politurą. Moja matka go ubóstwia! Mój ojciec jest  
z niego dumny.

-A ty?

- Niezbyt się ze sobą zgadzamy. Nie, nie! O bójkach nie ma  
mowy. Po prostu nie rozumiemy się nawzajem. Ale nie czujemy do siebie  
nienawiści. Jesteśmy braćmi i tyle. Napisałem do  
nich, żeby zawiadomić o naszym ślubie. Myślę, że wszyscy  
troje zrobią na tobie wrażenie... I jestem pewny, że ty zrobisz duże  
wrażenie na nich!

-I to już wszyscy? - dopytywała się, żądna dalszych informacji. Wolała nie  
zastanawiać się nad tym, co krewni Rafe'a pomyślą o niej.

- Były jeszcze dwie siostry. Obie zmarły we wczesnym dzieciństwie.  
Miałem także wujka... to po nim odziedziczyłem posiadłość w Kent i dom  
w Londynie. Jest jeszcze kilka sztuk wujów i ciotek oraz kilka tuzinów  
ciotecznych i stryjecznych  
rodzeństwa. Widujemy się tylko podczas wielkich uroczystości. Na co  
dzień nie jesteśmy ze sobą zżyci. I to na razie wszystko, póki mój brat się  
nie ożeni. Ale musi przedtem napotkać  
swój ideał, wzór żeńskich cnót. Całkiem możliwe, że najpierw  
my przyczynimy się do powiększenia rodziny.

Zażenowana Brenna odwróciła wzrok.



-To bardzo istotna sprawa, Bren - powiedział Rafe cicho, dotykając leciutko palcami jej karku. - Naprawdę zależy mi na dzieciach. Nie mogę się wprost doczekać naszych dzieciaków -twoich i moich.

Inni mężczyźni czarowali ją, zapewniając, jak bardzo jej pragną. Dalton był małomówny, lecz to, co mówił, trafiało do jej serca dzięki swej zwięzłości, jasności i szczerości.

I wtedy pocałował ją. Uplętnęło kilka minut, zanim ręce Brenny przeniosły się z ramion narzeczonego na jego klatkę piersiową, od której chciała się odepchnąć, by zwiększyć dystans pomiędzy nimi. Jednak pod pierwszym naciskiem on sam odsunął się od niej. Zrozumiała wyzierające z jego oczu pytanie.

- Jeszcze nie wiem - odrzekła zaszokowana własnym odzewem na jego pieszczoty i wyraźną reakcją Rafe'a na jej bliskość. - W gruncie rzeczy prawie się nie znamy, prawda?

Skinął głową. Skrzyżował ramiona na piersi.

- Racja! - przyznał. - Wybacz mi. Możesz w to wierzyć albo nie, ale obecna sytuacja jest i dla mnie nowym doświadczeniem. Chcę przez to powiedzieć, że znałem sporo kobiet, ale nie miałem kochanki, w ścisłym tego słowa znaczeniu. Nie, to nie całkiem tak! Przyjaźniłem się z kobietami i kochałem się z kobietami, ale zawsze to było oddzielnie, nigdy razem. Niech to szlag! Nie powinienem ci mówić takich rzeczy, co?

-Powinieneś, jak najbardziej - odparła ze śmiechem.

- No to w porządku - rzekł, rad, że ją rozweselił. - Wobec tego poznawajmy się dalej! To znaczy bliżej. Odpowiadasz pierwsza. Twój ulubiony kolor...? Twoje ulubione danie...? A potem twoja ulubiona piosenka i ulubiona książka. A jak już wszystko opowiesz, to może się znowu pocałujemy...? Co ty na to?

Dalton i Drummond zabawili w Shropshire prawie miesiąc i nie mieli ani chwili wolnej. Bardzo im to odpowiadało, podobnie jak Ericowi i jego ojcu. Godziny mijały niepostrzeżenie na konnych przejażdżkach, polowaniu i wspominkach. Panna Ford też nie mogła się skarżyć na nudę: wpadła w wir przygotowań do wesela.

Kiedy Rafe i Brenna rozmawiali ze sobą, przeważnie była to rzeczowa dyskusja o problemach związanych z tą uroczystością. Gawędzili również o innych sprawach, chcieli czym prędzej poznać się nawzajem. Jednak zadawali sobie również istotne pytania i odpowiadali na nie z całą powagą; miało to miejsce każdego wieczora, kiedy wreszcie pozostawali sam na sam.

-Nie! - zaprzeczył kategorycznie Rafe, gdy pewnego razu zasiedzieli się z Bren przy kominku w salonie do późnej nocy. -Chociaż raz posłuchaj mnie uważnie. Nie usycham z tęsknoty za Annabellą! Nie myślę o niej bezustannie! To t y bez przerwy o niej myślisz. I najwyższy czas z rym skończyć, Bren! Było, minęło. Pogodziłem się z tym. Ty również powinnaś przejść nad tym do porządku dziennego. Dość tych aluzji i wciągania mnie w jałową dyskusję podchwytliwymi pytaniami! Nie przeczę, że kiedyś Annabella wiele dla mnie znaczyła. Ale rozdmuchiwanie płomieni, gdy brak paliwa do utrzymania ognia, może doprowadzić tylko do bolesnych poparzeń! Widywałem już takie przypadki i nie zamierzam zwiększyć grona poszkodowanych.

-Tego rodzaju katastrofie nie sposób zapobiec - zauważyła ze smutkiem Brenna.

Dalton znieruchomiał. Nigdy dotąd nie wyrwała się z czymś podobnym.

- Mówisz z własnego doświadczenia? Zadręczasz się tym, co cię w życiu ominęło?

Wzruszyła ramionami.

-Chodzi ci o to, że myślę nadal o Tomie? Myślę, ale nie tak, jak ci się zdaje. Kochałam go - wyznała szczerze. - Był młody i beztroski, tak samo jak ja. Snuliśmy wspaniałe plany! Kiedy poległ, byłam pewna, że nigdy już nikogo nie pokocham. A poza tym tak żałowałam Toma, robiłam sobie takie wyrzuty, że nie... - Urwała i przesłoniła oczy rzesami. - ... nie kochałam go jeszcze bardziej.

-Twoja rodzina miała słuszość, że powstrzymała cię od wyjazdu z wojskiem - orzekł Rafe. - Thomas też ci odradzał, gdy rwałaś się do roli żony towarzyszącej żołnierzowi w wojennym pochodzie. Dla każdego wojaka to oczywiście pociecha i wygoda, kiedy żona jest zawsze pod ręką, ale dla kobiety to mordęga i utrapienie, to wieczne oczekiwanie i nieustanny lęk. Wszystko jedno, czy mieszka pod namiotem, czy w

wynajętym domu w pobliżu linii frontu. Jej życie składa się z ciągłego wyglądania wieści od męża i zbyt krótkich spotkań, pozostawiających po sobie uczucie niedosytu. Żadna kobieta nie zasługuje na taki marny los.

Brenna przytaknęła skinieniem głowy.

- Tom mówił mi to samo. Nadal jednak żałuję, że nie postawiłam na swoim. Ale czas naprawdę leczy rany. Choć wtedy byłam pewna, że na zawsze zrezygnowałam z małżeństwa. Nie spodobał mi się żaden z mężczyzn, z którymi zetknęłam się w Londynie. Nie miałam też ochoty spotykać nieżonatych panów, których zawsze prezentują podstarzałym pannom zapobiegliwi krewni; każdy z tych okazów ma jakiś paskudny defekt; za to - według zapewnień krewniaków - odznacza się „złotym sercem”. Wielka szkoda, że ów bezcenny klejnot prezentuje się nam w paskudnym opakowaniu!

Ta metafora rozśmieszyła ich oboje.

-A co z lokalnymi panami do wzięcia?

-W naszych stronach ludzie wcześniej się pobierają, więc prawie ich nie było. Miałam zresztą swoją rodzinę i to mi wystarczało. Właśnie miłość rodzinna skłoniła mnie do wyjazdu do Indii, gdy Eric zachorował. Ktoś musiał być przy nim, zatroszczyć się o wszystko. Nie mogliśmy zostawić go na obcej ziemi, chorego i bezradnego jak dziecko! Rodzice przyznali mi w końcu słuszność, choć Bóg świadkiem, musiałam toczyć z nimi prawdziwe boje.

Zdawałam sobie sprawę z tego, że ta wyprawa zniweczy wszelkie moje szanse na zamążpójście, przynajmniej w rodzinnych stronach - powiedziała z westchnieniem. - Żona może wyruszyć w ślad za małżonkiem, ale panna przemierzająca samopas lądy i morza?! Moje plany uznano za karygodną lekkomyślność i zuchwalstwo graniczące z bezczelnością. Pewnie była w tym odrobinka prawdy. Lecz ja musiałam pojechać -i pojechałam. Kiedy Ericowi polepszyło się, mogłam rozejrzeć się w nowym otoczeniu. I od razu zwrócił moją uwagę przyjaciel Erica, Spencer. Okazywał mi tyle dobroci... Potem zaoferował coś więcej. Możliwość rozpoczęcia nowego życia, stworzenia rodziny. Nie pokochałam Spencera, ale przywiązałam się do niego. Zapewnił, że to wystarczy... i uwierzyłam mu.

- Czemu nic z tego nie wyszło? - spytał cicho Rafe. - Nie musisz tego mówić, Bren, ale myślę, że - niech to szlag! - lepiej będzie, jak mi się zwierzysz. Ostatecznie i ja zwierzyłem ci się ze wszystkich sekretów... przynajmniej tych sercowych.

Brenna położyła rękę na jego rękę. Odwrócił ją tak, że wnętrza ich dłoni zetknęły się ze sobą. Potem drobna rączka znikła w mocnym, ciepłym uścisku wielkiego łapska.

- To prawda, masz prawo wiedzieć. Tylko... to takie żenujące. - Zapatrzyła się w ogień. - Okazało się, że przez cały czas Spencer zalecał się równocześnie do mnie (po rycersku!) i do siostry innego przyjaciela... z którą pozwalał sobie na znacznie więcej. Kiedy jej oznajmił, że zamierza z nią zerwać, wyjawiała, że spodziewa się dziecka. Jego dziecka. I to był koniec naszych wspólnych planów. Spencer postąpił, jak należy. Wzięli natychmiast ślub. Okazał się człowiekiem honoru. Ot i koniec historyjki!

-Człowiek honoru! A to dobre! - wykrzyknął Dalton z oczyma płonącymi gniewem. - Człowiek honoru nie uwodzi siostry przyjaciela ani nie zrywa, gdy na horyzoncie pojawi się ktoś bardziej atrakcyjny! Dziwię się, że Eric nie skrócił go o głowę! Ja na jego miejscu dopilnowałbym, żeby mu to nie uszło bezkarnie!

-No, w pewnym sensie mu nie uszło... - dodała Bren, a na jej ustach pojawił się figlarny uśmiech. - To głupia gęś, z twarzą jak księżyc w pełni... A o figurze lepiej nie mówić.

-Dobrze mu tak! - roześmiał się usatysfakcjonowany Rafe. -Widzę, że tej straty nie opłakujesz. I słusznie!

-Nie. Uświadomiłam to sobie, gdy minął początkowy szok. Zdrada Spencera nie załamała mnie ani trochę. Ale ludzie tak się nade mną litowali, że byłam u kresu wytrzymałości!

-Nigdy cię nie zdradzę - przyrzekł Rafe, dotykając dłonią jej policzka. - Nie mogę zapewnić, że będziesz ze mną szczęśliwa, ale przysięgam: zrobię wszystko, by tak się stało!

Wziął ją w ramiona. Poddała się chętnie, spragniona bijącego od Rafe'a ciepła. Dostała więcej, niż sobie obiecywała. Zaczęli się całować. Jego obietnica już się sprawdza... - myślała półprzytomnie. W objęciach

narzeczonego odkrywała moc nieposkromionej, dzikiej namiętności; były to uczucia tak gwałtowne, że budziły niepokój. Nie kochała Rafe'a tak jak Thomasa i nie знаła go równie dobrze. Pieszczoty Toma także przyprawiały ją o rozkoszne dreszcze... ale byli wówczas tacy młodzi, tacy niedoświadczeni... Poznawali dopiero sekrety własnego ciała i ocho- czo dzielili się nawzajem tymi odkryciami... A tu ktoś niemal obcy znał jej pragnienia i potrzeby lepiej niż ona sama!

Nadal zdumiewało ją, że ten bezpretensjonalny, małomówny mężczyzna jest takim doświadczonym i subtelnym kochankiem. A jaki był dobry! Zrezygnował z własnego szczęścia i poświęcił swą wielką miłość, żeby jej przyjść z pomocą. Zależało mu na tym, by ich małżeństwo z konieczności było naprawdę udane. Chciał ją uszczęśliwić, obsypywał ją niezrównanymi pieszczotami. Czuła wstyd i żal, że nie może mu się odwzajemnić. Dotyk jego ręki był równocześnie delikatny i pewny, a jego usta uprzedzały każde jej życzenie.

On również decydował o tym, kiedy należy przerwać miłosną grę. Ostatnio coraz częściej odsuwał się, pozostawiając jej pewien niedosyt. Był z gruntu dobry, niesłychanie pociągający i dawał jej poczucie bezpieczeństwa. Bezpieczeństwa...? - zdziwiła się półprzytomnie, czując dotyk ręki narzeczonego na swojej piersi; z trudem wciągnęła powietrze do płuc. Nie, nie czuła się przy nim bezpieczna... A jednak...?

Zgubiła wątek myśli, gdy Rafe ostrożnie ściągnął jej suknię do pasa i przylgnął gorącymi, rozchylonymi ustami do jej piersi. Tak, był małomówny. Ale potrafił cierpliwie, bez końca przemawiać do niej językiem pieszczot, podniecając ją coraz bardziej, doprowadzając dotykiem swoich rąk niemal do szaleństwa. Zabrakło jej tchu, gdy wargi Rafe'a objęły naprężony koniuszek. Odrzuciła głowę w tył, gdy jego usta powędrowały dalej i poczuła gorący oddech na swej szyi. W milczeniu powierzali sobie nieopisane tajemnice rozkoszy.

Przez kilka sekund byli o włos od ostatecznego spełnienia. Nagle oboje równocześnie cofnęli się - wstrząśnięci, niezaspokojeni, ale wystarczająco dojrzały, by pojąć, że nie jest to odpowiedni moment na zerwanie ostatniej zasłony.

Dalton usiadł na dawnym miejscu.

-Nie tutaj! - powiedział z pewnym żalem. - Twój najbliżsi ufają nam. To byłoby nadużycie gościnności.

-Wstydzisz się wykorzystać ich zaufanie, a nie moje? - spytała z nerwowym śmiechem, podciągając stanik sukni.

-Nie - odparł, biorąc ją za rękę. - Ciebie nigdy nie wykorzystam i nie nadużyję twego zaufania. Biorę tylko to, co sama pragniesz mi dać, Bren. Nie mniej i nie więcej. Ale przyznam, że marzę o chwili, kiedy zechcesz wykorzystać swą przewagę nade mną - zakończył z uśmiechem.

Odwzajemniła uśmiech. Rafe wyciągnął rękę i odgarnął do tyłu niesforne pasemko jej włosów.

-Już niedługo! - szepnął. - Ale i tego bym nie wytrzymał, więc jutro wracam do Londynu.

Uśmiech jego narzeczonej zgasł.

- Krótkie rozstanie dobrze nam zrobi - stwierdził. - Mam sporo spraw do załatwienia - dodał łagodniejszym tonem. - I naprawdę nie chciałbym dopuścić się pod tym dachem czegoś niestosownego. Nie wiedziałbym, gdzie oczy podziać, gdyby twój ojciec przyłapał mnie na tym, o czym ustawicznie marzę. A Eric jest już w tak dobrej formie, że wolę go nie prowokować! - uśmiechnął się szeroko.

Tym razem Brenna nie odpowiedziała mu uśmiechem. Przed laty inny mężczyzna żegnał się z nią w tym samym miejscu. A potem odjechał... i nigdy nie wrócił.

Rafe widocznie odgadł jej myśli.

- Wrócę na pewno! - uspokoił ją. - Nie wąż się w to wątpić! Zawsze dotrzymuję słowa, wszyscy to wiedzą. Dotrzymam i tym razem. Przysięgam!

Po powrocie do Londynu Dalton i Drum zasiedli w gabinecie Rafe'a i wypili za jego szczęście małżeńskie.

-Wspaniała z niej dziewczyna! Trafiłeś jeszcze lepiej, niż ci się wydaje. No, na mnie już czas. Możemy spotkać się na kolacji, na lunchu czy na czym tam będziesz chciał. Prześlij mi tylko słówko, gdzie i kiedy. Jeżeli nie dostanę żadnej wiadomości, to spotkamy się w dniu powrotu do Tidbury... chyba że będę ci potrzebny wcześniej...?

-Dzięki, Drum! - odparł Rafe. - I tak zająłem ci mnóstwo czasu. Jestem

pewien, że zrezygnowałeś dla mnie z wielu ważniejszych spraw.

-Wyobraź sobie, że nie! - odparł przyjaciel z lekkim uśmiechem.

Rafe spojrzał na niego z nagłym zainteresowaniem.

- Znamy się już tyle lat... I nagle uświadomiłem sobie, że im bardziej jestem przekonany, że znam cię na wylot, tym mniej w gruncie rzeczy o tobie wiem. Skryty z ciebie facet, choć robisz wrażenie wylewnego. Nie dziwota, że jesteś prawdziwym asem wśród agentów Jego Królewskiej Mości! Te twoje tajemnicze wypadki zawsze mnie intrygowały... Ale jeszcze bardziej zdumiewa mnie, czemu przez te wszystkie lata przyjaźniłeś się właśnie ze mną...? Byłeś mi wiernym przyjacielem, więcej niż przyjacielem.

Hrabia roześmiał się.

-Dlaczego? Lubisz zgrywać się na prostaczka, Rafe, ale dziwnym trafem zawsze lądujesz w centrum niezwykłych wydarzeń! A poza tym... Ty także jesteś dobrym, lojalnym przyjacielem i wyjątkowo rozsądnym człowiekiem. Zresztą mógłbym długo wyliczać, za co tak cię cenią twoi przyjaciele, ze mną włącznie. Nie będę ci tego klarował w tej chwili, bo mam wiele spraw do załatwienia, a taki wykład zająłby nam kilka godzin. Życzę ci miłego dnia, przyjacielu, i stawię się o umówionej porze.

Dalton odprowadził gościa do drzwi. Potem wrócił do gabinetu i zabrał się do pisania listów. Pierwszy był do rodziców. Powiadomił ich już wcześniej o zbliżającym się weselu, teraz jednak musiał podać niezbędne szczegóły. Mama Brenny także do nich pisała, proponując im gościnę w swoim domu. Rafe zamierzał zaproponować, że zamówi dla nich pokoje w zajeździe, gdyby to im bardziej odpowiadało.

Wyciągając z biurka kilka arkuszy papieru, mimo woli powąchał rękaw swojej koszuli. Przepocony! Nie dziwota po tylu godzinach intensywnej jazdy konnej. Kąpiel, kąpiel i jeszcze raz kąpiel! Ale najpierw trzeba skreślić parę słów. do Pecka, który powinien wrócić lada chwila. Może go nie będzie w domu w chwili powrotu wiernego sługi. Trzeba osłabić szok, którego Peck z pewnością dozna na widok niesłychanej ilości służby panoszącej się w domu.

Zaraz po kąpieli Rafe postanowił udać się do jubilera po prezent ślubny i

pierścionek dla Bren. Następnie czekała go wyprawa do krawca i obstalowanie stroju odpowiedniego dla nowożeńca. W dalszej kolejności obiad. A na koniec - długi, długi sen!

Czekały go jeszcze dziesiątki spraw do załatwienia, nim będzie mógł wyruszyć w drogę powrotną do Tidbury. I wiele decyzji do podjęcia. Czy po podróży poślubnej mają wrócić do Londynu, czy udać się do rezydencji jego rodziców? Albo do jego własnej posiadłości w Kent? A w ogóle nie ustalili przecież, dokąd pojedą w podróż poślubną? Co do jednego byli zgodni: broń Boże za granicę! Oboje mieli po dziurki w nosie podróży morskich i zagranicznych wojaży. Przynajmniej na razie. Ale i w kraju było z czego wybierać. Brenna zdała się całkowicie na jego decyzję... Harrogate? Zbyt tłoczno. Może Bath? Tam na pewno by się jej spodobało. A może Kraina Jezior? Nie, jesień za pasem. Byłoby za chłodno... No, przy nim Bren nie powinna zmarznąć! Rafe uśmiechnął się. Kraina Jezior wyraźnie go kusiła. Trzeba będzie poszukać jakiegoś agenta i zamówić noclegi.

Dalton przechadzał się po Bond Street spacerowym krokiem. Był bardzo zadowolony z naszyjnika dla Bren. Rubiny i brylanty będą ślicznie wyglądały na jej białej, łabędziej szyi; pasowały również do jej hebanowo czarnych włosów. Nagle usłyszał, że ktoś woła go po nazwisku. Spojrzał w tamtym kierunku. I skamieniał.

- Wielkie nieba! - wykrzyknął z kokieterią dobrze mu znany głosik. - Nigdy bym nie uwierzyła, że właśnie pan wyrządzi mi taki afront! Mijać znajomych na ulicy bez słowa?! A pan właśnie tak mnie potraktował, milordzie! No, prawie... Byłam zaszokowana... póki nie zrozumiałam, że w tym momencie nie dostrzegłby pan nawet tabunu koni, pędzących prosto na pana...! A zatem, dzień dobry, milordzie! - szczebiotała Annabella, dygając wdzięcznie. - Jak się pan miewa? Ostatnio nigdzie pana nie widywałam.

Wpatrywał się w nią bez słowa. Promieniowała niczym słońce. Była olśniewająca. Tego dnia wystąpiła w bieli. Srebrzysty szal na mlecznobiałej sukni i efektowny kapelusik ozdobiony z boku ogromnym białym kwiatem wyglądały prześlicznie przy ciemnych włosach Annabelli, które jedwabistymi loczkami opadały jej na czoło i okalały



twarz, podkreślając alabastrowo białą cerę i urocze rumieńce na policzkach. Oczy, jeszcze bardziej niebieskie niż zwykle, wpatrywały się w Daltona z czułym rozbawieniem.

-Nie było mnie w Londynie - odparł niepewnym głosem. -Nie przypuszczałem, że pani to zauważy ani że panią to obejdzie.

-Oczywiście, że to zauważyłam - roześmiała się. - A czy mnie obeszło? Do takich rzeczy damy nie przyznają się w rozmowie z dżentelmenem! Właśnie wczoraj wspomniałam, że jakoś pana nie widać, nieprawdaż, Marie? - zwróciła się do stojącej

obok pokojówki. - Bardzo się cieszę, że dosłownie wpadłam na pana, milordzie! - dodała kokieteryjnie. - Nie będę musiała wysyłać panu zaproszenia. Urządzam wielkie przyjęcie... prawdę mówiąc, bal. Dopiero za trzy tygodnie, ale chciałam się upewnić, czy pan na nim będzie.

Rafe zmarszczył brwi. Była taka urocza, taka przyjacielska...! Cóż to miało znaczyć? Czy to jakiś podstęp? Może chciała się na nim zemścić...? Tak, to nie mogło być nic innego! Nie znosił takich sztuczek. Teraz zresztą, choćby chciał, nie mógł przyjąć zaproszenia panny Wylde. Sama zerwała z nim znajomość; przebolewał stratę. Ułożył sobie jakoś życie. Musi wytrwać w swym postanowieniu. Jeśli nie będzie zbyt długo się w nią wpatrywał, zniesie i tę próbę. Skłonił się.

- Czuję się zaszczycony, lady Annabello, ale nie mogę skorzystać z zaproszenia. Żenię się niebawem i za trzy tygodnie będę w podróży poślubnej.

Uśmiech hrabianki zgasł, cała jej promiennność znikła. Krew odpłynęła z jej policzków. Oczy rozszerzyły się. Zachwiała się na nogach. Dalton przyskoczył i podtrzymał ją. Dopiero teraz uświadomił sobie, jaka jest małeńka, kruchutka i filigranowa. Wokół niej - jak zawsze - unosił się zapach róż. Dobrze pamiętał tę woń.

Pokojówka najwyraźniej straciła głowę i nie wiedziała, co począć. Oczy panny Wylde były nadal zamknięte. Oddech rwał się. Rafe rozejrzał się dokoła. Może powinien zanieść ją gdzieś, gdzie mogłaby przyjść do siebie i odzyskać siły...? Poczuł, jak ciało lady Annabelli sztywnieje pod jego dotknięciem. Puścił ją natychmiast w obawie, że jego niezręczne zabiegi, zamiast pomóc, mogą jej zaszkodzić. Odsunął się. Annabella stała o własnych siłach i wpatrywała się w niego ogromnymi oczyma.

Uniosła dumnie główkę.

-Bardzo przepraszam - powiedziała drżącym głosem - ale to było ogromne zaskoczenie! Sądziłam, że nie przystoi dżentelmenowi ubiegać się o rękę jednej kobiety, gdy jest zaręczony z inną. Widocznie byłam w błędzie!

-W czasie pobytu w Londynie z nikim nie byłem zaręczony... - sprostował. I nie mogąc znaleźć innych, subtelniejszych słów, palnął bez ogródek: - Sama pani powiedziała, że już nigdy nie chce się ze mną widzieć. Panna Wylde zmarszczyła brwi.

- Tego dnia, gdy po raz ostatni złożyłem pani wizytę - wyjaśnił. - Powiedziała pani, że nie przyjmie mnie, choćbym przychodził „jutro i jutro, i ponownie jutro”.

Zdawała się nie rozumieć, o czym on mówi.

- Pani majordomus przekazał mi te słowa - zakończył Rafe i czekał na odpowiedź.

Nie wiedziała, co rzec, ale musiała przecież coś odpowiedzieć. Kątem oka dostrzegła elegancko ubranych przechodniów, którzy ciekawie na nią spoglądali. Teraz wszyscy dowiedzą się o jej hańbie! Starła się opanować, pozbierać myśli, które wirowały w jej głowie jak szalone.

Czyżbym naprawdę powiedziała coś takiego? - myślała skonsternowana. Posłużyła się Szekspirem, dając grubiańską odpowiedź wielbicielowi, który zawinił tylko tym, że musiał wyjechać z Londynu... Przypomniała sobie, że istotnie tamtego dnia nie chciała przyjąć Rafe'a. Ale to miała być tylko mała nauczka za cackanie się z tamtą ladacznicą... A ten stary plotkarz, baron Barlow, nadstawiał ucha i aż się ślinił na myśl o nowej sensacji...

Przypomniało jej się wszystko i przeszył ją zimny dreszcz. Naprawdę to powiedziała!

Ale była wtedy na niego zła... Mówiła czasem takie rzeczy w rozdrażnieniu, a po chwili już o nich nie pamiętała. Zawsze potem pięknie prosiła o wybaczenie, gdy zły humor jej mijał. Ale tym razem Daltona nie było w Londynie prawie miesiąc, więc nie miała możliwości załagodzić sprawy.

Brakowało jej Rafe'a. Jego graniczącej z prostactwem prostolinijności, jego specyficznego poczucia humoru, jego absolutnego oddania i adoracji.

Przeklinała w duchu chwilę, gdy kazała powtórzyć lordowi tę głupią odpowiedź. Nie kochała go. I straciła okazję przekonania się, czy mogłaby go pokochać! Była znów sama, raz jeszcze porzucona dla innej - i to przez kogo?! Przez tego brzydkiego, tępego prostaka, który ją ubóstwiał... ale już mu przeszło!

Annabella miała łzy na podorędziu. Teraz też napłynęły jej do oczu. Żeby się całkiem nie rozkleić, podsycala w sobie gniew. Jak on śmiał?! Co też ją opętało, że myślała choćby przez moment o wyjściu za niego...? Czuła się równocześnie słaba, winna i wściekła - na siebie i na niego. Zadał jej straszliwy cios... więc odpowiedziała pięknym Za nadobne.

- „Jutro i jutro, i ponownie jutro”...? - powtórzyła, udając zdumienie. - Słowo daję, bardzo górnolotne! Zupełnie nie w moim stylu.

-...Ale pani majordomus zapewnił...

-A pan mu uwierzył? - spytała, otwierając szeroko oczy. Teraz Dalton doznał szoku.

-Więc to nie były pani słowa?

-Ależ, drogi panie! - roześmiała się, kładąc rączkę na sercu. -Myśli pan, że pozuję na intelektualistkę? To już wyszło z mody...! Dałabym głowę, że podły sługus sam to wymyślił! Każdą wolną chwilę spędza w teatrze. Nadejście poczty oznajmia tak dramatycznie, jakby to było wypowiedzenie wojny...! Nawet się nie dziwię, że dał się pan na to nabrać. Zastanawiałam się, gdzie też się pan podziewa... Teraz już rozumiem. Ale za późno, jak widzę. O...! Jak niegrzecznie z mojej strony: nawet nie spytałam, kto pana tak łatwo pocieszył... Chciałam powiedzieć: kogo pan zaszczycił swoim wyborem? A może to tajemnica?

-Zenię się z panną Ford - odparł Rafe chłodno, z twarzą bez wyrazu. Ukłonił się sztywno jak marionetka. - Nie mogę zatem przybyć na pani bal. Miłego popołudnia, lady Annabello.

Spoglądała za odchodzącym wielkimi krokami Daltonem. Jego chód był równie charakterystyczny, jak ta okropna ruda czupryna... Gniew Annabelli już się wypalił; ogarnęła ją skrucha. Chciała zawrócić lorda, wszystko mu wyjaśnić... Uniosła już rękę w gustownej rękawiczce... i opuściła ją. Nie mogła tego uczynić! Musiałaby wyznać, że dwukrotnie

zachowała się wobec niego skandalicznie. A zresztą, i tak było już za późno... A ona miała już dość bolesnych upokorzeń!

- Pomyśleć tylko! - zwróciła się do pokojówki sztucznym, piskliwym głosem. - Cóż za gratka dla plotkarzy...! Lord Dalton żeni się z tamtą kreaturą. Ależ z niej chytra sztuka!

14

Nogi same zaniósły Rafe'a do domu. Nie wiedział, dokąd idzie ani co się z nim dzieje. W jego sercu i umyśle panował zamęt. Minął bez słowa lokaja i majordoma i jak lunatyk udał się do gabinetu. Zamknął za sobą drzwi, usiadł za biurkiem i obiema rękami schwycił się za głowę.

Annabella wcale go nie odtrąciła!

A on związał się z inną.

Sprawił Annabelli bolesny zawód. Mimo wszystko zależało jej na nim! Omal nie zemdląca na wieść o jego ślubie. Rozpamiętywał, jaka była leciutka w jego objęciach, jaka delikatna, ciepła i kobieca. Czuł ją tuż przy sobie, jak w marzeniach, które snuł mimo przeświadczenia, że nigdy się nie spełnią. Ogarnęło go poczucie winy - jakby zmiażdżył ciężkim butem coś niesłychanie kruche i maleńkie. Pragnął bronić jej, choćby z narażeniem własnego życia, a tymczasem sprawił jej ból!

Cierpienie Annabelli doskwierało mu jak otwarta rana. Nękały go skurcze żołądka. Ciało miał zlodowaciałe. Wszystko to było zasłużoną karą. Postąpił jak głupiec i nędznik! Sprawił Annabelli ból dwukrotnie: po raz pierwszy, gdy ujrziała w jego domu dziwną, półnagą kobietę. Po raz drugi dziś, gdy oznajmił jej, że się żeni z inną. Dwukrotnie również stracił Annabellę. Po raz pierwszy, kiedy pochopnie uwierzył w kłamstwo niegodziwego sługi. A po raz drugi, gdy przez to łgarstwo zmienił wszystkie swe plany życiowe. Rafe zamknął oczy, ale nadal jawiła mu się wyraźnie gorzka prawda: nie mógł naprawić wyrządzonej Annabelli krzywdy, bo związał się z inną kobietą.

Z Brenna.

Pomyślał o jej włosach, czarnych jak atrament, o odurzającym zapachu jej ciała. O jej słodkiej twarzy i melodyjnym głosie.

O wspólnych żartach, o wzajemnym pociągu... O tym, co jej obiecał, i o tym, czego pragnął... I na koniec - jak zawsze - doszedł do wniosku, że

potrzeby innych mają pierwszeństwo przed jego zachciankami.

Jakież to wyroki ferował nie tak dawno temu...? „Człowiek honoru nie uwodzi siostry przyjaciela ani nie zrywa, gdy na horyzoncie pojawi się ktoś bardziej atrakcyjny!” Zbyt pochopnie potępił coś, o czym nie miał pojęcia. I oto sam dopuścił się (co prawda nieświadomie) identycznego grzechu. A w dodatku cokolwiek by uczynił, nie zdoła naprawić winy, tylko ją powiększy.

Rafe starał się rozumować obiektywnie i logicznie, jak to czynił nie raz, gdy stawką było jego własne życie. Nawet jeśli Annabella nie pozbyła się go w grubiański sposób, nie mógł rościć sobie żadnych praw do niej. Dobrze o tym wiedział. Brakowało mu urody i wdzięku Damona, który był jej ideałem. Miała dziesiątki innych adoratorów, a każdy z nich mógł uleczyć jej zranione serce. Brenna natomiast nie miała żadnych konkurentów. Jej rodziców i brata lubił i poważał. Ona zaś podobała mu się naprawdę; miał wrażenie, że i on się jej podoba. Była kobietą o silnym charakterze. Bardzo wątpliwe, by zdołał skłonić ją do małżeństwa, gdyby nie żywiła do niego cieplejszych uczuć. A kiedy dała się ponieść emocjom, stracił kompletnie głowę.

I dał jej słowo.

Podniósł wreszcie zwieszoną głowę. Wiedział już, co musi uczynić. Prawdę mówiąc, wiedział o tym od samego początku. Człowieka honoru dane słowo wiąże raz na zawsze. Nie miał się nad czym zastanawiać. Na daremne żale szkoda czasu.

Przeszłość minęła bezpowrotnie; trzeba pomyśleć o przyszłości. Nie miał powodów do rozpacz... A jeśli nawet istniały, z rozmysłem zamknął przed nimi serce. Postanowił kroczyć dalej wytyczoną drogą; Zrobi wszystko, by stała się mniej stroma i ciernista. Podjąwszy tę decyzję, sięgnął po piętrzący się na biurku stos korespondencji. Urósł pokaźnie podczas jego nieobecności. Praca zawsze była dla Rafe'a najlepszym lekarstwem na troski i niezawodnym orężem w zwalczaniu rozpacz. Otworzył leżący na samym wierzchu list, który dotarł najpóźniej. Przebiegł pismo wzrokiem, myśląc nie tyle o treści, co o podjętej przed chwilą decyzji. Potem przeczytał uważniej, słowo po słowie. Raz i drugi. I jeszcze raz, zanim sens dotarł w pełni do jego mózgu.

Zmiał list w rękę. Zaraz jednakże położył kartkę na blacie biurka i spróbował wygładzić, by raz jeszcze zapoznać się z treścią.

*... I wobec tego nie ma mowy, niestety, o przybyciu na twoje wesele. Twój brat i ja musimy oczywiście zostać z mamą. To tylko niedyspozycja żołądkowa, ale trudno w takiej sytuacji zmuszać ją do podróży, nieprawdaż? Z przyjemnością poznamy twoją żonę, kiedy tylko będziesz mógł przywieźć ją do Arrow Court. Najlepsze życzenia.*

*Twój ojciec, Lynwood*

Rafe zacisnął pięści. On także poczuł skurcze w żołądku. Podobne dolegliwości zawsze nawiedzały jego matkę, gdy chciała się wykręcić od zbyt męczących obowiązków. Inaczej mówiąc: jeszcze jedno przedstawienie dla naiwnych. Ojciec - jak zawsze - wydawał się równocześnie ubawiony i zniecierpliwiony jej sztuczkami. Tak czy owak - nie mieli zamiaru przyjechać. Usiłował znaleźć dla nich jakieś usprawiedliwienie. Zostali zaproszeni w ostatniej chwili... Podróż była bardzo daleka... Ale to przecież wesele ich syna! Skrzywił się. Jak to wytłumaczyć Brennie i jej rodzinie...? Co sobie pomyślą...? Zastanawiając się nad tym, jak oszczędzić innym, Rafe powstrzymywał się od rozważania własnych emocji.

Odczuwał rozczarowanie, ból i dobrze znany, gorzki smak bezsilności. Nic nowego! - podsumował, sięgając po następny list; miał wrażenie, że epistoła waży tonę. Doprawdy, nic nowego!

Dwóch forysiów podążało konno za powozem. Dwaj lokaje jechali na wysokim koźle obok stangreta. Rafe i Drum tkwili we wnętrzu pudełka. Niezwykła, niezręczna cisza zapadła między przyjaciółmi. Hrabia bębnił nerwowo palcami.

Siedział sztywno, jakby kij połknął, ale widać było, że rozsadza go niewyładowana energia. Dalton wyglądał przez okno.

- Do wszystkich diabłów, wyduś wreszcie, o co ci chodzi! - zażądał w końcu Rafe. Odwrócił się od okna i popatrzył przyjacielowi prosto w twarz. - Zamieniłeś ze mną nie więcej niż trzy słowa, odkąd wyjechaliśmy z Londynu. To zupełnie do ciebie niepodobne! Nie rozmawialiśmy ze sobą od tygodnia. Wiem, że nosiło cię po mieście. Musiałeś nieźle zabałaganić...!

Zwykle gadasz jak nakręcony, a tym razem nic. Co się stało?

Hrabia wydawał się jeszcze bardziej skrępowany. Rafe przypomniał sobie - poraz pierwszy od bardzo dawna - że jest starszy od przyjaciela o kilka lat. Nigdy tego nie odczuwał. Druma przed czasem posłano do szkół, ale szybko się dogadał ze starszymi chłopakami dzięki żywej inteligencji i cynizmowi godnemu zblazowanego światowca. Pociągła, szczupła twarz i wysoka, trochę niezgrabna postać również dodawały mu powagi. W tej chwili jednak Drum wyglądał młodo i zadziwiająco bezradnie. Znikła z jego twarzy nieprzenikniona maska ironicznego rozbawienia, którą zawsze demonstrował światu.

- Niech będzie - odezwał się wreszcie. - Dotarły do mnie w Londynie dziwne pogłoski. - Mówił szybko i bacznie przy tym obserwował swego towarzysza. - Zaskoczyły mnie. Co tu gadać! Po raz pierwszy od wielu lat doznałem szoku. Zakładam, że połowa tego, co usłyszałem, to bzdury wysane z palca. Ale druga połowa wydaje się prawdziwa, jako że dotarła do mnie z różnych źródeł. I właśnie tym się gryzę. Jedziemy na twój ślub z Brenna Ford. A jednak słyszałem, że zaledwie onegdaj, w biały dzień, na Bond Street, na oczach ludzkich tuliłeś w ramionach lady Annabellę.

Dalton zmarszczył brwi. Potem zaśmiał się chrapliwie.

-Cóż za dokładność! Zgadza się co do joty. Hrabia przechylił głowę na bok.

-Ale to jeszcze nie wszystko, prawda?

- Nie wszystko - potwierdził Rafe. - Reszta jest znacznie gorsza.

-Masz ochotę porozmawiać o tym ze mną?

-Nie mam ochoty, ale to zrobię - odparł.

-Zawsze uważałem cię za uosobienie honoru - powiedział Drum. Oczy miał wyraźnie zatroskane. - Żywiłem podziw dla twych niezłomnych zasad i wyważonych opinii. Bóg mi świadkiem, Rafe, że nie mogę sobie wyobrazić ciebie w roli wiarołomcy, oszusta ani łgarza! Być może nie zdradziłeś swej narzeczonej w pełnym tego słowa znaczeniu, ale i tak paskudnie to wygląda.

-Rzeczywiście - zgodził się Dalton. - Sprawa jest wyjątkowo przykra, choć

nie ma w niej nic z tego, co sugerują pozory.

Drum odetchnął z ulgą. Rafe zauważył, że jego twarz nieco się rozjaśnia.

-Oczywiście, oczywiście! Opowiesz mi o tym?

- To bardzo proste. Spotkałem lady Annabellę na ulicy. A właściwie to ona wyrwała mnie z zadumy i powitała tak, jakby nigdy nie zrywała ze mną znajomości. To mnie zaskoczyło. Wyrzucała mi, że nie odwiedzałem jej, i natychmiast zaprosiła na bal, który odbędzie się w jej domu. Była figlarna, uśmiechnięta, beztroska... Zbiła mnie całkiem z tropu. Nie wierzyłem jej. Podejrzywałem, że to jakiś okrutny żart. Powiedziałem więc prosto z mostu, że nie mogę wziąć udziału w jej balu, gdyż żenię się za tydzień. Była zaszokowana.

-Wyobrażam sobie! - wycedził hrabia.

-Nie, to było coś poważnego. Przysięgam, że omal nie zemdląłem. Zbladłem jak płótno i nie mogłem utrzymać się na nogach. Musiałem ją podtrzymać. - Przerwał na sekundę. - Pewnie właśnie w tej chwili ktoś nas zobaczył. Nie przeczę, że to mogło wyglądać podejrzanie... Nie, do wszystkich diabłów! Nie mogło! Kto przy zdrowych zmysłach obejmowałby kobietę na środku ulicy?!

-Gorący wielbiciel - odparł Drum. - Szalony z niezaspokojonego pożądanego.

-Niemożliwe! - Dalton zrobił wielkie oczy.

-Całkiem możliwe. Właśnie tak o tobie gadają - oznajmił ze współczuciem przyjaciel. - I obawiam się, że podobne wieści rozpuszcza owa dama, o której właśnie rozmawiamy.

-Żeby ocalić twarz - dodał Rafe matowym głosem. - To ma sens!

-To niegodziwe! - oburzył się Drum. - Rozumiem, że dba o własną reputację, ale to jeszcze nie powód, by drzeć na strzępy twoją!

- Nie mów tak - mitygował go Rafe, potrząsając głową. - To moja wina. To ja wszystko sobie źle tłumaczyłem. Annabella jest młoda, naiwna i przywykła do tego, że czego tylko zechce, zaraz dostanie. Potem los spletał jej okrutnego figla i straciła Damona, który ożenił się z Gilly. Ale ja włączyłem się za Annabellą jak cień, bez większej nadziei na spełnienie marzeń. Znikłem z horyzontu, gdy uznałem, że straciłem ją raz



na zawsze. A teraz wygląda na to, że wbrew pozorom traktowała mnie serio...

Dalton urwał, jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Hrabia zorientował się jednak, że pod powłoką obojętności kłębią się gwałtowne emocje. Dostrzegł w surowych niebieskich oczach przyjaciela współczucie i żal.

- Wyobrazasz sobie, co ona przeżywała, gdy wypaliłem prosto z mostu, że znalazłem sobie inną? - spytał bezradnie Rafe. - Nie można jej winić. Dość już przeżyła okrutnych rozczarowań! A że rozsiewa plotki o mnie, by nie stracić twarzy... cóż w tym dziwnego? Zrobiła głupstwo w pośpiechu i żałuje poniewczasie.

-A ty? - spytał cicho Drum. - Chcesz pójść w jej ślady?

Rafe podniósł głowę i obdarzył przyjaciela morderczym spojrzeniem. Potem wyraźnie odprężył się.

-Nie - odparł. - Nie myśl tak o mnie. Ożenię się z Brenną. Tak być powinno. Nie zamierzam oglądać się wstecz.

-Klamka jeszcze nie zapadła - zauważył hrabia. - Nie popełniaj nowego błędu! Jeśli twoje serce nadal należy do Annabelli, nie wiąż się z Brenną! Tym sposobem unieszczęśliwisz dwie... nie, trzy osoby!

-Takiś doświadczony w sprawach sercowych? - spytał Rafe z niezwykłą u niego ironią.

-Wręcz przeciwnie! Nie wiem nic o miłości... prócz tego, co samo bije w oczy. Ale przekonałem się, że częściej następstwem miłości jest nieszczęście niż radość. I właśnie dlatego mam czelność wtrącać się w twoje sprawy; dlatego proszę: zastanów się jeszcze, przemyśl to!

-Zastanowiłem się już. Powiedziałem, że ożenię się z Brenną, więc ją poślubię. I kropka. A teraz pora na małą zmianę! -oznajmił, wstając z miejsca i bębniąc pięścią w dach powozu. -Taka jazda może jest dobra dla starszawych dżentelmenów, ale nie dla mnie! Resztę drogi odbędę konno. Zaraz przesiądę się na Srokacza i dam mu taką szkołę aż miło! Sobie zresztą też. A co z tobą?

-Ze mną...? No tak... dzień jest rzeczywiście piękny - zgodził się Drum. Dobrze znał Rafe'a i wiedział, że przyjaciel uznał poprzedni temat za zamknięty, choć wiele pytań pozostało bez odpowiedzi. Drum nie był zresztą pewien, czy chciałby je teraz poznać. Nie dałby też głowy, czy w

ogóle istnieją konkretne rozwiązania tych kwestii.

Maura Ford przyglądała się, jak córka przymierza jedną z sukien należących do wyprawy ślubnej. Kreacja była intensywnie różowa - w kolorze jutrzeńki - z białymi rękawami. Pasowała doskonale, podkreślała perłową karnację Brenny i atramentową czerń jej włosów.

- Wspaniale! - orzekła z satysfakcją pani Ford. - To już ostatnia. Mamy więc wszystko gotowe do ślubu. Z wyjątkiem pana młodego.

Jej słowa zabrzmiały zbyt głośno w ciszy, jaka zapadła.

-Ale co z kwiatami? - spytała pospiesznie. - Ogrodowe, polne czy z oranżerii? Jak myślisz? Astry, gardenie... a może róże? Według mnie róże, a ty jak uważasz? Nadal jest tak ciepło, że możemy na nie liczyć.

-Na Rafe'a też możemy liczyć - rzekła stanowczo Brenna. -Powiedział, że przyjedzie na czas, więc z pewnością tak będzie. Nie martw się, mamo! To dobry i prawy człowiek. Na pewno się zjawi i ślub się odbędzie. Zobaczysz, że na moim przykładzie sprawdzi się powiedzonko „do trzech razy sztuka”! Jestem dojrzała niż wówczas, gdy zaręczyliśmy się z Tomem. A nasze stosunki z Rafe'em są bardziej wielostronne niż to, co łączyło mnie ze Spencerem. Tym razem doskonale wiem, czego pragnie mój rozum, moje serce i moje ciało.

-Ależ, Brenno! - zmitygowała ją matka.

Jej córka uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Wybacz, mamo! Zapomniałam, że nic nie wiesz o takich sprawach!

Pani Ford wybuchnęła śmiechem.

- To ja ciągle zapominam, że już najwyższy czas, byś i ty orientowała się w tych sprawach, drogie dziecko!

Maura uśmiechała się, ale jej oczy były poważne i czujne. Nadal się wahała, czy podjąć ten temat. Brenna westchnęła cichutko. Dyskutowały zawsze o wszystkim, ale jedno omijały od śmierci Thomasa. Zapewne mama, tak jak inni, zastanawiała się, jak daleko posunęli się oboje z Tomem w swej jakże widocznej miłości. I wówczas, i teraz Brenna nie mogła i nie chciała zwierzać się nikomu. Wspomnienia o Tomie należały tylko do niej.

Tymczasem matka sprawiła jej niespodziankę. Wzięła ją za obie ręce i powiedziała:

-To nie będzie zdrada wobec Toma, Brenno. To integralna część twojego małżeństwa z Rafe'em. Zasługujesz w pełni na tę radość. Tom z pewnością byłby tego samego zdania. Rafe to dobry człowiek. Lubię go, Eric ręczy za niego głową, twój ojciec jest zachwycony przyszłym zięciem. Ale nade wszystko cieszy mnie to, że ty go pragniesz. Wzajemne pożądanie i doskonałe spełnienie są niezbędne dla małżeńskiego szczęścia. Co więcej, te fizyczne więzi mogą pokonać takie przeciwności, jak bezsensowna sprzeczka czy niemądra omyłka. To one przynoszą pociechę i ułatwiają życie w trudnych chwilach, a zawsze stanowią źródło radości. Bardzo współczuję kobietom, które nigdy nie zaznały takiego szczęścia. I cieszę się, że ty znalazłaś je w objęciach Rafe'a.

No, nie... Nie zaznałam go w całej pełni. J e s z c z e nie! -wyznała Brenna.  
- Ale wiem, że mnie to nie ominie. I przyznam, że nie mogę się już doczekać!

-Przekonasz się, jakie to rozkoszne!

- Ależ, mamó! - Brenna zrobiła zgorszona minę, a pani Ford zaczerwieniła się.

Rozmowa z matką sprawiła Brennie radość. Szczerze mówiąc, ciężar spadł jej z serca, gdyż mimo wszelkich starań myśl o tej stronie małżeńskiego pożycia narzucała się jej natrętnie. Dalton nie był najprzystojniejszym z mężczyzn, jakich znała. Ale na jego twarzy malowała się prostota i szczerść, sposób bycia miał naturalny i bezpośredni. I choć nie wyglądał na bohatera panińskich marzeń, umiał wywołać u narzeczonej rozkoszne westchnienia. Jego ciało było silne, muskularne, a zarazem smukłe. Ubiór był skromny, ale zawsze schludny i stosowny. Od razu można było poznać, że nie jest bawidamkiem i przeważnie obraca się w męskim towarzystwie. Tym szczęśliwsza i spokojniejsza mogła być jego żona.

Wbrew temu, co mówiła matce, Brenna niekiedy powątpiewała w swoje szczęście. Od wyjazdu Rafe'a nieraz, przeważnie nocą albo podczas samotnych spacerów do miasteczka, gdzie czuła na sobie badawcze spojrzenia, ogarniały ją wątpliwości, czy narzeczony do niej wróci. Już dwukrotnie los odebrał jej oblubieńca w ostatniej chwili.

Tym razem nie zniosłaby tego tak dzielnie. Była o wiele bardziej zakochana niż w przeszłości. Związek z Rafe'em nie był dla niej małżeństwem z rozsądku. Była bliska zakochania się w lordzie Daltonie już wówczas, gdy wyjeżdżała z Londynu. A potem jego dobroć, jego pocałunki, jego słowa sprawiły, że zakochała się po uszy. Nie była zadowolona ze zbiegu okoliczności, który związał ich ze sobą. Nie przeklinała jednak tego wydarzenia. Ale jak było z Rafe'em...?

Do ślubu pozostał tylko tydzień. Narzeczony powinien już wrócić, a wciąż go nie było. I właśnie teraz, mimo wszelkich wysiłków Brenny, wątpliwości zaczęły wkradać się do jej mózgu i podkopywać dotychczasową pewność.

Złożyła starannie nową kreację i pospiesznie ubrała się w domową sukienkę. Do roboty! Z leniuchowania rodzą się najgłupsze myśli. Jest jeszcze mnóstwo spraw do załatwienia. Niebawem zaczną się zjeżdżać goście. Przybędą rodzice Rafe'a. Nie może siedzieć z założonymi rękami.

Schodząc po schodach na parter, ujrzała rodziców i brata zgromadzonych wokół wielkiej paczki w hallu. Rozprawiali o czymś po cichu, z tajemniczymi minami. Kiedy odwrócili się do nadchodzącej Brenny, z wyrazu ich twarzy poznała, że

mówili o niej. Widywała już w przeszłości takie miny. Potknęła się o stopień i omal nie spadła ze schodów. Uczepiła się poręczy tak kurczowo, że aż jej kostki zbiały. Przystanęła.

-To ślubny prezent - pospiesznie wyjaśnił Eric, wyczuwając przestach siostry. - Od rodziców Rafe'a. Zastanawialiśmy się właśnie, czemu go przysłali, zamiast przywieźć ze sobą.

-Pewnie musieli wysłać, bo chcą wziąć mnóstwo fatałaszków i nie starczyłoby miejsca w powozie - wtrąciła mama. -Widać zabawią u nas dłuższy czas.

Ojciec wyciągnął rękę z listem, który doręczono wraz z paczką. Brenna podbiegła do niego, wzięła list, otwarła i zapoznała się z jego treścią. Potem spojrzała na swoich najbliższych. Zdobyła się nawet na niepewny uśmiech.

- Okazuje się - powiedziała ze sztuczną beztróską - że mimo najlepszych chęci nie będą mogli przyjechać. Mama Rafe'a zachorowała. Jakieś zaburzenia żołądkowe. Zaprasza nas do

Arrow Court po weselu.

-Ach, tak... - bąknęła pani Ford.

-No, cóż... Jeśli ta paniusia jest chorowita, lepiej, żeby została w domu - burknął pułkownik. - Ale brat Rafe'a chyba mógłby przyjechać?

-Rafe przyznał, że niezbyt się z bratem kochają - wyjaśniła krótko Brenna, składając list.

-Ojciec Rafe'a nie może oczywiście zostawić chorej żony - wtrąciła nerwowo matka, widząc strapienie Brenny.

-To zwykła bezmyślność, na pewno nie zamierzali wyrządzić ci afrontu - poparł ją Eric, nie odrywając oczu od siostry. - Całkiem to pasuje do tego, co z trudem wyciągnąłem od Rafe'a na ich temat. Czytał mi urywki z ich listów, kiedy leżeliśmy razem w szpitalu. Wiało od nich mrozem. Aż dziw, że nie dostał odmrożeń na dodatek do swojej paskudnej rany. Nie wmawiaj sobie, Bren, że żywią jakieś obiekcje co do twojej osoby. Ich po prostu nic nie obchodzi, że Rafe się żeni ani z kim się żeni. Nie mieli dla niego upatrzonej panny. A swojego nazwiska i rodu nie musisz się wstydzić. Wszystkie uczucia, na jakie ich stać, skupili na starszym synu. Rafe równie dobrze mógłby się nie urodzić.

-W takim razie od dziś bierzemy Rafe'a pod swoje skrzydła oświadczyła Maura Ford. - Przynajmniej będzie miał rodzinę. A tamci niech nie przyjeżdżają. Mała szkoda, krótki żal!

-Nie chcą być na weselu, ich strata! - dorzucił jej mąż.

Brenna uśmiechnęła się. Jej najbliżsi znów zwarli szeregi, stanęli murem przy niej. Chcieli, by poczuła, że ma rodzinę.

Ale godziny upływały i dzień, w którym narzeczony miał wrócić, dobiegał końca, a jego nie było. Brenna odzywała się coraz rzadziej i uśmiechała się z coraz większym przymusem.

Była w nieustannym ruchu, zajmowała się coraz to czymś innym, zgoła niepotrzebnym. Eric podszedł do niej i przerwał tę gorączkową krzątaninę.

- Bren - powiedział łagodnie - przestań się zadrećcać! Czemu szukasz dziury w całym? Wszystko będzie dobrze!

Skinęła głową. Bardzo chciała uwierzyć bratu, ale nie była w stanie.

Przybył o zachodzie słońca. Jego powóz wjechał z turkotem kół i stukiem

końskich kopyt na podjazd. Dalton zeskoczył z konia, rzucił cugle szczerzącemu zęby chłopcu stajennemu i ruszył ku drzwiom frontowym, przeskakując po dwa stopnie na raz.

Bren powinna była czekać na niego w salonie, jak przystało damie. Albo pozostać w swym pokoju i udawać, że nic nie słyszała, żeby musieli sprowadzić ją na dół. Rafe nigdy by się nie dowiedział, jaka była niespokojna. Tymczasem skoro tylko rozległy się hałasy na dole, Brenna sfrunęła ze schodów jak ptak i rzuciła się narzeczonemu na szyję.

Rafe w pierwszej chwili był zbity z tropu. Nawet się zawahał. Zaraz jednak objął ją, przytulił do siebie i pocałował, nie zważając na to, że wszyscy ich obserwują.

Cała trójka Fordów stała na progu, uśmiechając się. Tylko hrabia Drummond, który nie zsiadł jeszcze z konia, z wyżyn siodła spoglądał na nich z niepokojem. Kiedy jednak Eric przywołał go przyjaznym gestem, Drum ocknął się, uświadomił sobie, gdzie się znajduje i kto na niego patrzy, i uśmiechnął się także.

15

Nadeszła pora radosnego ucztowania - powitalnego obiadu okraszonego żartami i błyskotliwą konwersacją. Hrabia Drummond potrafił rozruszać każde towarzystwo, gdy tylko zechciał. A rym razem zechciał, a jakże! Wiedział dokładnie, co powiedzieć, by mężczyźni ryknęli śmiechem, a damy uśmiechnęły się. Rafe był ogromnie wdzięczny przyjacielowi za jego starania.

Nie zdawał sobie nawet sprawy, że Drum uczynił dlań znacznie więcej: zadbał o to, by ukazać Rafe'a w najbardziej korzystnym świetle. Jego bezpretensjonalne, niekiedy cierpkie uwagi jeszcze uatrakcyjniały dowcipną konwersację. Brenna zaśmiewała się, sypała żartami i promieniała radością. Jej ojciec, brat i Rafe - jedyni mężczyźni, którzy liczyli się w jej życiu - znajdowali się w zasięgu jej wzroku i najwyraźniej przypadli sobie do gustu. Nic dziwnego: byli w gruncie rzeczy bardzo do siebie podobni! Wymieniły z matką szerokie, porozumiewawcze uśmiechy. Znakomicie! Tak właśnie być powinno! I zawsze tak będzie, jeśli szczęście im dopisze.

Gdy obiad się skończył i wstali od stołu, Dalton wprowadził wszystkich w zdumienie.

- Dziękuję na razie za porto; tabaka i cygaro też mogą poczekać. Chciałbym zamienić kilka słów z moją narzeczoną -zwrócił się do pozostałych. - Czy moglibyśmy porozmawiać chwilę na osobności?

Powiedział to miękko, z uśmiechem. Tylko wspomnienie dotychczasowych niemiłych doświadczeń mogło usprawiedliwić niepokój Brenny; serce ścisnęło się jej ze strachu. Zbyt

wiele przeżyła niespodzianek, zbyt często złe wieści spadały na nią jak grom z jasnego nieba, by nagłe odstępstwo od ustalonego schematu nie wzbudziło w niej lęku. Zwłaszcza w przed dzień ślubu. Z ociąganiem podniosła się z miejsca. Ojciec i brat uśmiechnęli się do niej znacząco; pogrążona w miłych wspomnieniach mama posłała jej również czuły uśmiech. Brenna zauważyła jednak, że hrabia Drummond spojrzał ostro na przyjaciela. Jej złe przeczucia nasiliły się. Rafe chwycił ją za rękę i wyprowadził z pokoju. Ręka spoczywająca w jego dłoni była zimna jak lód. Ciemne oczy narzeczonej wpatrywały się w niego z niepokojem. Weszli do salonu i Rafe zamknął drzwi.

Chwycił Brennę w objęcia i pocałował.

W pierwszej chwili była zaskoczona, potem oczarowana. Gdy pocałunki Rafe'a stały się zaborcze, objęła go za szyję i odpowiedziała ochoczo na coraz bardziej natarczywe pieszczoty. Przywarli do siebie. Choć pocałunki były słodkie, oboje wyczuli w tym miłosnym porywie nutę desperacji i cofnęli się w tej samej chwili, z takim samym niemym pytaniem w oczach.

Brenna odezwała się pierwsza.

-Nie byłam pewna, czy wrócisz - wyznała.

Dalton nie odpowiedział od razu, gdyż i on przez pewien czas nie był tego pewny; dręczyło go poczucie winy. Burknął w odpowiedzi:

-Obiecałem, że wrócę.

- No, tak... Ale z obietnicami różnie bywa - odrzekła i wzruszyła ramionami.

Rafe położył ręce na ramionach narzeczonej i spojrzał jej prosto w oczy.

-Ja zawsze dotrzymuję słowa.

- Widzę - odpowiedziała, nie czując wcale satysfakcji; ogarnął ją

niezrozumiały niepokój. - O czym chciałeś ze mną porozmawiać?

Zdjął ręce z jej ramion.

-Moi rodzice nie mogą przyjechać na nasz ślub.

- Wiem, napisali do mnie i przysłali prezent ślubny. - Spostrzegła wyraz twarzy Rafe'a. - Chyba twojej matce nie pogorszyło się...?

- Mamie? Ależ skąd! Nie denerwuj się. Rozchorowała się wyłącznie po to, by uniknąć fatygi.

Cofnął się o krok, ale zaraz przysunął się znowu do Brenny. Spojrzał na nią i ponownie uderzyła go jej uroda. Jak mógł zapomnieć, że jest taka piękna?! Tak, była prześliczna, inteligentna, dobrze urodzona - bez najmniejszej skazy. Pragnął jej to powiedzieć. Pragnął obwieścić o tym całemu światu. A zwłaszcza pragnął pochwalić się swoim rodzicom, jaki skarb zdobył.

-Moich rodziców niewiele obchodzi, co się ze mną dzieje. Zresztą, może nawet obchodzi... lecz przede wszystkim dbają o własną wygodę. Ale pragną cię poznać. Nie ustaliliśmy jeszcze, dokąd wybierzemy się w podróż poślubną. Czy miałabyś coś przeciwko temu, żebym zaraz po weselu zawiózł cię do nich, do Arrow Court?

-Oczywiście, że nie! - zapewniła go. - Ja również pragnę ich poznać. - Przede wszystkim chciała zrozumieć, czemu wyrządzili synowi tak wielką przykrość. A może nawet dopomoże w poprawie ich wzajemnych stosunków...? - Doskonale! Nigdy jeszcze nie zapaściłam się tak daleko na południe Anglii... To zabawne: przebyłam ocean i dotarłam do Indii, a nie znam dobrze własnej ojczyzny!

Dal ton skinął głową; wyraźnie mu ulżyło.

- Nieraz tak bywa. W takim razie załatwione...! O czym to ja... A, prawda! Kupiłem to w Londynie. Z myślą o tobie - rzekł, sięgając do wewnętrznej kieszeni surduta. Wyjął z niej płaskie pudełko i wręczył narzeczonej.

Zawahała się na sekundę, otworzyła wieczko i aż jęknęła. Na ciemnej wyściółce płonął żywym ogniem sznur rubinów. Każdy był otoczony iskrzącą się koronką drobnych brylantów, które nawet w ciemnym salonie migotały jak okruchy gwiazd. Brenna wpatrywała się w klejnoty jak urzeczona.

- Pozwól... - powiedział Rafe, wyjmując naszyjnik z pudełka. Przez



chwilę trzymał go przed oczyma Brenny.

Miała włosy upięte do góry, musiała więc tylko zbliżyć się o krok do narzeczonego i pochylić głowę. Poczowała na skórze lekkie muśnięcie palców Rafe'a, kiedy zapinał zameczek. Potem jego oddech poruszył delikatne włoski na jej karku. Zadrżała.

-Gotowe! - oznajmił bardzo z siebie zadowolony i cofnął się o krok. - Spójrz!

Na ścianie wisiało tremo. Brenna podeszła i spojrzała na swe odbicie w lustrze. Jej ręka powędrowała do jaśniejszej kolii, która - niczym czarodziejska pajęczyna - zawisała na jej szyi. Natychmiast jednak dostrzegła kontrast między tym cudem a własną zaniedbaną dłonią i cofnęła ją. Czowała się jak praczka o szorstkich, spracowanych rękach, dotykająca bezcennych koronek. Ten wytworny naszyjnik - misterny, o skomplikowanym wzorze - bardziej pasował do Annabelli niż do niej. Czy Rafe myślał o tamtej, kupując ślubny podarek...?

- Rubiny doskonale do ciebie pasują. Są czerwone jak twoje usta. Widziałem inne, większe... ale byłyby za ciężkie. Te wydały mi się wyjątkowo ładne. Brylanty sprawiają, że naszyjnik wydaje się leciutki jak piórko. Do włosów też ci pasuje. Sprzedawca mówił, że rubiny niekiedy wydają się zbyt masywne... Będziesz musiała bardzo uważnie dobierać toaletę. Pierścionek wybrałem także z rubinem, do kompletu - mówił dalej, gdyż Brenna nie odzywała się.

Podał jej mniejsze pudełeczko, którego prawie nie widziała: oczy jej pełne były łez.

- Bren! - powiedział, biorąc ją w ramiona. Przytuliła twarz do jego surduta, niezdolna już ukrywać swych uczuć. Rafe pochylił się ku niej. - Płaczesz...? - spytał miękko. - Nie płacz, Bren... Dobrze, że nie kupiłem diademu, choć mnie kusilo... całkiem byś się rozkleiła. No, Bren... Bren! - powtarzał, usiłując zajrzeć jej w oczy. - Nawet nie wiem, co znaczą te łezki? Po doba ci się czy nie podoba?

Roześmiała się przez łzy.

- Do naszych rodowych świecidełek nie mam prawa - mówił, gładząc narzeczoną po plecach i starając się stłumić nie

oczekiwane wzruszenie, które ją ogarnęło. - Dostaną się przyszłej żonie mojego brata. Do ciebie i tak by nie pasowały. Same kaboszony\* w oprawach ciężkich jak kajdany...! W dodatku żona Granta będzie musiała przekazać je synowej, kiedy ich pierworodny się ożeni. A te rubiny są tylko twoje, Bren. Tylko twoje i na zawsze. Czemu się znowu mażesz?

-Bo... bo one są... takie piękne...

- Masz ci los! - westchnął Rafe i przestał ją głaskać. - Chciałaś, żebym ci kupił brzydkie?

Roześmiała się. Podniosła głowę. Pocałował ją.

I przez dłuższy czas żadne z nich nie odezwało się ani słowem.

W przeddzień wesela obchodzono uroczyście dziewiczy wieczór.

Tidbury od zarania swych dziejów nie gościło tylu znamienitych i wytwornych gości. Nawet za czasów rubasznego księcia Hala, który kilka wieków temu zatrzymał się na jedną noc w tutejszym zajeździe. Zjawił się zresztą wówczas w towarzystwie zaledwie jednego biskupa, kilku generałów i garstki dworzan. Teraz zaś w domu Fordów roiło się od olśniewających przedstawicieli wielkiego świata. Dawno już zapomniano, jak była odziana świta księcia Hala i o czym rozprawiała. Obecni mieszkańcy Tidbury, którym szczęście dopisało i zostali zaproszeni na to przyjęcie, przysięgali, że do śmierci będą pamiętać niezwykłych gości. A Brenna wiedziała, że kto jak kto, ale ona nikogo ani niczego nie zapomni.

Przedstawiano ją czarującym damom i dżentelmenom; wszyscy mieli nienaganne maniery i niezwykle wytworne stroje. Widoczne było też, że wszystkich łączy z Daltonem szczerą przyjaźń. Odnosili się do Brenny z niezwykłą uprzejmością, nie ulegało jednak wątpliwości, że dotarły do nich plotki na jej temat i dobrze wiedzieli, jak doszło do tego małżeństwa. Któż zresztą o tym nie wiedział...? I chociaż byli niesłychanie ujmujący, Brenna zdawała sobie sprawę z tego, że podlega baczny, choć dyskretnym oględzinom. Nie podobało jej się to, ale trudno byłoby mieć do nich o to pretensję.

Olśniewająca dama w srebrzystych jedwabkach, ze złocistymi oczyma tygrysicy i z włosami jasnymi jak len, podeszła do Brenny i położyła drobną rączkę na jej rękawie.

-Jesteś n a p r a w d ę piękna! - wykrzyknęła radośnie. -Dokładnie taka, jak mówili: egzotyczna, orientalna, istna księżniczka z *Baśni z tysiąca i jednej nocy!* Choć twój diabelnie przystojny brat zapewnia, że pochodzisz w prostej linii od druidów i prastarych walijskich książąt! „Ale ani trochę nie zadziera nosa!” - powiedział. Widzę teraz, że miał rację... Wybacz, że się tak od razu spoufalam, ale u mnie co w sercu, to i na języku! Mój małżonek wiecznie to powtarza.

*\*Kaboszon - kamień szlachetny szlifowany okrągło lub stożkowato, bez krawędzi (przyp. tłum.).*

-A powtarzam, powtarzam, ale to jak rzucać grochem o ścianę! - wtrącił wspomniany małżonek. Był tak piękny, że Brenna zamrugła oczyma. - I Bogu dzięki - dodał przewrotnie, spoglądając czule na żonę. - ... bo wcale nie chcę, żebyś się zmieniła. Skąd bym wtedy wiedział, że znowu coś knujesz, szelmo...? Ale - tu zwrócił się do Brenny - jeśli o panią chodzi, panno Ford, to moja połowica ma świętą rację. Jest pani prześliczna, dokładnie tak, jak głosi fama.

-Jest prześliczna, ani słowa! - odezwała się znów jego żona. -Ale dochodzę do wniosku, że te wszystkie „ochy” i „achy” na jej temat to jeszcze za mało...! - a dostrzegłszy wyraz twarzy, Brenny dorzuciła: -Ale ją wpakowałam...! Biedulce nie wypada teraz ani potwierdzić, ani zaprzeczyć!

-No, no...! - wtrącił z uśmiechem Rafe. - Rekordzistka w popełnianiu towarzyskich gaf przyznaje się do błędu?! Odniosłaś prawdziwy triumf, Bren! Pozwól, że ci oficjalnie przedstawię parę moich starych przyjaciół: Gilly i Damona Ryderów.

-A jeszcze starsi przyjaciele przedstawią się sami - rzekł z ukłonem wysoki mężczyzna nienagannie odziany według najnowszej mody. Patrząc na niego, każdy myślał instynktownie: „z nim lepiej nie zadzierać!” - Pani pozwoli: Ewen Sinclair... a to moja żona, lady Bridget - dodał z dumą.

Brenna wdzięcznie dygnęła. Lady Bridget była również niezwykle piękna. Niewielka blizna nie odbierała uroku jej twarzy, raczej potęgowała; nie sposób było zapomnieć tych rysów.

- Witaj, Sinclair! Sługa uniżony, wicehrabino! - zwrócił się do nich z uśmiechem Rafe. - Jak to dobrze, że udało wam się przyjechać!

-Nigdy byśmy nie przepuścili takiej okazji! - zapewniła go wicehrabina. - Cóż mogłoby nas powstrzymać?

-Coś by jednak mogło - roześmiał się jej mąż. - Na weselu Gilly nas nie było, pamiętasz?

-A propos: jak się miewa diablątko? - spytał Drum.

- Diablątko, nie diablątko - odezwała się znów Gilly Ryder. - Myślałby kto, że nie zawojowała cię z kretesem!

-Zawojowała - przyznał Drum. - Los doprawdy płata okrutne figle: oto po raz pierwszy oddałem na wieki me serce dziewczeczce... a mój ideał ma tylko trzy zęby.

-Już cztery. Od dzisiejszego ranka! - oznajmiła ze śmiechem wicehrabina.

-Jeśli już mówimy o tych sprawach - wtrącił się Rafe - to ogromnie żałuję, że Hathaway i Lucy nie mogli przyjechać. To również dobrzy przyjaciele - wyjaśnił Brennie. - Niedawno się pobrali. Bardzo bym chciał, żebyś ich poznała... I poznasz oczywiście, tylko trochę później. Przykro mi, że nie ma ich teraz z nami, choć powód nieobecności jest taki radosny. To wspaniale, że i ta miła rodzina wkrótce się powiększy!

Po tych słowach Rafe'a rozmowa stała się jeszcze bardziej ożywiona. Wszyscy radowali się z kolejnej dobrej wieści. Brenna rada, że nie jest już na cenzurowanym, obserwowwała bacznie przyjaciół narzeczonego. Choć jego rodzice i brat nie zjawili się, nie ulegało wątpliwości, że wszyscy ci wytworni przyjaciele zastępują ich z powodzeniem: nie tylko Rafe ich kochał, ale i oni szczerze go kochali.

Brenna nie miała pojęcia, że jej narzeczonego ma tak liczne znajomości w najwyższych kręgach. Czyniło go to jeszcze bardziej nieosiągalnym,, a jednak nazajutrz miała zostać jego żoną. Czy ci wszyscy ludzie uważają, że zwabiła Rafe'a w pułapkę? Byli dla niej czarujący... ale kto wie, czy patrząc na nią, nie mieli przed oczyma Annabelli, nie porównywali ich obu, nie uznali, że Brenna nie dorasta hrabiance do pięt...?

Takie myśli sprawiły, że gdy uwaga grona przyjaciół ponownie skupiła się na niej, Brenna była milcząca i skępowana. Na szczęście odezwały się pierwsze tony tradycyjnego figurowego tańca, uwalniając ją od trudów

konwersacji. Muzykanci zarobili

w pełni na swe wynagrodzenie: grali niemal bez przerwy. Brenna nie miała więc czasu na dalsze rozmowy. Tańczyła wszystko, co popadło, ale czekała z utęsknieniem na walce. Rafe zarezerwował dla siebie wszystkie, co do jednego. Dzięki temu mógł trzymać ją w objęciach, ona zaś mogła spoglądać mu w oczy i zapomniawszy o przeszłości, radować się chwilą obecną.

Panna młoda drżącymi rękoma wkładała ślubną suknię. Co prawda, wiedziała to i owo o małżeństwie, ale z pewnością nie wszystko! Zrobi dziś doprawdy wielki krok... w nieznanne.

-Nie martw się - poprosiła, ujrawszy niepokój w oczach brata, który miał ją uroczyście sprowadzić na dół. - Wiem, co robię. Pewnie, że mam trochę stracha... ale i pewność, że postępuję słusznie.

-Chodzi o to... - zaczął Eric i urwał. - Wygląda na to, Bren, że i mnie dopadły osławione „przedślubne nerwy”. W nocy nie zmrużyłem oka... Popychaliśmy cię do tego małżeństwa... Ale klamka jeszcze nie zapadła. Nie musisz wychodzić za niego, jeśli twoje serce czy dusza wzdraga się przed tym krokiem. Nie pozwól, by londyńska elita albo nawet własna rodzina decydowała o twoim losie! Jest już późno, ale nie za późno na zmianę decyzji. Będziemy stać przy tobie murem, cokolwiek postanowisz. Nie przykładaj zbyt wielkiej wagi do tego, co wygadywałem w przeszłości. Nadal uważam, że z Rafe'a wspaniały chłop... ale nie jestem panienką. Skąd mogę wiedzieć, jakich zalet panna szuka przede wszystkim u przyszłego męża?

-Co ja słyszę?! Mój mądry brat przyznaje, że czegoś nie wie? -zakpiła Brenna. Zaraz jednak dodała poważnym tonem: - Nie martw się. Naprawdę wiem, co robię. Miałeś rację: nic nie poradzę na przykre okoliczności, które doprowadziły do tego małżeństwa. Ale nic nie poradzę także na to, że coraz bardziej lubię mego przyszłego męża.

-Lubisz go? - spytał Eric i znowu spojrzał na nią z niepokojem.

Spuściła głowę. Sprawiała wrażenie pewnej siebie, wyrobionej towarzysko, eleganckiej piękności. Czerwone róże, wplecione w lśniące, kruczoczarne włosy, wieńczyły jej głowę. Miały ten sam kolor, co rubiny naszyjnika, i tworzyły interesujące zestawienie z rdzawą barwą nowej aksamitnej sukni. Kiedy jednak Brenna pochyliła

głowę, ukazał się równiutki biały przedziałek. Ten właśnie widok uświadomił Ericowi, jak po ludzku słaba, jak bezbronna jest jego siostra. Zmarszczył brwi. Jego niepokój wzrósł.

Brenna raz jeszcze popatrzyła na brata. Jej oczy były równie szczere, jak jej słowa.

- Przyznaję, że żywię dla Rafe'a uczucia znacznie gorętsze -szepnęła miękko. - Ale polubiłam go od razu, jak tylko spotkaliśmy się. Myślę, że właśnie z tego lubienia wzięło się inne, gorętsze uczucie. I mam nadzieję, że będzie nadal rosło i potężniało - przez długi, długi czas.

Eric uśmiechnął się i rzucił tylko: - Oby!

Kiedy jednak schodzili ze schodów, spojrzął na ojca i skinął głową. Pułkownik Ford wyraźnie się odprężył, następnie ujął córkę pod ramię, by poprowadzić ją do kościoła i przed ołtarz.

Był to skromny wiejski ślub, bez londyńskiej pompy i parady, ale słońce sprzyjało nowożeńcom: pięknie nad nimi zaświeciło na dobrą wróżbę. Goście prezentowali się wspaniale w paradnych szatach, młoda para urzekała urodą i wdziękiem. Strój pana młodego utrzymany był w różnych odcieniach brązu i beżu. Jego miedziane włosy, rdzawa suknia panny młodej i barwa jesiennych róż, które miała we włosach i w ręku, tworzyły harmonijną całość. Wszystko razem pasowało do wnętrza starego kościoła i do dekoracji kwietnej. I nikt by nie pomyślał, że krocząca tak pewnie główną nawą panna młoda może czuć niepokój w sercu.

Spotkali się przed ołtarzem: Rafe cały w uśmiechach, Brenna cała w pąsach.

Niektóre szczegóły uroczystości stanowiły wyśmienity żer dla plotkarzy. Brak krewnych pana młodego rzucał się w oczy. Panna młoda w tym samym kościółku miała przed laty poślubić kogoś innego. Przyczyna zawieranego właśnie małżeństwa nie była taka oczywista; często dyskutowano na ten temat w okolicy. Nikt jednak nie odważył się na to w dniu wesela. Niektórzy z obecnych dobrze zapamiętali rudowłosego dżentelmena z pewnego wieczoru w pobliskiej oberży.

Ostrzeżeni o jego porywczym charakterze, pomni jego pogrózek woleli nie narażać się na gniew lorda Daltona w dniu tak uroczystym.

Tak więc wszyscy obecni w kościele, zapominając o przeszłości,

wsluchiwali się w słowa składanej uroczystej przysięgi małżeńskiej. Ślub każdemu kojarzy się przecież z przyszłością! A poza tym panna młoda miała brata dryblasa i krewkiego ojca, a pan młody prezentował się aż nadto groźnie. Wszyscy wszak wiedzą, że każdy rudzielec to paliwoda: lepiej z takim nie zaczynać!

Kiedy nowożeńcy zatrzymali się przed kościołem, czekając na powóz, którym mieli wrócić na weselne śniadanie, Dalton zaczął żegnać się ze starymi i z nowymi przyjaciółmi. Zaraz po śniadaniu młoda para miała wyjechać w podróż poślubną, więc Rafe starał się zamienić z każdym choć kilka słów.

-Dzięki, Drum! - rzekł do swego drużby, ściskając mu rękę. - Byłeś, jak zawsze, wiernym druhem. Nigdy ci tego nie zapomnę!

-Dajże spokój! - roześmiał się hrabia. - Masz teraz ważniejsze sprawy na głowie.

-Daj wam Boże szczęście! - odezwał się następny w kolejce Eric, ujmując dłoń szwagra. - Nie znalazłbym lepszego męża dla mojej siostrzyczki. Cieszę się, że oboje tak dobrze trafiliście!

-Mam teraz dwóch synów! - oznajmiła mama Brenny ze łzami w oczach.

-A ten nowy w całkiem dobrym gatunku! - burknął pułkownik, kładąc rękę na ramieniu zięcia.

Brenna pożegnała się z rodziną poprzedniego dnia. Okazało się to dobrym pomysłem, gdyż teraz była zbyt zdenerwowana, by mówić z sensem.

Następnie szczęśliwa młoda para wraz z gośćmi udała się do domu panny młodej, gdzie lał się szampan w stanie czystym oraz podlane nim nektary owocowe. Były też przeróżne frykasy z jaj, ryb, mięs i drobiu oraz fantastyczne galarety, ciastka i ciasta, owoce, a także bułeczki, konfitury i miód. Miało to

być śniadanie, ale przeciągnęło się do późnego popołudnia. I kiedy wzniesiono już wszystkie toasty, opowiedziano wszystkie dowcipy i powtórzono po wielokroć różnorodne obietnice, nowożeńcy pożegnali się raz jeszcze i wstali od stołu.

Wyszędłszy na dwór, odkryli, że ich powóz tonie w kwiatkach; nawet zaprzężonym do niego czterem koniom wpleciono kwiatki w grzywy i ogony! Peck, wysztafirowany niczym na królewskie zaślubiny, odziany w

strój z ubiegłego stulecia, zajął miejsce obok stangreta. Poorana bruzdami twarz wiernego sługi zmarszczyła się jeszcze bardziej w uśmiechu, ale dosłownie promieniała radością. W drodze do powozu nowożeńcy obsypani zostali obficie ryżem i płatkami róż. Pan młody zrewanżował się, rzucając w tłum odprowadzających garść srebrnych monet i kwiaty. Wreszcie stangret strzelił z bata, konie ruszyły - i młoda para odjechała.

- No, już po wszystkim! - zagaił rozmowę Rafe, gdy wydostali się na drogę i minęli zakręt.

Dom rodzinny Brenny zniknął z pola jej widzenia, ona jednak nadal tkwiła w uchylonym oknie, przesyłając całusy i wymachując ręką na pożegnanie... chyba tylko mijanym żywopłotom.

Opadła wreszcie na siedzenie, uśmiechając się od ucha do ucha. Odwróciła się do swego dopiero co poślubionego męża, a jego opuściły definitywnie wszelkie wątpliwości i zastrzeżenia, które żywił do ostatniej chwili. Odkąd ogłoszono ich mężem i żoną, nie zamienili ze sobą ani słowa na osobności. Rafe zresztą i teraz nie zamierzał wdawać się w konwersacje. Było mnóstwo ciekawszych sposobów spędzania czasu; niektóre z nich nie dałyby się zresztą wyrazić słowami.

Brenna była uroczo rozczochrana. Na wietrze szpilki powypadały jej z włosów, które okrywały teraz lśniącym kruczoczarnym płaszczem jej białe ramiona. A raczej jedno ramię. Czarująca rdzawa suknia opadła z jednego boku. Korona z róż przekrzywiła się. Kwiaty wypadały w całości lub ronily karmazynowe płatki na cudowne czarne loki oblubienicy. Jej policzki były zaróżowione, uśmiechnięte usta miały barwę owoców granatu, a ciemne oczy płonęły podnieceniem. Rafe dostrzegł, że obnażone ramię ma barwę białej kamelii; zauważył, jak gwałtownie falują kształtne piersi.

Poczuł, że rośnie w nim podniecenie. To była jego Brenna! Jego żona, z którą będzie dzielił łożę, z którą wspólnie postarają się o to, by ich małżeństwo było szczęśliwe. Cokolwiek zyskał lub stracił, cokolwiek jeszcze ich czeka, mają przynajmniej to! Uśmiechnął się w odpowiedzi na jej uśmiech, czując przyływ gwałtownego pożądania, i wyciągnął do niej rękę.

-Prze... prześliszne wesz...szele! - zagaiła.

Nie odpowiedział.



- Mówię że prześliszne, to prze... prześliszne... i już! Mama się poształa... no nie...? Jak prz... jak przy...ształo na mamę... Koch...ch...chaną mamusię... - rozczuliła się Brenna.

Rafe przypomniał sobie poniewczasie, że jego żona nie przepuściła żadnego toastu, a po każdym weselny nastrój coraz bardziej z niej promieniował. Nabrał niedobrych podejrzeń. Zanim jednak zdążył zadać kilka pytań, powóz podskoczył i oblubienica padła mu prosto w objęcia, chichocząc bez opamiętania. Zarzuciła mu ramiona na szyję i ucałowała go namiętnie w brodę, bo nie trafiła do celu. Oblubieniec westchnął.

- Bren... - zaczął, ale nie zdołał nic więcej powiedzieć, gdyż zakneblowała go następnym, celniejszym pocałunkiem.

Z początku był rozkoszny. Wargi Brenny rozchyliły się. Niestety, wciąż wierciła się w ramionach męża. I chichotała. I miała czkawkę. I całując ją, Rafe czuł nie tyle smak Brenny, ile nieprzetrawionego szampana.

Odsunął się nieco i objął żonę tak, by głową dotykała jego piersi. Zabezpieczył Brennę przed wszelkimi pijackimi wygłupami. I postawił krzyżyk na swej wymarzonej nocy poślubnej.

-Dużo piłaś - stwierdził.

-Rze... rzeszywiś...sie... - przytaknęła z całą powagą. Czuł przez koszulę, jak kiwa głową przytuloną do jego piersi.

-Porachujmy - powiedział, zbierając myśli. - Najpierw Drum wzniosł toast za nasze zdrowie, potem twój brat i twój ojciec. I wasz najbliższy sąsiad; okropnie się rozgadał. A po nim jego syn. I proboszcz. I każdy z moich przyjaciół, rzecz jasna. Czy przy każdym toście wypijałaś cały kieliszek?

Brenna znów się rozchichotała. Poczuł, jak jej nosek, zimny i wilgotny jak u pieska, ociera się o jego pierś, gdy zamasyście potrzasała głową.

- Nie pamiętam... Szłowo daję, nisz a nisz nie pamiętam...! Ale ja się sz...sztrasznie bałam, Rafe... Sztrasz...sz...sznie... ale to szsz...trasz...sznie, wiesz...? - Uniosła głowę i wlepiła w niego oczy mroczne od smutku. - Na poszątku się bałam, że nie wrócisz... że żosztaniesz żżżż... Annabellą... Ona jest... sztrasznie śliszna, Rafe... I w ogóle... Sz...szepraszam... Szepraszam, Rafe... Tak mi sz...sz... szykro... że musiałeś... że mną...

-Mnie wcale nie jest przykro.

- Tylko tak mówisz... - zauważyła chytrze. - Jeszcze zawsze... żentel... coś tam... i ofiszere... to tak mówisz... Rafe...! - odezwała się nagle, nim zdążył zaprzeczyć, zupełnie innym tonem. - Jesz...sze nigdy nie mdliło mnie w powozie... Szysięgam! ... - mówiła, potrząsając głową z taką energią, że z kwietnej korony opadło znowu kilka róż. - To szes te wyboje... Albo indyka... albo rybę... Żaszymaj powóz... żaszymaj.

Powóz natychmiast zjechał na pobocze drogi i znieruchomiał. A nowo poślubiona małżonka udowodniła Rafe'owi, że jadła istotnie indyka, rybę oraz mnóstwo innych rzeczy.

-Sz...szrasznie szepraszam... - jęknęła, gdy pomógł jej wsiąść ponownie do wozu.

-Nie masz za co przeproszać. Bardzo ci współczuję - zapewnił, gdy usadowiła się w powozie. - Musi cię boleć brzuszek. I w ogóle fatalnie się czujesz, prawda? To przejdzie, złotko. Wszystko przechodzi, prędzej czy później! - roześmiał się niewesoło. - Oprzyj się o poduszki i zamknij oczy. Poszła za jego radą, ale zaraz się zerwała z oczyma rozszerzonymi strachem.

-Szyszko się kręci...! Jesz...sze sz...szraszniej się kręci...!

-Niech się kręci. Zaraz przestanie. Zamknij oczy.

-Jak zamknę, od razu umrę... żobaszysz! -zaprotestowała gwałtownie.

- Nie umrzesz - zapewnił ją. - Choćbyś nawet chciała, nie umrzesz.

-Jesztem... jesztem taka za... zaamba...szaro...raszowana... -chlipnęła. - Czo ty szobie pomyślisz...?

-Myślę, że wypijaś za dużo. I za szybko. Jęknęła znowu.

-Jak zamykam oszy... to mnie żżż...żnowu mdli...

- Nic ci nie będzie - odparł, przyciągając ją znów do siebie. - Nic już nie zostało w brzuszku. Śpij.

Z naszej nocy poślubnej także już nic nie zostało - pomyślał, gdy powóz ruszył, a oddech Brenny stał się spokojniejszy i bardziej regularny. Wnętrze powozu cuchnęło jak alejka na tyłach podłej winiarni. I to nad ranem. Na twarzy jego oblubienicy widoczne były ślady łez. Ślady na jej sukni były znacznie mniej poetyczne. Całe szczęście, że widział w życiu (i wahał!) wiele gorszych rzeczy. Odchylił głowę do tyłu i spojrzał na żonę.

Niedbały strój mógł być bardzo podniecający. Ale niechlujny ani trochę. Przytulił Bren po bratersku do piersi, a sam oparł głowę o skórzane poduszki. Westchnął głęboko, a główka żony wzniosła się i opadła wraz z jego klatką piersiową.

Podjął słuszną decyzję i wprowadził ją w czyn. Jednym z najjaśniejszych promyków na niezbyt pociągającym horyzoncie były rozkosze nocy poślubnej. Te jednak odsuwały się na czas bliżej nieokreślony. Jednakże Rafe przywykł do czekania i do rozczarowań. Opóźnienie nie miało większego znaczenia. Mają na to dość czasu. Całe życie. Klamka przecież zapadła.

Zamknął oczy, by nawet w zapadającym zmroku nie można było odgadnąć ich wyrazu.

Klamka zapadła.

## 16

Brenna obudziła się. I jęknęła. Nie z powodu ostrego bólu, który poczuła, gdy poraziło ją światło słoneczne, ani z powodu mdłości, które znowu się odezwały, kiedy uniosła głowę i zmrużyła powieki. Jęknęła, gdyż nagle stanęły jej przed oczami wydarzenia ostatniej nocy. I to z przerażającą jasnością -jakby poranne słońce rozświetliło także mroczne zakątki jej pamięci.

Usiadła i... natychmiast znów zanurkowała pod kołdrę. Była naga! Jej oczy obieżyły z przestachem cały pokój. Nikogo oprócz niej! Znowu jęknęła i zwinęła się jak gotowana krewetka. Samusienka w pierwszym dniu małżeńskiego pożycia. Pozostawiona samej sobie w noc poślubną...

Nie miała pretensji do męża. Wymiotowała przy nim, była pijana i odrażająca. Jak przez mgłę przypominała sobie swoją pijacką skruchę i wylewne przeprosiny. Wyraźnie za to pamiętała, jaki Rafe był dla niej dobry, jak ją okrywał kołdrą, jak ze współczuciem, a zarazem z rozbawieniem zapewniał ją, że pokój wcale nie wiruje, a jeśli nawet, to zaraz się uspokoi; ona zaś nie zginie marnie, choćby jej się to wydawało nieuchronne. Wspominając to, pomyślała posępnie, że zapewne umrze ze wstydu.

Raz jeszcze rozejrzała się po pokoju. Ubiegłej nocy niewiele była w stanie

zauważyć. Znajdowała się na poddaszu jakiejś starej oberży, w izbie z łagodnie opadającym sklepieniem i pochylą drewnianą podłogą. Zza okna z mnóstwem drobnych szybek, grubych jak szkło butelkowe i popękanych ze starości, dolatywało gruchanie gołębi. Leżała w wysokim łóżku, na którym zamiast siennika piętrzyło się Bóg wie ile piernatów.

Czystą i wyprasowaną bieliznę pościelową ozdobił milutki kwietny wzorek, biało-różowy. Przytulne gniazdko w wiejskim zaciszu - w sam raz dla zakochanej pary.

Ciekawe, gdzie się podział Rafe...?

I gdzie tu może być ubikacja?

Na stoliku obok łóżka stał dzbanek i miska. Brenna oblizwała zeschnięte wargi. Mogłaby przysiąc, że jej wysuszony na wiór język klekoce. Nalała wody do szklanki i wypła ją duszkiem, dziękując w duchu dalekowzrocznemu właścicielowi zajazdu. Skrzywiła się, czując obrzydliwy posmak, i zużyła następną szklankę wody na staranne wypłukanie jamy ustnej i gardła. Następnie wysunęła spod kołdry jedną długą nogę, potem drugą i ukradkiem, jak złodziej, wyslizgnęła się z pościeli i wyruszyła na poszukiwanie ubrania oraz wspomnianej już ubikacji. Jedno i drugie było jej nieodzowne, a kolejność odkryć nie miała większego znaczenia. Co popadnie, byle szybko! Z determinacją odsunęła od siebie niepokojące pytanie: w jakich okolicznościach pozbyła się odzieży? Nie orientowała się, jak dokładnie przebiega akt miłosny, ale była pewna, że nawet zalana w trupa zorientowałaby się, gdyby doszło do czegoś podobnego... W każdym razie miała taką nadzieję.

Dotarła do szafy stojącej na drugim końcu pokoju, gdy drzwi sypialni otwały się na roścież. Brenna jęknęła. I miała wrażenie, że Rafe jej zawtórował. Stał na progu i na widok żony oczy mu rozbłyły. Był całkowicie ubrany i wyglądał jak z żurnala w rdzawo-żółtym stroju, z pociemniałymi od wilgoci włosami, które jeszcze nie wyschły po porannej kąpieli. Bijący od niego zapach mydła docierał do miejsca, gdzie stała, a raczej kucała Brenna. Próbowała osłonić swą nagość rękoma, ale dwie jej zdecydowanie nie wystarczały, choć złożyła się jak scyzoryk, a zapasowych par nie miała. Dalton zamknął za sobą drzwi, nie odrywając oczu od żony. Zastygli wpatrzeni w siebie.

W chwilę później znalazł się przy niej, a w następnej sekundzie Brenna

była już należycie osłonięta, gdyż chwycił ją w ramiona i przycisnął do siebie. Czowała wyraźnie bicie jego serca.

Jakaż ona jest cudowna! - myślał Rafe kompletnie zaskoczony i uszczęśliwiony. Jej włosy, rozwichrzone i splątane, przypominały z grubsza stóg siana. Tyle że czarnego. Twarz miała bladą, a oczy wydawały się jeszcze bardziej skośne, gdyż były zapuchnięte od snu i z przepicia. Rafe uznał jednak, że jest zachwycająca. Absolutnie zachwycająca! Tak go oczarowała, że aż stracił mowę; ogarnęło go nagle szaleńcze pożądanie. Teraz zaś, gdy czuł ją w swych ramionach, było z nim jeszcze gorzej.

Twarz Brenny urzekła go, ale na widok jej nagiego ciała doznał olśnienia. Była wysoka, smukła, delikatnie zaokrąglona we właściwych miejscach. Kragły i wysoko osadzony tyłeczek, kształtne, sterczące piersi nad wąską talią, poniżej czarny kędzierzawy trójkąt kontrastujący z kremową barwą skóry. Wszystko w niej było gładkie i zgrabne. Wyglądała niezwykle apetycznie!

Rafe pochylił się i oparł głowę na jej lśniących lokach. Dotknął ich ustami. Były gładkie jak atlas. Wyczuł nikły ślad paczuli. O innych zapachach, które kojarzyły się z zaskakującym biegiem wydarzeń ostatniej nocy, wolał nie pamiętać. Jego usta sunęły po policzku Brenny, rozkoszując się ciepłem rozgorączkowanej twarzy. Rozpostartymi dłońmi objął rozkoszny tyłeczek w kształcie serca i przytulił żonę jeszcze mocniej. Zetknięcie obu ciał spowodowało coś w rodzaju wstrząsu elektrycznego. Rafe z trudem zaczerpnął tchu i przywarł ustami do ust Brenny.

Odsunęła się i spojrzała na niego niespokojnym wzrokiem.

-Strasznie śmierdzą, nie czujesz? - zaprotestowała.

- Naprawdę...? - wymamrotał, sunąc dłonią po miłych wypukłościach jej ciała. - Naprawdę...? - powtórzył, czując, jak bardzo jest pobudzony. - A co mi to szkodzi? - spytał ochryłym głosem, czując, jak pręży się pod jego pieścotliwym dotknięciem.

Wargi, które zawzięcie atakował, rozchyliły się. Paskudny posmak znikł splukany falą nieposkromionego pożądania. Bren pojękiwała cichutko pod naporem jego ust, westchnęła rozkosznie, gdy zetknęły się ich języki, przylgnęła do Rafe'a całym ciałem i zadrzała.

Od łóżka dzielił ich tylko krok. Pokonali tę niewielką przestrzeń, nie zdając sobie z tego sprawy. Brenna leżała w pościeli, wpatrując się w pochylonego nad nią męża oczyma wielkimi ze zdumienia, pociemniałymi z oczekiwania. Rafe śmiał się cicho i spoglądał na nią pożądliwie. Opierając się na jednej ręce, drugą usiłował rozwiązać chustkę pod szyją. Ale misterny węzeł nie poddawał się: Peck (niech go szlag!) wykonał swe zadanie z właściwą sobie perfekcją. Rafe zaprzestał daremnych wysiłków i przystąpił do zdejmowania obcisłego surduta. Szamotanie się w przyptywie namiętności z oporną odzieżą wyglądało z pewnością groteskowo. Na szczęście ze spodniami poszło łatwo! Rozpiął je i pełen triumfu uniósł się nad Brenna, która spoglądała na niego ze zdumieniem, gdy...

...gdy zamierzał brutalnie pojąć dopiero co poślubioną żonę, jak brał niegdyś uliczną dziewczkę w podejrzanym zaułku Sevilli tuż po północy, w ulewnym deszczu. Pospiesznie, niedbale, wyłącznie po to, żeby sobie ulżyć.

Cofnął się instynktownie. Odwrócił się od żony i usiadł na brzegu łóżka plecami do niej, dysząc ciężko, usiłując zebrać myśli. Bez względu na to, jak wiele Brenna gotowa była znieść, pragnął, by ten pierwszy raz zachowali oboje w pamięci. Chciał się z nią kochać bez pośpiechu, z lubością, nie żałując czasu na wzajemne poznawanie się. To nie miało być szybkie spółkowanie z byle kim! Sam polecił, by powóz zajechał za godzinę. Wziąć Brennę na chybcika i zaraz potem wystawić ją - może jeszcze drżącą i rozgorączkowaną - na wścibskie spojrzenia Pecka, stangreta i forysiów...? Stanowczo zasługiwała na więcej względów! Zresztą i on, choć nigdy sobie nie wmawiał, że zasługuje na to czy owo, tym razem uważał, że wart jest czegoś lepszego. Potrzebował czasu, by należycie delektować się skarbem, który dopiero co zdobył, a docenił jeszcze później... I postarać się, żeby i skarb rozkoszował się tym przeżyciem.

- O, Boże...! Aleś mnie opętała, Bren! - burknął. - Nie ma rady: musimy się zbierać. - Wstał z łóżka i zaczął doprowadzać ubranie do porządku.

Leżąca na wznak Brenna obserwowała go, nie pojmując, czemu tak nagle zgasił ogień, który sam w niej rozniecił. Była nadal odurzona. W jednej chwili chciała schować się w mysią dziurę, potem gotowa była

podporządkować się woli Rafe'a,

a jeszcze później Zapragnęła czegoś więcej, i to tak strasznie, że sama była zdumiona. Poczła bolesne skurcze w brzuchu wskutek niezaspokojonego pożądania. Zmroził ją strach i wstyd. Znowu mężczyzna, który jej pragnął, odwracał się od niej w decydującej chwili.

Usiadła, podciągając kołdrę pod szyję.

- Kto... kto mnie rozebrał wczoraj w nocy? - spytała szeptem. Była wtedy bardzo pijana... Nawiedziło ją okropne podejrzenie: może mimo wszystko wydarzyło się coś, czego nie pamięta...? Może w swej nieświadomości zrobiła coś, co wzbudziło w nim wstręt...?

Rafe zerknął na nią i roześmiał się.

-Nie ja, jeśli o to ci chodzi. Nie zrobiłbym nic podobnego, gdy byłaś nieprzytomna. Mam swoje wady, ale przestrzegam kilku zasad! Sama doszłaś do wniosku, że jest ci za gorąco. Ja tylko powstrzymałem cię od zdjęcia sukni w drodze do pokoju.

Podszedł znów do łóżka i dotknął dłonią policzka Brenny. Głos mu złagodniał, gdy wodząc kciukiem po wydatnej kości policzkowej, mówił dalej:

- Poszedłem po wodę, a ty przez ten czas zrzuciłaś z siebie wszystko i zakopałaś się w pościeli. Miałaś dobre tempo! Kiedy wróciłem, nie było już nic do oglądania. Za to nasłuchałem się przeprosin! - dodał. - Powtarzałaś w kółko, że jest ci strasznie przykro. Zupełnie bez potrzeby! Nie zrobiłem nic złego, ale i ty w niczym nie zawiniłaś. Wszystkiemu winien był szampan.

-A teraz? - spytała, patrząc mu badawczo w oczy. - Czemu nie chciałeś... To znaczy... dlaczego przerwałeś...? Czy to... przeze mnie...?

-Owszem, przez ciebie zapomniałem o wszystkim. Nawet o dobrym wychowaniu. Ale się opamiętałem. Widzisz, chcę... żeby wtedy, kiedy będziemy się kochali, wszystko było piękne... i uroczyste - odparł, żałując, że nie potrafi tego lepiej wytłumaczyć.

Bren wydawała się dotknięta. Może dlatego, że potraktowałem ją tak brutalnie - pomyślał. Jeżeli nawet miała doświadczenie, to z pewnością żaden z jej kochanków nie obchodził się z nią w podobny sposób!

- Niech to szlag...! Musisz mnie uważać za brutala i prostaka! Biedactwo - powiedział ze szczerym współczuciem. - Nic obawiaj się: jestem twoim mężem, ale to nie znaczy, że mogę zachowywać się wobec ciebie jak ostatnie bydlę! To się nie powtórzy, przysięgam.

A teraz - zmienił nagle ton i temat - lepiej się ubierz. -Spojrzenie Brenny było zbyt kuszące, ręce dosłownie go świerzbiły, żeby dotknąć spływających na jej nagie plecy włosów. - Może w tej chwili nie chce ci się jeść, ale założę się, że jak poczujesz zapach świeżych bułeczek, apetyt od razu ci wróci. A ten przybytek, o którym się nie mówi, znajduje się na końcu ogrodu. Wyjątkowo niewygodna lokalizacja na takie wygody, ale dziś nie zmokniesz po drodze, a w środku jest całkiem czysto. Każę tu przynieść gorącej wody do mycia. Śniadanie zjemy tylko we dwoje, w prywatnym saloniku. Tam się spotkamy, kiedy już będziesz gotowa.

Czeka nas męcząca podróż, jeśli chcemy przed nocą dojechać do następnego zajazdu - dodał, zatrzymując się na progu i oglądając się na żonę. - Możemy oczywiście zrobić sobie postój wcześniej, ale jeśli się pospieszymy, dotrzemy do oberży „Pod Łabędziem”. To bardzo porządna gospoda, ma dobre jedzenie i doskonałą opinię. Chyba ci się spodoba. Zawsze miałem do niej szczególny sentyment. Stamtąd będzie już całkiem blisko do majątku moich rodziców.

- Doskonale! - zwróciła się Bren do pleców męża, który pospiesznie wyszedł z pokoju. Wcale jednak nie uważała, że tak będzie doskonale. Zajazdy jej nie interesowały. Ten czy inny - wszystko jedno. Obchodziło ją natomiast dopiero co zawarte małżeństwo. I bała się o własną poczytalność. Czy mogła się aż tak pomylić? Sądziła, że Rafe okaże się cierpliwym, delikatnym przewodnikiem w krainie miłości. Taki właśnie był w okresie ich krótkiego narzeczeństwa. Tymczasem ni stąd, ni zowąd zaciągnął ją do łóżka i o mały włos nie doszłoby do zbliżenia bez żadnych wstępów. Nie oswajał jej ze sobą powolutku, nie kusił pieszczotami i pocałunkami, jak to robił Thomas.

Był taki prędko i nieskomplikowany w miłosnym uniesieniu, porywczy we wszystkim, co robił. Jak chciał się kochać, to od razu, nie zdjawszy nawet ubrania!



A ona pragnęła go nawet w tym prostackim wcieleniu.

Doprawdy, nie rozumiała już samej siebie! Ani jego. Zwłaszcza że w ostatniej chwili się rozmyślił!

Dalton zeskoczył z konia i pomógł żonie wysiąść z powozu, gdy zatrzymali się koło południa. Jechał na Srokaczu, chcąc zapewnić Brennie trochę prywatności, a także dać możliwość zdrzemnięcia się, co uśmierzyłoby ból głowy, który z pewnością jej dokuczał. Rafe przyjrzał się jej i zaniepokoił się: była bardzo blada.

-Może zatrzymamy się tutaj? - zaproponował. - Zajazd wygląda całkiem przyzwoicie. Mogłabyś przespać całe popołudnie. Ruszymy w dalszą drogę jutro rano.

-Nie, nie! Mogę się zdrzemnąć w powozie. Czuję się zupełnie dobrze - zapewniła go. - A zresztą... przyznam, że nie lubię podróżować. Może dlatego, że tyle się wypodróżowałam -do Indii i z powrotem. Wolałabym postąpić tak, jak się robi z gorzkim lekarstwem: raz-dwa i po kłopotcie! Nie masz nic przeciwko temu?

Policzki zaczęły go palić. Czy Brenna pozwala sobie na aluzje do jego zbyt szybkiego tempa w sprawach męsko-damskich? Jeśli tak, to całkowicie sobie na nie zasłużył.

- Doskonale! - odparł. - Najpierw coś przekąsimy, a potem w drogę!

Zjedli całkiem dobry posiłek i kontynuowali podróż.

Dalton nadal jechał konno, zastanawiając się, czy żona mu przebaczyła i jak szybko po przybyciu „Pod Łabędzia” zdoła ją skłonić, by się rozebrała. Brenna siedziała w powozie i zadrezczała się pytaniami, na które nie знаła odpowiedzi. Czy mąż zawita jeszcze kiedyś do jej łóżka...? W jakim tempie będzie chciał się z nią kochać następnym razem...? Czy mogłaby go poprosić, żeby się nie spieszył...? Czy zechce spełnić jej prośbę...? A może to jest zupełnie niemożliwe...?

Do zajazdu „Pod Łabędziem” dotarli, gdy nad wrzosowiskiem, przez które jechali, zaczął zapadać zmrok. Ale nawet egipskie ciemności nie mogłyby zamaskować opłakanego stanu w jakim znajdował się ich pokój. Rafe wziął stojącą na stole lampę i uniósł ją do góry. Rozej rżał się dokoła.

-Pfuj! - rzucił z obrzydzeniem. - To prawdziwy chlew!

Brenna nie zaprzeczyła, chociaż jej zdaniem nawet świnia nie wytrzymałaby w takich warunkach.

Śmierdziało tu stęchlizną, pleśnią i brudnymi szmatami, które w dodatku przeleżały się na deszczu. Podłoga była od wieków niezamiatana i nieszorowana, przykryta obrzydliwa szmatą - niegdysiejszym dywanem. Szyby w oknach tak były zapaćkane, że nic nie było przez nie widać. W mdłym świetle dogasającej lampy państwo Daltonowie ujrzeli jeszcze mysią dziurę w miejscu, gdzie ściana styka się z podłogą. Z osmalonych belek stropowych zwisały dorodne pajęczyny.

Nie zdejmując rękawiczek, Bren dotknęła jednym palcem kapy na łóżku.

- Nie ruszaj! - ostrzegł ją Rafe. - Kto wie, co może stąd wyskoczyć?! Nie dziwota, że nie napotkaliśmy tu żywej duszy, a Peck i stangret mają całą stajnię do dyspozycji!

Wziął żonę za rękę i sprowadził ją po skrzypiących schodach na parter. W hallu walnął pięścią w stół, za którym powinien siedzieć właściciel zajazdu i witać przybywających gości.

- Gdzie się podział oberżysta? Sprowadźcie mi tu zaraz Jenkinsa! - zażądał Rafe, gdy przyczłapał siedzący dotąd w pustym barze właściciel zajazdu.

-Jenkinsa? Ha! Tego łotra, który wtrynił mi tę rudę trzy lata temu?! - poskarżył się jękliwie mężczyzna. - Od tamtej pory utknąłem tu na dobre. Szelma ani pisnął o nowej drodze, którą właśnie budowali w pobliżu. Teraz wszystkie powozy jeżdżą tamtędy!

Trzy lata? - zdumiała się w duchu Brenna. Spojrzała z niedowierzaniem na męża. Czyżby od trzech lat nie odwiedził rodzinnego domu...?

Dalton wolał się upewnić.

-Nowa droga? - spytał.

-A jakże, o piętnaście mil stąd na wschód. Prościuteńka i wybrukowana jak marzenie! Może pan tu zostać albo jechać dalej, milordzie - dodał oberżysta z chytrym uśmieszkiem. -Najbliżej będzie do „Białego Królika”. Tylko trzy godziny jazdy na wschód... jak wam szczęście dopisze.

-Niech to szlag! - warknął Rafe. - A już się ściemniło...! Możemy jechać dalej - rzekł do Brenny - ale jeśli droga do tego „Królika” jest taka wyboista jak ta, którą przyjechaliśmy, wolałbym nie narażać koni, zwłaszcza po ciemku.

-A w dodatku wieje od zachodu - dorzucił oberżysta i uśmiechnął się z satysfakcją. - Murowany deszcz przed północą albo i wcześniej!

-Zrobimy, jak ty zechcesz, Bren - zwrócił się Rafe do żony. - Zostajemy tu czy zaryzykujemy jazdę po ciemku?

-Zrób to, co uważasz za najlepsze - odparła z prostotą. W duchu zaś pomyślała: Tylko jeśli tu zostaniemy, czy odważę się rozebrać na noc...?

Nie musiała. Rafe kategorycznie jej tego zabronił.

-Bóg wie, jakim świństwem mogłabyś się zarazić, gdybyś zdjęła choćby pończochę! Na sam widok... - Spojrzał na łóżko z najwyższym obrzydzeniem. - Całe szczęście, że spałem już w gorszych miejscach! Niewiele ich było, ale zawsze...

Koniec końców przyniósł z powozu końską derkę, rozpostarł ją na łóżku, przykrył własnym płaszczem i poleciwszy Brennie, by nie ważyła się zdejmować z siebie absolutnie niczego, pomógł jej ułożyć się na płaszczu. Następnie zdjął surdut i wyciągnął się obok niej.

W pokoju zapadła grobowa cisza.

- Chyba nie zgaszę lampy - stwierdził, gdy ciszę zamąciły cichutkie szelesty i chrobotania dobiegające z mysich korytarzy w ścianie. Potem znów wszystko ucichło. Ale zanim jeszcze skończyły się mysie harce, Rafe usłyszał inne stłumione dźwięki.

Brenna leżała na boku, odwrócona do niego plecami. Ramiona jej się trzęsły. Uniósł się na łokciu i spojrzał na nią z niepokojem, gotów w każdej chwili wynieść ją stąd, spakować manatki, pograć się w mrokach nocy - byle tylko nie płakała...! Położył jej rękę na ramieniu i nachyliwszy się, spojrzał jej w twarz.

-Ach, ty szelmo! - wykrzyknął, gdy nie mogła się już powstrzymać i parsknęła śmiechem.

-Och, Rafe! - powiedziała, gdy paroksyzm śmiechu minął i chichotała tylko od czasu do czasu, z twarzą przytuloną do szyi męża. - Ależ się nam zaczął miesiąc miodowy! Najpierw upiłam się w sztok. A teraz spędzamy uroczą noc w gnojówce!

Mąż pocałował ją i pospiesznie odsunął się, by go nie skusiło.

-Ale zaczynamy nasze nowe życie od śmiechu, Bren! To chyba dobry początek, nie uważasz? - spytał całkiem serio.

-Owszem - odparła, wtulając się z westchnieniem w jego objęcia. -

Całkiem dobry początek, Rafe! Jak najbardziej!

-Im dalej, tym będzie lepiej - obiecał. - Przekonasz się!

17

Żadne z nich nie spało wiele tej nocy. Rafe zbudził się o świcie i wymknął się z pokoju, nie mając pojęcia, że Brenna udaje sen, ponieważ nie wie, co powinna mu powiedzieć. Dziwnie się poczuła po obudzeniu, znalazłszy w swoim łóżku mężczyznę. Jeszcze dziwniejsze wydawało jej się to, że ów mężczyzna jest jej mężem. Zastanawiała się, które z nich powinno wykonać następny ruch. Szybko jednak pojęła, że nie ma mowy o jakichkolwiek taktycznych posunięciach w ich małżeńskiej grze, póki nie opuszczą tego obrzydliwego miejsca.

Pospiesznie zjedli śniadanie. Żadne z nich nie było rozmowne. Rzuciło się w oczy, że Rafe jest zażenowany i niespokojny. Ledwie się rozjaśniło, ruszyli w drogę.

Kiedy koło południa dotarli do nowej drogi i stojącego przy niej zajazdu, zatrzymali się na lunch. Zjedli posiłek bez pośpiechu i z przyjemnością, gdyż jedzenie było wyborne, a obsługa fachowa i uprzejma.

Nasycona i wypoczęta Brenna przyłożyła głowę do skórzanej poduszki, skoro tylko ruszyli w dalszą drogę. Przez okno obserwowała męża jadącego konno obok powozu i podziwiała pełną godności postawę, którą bezwiednie przybrał. Jedną ręką trzymał cugle, druga spoczywała na biodrze. Wyglądał jak starożytny władca, mierzący okiem dopiero co podbitą krainę. Brenna czuła, że powieki jej ciężą, a głowa się kiwa; uśmiechnęła się niezbyt przytomnie i zasnęła z obrazem męża -średniowiecznego rycerza - pod powiekami. Ocknęła się, gdy powóz nagle stanął. Rafe otworzył drzwiczki, wpuszczając do wnętrza świeże, przesycone solą powietrze. Brenna usiadła prosto i uśmiechnęła się do męża.

-Obudziłem cię? - spytał, ujrawszy jej potargane włosy i zaróżowione od snu policzki. - Bardzo przepraszam!

-Nie ma za co - odparła pospiesznie; jej ręce same powędrowały w górę, by przygładzić włosy. - Zdrzemnęłam się tylko na chwilę. O, jaki miły zapach! Czy to morze? - spytała, węsząc jak zaciekawione zwierzątko.

-Tak. Jesteśmy o krok od niego. Właśnie dlatego postanowiłem wrócić do

powozu. Chcę ci wyjaśnić kilka spraw, nim dotrzemy do posiadłości moich rodziców.

-Już tam dojeżdżamy? - spytała z niepokojem.

- Tak - odparł. - Wyjrzyj przez okno! Pół godziny temu skręciliśmy na główny trakt i coraz bardziej zbliżamy się do wybrzeża.

Brenna wyjrzała przez okno powozu i zdumiała się, jak ogromna przestrzeń rozpościera się przed nią. Dotąd podróżowali przez lasy i posępne wrzosowiska. Teraz po obu stronach drogi ciągnęły się niskie żywopłoty. Teren za nimi był falisty, pagórkowaty; od czasu do czasu błysnęło z daleka morze.

- W tych stronach nie ma przybrzeżnych klifów - wyjaśnił Rafe. - Tutejsze wybrzeże, nawet jeśli jest skaliste, różni się ogromnie od morskiego brzegu na zachodzie czy na północy.

Arrow Court stoi na wzniesieniu i góruje nad miasteczkiem, ale w niczym nie przypomina znanych ci ponurych zamków wzniesionych na szczycie góry. Za chwilę dotrzemy do przystani. Pomyślałem, że chciałabyś zobaczyć miasteczko; zaraz będziemy przez nie przejeżdżali.

- Pewnie, że chcę je zobaczyć! - odparła Brenna i przysunęła się do okna, skoro tylko powóz znów ruszył.

Droga wiodła na szczyt wzgórza; gdy tam dotarli, Brenna ujrzała słoneczne błyski na powierzchni wody. Przed jej oczami rozpościerał się ocean - bezkresny przestwór szarobłękitnej wody; słońce znaczyło na nim złotą ścieżkę wiodącą na zachód -tam, gdzie zniknie pod koniec dnia. Brenna miała ochotę klaskać w ręce z zachwytem.

-Jakie to piękne! - wykrzyknęła.

-Tak - zgodził się Rafe. Pochylając się nad ramieniem żony, widział dokładnie to, co ona, czuł zapach i ciepło jej ciała. Starał się nie zwracać na to uwagi. Odchrząknął i wyjaśnił: - To pora przyływu. Kiedy jest odpływ, wszystko wygląda całkiem inaczej. Czuje się tylko zapach ryb i wodorostów. Arrow Court stoi frontem do otwartego morza, więc przeważnie hula tam dziki wiatr i pachnie świeżością.

-Zazdroszczę ci, że wychowałeś się nad morzem! - powiedziała Brenna z nutką żalu. - Wyobrażam sobie, jakie to wspaniałe życie i jak się nim cieszyłeś!

-Tak... - Dalton usiadł prosto. - Marzyłem, że odpłynę stąd na zawsze, kiedy tylko dorosnę. - Zorientował się, jak dziwnie to zabrzmiało, i dodał: - O mały włos nie zaciągnąłem się do marynarki jako niedorostek, ale do czasu, gdy naprawdę wydorostałem, morze tak mi się przejadło, że wolałem spróbować innego życia. W każdym razie - rzekł, gdy wjechali do niewielkiego miasteczka - sama możesz się przekonać, że tu prawie wszyscy żyją z morza. Przeważnie to rybacy. Spójrz na te suszące się sieci!

-Rybacy... i przemytnicy? - spytała figlarnie.

- Nie - odparł. - W tych stronach nie ma przemytników, oni wolą inaczej ukształtowane wybrzeże. Na wrzosowiskach albo wśród nadmorskich skał łatwiej ukryć przemywany towar.

Ale i u nas buszowały niegdyś bandy Gubbinsów i Hawkhurstów. Obecnie przemyt zamiera. W czasie pokoju odpoczywa nie tylko armia, ale i sprytny ludek na morskim brzegu. Po kiego diabła szmuglować coś, co można kupić równie tanio i bez ryzyka...?

-Mówisz, jakbyś tego żałował!

Jej mąż uśmiechnął się.

- Bo żałuję. A raczej żałowałbym, gdybym był jeszcze dzieckiem. Nieustannie szukałem kryjówek przemytników! Doskonałe zajęcie dla chłopca, który tęskni do przygody i szuka ucieczki od rzeczywistości.

Brenna z okna powozu przyglądała się rybackiej osadzie. Rozumiała zew przygody, ale nie mogła pojąć, od czego chciał uciec wychowany tu chłopiec. Miasteczko było prześliczne. Stare kamienne domki tłoczyły się po obu stronach przecinającego osadę głównego traktu. Każdy z nich był dobrze utrzymany, każdy mógł się poszczycić małym ogródkiem. Nawet o tej porze roku kwitły w nich róże, a w doniczkach i skrzynkach podokiennych inne barwne kwiaty.

Mewy z wrzaskiem zataczały koła nad ich głowami; w przystani przy końcu głównego traktu stały na kotwicy żaglowce. Brenna widziała, jak ich wysokie maszty to unoszą się ku górze, to opadają, zgodnie z ruchem fal. Dostrzegła również mieszkańców gromadzących się przed domkami. Niektórzy siedzieli na frontowych schodkach, inni stali, gawędząc na ulicy. Z ciekawością obserwowali przejeżdżający powóz. Nikt nie miał

ochoty zamykać się w domu w taki piękny wieczór.

Ileż tu było do podziwiania! Malownicze morskie widoki można było oglądać z każdego miejsca, a osłonięta półkolista przystań zapierała wprost dech w piersi.

Coś jeszcze rzuciło się Brennie w oczy, gdy powóz w żółtym tempie jechał kamiennym traktem. Dostrzegła „to coś” u rybaków naprawiających sieci, u kobiet plotkujących na podwórku, w grupie dzieci, które bawiły się na poboczu drogi, Roześmiała się. Nie było to złudzenie ani refleks zachodzącego słońca. Co czwarty (mniej więcej) mieszkaniec osady miał

rudą czuprynę! Otaczała mu głowę widoczną z daleka aureolą w różnych odcieniach: marchewki, miedzi, kasztana...

- Teraz już wiem na pewno, że pochodzisz z tych stron! powiedziała ze śmiechem do Rafe'a. - Czyżby tutejsza woda miała domieszkę rdzy? A może to spuścizna po jakimś wspólnym przodku?

Rafe nie odpowiedział uśmiechem.

- To drugie - rzucił krótko. - No, za kilka minut będziemy w Arrow Court! Nie denerwuj się - dodał, biorąc za objaw niepokoju minę żony zaskoczony zmianą jego tonu. - Na pewno zrobisz dobre wrażenie! Polubią cię... na tyle, na ile są w ogóle zdolni do lubienia kogokolwiek. Nie znajdą w tobie nic, do czego mogliby się przyczepić. I pewnie twoja doskonałość - dodał z niewesołym uśmiechem - stanie im kością w gardle!

Brenna widywała już większe dwory ziemiańskie i pałace, ale Arrow Court, choć bez wątplenia wzniesiony został niegdyś jako forteca, był teraz imponującą wielkopańską rezydencją. Prowadził do niego długi, kręty podjazd. Jadący nim goście mieli możliwość podziwiania budowli z różnych stron, zanim dotarli do głównego wejścia. Przed frontową ścianą domu znajdował się prostokątny płytki staw, w którym Arrow Court odbijał się jak w zwierciadle. Zdaniem Brenny budowla nie zasługiwała na to, by eksponować ją w dwóch egzemplarzach. Wzniesione przed wiekami z szarego kamienia mury były teraz białe jak kość - skutek działania sprzymierzonych sił słońca, soli i wiatru od morza. Arrow Court nie przypadł jej do gustu. Przypominał sfinksa z wejściem

usytuowanym między łapami.

Właśnie tam powóz zatrzymał się. Peck zeskokczył z kozła i otworzył drzwiczki. Rafe wysiadł pierwszy i z wahaniem spojrział na połyskujące w blasku zachodzącego słońca okna. Potem obrócił się raptownie i podał rękę wysiadającej z powozu żonie. Uśmiechnął się, widząc jej niepewną minę.

- Odwagi! - powiedział, gdy stanęła na ziemi. - To, co oni sobie pomyśla, nie ma żadnego znaczenia. Przynajmniej dla mnie. Nie zapominaj o tym!

Mimo to Brenna odniosła wrażenie, że mąż pragnie o tym przekonać nie tylko ją, ale i siebie.

Majordomus wprowadził ich do wnętrza.

- Witamy w Arrow Court, milordzie. Miło znów zobaczyć waszą lordowską mość - odezwał się do Rafe'a, kłaniając się sztywno i oficjalnie jak służący z całkiem obcego domu.

Dalton skinął mu głową.

- Odbyliśmy długą podróż, moja żona i ja - rzucił szorstko, zdejmując rękawiczki. - Przygotuj dla nas pokój, Atkins. Zawiadom moich rodziców o naszym przybyciu. I zadbaj o to, żeby moi ludzie mieli wszystko, co trzeba.

Brenna poczuła się nieswojo, gdy majordomus skłonił się powtórnie i bez słowa zaprowadził ich do salonu. Przyjazny dla wszystkich Rafe zachowuje się tak zimno i obojętnie w rodzinnym domu! Rozglądała się dokoła, pragnąc zapoznać się czym prędzej z Arrow Court. Wnętrza były umeblowane bardzo pięknie, ale całość robiła raczej wrażenie teatralnej dekoracji niż domu mieszkalnego. Okna salonu - niezmiernie długiego - wychodziły na otwarte morze. Ściany i meble w różnych odcieniach zieleni sprawiały, że jaskrawe światło zanurzającego się w oceanie słońca traciło swą ostrość. Ale młody mężczyzna, który nie spiesząc się, wszedł za gośćmi do salonu, wniósł drugie słońce na swych złotych włosach.

Był równie starannie ubrany, jak najbardziej pedantyczny londyński dandys. Wysoki, smukły, o gładko wygolonej, bladej, nieskazitelnie pięknej twarzy. Bładozłote, delikatne włosy, nieco dłuższe, niż wymagała tego ostatnia moda, przy każdym kroku falowały po obu stronach pociągłej twarzy. Zerknął na Rafe'a i zagapił się na Brennę.



-Ależ to prawdziwa piękność, bracie! - powiedział. - Jakim sposobem zdobyłeś takie cudo?!

-Szczęśliwym trafem - odparł krótko Rafe. - Pozwól, Bren: to mój brat Grant. Wicehrabia Grant. Bracie, to moja żona Brenna. Gdzie jest mama? I ojciec?

-Widzę, że nawet stały kontakt z wcielonym pięknem nie złagodził twego stylu - zauważył Grant, nadal wpatrzony w bratową. -Jaka szkoda! Moja droga, pozwól, że cię powitam w Arrow Court. Czy podróż była męcząca?

-Bynajmniej. Miło mi cię poznać, wicehrabio. Jak się miewasz? - odparła Brenna, podając mu rękę.

-Znacznie lepiej, odkąd cię ujrzałem - odparł, stanowczo zbyt długo ściskając jej dłoń.

W tym, co powiedział, i w sposobie, w jaki to powiedział, Bren dostrzegła niesmaczną przesadę. Szwagier był nieznośnie przystojny i zapewne przyzwyczajony do tego, że kobiety mdleją z zachwyty na jego widok. Ale to jeszcze nie dawało mu prawa do wypróbowywania na niej chytrych uwodzicielskich sztuczek. Wcale jej się to nie podobało! Jej rodzony brat był równie przystojny. Lecz chociaż wrodzony wdzięk nieraz pomógł Ericowi w osiągnięciu celu, jego próżność była zawsze stonowana autoironią. Natomiast zarozumialstwo Granta stanowiło niewątpliwie jego wrodzoną wadę.

-Dziękuję - rzekła chłodno, z rozmysłem uwalniając rękę z jego uścisku. Rozejrzała się dokoła. - Jakież to piękny pokój!

-O, stara rudera ma swoje zalety! - rzucił nadal w nią wpatrzony wicehrabia. - Z rozkoszą oprowadzę cię po niej.

-Dziękuję, milordzie - powiedziała bez ogródek, wysuwając wojowniczo brodę - ale wolę, żeby Rafe oprowadził mnie po domu. Dzięki temu wyrobię sobie własny pogląd na te wspaniałości i mam nadzieję, że mąż podzieli się ze mną swoimi wspomnieniami. To będzie o wiele bardziej interesujące.

Grant uśmiechnął się, ale nie był to miły uśmiech.

-Widzę, bracie, że zdobyłeś obrońcę. Boki zrywać!

- Brenna ma brata, przy którym wyglądałbyś na krasnoludka - odparł Rafe. - Więc radzę ci od razu odcumować.

-Jakie to urocze! - odezwał się lekkim tonem kobiecy głos. -Chłopcy znów się czubią!

Brenna spojrzała w tamtym kierunku. Zbliźali się rodzice jej męża. Z trudem przełknęła ślinę. Biedny Rafe! - pomyślała przelotnie, składając głęboki ukłon. Jego najbliżsi wyglądają tak, jakby zstąpili z wiszących na ścianie portretów. Równie piękni i tak samo pozbawieni uczuć.

Matka Rafe'a miała włosy jasne, jak jej starszy syn; nawet jeśli część z nich nie była już złota tylko srebrna, nikt nie zwracał na to uwagi, urzeczony ich puszystością i delikatnością. Twarz prawie bez zmarszczek, a figura - odziana w doskonale uszytą toaletę - zdumiewająco zgrabna jak na kobietę w średnim wieku. Dobrze wiedziała, jak używać swoich olśniewających błękitnych oczu i długich rzęs dla przyciągnięcia uwagi. Ale na jej ustach nie było uśmiechu, gdy mierzyła wzrokiem synową.

Markiz musiał być dalekim kuzynem swojej żony, gdyż łączyło ich wyraźne rodzinne podobieństwo. Między starszym synem a ojcem było ono jeszcze bardziej uderzające. Markiz wyglądał dokładnie tak, jak wicehrabia będzie się prezentował za dwadzieścia czy trzydzieści lat: trochę chudszy, z lekka siwiejący, o rysach nieco wyostrzonych - nieskazitelna twarz straci nieco na urodzie, lecz zyska na charakterze. Cała trójka pochodziła z jednej beczki. Jedyne Rafe niewątpliwie się wyrodził.

Co prawda, był wysoki jak oni. Nie był jednak blondynem, tylko rudzielcem. On był smukły, oni niemal zwiewni. On silny, oni wysublimowani. Rysy twarzy miał regularne, a oni wycyzelowane. Nikt by się nie domyślił, że należy do tej samej rodziny, gdyby nie jego oczy - olśniewająco błękitne jak u matki. Tylko pod tym względem zakasował ojca i brata. Obaj mieli zwykłe szaroniebieskie tęczówki.

-Witaj w rodzinie! - zwrócił się do Brenny teść, biorąc ją za rękę, gdy podniosła się z głębokiego ukłonu. - Widzę, że nie tylko zasiliłeś nasze drzewo genealogiczne świeżą krwią, ale wzbogaciłeś je o bardzo oryginalny koloryt! - zauważył, zwracając się do Rafe'a, ale patrząc na synową. - Jest doprawdy prześliczna. I ani trochę niepodobna do ciebie - zwrócił się z uśmiechem do żony.

-Stanowi urzekający kontrast z tobą, mamó - odezwał się Grant. - W tym

zestawieniu piękność każdej z was jeszcze się uwydatnia. Cóż za sprytne posunięcie ze strony Rafe'a!

-Już ci mówiłem, że to był szczęśliwy traf - zaproponował Rafe. - Bardzo żałowałem, że nie mogłaś przybyć na nasz ślub, mamó. Wyglądasz już na całkiem zdrową.

-Nie rób takiej grobowej miny, mój chłopcze! - roześmiała się markiza. - Byłam zbyt chora, by wstać z łóżka, a mój drogi mąż nie mógł oczywiście zostawić mnie na łasce konowałów! Bardzo mi przykro, że nie byliśmy świadkami waszego szczęścia, drogie dziecko - zwróciła się do Brenny bez cienia żalu w głosie. - Chociaż nie mam pojęcia, czemu Grant nie pofatygował się na tę uroczystość.

Wicehrabia podniósł raptownie głowę.

-Myślałem, że będziesz zachwycona moim synowskim przywiązaniem - syknął przez zaciśnięte zęby, ale z uśmiechem. - Zachowywałaś się tak, jakbyś miała wydać ostatnie tchnienie, mamó. Obawiałem się, że mój wyjazd mógłby cię przyprawić o zemdlenie, nie wspominając już o podwyższeniu temperatury!

-Doprawdy? - rzuciła lekkim tonem matka. - Nie zdawałam sobie sprawy, że mam równie oddanego syna, jak męża! Doprawdy, szczęściara ze mnie!

-Nie miałem innego wyboru; gdybym cię opuścił, wypominałabyś mi to do grobowej deski - skomentował jej wypowiedź mąż. - Ale dzieci masz wyjątkowo oddane! Pomyśl tylko: jeden syn tkwi niezłomnie u twego łoża boleści, wierny jak pokojowy piesek, mimo że lekarz zapewniał nas, że to zwykłe wiatry. A drugi przerywa swą podróż poślubną, by czym prędzej poddać żonę twemu osądowi... i zyskać twą aprobatę, rzecz jasna. Markiza pobladła, gdy mąż wspomniał nietaktownie o wiatrach. Grant zbladł jeszcze bardziej, słysząc szydercze słowa ojca. Na twarzy Rafe'a nie odbiło się żadne uczucie. Jego ojciec uśmiechał się.

Po co te wszystkie złośliwe żarty? Czyżby popisywali się przed zupełnie obcą osobą, nową synową? - myślała Brenna ze zdumieniem i z gniewem. Ręce same zacisnęły się jej w pięści i poczuła, że paznokcie - choć obgryzione - boleśnie wpijają się we wnętrze dłoni. Jakim cudem to gniazdo skorpionów wydało Rafe'a?!

Obiad wprowadził Brennę w jeszcze większe przygnębienie. Rodzina męża zdołała ją zaszokować do tego stopnia, że odebrało jej mowę. Rafe również prawie się nie odzywał; półgębkiem i burkliwie odpowiadał tylko na zadane mu bezpośrednio pytania. Zagadywano go zresztą rzadko, stanowczo za rzadko, biorąc pod uwagę, że wyjechał stąd przed wielu laty, a teraz wrócił niespodzianie z żoną, o której nic nie wiedzieli. Taka obojętność oburzała Brennę. Każdy z członków rodziny starał się zwrócić uwagę na siebie i zgrywał się dla zabawienia gości - a raczej dla wprowadzenia ich w zażenowanie. Dobrana trójka dowcipkowała i przekomarzała się. Były to jednak przykre, bolesne żarty, których ofiarą padał każdy prócz tego, kto w danym momencie dorwał się do głosu.

- To ich specjalność: połączenie tańca szkieletów z tańcem ,  
godowym - wyjaśnił Rafe Brennie, która po raz kolejny zrobiła wielkie  
oczy, słysząc dowcipną, ale zjadliwą uwagę markiza  
na temat żony oraz równie dowcipną i ostrą replikę markizy.

-Oni są... strasznie zabawni... - zdołała odpowiedzieć.

- O, tak: s t r a s z n i e zabawni. Trafiaś w sedno! - mruknął Rafe.

Nie było wyjścia, toteż Brenna słuchała dalej tych okropności i dowiadywała się coraz więcej o rodzinie męża. Markiz był leniwy, egoistyczny, zimny i nie miał żadnych względów dla swych najbliższych. Jego żona była lekkomyślna, próżna i dwulicowa. Ich starszy syn nie grzeszył gustem ani rozumem i trwonił pieniądze na głupie zachcianki oraz na liczne damulki wątpliwej konduity. Tak przynajmniej wynikało z żartobliwych obelg, którymi się nawzajem raczyli.

Kiedy jednak dobrali się do Rafe'a, dając do zrozumienia, że jest skryty, źle wychowany i rozpaczliwie nieatrakcyjny, Brenna dała się sprowokować i wystąpiła w jego obronie.

Gdy zdarzyło się to po raz drugi, Rafe powstrzymał ją dyskretnym gestem.

- To nie ma sensu - szepnął ledwie dosłyszalnie, gdy jego matka przyjęła wybuchem śmiechu dowcipną replikę Granta. -  
W ten sposób tylko ich uzuchwalasz!

Brenna uświadomiła sobie, że mąż ma rację, i skinęła głową potakująco. Okrutna gra trwała nadal, towarzyszyła im od zupy do ryby, a przy pieczystym i drobiu stała się jeszcze ostrzejsza.

Kiedy wreszcie służba - złożona z marionetek o twarzach bez wyrazu - wniosła deser, uśmiechy jasnowłosej trójki jawnie przemieniły się w złośliwe grymasy, ale przerażająca „zabawa” nie ustawała. Brennę zdumiewało, jak można jeść w podobnej atmosferze, ona nie była w stanie nic przełknąć.

-Widzę, że nasza nowa córka dba o linię! - stwierdziła markiza, odprowadzając wzrokiem kolejny talerz z nietkniętym daniem, które zdążyło wystygnąć, nim je zabrano spod nosa Brenny.

-Chyba już się zdążyła przekonać, że jej... linia wystarczająco wpada w oko nam, biednym samcom - zauważył Grant z lubieżnym uśmiechem.

-No, no! Ktoś, kto ma takie złudzenia co do swej ogłady towarzyskiej i, pożałuj Boże, inteligencji, mógłby zdobyć się na coś bardziej oryginalnego - wycedził ojciec. - Ale jeśli chodzi o treść przesłania, to zgadzam się w zupełności.

-Podobno lord Byron stosował dietę odchudzającą z kartofli polanych octem. Może zamówić je dla ciebie w kuchni, moja droga? - spytała słodko markiza.

-Też coś! -wykrzyknął Grant. - Ona jest doskonała w każdym calu! Nie musi głodzić się, jak to czynią niektóre starsze damy.

-Owszem, czynimy... ale nawet my nie posuwamy się do takich skrajności, na jakie skazuje was, drodzy panowie, przekłeta męska próżność - odgryzła się matka.

-Czyś to ty, Rafe, polecił żonie, by zredukowała się do niewymiernej linii prostej dążącej do nieskończoności? - spytał ojciec.

-Nie - odparł lakonicznie Rafe.

- Ale spójrz na jej talerz! - zdumiewał się wicehrabia. - Nietknięty!

Brenna dobrze pamiętała, że w jej dopiero co zawartym małżeństwie nie tylko talerze przysmaków pozostawały nietknięte, lecz rodzina jej męża nie miała o tym pojęcia. Na razie. Gdyby zaczęli się domyślać... Trudno byłoby skłonić ich do zmiany tematu. Zdawała sobie sprawę, że jej brak apetytu i rzekoma dbałość o zachowanie linii może wejść na stałe do repertuaru rodzinnych żartów... chyba że skieruje uroczych krewniaków na

falszywy trop! Uśmiechnęła się, zaciskając równocześnie leżące na kolanach ręce.

- Zwykle jestem głodna jak wilk! - zaprotestowała. - A to wszystko wygląda niesłychanie apetycznie. Ale na sam zapach jedzenia robi mi się niedobrze. Sama nie wiem czemu, od samego rana zbiera mi się na mdłości. Wczoraj było to samo - zauważyła z udanym zdziwieniem, mrugając oczyma. - Pamiętasz? - spytała niewinnym głosem Rafe'a.

W pierwszej chwili był zaskoczony, ale błyskawicznie zorientował się i przyłączył do zabawy. Wziął żonę za rękę.

- Jak mógłbym zapomnieć coś podobnego? Wiem, że nie jestem piękny jak z obrazka, ale dotąd jeszcze mi się nie zdarzyło, by kobieta zaraz po przebudzeniu tylko raz na mnie spojrzała... i zwróciła wszystko co do joty!

Przy stole zapadło milczenie. Gospodarze skojarzyli jak należy jedno z drugim, ale brutalne komentarze najwidoczniej zamarły im na ustach.

Markiz oprzytomniał pierwszy.

-Dobry Boże! Nie chcecie chyba powiedzieć, że moja najdroższa małżonka ma zostać babcią?! Cóż za rozkoszna nowina! Nieprawdaż, Sylvie? Z pewnością jesteś zachwycona, że zostaniesz niebawem kochaną starowinką! Kto by pomyślał...? Może od razu zaczniemy cię nazywać babunią? I zamówimy dla ciebie, jak przystało, koronkowe czepeczki na sędziwą główkę...? A może muślinowe lepiej okryją siwiejące włoski...?

-A ty, dziaduniu, może zacząłbyś wspierać się na lasce? -odgryzła się jego małżonka. - Już to widzę: szlachetny starzec z Arrow Court kuśtykający po trawniku w otoczeniu liczного grona wnuków, igrających u jego zreumatyzowanych nóg!

-Laska z rączką z cyzelowanego srebra, oczywiście - przyłączył się do zabawy Grant. - Idealna do karcenia wnuków! -zachichotał.

-Już widzę ten portret rodzinny - odezwał się ojciec. -Obok mnie stoi przedmiot współczucia całej rodziny: biedny stryjasek, nieuleczalny stary kawaler, smutnie rozmyślający o idealnej małżonce, której wiecznie szuka, a nigdy nie może znaleźć.

Brenna nie musiała udawać zakłopotania; zarumieniła się również bez pomocy chytrych sztuczek.

-Coś takiego! Wcale nie chciałam powiedzieć, że jestem w ciąży! - palnęła prosto z mostu. - Na to jeszcze za wcześnie! - Udała zmieszanie z powodu

falszywej interpretacji jej słów; uświadomiła sobie, jakie mogą być konsekwencje wieści o tak wczesnej ciąży. Już słyszała uwagi i żarciki miłej rodziny! - W oberży „Pod Łabędziem”, gdzie zatrzymaliśmy się po drodze, było okropne jedzenie - wyjaśniła. - Jeszcze nie doszłam do siebie po tej truciznie.

-O, „Pod Łabędziem”? - odezwała się z wyraźną ulgą markiza. - Jak Rafe mógł cię narazić na coś podobnego?! Ale to do niego podobne. Niczego nie zdołałam go nauczyć! Nie ma pojęcia, czego potrzeba damie!

-Czy chcesz przez to powiedzieć, że ja mam pojęcie? - spytał jej mążnek. - Serdeczne dzięki! Cóż za nieoczekiwany komplement!

-Jeśli chodzi o twoje doświadczenie w wynajdywaniu przyzwoitej oberży, istotnie nad nim górujesz - odcięła się markiza. - Nie dyskutujemy o innych potrzebach dam.

-Zdumiewające! - wtrącił Grant. - Czyżbyś już wyczerpała, droga mamo, listę skarg i żalów związanych z tymi innymi potrzebami?

-Tylko sobie nie wyobrażaj, mój chłopcze, że będziemy wysłuchiwać twoich skarg i żalów - zauważył ze słodkim uśmiechem ojciec. - Bo jeśli chodzi o twoje potrzeby, to doprawdy trudno nam nadażyć, w takim tempie ulegają zmianie.

Zapomnieli całkiem o gościach, wykpiwając się nawzajem w nielitościwy sposób. Brenna spojrzała na Rafe'a oczyma pełnymi współczucia. Dostrzegł w nich wyraźne pytanie.

-Później - obiecał. - Później wszystko ci wytłumaczę.

Nim do tego doszło, Brenna musiała znieść ciężką próbę:

gdy zgodnie ze zwyczajem panie przeszły do salonu, pozostawiając panów w jadalni nad kieliszkiem porto, dopiero co poznana teściowa rozpoczęła przesłuchanie.

Najpierw uraczyła synową opowieścią o wszystkich członkach rodziny. Brenna wiedziała już, że żadna próba obrony

Rafe'a nie odniesie skutku, siedziała więc bez słowa i przysłuchiwała się tyradzie teściowej na temat męskich ułomności. W pewnej chwili markiza zamilkła, jakby coś jej nagle przyszło do głowy. Spojrzała na Brennę i spytała poufnym szeptem:

-Mam nadzieję, moja droga, że nie weźmiesz mi tego za złe... ale po prostu muszę cię o coś zapytać! Czy w twojej rodzinie nie było domieszki

krwi hiszpańskiej...? Albo mauretańskiej...? A może jakaś Cyganka skusiła któregoś z twoich przodków...? Mam na myśli, oczywiście, bardzo odległych przodków. Robisz takie... cudzoziemskie wrażenie.

- Niektórzy istotnie uważają Walię za odrębne królestwo - odparła ze śmiechem Brenna. - Mój ojciec często powtarza, że Walia zachowała pierwotne oblicze, gdyż łodzie jego przodków Wikingów nie dotarły aż tak daleko na zachód. Moja mama zna się doskonale na genealogii i potrafi udowodnić, że wywodzi się od Liewellena; utrzymuje, że jest jego kuzynką i księżniczką, choć od wielu pokoleń ich ród nie sprawuje już władzy. Uważa Anglików za barbarzyńskich najeźdźców, gdyż pojawili się bardzo późno w jej ojczystych stronach, gdzie jej ziomkowie żyli z dziada pradziada.

Po tym wywodzie teściowa zaniechała dalszych indagacji. Niemniej jednak, Brenna odetchnęła z ulgą, gdy do salonu wszedł Rafe. Posiedział chwilę, po czym podniósł się i wyciągnął rękę do żony.

- Chodź, Bren - powiedział łagodnie, spoglądając jej w oczy. - Zanim pójdziemy do łóżka, zabiorę cię na spacer przy księżycu, moja żoneczko.

Powiedział to z taką czułością, że Brenna zarumieniła się i spojrzała na niego ze zdumieniem. Jak we śnie wstała i ujęła wyciągniętą do niej dłoń. Rodzice i brat Rafe'a stali bez ruchu i bez słowa, gdy wyprowadził żonę z salonu, a następnie z domu.

Księżyc w pełni istotnie jasno świecił. W jego blasku biały budynek wyglądał jak upiorny relief, a długi podjazd odcinał się białą wstęgą od czarno-srebrnego tła nocy. Wiał łagodny wiatr, przesycony solą. Szli wolnym krokiem i tylko skrzypienie żwiru pod ich nogami, cykanie świerszczy i zawodzenie wiatru w wierzchołkach drzew mąciło nocną ciszę.

Rafe przystanął pod starym dębem i puścił rękę żony. W blasku księżycy jego włosy nie były już rude. Teraz, gdy ich jaskrawy kolor nie odciągał uwagi od reszty powierzchowności, Brenna widziała wyraźnie, jak męska i pociągająca jest twarz jej męża. O tym, że księżycowa poświata jest i dla niej łaskawa, wiedziała od dawna. Nieraz jej mówiono, że krucza barwa jej włosów i mleczna karnacja stanowią odbicie kontrastu między srebrną



tarczą księżyc a nocnym niebem.

Brenna uniosła twarz i rozchyliła wargi. Zastygła w oczekiwaniu na kolejny ruch Rafe'a w ich małżeńskiej grze. On jednak nie patrzył na nią. Z zaciśniętymi ustami spoglądał ponad jej głową w stronę domu.

-Wybacz, że zrobiłem z siebie takie przedstawienie... i ciebie również wystawiłem na pośmiewisko - powiedział z goryczą. -Ale, widzisz... oni lękają się tylko jednego: objawów zwykłych ludzkich emocji. Tylko w ten sposób mogłem cię stamtąd wyrwać. Lepiej tam nie wracać, póki nie rozejdą się do swoich pokojów. Stanowimy kuszący nowy cel dla ich docinków. Chodźmy stąd! Widzisz, jaka ta noc jasna? Można by pomyśleć, że świta! Zabiorę cię na spacer i przy okazji coś ci pokażę, skoro już tu jesteśmy.

-Ach, tak... - Bren starała się opanować rozczarowanie i zażenowanie. Spodziewała się czegoś zupełnie innego. - No, dobrze... jeśli już tu jesteśmy.

Rafe zatrzymał się nagle.

-Nawet cię nie spytałem... Może boisz się ciemności?

-Nie - odparła szczerze. - Boję się wielu rzeczy, ale tego akurat nie.

-To dobrze - powiedział i wziął ją znów za rękę. - Chciałem cię tam zabrać rano, ale trzeba zawsze korzystać z nadarzającej się okazji, tak jak w tej chwili! Chodź, zaprowadzę cię do starego grobowca i zapoznam z pewnym duchem. Zobaczysz, jak wiele spraw to wyjaśni!

18

Mauzoleum stało samotnie na zboczu, frontem do morza. Zbudowane było z tego samego kamienia co Arrow Court, ale w odmiennym stylu. Był to kamienny sześcian, przysadzisty i funkcjonalny.

- Człowiek, który tu spoczywa, kazał wznieść zarówno ten grobowiec, jak i Arrow Court - wyjaśnił Rafe, otwierając furtkę w murze otaczającym mauzoleum. - Kolejni nasi przodkowie wzbogacili dwór o skrzydła, okna, portyki i tak dalej. Gryf z pewnością wzgardziłby tymi dodatkami. Sir Griffith z Arrow Court, założyciel naszego rodu. Zwano go „Gryfem”. Był wojownikiem i wszystko, co budował, miało służyć do obrony, a nie do zaspokojenia ludzkiej próżności.

Rafe zobaczył, że Brenna zatrzymała się, i sam przystanął.

- Boisz się? Pochowano go tu przed wiekami. Tylko on i jego żona leżą tutaj. Wszyscy inni Daltonowie woleli być pochowani na cmentarzu. Mam wrażenie, że Gryf chciał pozostać na zawsze w pobliżu Arrow Court, by strzec swojego domu przez całą wieczność. Nie musimy wchodzić do wnętrza, Bren. Chciałem ci tylko pokazać to miejsce, zanim opowiem ci o nim, o mojej rodzinie i o sobie. Zostaniemy tutaj. Albo wrócimy do domu, jeśli chcesz.

Bardzo rzadko mówił tak dużo i z takim przejęciem. Brenna nie miała ochoty zwiedzać grobowca o żadnej porze dnia, a tym bardziej w nocy. Nie ulegało jednak wątpliwości, że to miejsce wiele dla Rafe'a znaczy. Roześmiała się. Jej śmiech zabrzmiał dziwnie słabo i niepewnie: niestosowne, zbłąkane dźwięki... Odpowiedziała prawie szeptem. To wydawało się bardziej odpowiednie w ciszy i pustce nocy.

- Nie boję. Jestem tylko zaskoczona... Czy w środku jest jakaś lampa?

Tym razem roześmiał się Rafe.

- Są pochodnie! A ja wziąłem ze sobą hubkę i krzesiwo. Nie bój się, nie ma tu żadnych duchów, które nie spacerowałyby po Arrow Court... albo nie sterowały moim życiem.

Otworzył drzwi do mauzoleum. Schylił głowę i wszedł do wnętrza. W chwilę później błysnęła skrzesana iskra. Rafe zapalił pochodnie. Uchwyciwszy się ręki męża, Brenna przekroczyła próg. Kiedy znalazła się w środku, zawstydziała się swych niemądrych obaw. Wewnątrz grobowca było całkiem zwyczajnie. Nic nie skłaniało do czarnych myśli o śmierci i rozpacz. Pachniało morzem i sosnami, których wiele rosło na stoku wzgórza. Umieszczone w żelaznych ściennych uchwytach dwie pochodnie oświetlały wnętrze rudo-złotym blaskiem. Ściany i podłoga z białego kamienia wydawały się różowe jak jutrzienka.

Nie było tu wiele do oglądania. Dwa wąskie, wysokie okna, niewielki ołtarz, a po obu jego stronach dwa kamienne sarkofagi. Wieko każdego z nich ozdobione było płaskorzeźbą. Szary kamień ożył w migotliwym blasku. Spoczywająca na kamiennej poduszce kamienna dama miała skrzyżowane ręce na granitowej piersi. Wojownik na drugim sarkofagu leżał w identycznej pozie w pełnym rynsztunku. Wokół niego widniały

proporce i znaki bojowe. Wierny kamienny pies warował u nóg swego pana, strojnych w buty o spiczastych noskach. Rysów obu postaci nie można było rozróżnić; upływający czas zniszczył dzieło dawnego kamieniarza, zacierając wszelkie szczegóły.

- To Gryf! - oznajmił Rafe, wskazując sarkofag z podobizną wojownika. Ostrożnie obszedł grobowiec dokoła. - Spoczął na zawsze tutaj, na ziemi, którą zdobył, w pobliżu domu, który zbudował i w którym rad przebywał. „Rycerz waleczny i prawy” - tak tu o nim napisano. Wszyscy to samo o nim mówią po dziś dzień. Zwyciężał w szrankach, na turniejach, w walce na miecze i na kopie. Nie nosił zbroi od parady! Nie przebywał w swoim domu tak często i długo, jakby chciał. Król wysłał go za granicę, by wziął udział w krucjacie. To był wielki honor!

Gryf dowiódł, że jest godzien tego zaszczytu. A teraz tu leży -założyciel rodu, pierwszy pan na Arrow Court... udręka mojego życia.

Przyglądająca się uważnie sarkofagom Brenna uniosła raptownie głowę i spojrzała ze zdumieniem na męża.

-Tak, właśnie tak - potwierdził, krążąc niespokojnie po wnętrzu. - Rzecz w tym, Bren, że nie jestem jego potomkiem. A przynajmniej stoi to pod znakiem zapytania. Właśnie ten cholerny znak zapytania sprawił, że życie moich rodziców zamieniło się w nieustanny okrutny pojedynek. Mój przyjazd pogorszył jeszcze sprawę. Nie mogę jakoś uwierzyć, że dotąd dożyliby, gdyby codziennie rozszarpywali się nawzajem na strzępy z taką zajadłością jak dziś!

-Niektórzy ludzie... niektóre pary małżeńskie lubują się w zażartych sprzeczkach - wtrąciła Brenna.

-Możliwe, całkiem możliwe... - wymamrotał Rafe. - Czasami i ja się łudzę, że to nic groźnego... Ale naprawdę...

Oparł się plecami o sarkofag Gryfa i utkwiał w żonie pełne powagi błękitne oczy. W migoczącym świetle pochodni widać było napięcie na jego twarzy, gdy mówił dalej.

- Mama to wytrawna flirtiera. Zawsze nią była. W młodości słynęła z tego. Potrafiła oczarować każdego, z moim ojcem włącznie. Byli dalekimi kuzynami. Rodzicom bardzo zależało na tym ożenku. Ale młodym jakoś się do tego nie paliło. Kiedy jednak

całkiem dorośli i znów się spotkali, pobrali się w te pędy. Oboje byli zakochani do szaleństwa. Ale od początku darli ze sobą koty. Wszyscy to potwierdzają. Nawet Grant pamięta, jak się kłócili. Nie było mnie jeszcze na świecie, gdy pewnego razu po straszliwej awanturze ojciec spakował manatki i wyjechał do Londynu. Matka została w Arrow Court, knując zemstę. Zapowiedziała zresztą ojcu, że gorzko pożałuje tego, co uczynił!

Ze zwieszoną głową Rafe ponownie zaczął krążyć po wnętrzu grobowca. - Od zachodu do Arrow Court przylegał majątek pewnego sąsiada, który miał syna... Był to rozwydrzony młody człowiek, bawidamek uganiający się za każdą spódniczką. Podczas pobytu w Londynie zebrał obfite żniwo: utrzymywał tancereczki z opery, deprawował pokojówki, przyprawiał rogi mężom... Kiedy nie uwodził jakiejś kobiety, przegrywał w karty i kości rodzinny majątek. Odwołany wreszcie do domu przez rozwścieczonego ojca zaczął i tu pokazywać, co potrafi.

Brenna nigdy dotąd nie słyszała, by Rafe mówił tak długo. Nigdy też w jego głosie nie dźwięczało tyle bólu i bezsilnego gniewu.

-Mama była piękna i skłonna do flirtu. Młodzieniec był lekkomyślny i zuchwały. Nic dziwnego, że zwrócili na siebie uwagę. A co było dalej? W tym cały problem. Nikt nie wie nic pewnego. Ale mój ojciec dowiedział się o ich przyjaźni. - Rafe spojrzał na żonę i uśmiechnął się smętnie. - Prawdę mówiąc, mama poinformowała go o tym listownie. Ojciec wrócił do domu i pokonał rywala nie gorzej, niż zrobiłby to sam Gryf w podobnych okolicznościach... No, niezupełnie... Ojciec nie pozbawił go życia. Ale w każdym razie pozbył się go na dobre. Młody człowiek wyjechał, tym razem do Francji. Zginął tam z ręki kolejnego zazdrosnego małżonka, chyba w Calais. Nie zdążył wiele zwiedzić. Ale mniejsza o jego śmierć. Ważniejsze było to, czego - być może - dokonał tutaj, przed wyjazdem.

-Ale przecież... - zaczęła Brenna, szukając najwłaściwszych słów pociechy. Mąż przerwał jej.

-Ten młodzieniec miał rude włosy, Bren. Wołali za nim „Strzecha się pali!” Był zapalczywy, gorąckokrwisty i niewątpliwie rudy. Tak jak ja. W

odróżnieniu od mojego ojca, mojej matki i mojego brata. I dwojga maleństw, które matka urodziła przede mną. Zmarły w niemowlęctwie. Przy moich narodzinach wywiązały się jakieś komplikacje i potem mama nie mogła już rodzić dzieci. Zawsze się zastanawiałem, jak wiele kosztowało ją wydanie mnie na świat...

Potrząsnął głową.

- Moja mama to bardzo pomysłowa kłamczucha, zawsze taka była. Nic dziwnego, że jej zapewnienia o niewinności nikogo nie przekonały. Czy rzeczywiście zdradziła mego ojca? Czy skończyło się na pocałunkach? Czy zafundowała swemu mężowi bękarta?

Nie sposób niczego udowodnić. Ale właśnie dlatego zawsze czułem się winny ich niezgody. Choć, prawdę mówiąc, zawinił raczej ów młody rudzielec, nie ja. - Roześmiał się. - Sama widziałaś, ile dzieciaków w najbliższym miasteczku ma po nim rude włosy!

Spojrzał żonie prosto w oczy. Jego twarz była bez wyrazu.

- Gdybym miał pewność, że jestem bękartem, Bren, nigdy bym się nie oświadczył ani tobie, ani żadnej innej kobiecie. Ale cały problem polega właśnie na tym, że nie wiem, jak wygląda prawda. I nigdy nie będę wiedział. Czy jesteś na mnie zła, że nie wyjawiałem ci tego wcześniej?

-Jestem zła, owszem! Jak mogłeś przypuścić, iż może to mieć dla mnie jakieś znaczenie?!

Zmarszczył brwi.

-Oczywiście, że to ma znaczenie. Przekłete rude włosy zafarbowały, że tak powiem, całe moje życie na czarno - dodał z nerwowym uśmiechem. - W pierwszej chwili, gdy się urodziłem, sądzono, że to blask ognia barwi na czerwono moje włoski. Potem pocieszano się, że pierwszy puszek szybko się wytrze i wyrosną mi złote włosy, takie same, jakie miał mój brat. Ale w końcu wszyscy zrozumieli, że jestem po prostu rudy -i mój los został przypieczętowany raz na zawsze. Zawsze czułem się intruzem w Arrow Court. Moi przyjaciele widzieli to. Nie mogłem się doczekać chwili, gdy stąd wyjadę. Nie przepadałem za szkołą, ale było mi tam lepiej niż tu. W wojsku także. W każdym miejscu, gdzie oceniano mnie według moich postępów. Więc nie wmawiaj mi, że to nie ma znaczenia!

-Naprawdę nie ma - odparła z prostotą. - Przynajmniej dla mnie. Nic

mnie to nie obchodzi. Jeśli ten rudowłosy ladaco był naprawdę twoim ojcem, nie odziedziczyłeś po nim niczego prócz koloru włosów. Nie jesteś kobieciarzem. Ani hazardzistą. Ani oszustem!

-Może właśnie dlatego, że wiem, jaki był, i nie chcę się do niego upodobnić - podsunął przekornie.

-Możliwe... ale gdybyśmy wszyscy potrafili ujarzmić nasze wrodzone popędy z taką łatwością, na świecie roiłoby się od świętych! Jesteś wojownikiem w najlepszym tego słowa

znaczeniu - powiedziała z absolutnym przekonaniem. - Masz to we krwi. Bez względu na to, kto cię spłodził, ty jeden z całej rodziny jesteś prawym potomkiem Gryfa!

Rafe wpatrywał się w nią w osłupieniu.

-Nie tylko ty masz problemy ze swym wyglądem. Weźmy choćby mnie! - rzekła gniewnie. - Czarna jak Murzynka albo jak Cyganka, jak zakomunikowała mi z satysfakcją twoja mama! Przez całe życie powtarzano mi, że mam egzotyczny wygląd, że wcale nie wyglądam na Angielkę, i tak dalej. A mężczyźni zawsze gapili się na mnie tak, jakby mieli nadzieję, że zaraz złożę im jakąś rozkoszną, absolutnie nieprzyzwoitą propozycję, ponieważ wyglądam tak erotycznie... chciałam powiedzieć egzotycznie - poprawiła się, a jej policzki oblały się ciemnym rumieńcem. - Tak właśnie było! - W głosie Brenny brzmiała urażona duma, oczy jej błyskały jak u Cyganki, do której ją nietaktownie porównano. - Wiem, jaką złą opinię miałam w moich rodzinnych stronach. Na połowę plotek zasłużyłam moim niefrasobliwym zachowaniem w okresie narzeczeństwa z Tomem. Ale druga połowa, albo i więcej, spowodowana była moim odmiennym wyglądem. A jakie w końcu znaczenie może mieć sam wygląd?!

-Ale jesteś podobna do swojej rodziny, Bren - zwrócił jej uwagę Rafe. - Choćby do swej rozmiłowanej w genealogii mamy. Jesteś jej żywym portretem. A założę się, że innych krewnych także przypominasz z wyglądu.

-No, cóż... - zaczęła Brenna i zamilkła, bo mąż miał słuszość.

-A co się tyczy twego „erotycznego” wyglądu, to... - uśmiechnął się zuchwale - ... zgadzam się w zupełności z tą opinią. Nie mogę się doczekać chwili, kiedy ci dowiodę, jak bardzo zasługujesz na to

określenie.

Podszedł do Brenny i przyjrzał się jej uważnie. Dotknął jej włosów, na których blask ognia niecił szkarłatne błyski.

- W świetle pochodni wyglądamy jak bliźnięta - powiedział w zadumie. Przyłożył swą wielką dłoń do jej policzka. - Na to, byśmy stali się naprawdę mężem i żoną, także nie mogę się doczekać.

Nie był to łatwy ani miły wieczór dla nich obojga. Rafe zastanawiał się, czy Bren jest zdegradowana zachowaniem jego rodziny tak samo jak on. I równie jak on zażenowana jego wyznaniem na temat wątpliwego pochodzenia. Przemknęła mu przez głowę myśl o Annabelli: jak ona zareagowałaby na wszelkie anomalie tego koszmarnego rodzinnego spotkania? Czy i jej wyjawiłby tajemnicę swego pochodzenia...? Nawiedziła go nieprawdopodobna, a jednak niepokojąca myśl, że Annabella - być może - zachwyciłaby się błyskotliwymi, okrutnymi żartami jego najbliższych krewnych. Nie ulegało wątpliwości, że Brenna była nimi przerażona. Nie załamała się jednak pod wpływem szoku. Był dumny ze swojej żony, pełen podziwu dla jej niezłomnego ducha, upokorzony tym, że stanęła w jego obronie. A poza tym - jak zawsze - podniecony i zaintrygowany jej zmysłowością.

Musnął usta Brenny leciutkim pocałunkiem; nie była to pieszczota, raczej nieśmiałe pytanie. W odpowiedzi objęła go za szyję i uśmiechnęła się. Zwrócone ku niemu wargi drżały od tłumionych dotąd emocji.

Rafe przycisnął ją mocniej do siebie i całował tak, jakby chciał ją pożreć. Brenna przytuliła się do niego, szukając źródła, w którym mogłaby ugasić swoje pragnienia, które spadły na nią z siłą huraganu. Jej język splątał się z językiem Rafe'a, jej ręce zacisnęły się mocniej na jego szyi, jej ciało stopiło się niemal z jego ciałem.

Rafe wyprostował się i odetchnął głęboko. Cofnął się nieznacznie, nie wypuszczając żony z objęć. Czuła, jak drżą mu ramiona.

- Bren, kochanie moje - powiedział załamującym się głosem. - Jeszcze chwila, a nic nas nie powstrzyma od tego, czego nie godzi się czynić w miejscu wiecznego spoczynku... choć nie jestem pewien, czy Gryf nie ucieszyłby się z niespodziewanej atrakcji. Był równie zuchwały... - Uśmiech Rafe'a zgasł. - Jak rudowłosa kochanek mojej matki - zakończył z goryczą. Potrząsnął głową, jakby chciał w ten sposób odgonić myśli,

-Chodźmy stąd! - powiedział, biorąc żonę za rękę. - Dość rozpamiętywania przeszłości. Zajmijmy się przyszłością!

Pogasił światła, zamknął drzwi mauzoleum i furtkę w murze. Ręka w rękę powędrowali z powrotem do domu. Wokół panowała cisza. Milczenie, które zawisło nad nimi, pulsowało niezaspokojoną namiętnością. Oboje dobrze wiedzieli, co ich czeka u kresu drogi. Czego nareszcie zakosztują.

Brenna była radośnie podniecona. Rafe powiedział do niej „kochanie moje"! Niby nic nadzwyczajnego - ot, wyświechtany frazes, który sam się napatoczył. Ale po raz pierwszy usłyszała to czułe słówko z ust męża. To jej wystarczyło. Ożenił się z nią w pośpiechu, podobnie jak to zrobili jego rodzice. Tylko że tamci szaleli z miłości, a o nich trudno byłoby coś takiego powiedzieć. Ale może właśnie dzięki temu, że nie szaleli, ich przyjaźń miała czas okrzepnąć. Nie miało dla niej znaczenia, czyim synem był Rafe. Interesowało ją tylko to, do kogo będzie należało jego serce. A teraz wreszcie zaświtała nadzieja - myślała, drżąc na całym ciele, choć stykały się już tylko ich ręce - że zapomni o tej swojej wytwornej damie (choćby na tę jedną jedyną noc) i będzie kochał tylko ją i tylko jej zapragnie.

Weszli do domu i spiesznie, bez słowa skierowali się w stronę sypialni. W hallu wpadli niemal na Granta, który wyszedł z salonu na ich powitanie.

- No i cóż miał wam do powiedzenia praprapradziadek Gryf? - zagadnął przyjaźnie. - Wielka szkoda, że nie zachowały się żadne zabawne historyjki o tym, jak witał nowych członków rodziny i na jakie próby ich wystawiał, by poznać, czy są godni tego zaszczytu! Zabawny z niego staruszek, prawda?

Błada zazwyczaj twarz Granta była mocno zaczerwieniona. Oczy mu błyszczały, zalaływało od niego alkoholem. Rafe zmierzył brata wzrokiem i ścisnął mocniej rękę Brenny.

- Istotnie, wielka szkoda - odparł lakonicznie. - Brak zabawnych historyjek, ani słowa o próbach charakteru. Mnie by to zresztą nie dotyczyło, nieprawdaż? Nie należę przecież do rodziny.

Wicehrabia zrobił wielkie oczy. Gwizdnął i uniósł rękę, jakby w geście przerażenia. W drugiej nadal piastował kieliszek koniaku.

- No, no! Powiedziałaś jej?! Zaprezentowałaś nie tylko świętej pamięci Gryfa, ale aktualny do dziś, wstydlivy grzeszek rodzinny...



Co to da? Prawdę mógłby nam wyjawić tylko ktoś z zaświatów. A Gryf z pewnością nie bawi się w plotki. W każdym razie rozwiązanie zagadki spoczywa w grobie... albo tu, albo w Calais. Albo w czarującym mauzoleum wspomnień naszej drogiej mamy. My dwaj najlepiej wiemy, jak zmieniają się jej wspomnienia - w zależności od sytuacji. Przypuszczam, że sama już nie wie, jak tam naprawdę było.

-Za to dobrze wie, że synowie nie mają prawa dyskutować o grzechach matki! - rozległ się gniewny głos markizy, która wyłoniła się z salonu i stawiała im czoła.

-Ale któż zrobiłby to lepiej? - mruzczał jak kot markiz, postępując w ślady żony.

-No właśnie - podjął Grant z wymuszonym uśmiechem. -Kto mógłby to zrobić najlepiej...? Może ten, kto musi wiecznie wysłuchiwać pochwał swego dzielnego, nieznającego trwogi młodszego brata? Komu wykluwa się oczy szlachetnością i męstwem tego herosa... tak różnego od starszego, nieudanego syna? I od ojca, którego nieustraszony bohater ani trochę nie przypomina... a może właśnie przypomina, aż za bardzo...?

Rafe zmarszczył brwi.

-„Dzielnego, nieznającego trwogi młodszego brata”? To coś nowego. Nigdy tego nie słyszałem!

-Za to nieszczęsny ojciec bohatera słyszał to nie raz! - wycedził markiz. - Mam, rzecz jasna, siebie na myśli.

-Wspomniałam tylko raz czy drugi o jego wojennych wyczynach - wyznała z przymusem markiza, posyłając mężowi mordercze spojrzenie.

- Jak wyście sobie to wytłumaczyli, to już wasza sprawa!

-Poukładaliśmy tylko w logiczną całość wszystkie twoje niedopowiedzenia, kiedy wyskakiwałaś z nowym komunikatem wojennym - stwierdził Grant z przylepionym do ust uśmiechem, w którym nie było ani krzty wesołości. - A częstowałaś nas tymi panegirykami każdego ranka. Potem dodaliśmy skrętnie to, co raczyłaś powiedzieć po południu i wieczorem na temat odwagi, honoru i wszelkich cnót. Sprawiało nam prawdziwą radość, że tak je wysoko cenisz. Zwłaszcza że odkrywałaś te skarby jedynie u młodszego syna.

-Byłbym w siódmym niebie, gdybym to usłyszał! - odezwał się Rafe z rozjaśnionym wzrokiem.

-Nie mówiłam o tobie - warknęła matka - tylko o braku kardynalnych cnót u innych przedstawicieli twojej rodziny.

-Którą rodzinę masz na myśli, moja droga? - spytał słodko markiz.

Brennie zaparło dech. Rafe usłyszał jej cichutki jęk i odwrócił się do niej.

- Jestem bardzo zmęczona - powiedziała słabym głosem. - Proszę mi wybaczyć; chciałabym jak najprędzej położyć się do łóżka.

Nie należała do tego przerażającego świątka! To znaczy... w jakimś sensie należała, ale nie chciała mieć z tym nic wspólnego! Ci straszliwi ludzie pożerali się nawzajem...! Nie mogła ich dłużej słuchać ani patrzeć, jak osaczają Rafe'a ze wszystkich stron niczym szakale, by rozszarpać go na strzępy, pozostawiając nagi szkielet...

- W porządku - rzekł Rafe i skinął głową. - Podróż była bardzo męcząca. Wybaczcie, ale idziemy do łóżka. Dobranoc!

-Jasne, jasne! Od nocy poślubnej nie minęło wiele czasu -wtrącił Grant, lustrując bratową od stóp do głów.

Aluzja była przejrzysta. Podobnie jak intencje Rafe'a, gdy usłyszał tę uwagę. Rzucił bratu mordercze spojrzenie. Ten zamrugał oczyma i cofnął się o krok. Rafe ponownie skinął głową.

-Dobranoc - powtórzył z naciskiem.

- Dobranoc - odpowiedziała jego matka z bladym uśmiechem i dodała nieco ironicznym tonem: - Mam nadzieję, że będzie się wam dobrze spało. Ulokowałam was w weselnej komnacie!

Rafe wziął Brennę za rękę i poprowadził schodami na piętro. Oboje czuli na sobie spojrzenia pozostałej trójki, która stała w hallu i odprowadzała wzrokiem oddalającą się parę. Kiedy dotarli do korytarza na piętrze, doleciały do nich z dołu wybuchy śmiechu.

- Oni wcale nie są źli na siebie - wyjaśnił Rafe, widząc zdumienie na twarzy żony. - A w każdym razie nie bardziej niż zwykle. Jeszcze przez jakiś czas będą się nawzajem ranić i obrażać.

Potem Grant wyruszy konno do miasteczka, gdzie czeka na niego kolejna nieszczęsna idiotka, którą darzy akurat swoimi względami. A moi rodzice będą już wystarczająco podnieceni zażartą walką, by udać się razem do sypialni niczym para młodziutkich kochanków. Nieraz to widywałem. Taki już mają zwyczaj. Nie przejmuj się tym, nie warto!

- Ale ty się przejmujesz - zaprotestowała.

-Ja już do tego przywykłem - odparł i otworzył przed ni drzwi sypialni, po czym energicznie zamknął je, gdy oboje znaleźli się w środku.

Brenna spostrzegła nienaturalną sztywność jego ramion, jego milczenie i sposób, w jaki poruszał się po pokoju, z niewidzącymi oczyma i twarzą pozbawioną wszelkiego wyrazu. Rozejrzała się po sypialni. Utrzymana była w rozmaitych odcieniach brzoskwiniowego różu, złota i zieleni i miała ozdobny sufit w stylu słynnych architektów, braci Adamów. Tłuściutkie nagie amorki ścigały się po różowych chmurkach i hasały figlarnie wokół nazbyt szczerze wyposażonej przez naturę bogini Wenus, mile przyjmującej uwagę wyraźnie roznamiętnionego Marsa. Nie ulegało wątpliwości, że jest to komnata przeznaczona dla nowożeńców, umeblowana i udekorowana z wielkim staraniem. Brenna marzyła tylko o jednym: znaleźć się gdzie indziej, wszystko jedno gdzie!

Najbliżsi krewni Rafe'a mogli znajdować się dosłownie wszędzie, i tak wyczuwała ich obecność, ich przenikliwe i okrutne zarazem spojrzenia i uwagi. Sądząc ze sposobu, w jaki rozmawiała z nią teściowa i w jaki spoglądał na nią szwagier, Brenna domyśliła się, że przeznaczenie im tego właśnie pokoju było sarkastycznym komentarzem odnoszącym się do jej zmysłowej piękności i pośpiechu, z jakim zawarli z Rafe'em małżeństwo. Arrow Court znajdował się w dużej odległości od Londynu i widocznie nie dotarły tutaj stołeczne plotki na ich temat - Bogu dzięki! Brenna spojrzała na wysokie łoże, zasłane mnóstwem jedwabnej bielizny pościelowej, i bez pośpiechu zdjęła kolczyk, zastanawiając się, co robić dalej. Choć pragnęła jak najszybciej poznać swego męża w każdym, również biblijnym znaczeniu tego słowa, ogarnęło ją niemal przerażenie na myśl, że mieliby się kochać w tej scenerii. Nie ulegało wątpliwości, że wszystko - nawet miłość - w tutejszej atmosferze ulega zepsuciu i spaczeniu.

Dalton nadal krążył nerwowo po pokoju. Na koniec odwrócił pełną rozpaczę twarz do żony.

- Miałaś rację - powiedział. - Nie mogę się do tego przyzwyczaić!

-To dobrze - odparła. - Tak być powinno.

-Tak uważasz? W porządku - odetchnął z ulgą. - Rozbiorę się w garderobie. Już późno. - Podeszedł do drzwi i na progu znów się do niej

odwrócił. - Bren...? Wiem, że ganiam cię po całej Anglii od czasu, gdy powiedziałaś proboszczowi, że chcesz mnie za męża... Pewnie już tego gorzko żałujesz! Najpierw zajazd dobry dla świń, potem to miejsce, które plugawi nie ciało, lecz duszę... Czy masz siłę na dalsze wędrówki...? Chciałbym stąd wyjechać jak najszybciej, powiedzmy za dwa, trzy dni, żeby nie dać im powodu do tych koszmarnych komentarzy. A potem, jeśli zechcą się z nami spotkać, będą wiedzieli, gdzie nas szukać. Zgadzasz się ze mną? Nie sądzę, by dłuższy pobyt pod rym dachem wyszedł nam na zdrowie.

-Och, Rafe! - odparła z westchnieniem ulgi. - Tak, tak! Wyjedźmy stąd czym prędzej, bardzo proszę!

Uśmiechnął się do niej i wyszedł z pokoju. Brenna rozebrała się pośpiesznie i umyła się, korzystając z dzbanka i miednicy pozostawionych na umywalce. Następnie po sekundzie wahania splótła włosy w długi, lśniący warkocz. Jeśli Rafe zapragnie oglądać ją z rozpuszczonymi włosami, może sam je rozpleść. Gdyby to zrobiła ona, mógłby uznać to za zaproszenie do miłosnych igraszek. A Brenna nie była pewna, czy sobie ich życzy w tych warunkach; prawdę mówiąc, w tej chwili najbardziej łaknęła pociechy i poczucia bezpieczeństwa.

Najszybciej jak mogła wciągnęła na siebie nocną koszulę. Była rada, że nie zabrała pokojówki, wyruszając w tę dziwną podróż poślubną. Nie gasząc światła, wślizgnęła się do łóżka i położyła się na wznak, nieruchomiejąc jak kamienna dama w grobowcu.

Upłynęła dłuższa chwila, nim Rafe znów się pojawił. Brenna zauważyła ze zdziwieniem, że nie rozebrał się całkowicie. Zdjął surdut, ale pozostał w koszuli. Pozbył się butów, ale nie ściągnął spodni ani pończoch. Podszedł do łóżka i stanął przy nim. Na widok żony roześmiał się i potrząsnął ognistą czupryną.

- Wyglądasz teraz nie na Cyganę, tylko na klasztorną nowicjuszkę - powiedział, mierząc wzrokiem jej ciasno spleciony warkocz, białą koszulę i pobladłą twarz. - Spij, Bren. Położę się obok ciebie, ale nie przewiduję na dziś żadnych innych atrakcji. Nie zdejmę spodni i położę się tak, by jedna z kołder oddzielała nas od siebie. Widzę z twojej miny, że masz na miłosne igraszki akurat taką samą ochotę, jak na wyrwanie zęba,

za siebie jednak nie mógłbym ręczyć. W normalnych warunkach wystarczy jedno twoje spojrzenie... - wymamrotał. - Ale nie tutaj!

Usiadł na brzegu łóżka.

- Bren... - powiedział i wyczuła w jego głosie nutę bólu. - Nie wiem, czy uznasz to za słuszne. Ale czuję, że tutaj nie warto nawet udawać miłości. Wielki Boże! - dodał, przegarniając ręką włosy. - Założę się, że któreś z nich podgląda nas przez dziurkę od klucza...! Nie, nie... - poprawił się z wyraźnym znużeniem w głosie. - To dla nich nie dość pikantne, zbyt prymitywne. Chcą tylko wzbudzić w nas przeświadczenie, że mają nas stale na oku!

Pochylił się nad żoną, dotknął lekko wargami jej ust i szepnął:

- Pragnę cię. Zawsze cię pragnę. Ale nie chcę, by to miejsce nas skaziło... w jakikolwiek sposób.

Piersi Brenny uniosły się i opadły w głębokim westchnieniu. Uśmiechnęła się do męża.

-Wiem - powiedziała - i jestem ci wdzięczna. Czuję to samo co ty.

-Lepiej nie uśmiechaj się do mnie w ten sposób. Moja wytrzymałość ma pewne granice!

Brenna nie wiedziała, czy żartował, czy też mówił poważnie. Otulił ją kołdrą, a potem położył się obok niej i objął ją ramionami. Nawet przez kołdrę czuła, jaki jest spięty. Rafe skłonił ją, by oparła głowę na jego ramieniu, i pogłaskał ją po włosach.

- Śpij! - szepnął.

W końcu oboje zasnęli, trzymając się w objęciach jak zmęczone dzieci.

Kiedy nazajutrz obudzili się, poczuli, że łączy ich nowa więź. Nie fizyczna, ale w pewnym sensie jeszcze bardziej intymna. Nie umieliby tego wyrazić. Oboje - niezależnie od siebie - żywili jednak nadzieję, że to poczucie wzajemnej bliskości pomoże im przetrwać kilka następnych dni.

- Gryf? Przynajmniej połowa tego, co słyszy się o jego wyczynach, jest prawdziwa. Musi być prawdziwa - oświadczył

Grant, gdy następnego dnia Brenna spytała go o założyciela rodu. - Jego sława przetrwała nie tylko w naszej tradycji rodzinnej, lecz także w miejscowych podaniach i legendach. Każdy w tych stronach nadal wyśpiewuje jego pochwały. Zawsze podejrzewałem, że to chęć dorównania Gryfowi popchnęła cię do wojska, bracie!

Rafe prychnął pogardliwie.

- Oczywiście! Chciałem występować jak on w szrankach i na turniejach. No i dostałem za swoje. Francuzi potykają się nie najgorzej, żebyś wiedział! Dzięki Bogu, że miałem niejaki doświadczenie... inaczej w Hiszpanii porąbali by mnie na kawałki. Albo nadziałbym się w olśniewającym rynsztunku na nieodpowiedni koniec lancy.

Brenna uśmiechnęła się szeroko. Zdążyła się rozsmakować w specyficznych dowcipach Rafe'a, odkąd spostrzegła, że za jego pozornym brakiem wrażliwości kryje się żywe poczucie humoru.

Tego ranka udała się na konną przejażdżkę w towarzystwie obu braci. W powietrzu wisiała co prawda szara, gęsta mgła, ale było dość jasno, by mogła zorientować się w zaletach rodzinnej posiadłości, które demonstrował Grant. Wjechali właśnie na szczyt nadmorskiej skały, by spojrzeć na leżące w dole wzburzone morze, lecz ujrzeli jedynie ścielącą się mgłę.

-Nie! - zapewnił Rafe, całkiem już serio. - Nie miałem zamiaru małpować Gryfa. Życie w wojsku po prostu mi odpowiadało. A poza tym była to jedyna droga - oprócz stanu duchownego - otwarta dla młodszego syna.

-Spisałeś się dzielnie - stwierdził wicehrabia. - Zdobyłeś uznanie i szacunek... choć o mały włos nie przypłaciłeś tego życiem. Widzę, że nadal możesz się posługiwać obiema rękami. To dobrze, bracie! Nie brak mi wad, ale wierzaj mi, że szczerze niepokoiłem się o ciebie.

Rafe zgął ramię i skrzywił się z bólu.

- Tak, zdołałem zachować tę rękę. Choć w taką pogodę jak dziś nachodzą mnie wątpliwości, czy nie byłoby lepiej, gdyby mi ją ciachnęli! - Spojrzał na Brennę. - Nie masz pojęcia, jak to paskudnie wygląda! Coś takiego powinno się pokazywać za pieniądze... ale tobie radziłbym zamknąć oczy i zwiewać czym

prędzej! Nic, tylko szramy; jedna za drugą. No, ale zawsze ręka jakoś się trzyma, a nawet jest z niej trochę pożytku... tylko daje mi się we znaki w deszczowe dni.

Grant odwrócił głowę i spojrzał na brata, unosząc brew. Oczy Rafe'a rozszerzyły się. Ni stąd, ni zowąd zaczął wpatrywać się z ogromnym skupieniem w niewidoczne zza mgły morze. Brenna zmarszczyła czoło; nie dotarło do niej znaczenie tej milczącej wymiany spojrzeń. Wróciła pamięcią do słów męża. Co takiego powiedział o swojej ręce...? „Nie masz pojęcia, jak to paskudnie wygląda... tobie radziłbym zamknąć oczy i zwiewać czym prędzej!”

Rafe wygadał się niechcący, że jego żona nigdy go nie widziała bez ubrania!

A kto go wie? Może nie rozbiera się do kochania? Nie zdjął z siebie wszystkiego wtedy, gdy omal do tego nie doszło! - myślała. Wielka szkoda, ale może dżentelmeni tego nie robią? Skąd mam wiedzieć? Humor jej się wyraźnie poprawił. Jednak to, że nawet ja nie wiem, jak się Rafe zachowuje w małżeńskim łóżu, z pewnością nie jest sprawą jego brata! Zwłaszcza że nie prosiłam go o interwencję! Podniosła dumnie głowę. Ten temat robił się coraz bardziej niepokojący, tak samo jak pogoda.

-Mgła strasznie gęstnieje - zauważyła. - Czy nie lepiej odłożyć dalsze zwiedzanie do czasu, gdy słońce znów się pokaże?

-To znaczy do przyszłego miesiąca? - zażartował Grant. -Oczywiście! Masz rację, już zaczyna padać. Wynośmy się stąd!

Zawrócili do stajni. Rafe wyjaśnił, że chce osobiście dopilnować, by Srokacz został należycie wytarty, napojony i nakarmiony.

- Peck dobrze sobie z nim radzi, ale akurat poszedł do miasteczka. Każdego dziwi, że traktuję Srokacza jak najlepszego przyjaciela - dodał - ale ten koń w ciężkich chwilach zrobił dla mnie więcej niż niejeden przyjaciel, więc w pełni zasługuje na takie traktowanie. Wkrótce was dogonię!

Brenna wracała więc do domu z Grantem. Podkasała nieco spódnicę, by nie unurzać w błocie obrąbka. Równocześnie zbierała siły, gotując się na ryzykowny krok. Jeśli, jak się spodziewała, wyjadą stąd nazajutrz, szansa poufnej rozmowy ze szwagrem odsunie się w czasie, a może nawet

przypadnie na zawsze. Niełatwo będzie jej zadać wicehrabiemu równie osobiste pytanie... ale na uzyskanie wyjaśnień od rodziców Rafe'a absolutnie nie mogła liczyć. Teraz nadarza się wymarzona okazja. Musi spytać Granta o coś, co nurtowało ją od samego rana.

Kiedy więc dotarli już do schodów prowadzących do drzwi frontowych, zatrzymała się.

- Jest coś, o co chciałabym cię spytać, Grant. Chodzi o rudowłosego mężczyznę, o którym mi opowiedział Rafe. Tego... no wiesz. Tego, o którym do tej pory krąży tyle plotek. Jak on wyglądał? Wiem tylko, jaki miał kolor włosów.

Grant zawahał się. Spojrzał na bratową. W jego wzroku rozbawienie łączyło się z podziwem.

- Odważna z ciebie dziewczyna! Masz na myśli młodego Rufusa? Tego rudzielca, z którym mama flirtowała? Rozpustnego syna baroneta?

Brenna nie wiedziała, jak ów młodzian miał na imię, ale skinęła głową.

-No, cóż... Nie był sobowtórem Rafe'a, jeśli o to ci chodzi -odparł wicehrabia. - Miałem zaledwie sześć lat, ale to mogę stwierdzić z całą pewnością. Prawdę mówiąc, wcale nie wyglądał na pożeracza damskich serc! Wydawał mi się po prostu zabawny. I rzeczywiście był zabawny. Jeszcze jak! Nawet z wyglądu. Mam wrażenie, że zawdzięczał swoje sukcesy u pań temu, że żadna nie traktowała go poważnie. Odkrywały, że to łotr spod ciemnej gwiazdy dopiero wówczas, gdy było już za późno. ...A jakie wrażenie zrobił na mnie...? - Grant zamyślił się, zastygając z jedną nogą na najniższym stopniu schodów. -Takiemu małemu chłopcu każdy dorosły wydaje się ogromny, ale on był naprawdę wysoki - szczupły, długonogi, trochę niezgrabny... Najbardziej zapadła mi w pamięć jego czupryna... to znaczy jej kolor, rzecz jasna. Wyglądała jak słońce tuż przed zachodem: jaskrawo pomarańczowa grzywa. Twarz miał rumianą... choć trudno to było dostrzec z powodu mnóstwa piegów. A oczy...? Wyjąłem ci to pytanie prosto z ust, nieprawdaż...? Bardzo mi przykro, ale nie pamiętam. Słyszałem jednak rozmowy na ten temat. Podobno miał piwne oczy. Nie takie jak Rafe. To byłoby zbyt proste rozwiązanie!

-A dla Rafe'a nigdy nic nie jest proste, prawda? - spytała ze smutkiem.

-Nic nie jest proste dla żadnego z nas. - Głos Granta zabrzmiał wyjątkowo



szorstko. Widać on sam to spostrzegł, bo przez chwilę wydawał się zbity z tropu.

Brenna zdumiała się. Ta niezwykła zmiana nastroiła ją podejrzliwie. Wicehrabia nie należał do tych, których łatwo zaskoczyć. Na jego przystojnej twarzy malowało się zawsze chłodne opanowanie. Teraz też szybko odzyskała zwykły wyraz.

- Nie żywię do Rafe'a nienawiści, możesz być pewna - rzekł. - Trudno nawet powiedzieć, że go nie lubię. Po prostu nie znam go zbyt dobrze. Nie mieliśmy okazji pobyć ze sobą. Byłem w szkole, kiedy się urodził. Widywałem go oczywiście, kiedy wracałem do domu na wakacje. Ale różnica wieku dzieliła nas niczym otchłań. A nasza rodzina nie jest specjalnie zżyta... - Roześmiał się. - Cóż za wspaniały eufemizm! Równie dobrze mógłbym powiedzieć: morze nie jest specjalnie suche! Ale szczerze mówiąc, zazdroszczę mu. Nie tylko teraz, z twego powodu, moja droga - dodał w przystępie podszytej ironią galanterii. - Wybacz, ale musiałem to powiedzieć, by wszystko było jasne. Przede wszystkim zazdrościłem mu spektakularnych wojennych wyczynów i błyskotliwej kariery w armii. No i tego, że zdołał wyrwać się z naszego rodzinnego piekła i trzymać się z dala od nas przez te wszystkie lata. A na dobitkę tego, że mama mówi o nim tak, jakby był jej ulubieńcem, i bez przerwy go przed nami wychwala. A równocześnie żał mi Rafe'a, bo w jego obecności nigdy tego nie zrobiła i nie robi.

-A ojciec? - Brenna ośmieliła się zadać to pytanie, gdyż Grant w przyływie nieoczekiwanej wylewności schował kły i pazury i wydawał się niegroźny.

-Mój ojciec? - Wicehrabia wzruszył ramionami, zupełnie jak Rafe. - Kto go tam wie? Bywa jeszcze bardziej milkliwy niż Rafe. A jeśli się już odezwie, to na pewno z ironią. Boże! Jak on ubóstwia ironizować! - Grant wypowiedział te słowa z jakimś nieobecnym wyrazem oczu i z grymasem na ustach. -Przeważnie są to docinki pod adresem mamy. Kiedy okazuje zainteresowanie którymś z nas, to przede wszystkim po to, by wystawić nas na pośmiewisko. Poza tym odzywa się tylko wówczas, gdy chce sprowokować mamę do jednego z ich niekończących się, dwuznacznych dialogów na tematy najbardziej osobiste.

Oczy Granta odzyskały ostrość widzenia. Spojrzał po dawnemu na bratową.

-Pewnie się dziwisz, czemu nigdy nie próbowałem wydostać się stąd? Próbowałem. Wyjechałem do Londynu. Potem na kontynent. I zawsze wracałem. Bez wątplenia niebawem podejmę kolejną próbę ucieczki, z góry skazaną na niepowodzenie. Nie poszczęściło się naszym rodzicom: żaden z synów nie potrafi usiedzieć na jednym miejscu. Obaj obijają się po świecie. Chociaż... kto wie? Może Rafe znalazł wreszcie bezpieczną przystań...? Dobry Boże! Nie myślałem, że zacytuję kiedykolwiek równie zwietrzały frazes! - roześmiał się. - Ale jeśli idzie o Rafe'a, to pamiętaj: nie jestem jego wrogiem!

-I przyznasz, że niełatwo mu się życie układa?

-Oczywiście - przytaknął na odczepnego.

-Chciałam powiedzieć, że układa mu się jeszcze trudniej niż wam wszystkim - rzuciła Bren z lekkim zniecierpliwieniem.

-No, cóż... - Wicehrabia popatrzył na nią bez cienia ironii. -Możesz to przecież zmienić. Jeśli nie jego przeszłość, to przynajmniej przyszłość, nieprawdaż?

Brenna zastanowiła się. Potem skinęła głową potakująco. Po raz pierwszy od chwili poznania poczuła coś w rodzaju sympatii do Granta.

-Spróbuję.

W istocie marzyła jej się całkowita i ostateczna zmiana. Oby tylko zdołała tego dokonać!

Rozstała się z Grantem w głównym hallu i pobiegła do pokoju zmienić ubranie. Wilgotna mgła dotarła dosłownie wszędzie! Amazonka Brenny nasiąkała wilgocią jak chusteczka płaczącej damy i teraz najłżejszy powiew przyprawiał ją o dreszcze. Na dworze wiatr rozwiewał mgłę. W starym domu hulały na korytarzach przeciągi. Nic dziwnego, że dawne rany Rafe'a dawały o sobie znać!

Brenna ściągnęła wilgotne ubranie i wytarła się do sucha ręcznikiem. Włożyła ciepłą suknię, narzuciła szal na ramiona i natychmiast zasiadła przy biurku stojącym w rogu pokoju.

Wkrótce potem wszedł do sypialni Rafe. Zatrzymał się na widok żony zajętej pisaniem.

Podniosła głowę znad listu.

-Postanowiłam napisać kilka słów do mamy - wyjaśniła. -Wiesz, jak się miewam i jak sprawy się układają.

-Czy to rozsądne posunięcie? To że już trzeciego dnia po ślubie masz dość czasu na korespondencję, nie najlepiej świadczy o atrakcjach małżeńskiego stanu. Co też sobie twoja mama pomyśli?!

-Pomyśli, że dobra ze mnie córka. Obiecałam jej, że napiszę, i dotrzymuję słowa - odrzekła Brenna. - Podczas pobytu w Indiach pisywałam do niej codziennie. Dzięki korespondencji jesteśmy sobie zawsze bliskie. Teraz chcę jej zadać pewne pytanie delikatnej natury; tylko ona może mi wyjaśnić sprawę.

Rafe nagle znieruchomiał.

- Okoliczności nie pozwalają nam na kompletne zbliżenie - powiedział z przymusem. - Myślałem, że oboje dobrze to rozumiemy.

Brenna znów podniosła głowę i spojrzała na męża. Oblała się gorącym rumieńcem.

- Ach, ci mężczyźni! - Zdobyła się nawet na śmiech. - Wcale nie o tym zamierzam pisać. Chodzi o coś, co Grant powiedział na temat twojego... przodka. Dało mi to wiele do myślenia!

-Jakiego przodka? - zdziwił się Rafe.

Bren odłożyła pióro.

-Bezpośredniego. I niezbyt pewnego. Chodzi o tego rudzielca, który - być może - jest twoim ojcem. Gdyby to była tajemnica, nigdy bym jej nie zdradziła - dodała pospiesznie. -Ale sam powiedziałaś, że wszyscy w miasteczku o tym wiedzą. Czy bardzo ci będzie przykro, jeśli moja mama też się o tym dowie?

-Nie - zapewnił ją, ale robił wrażenie osaczonego i wyraźnie miał się na baczności.

-Doskonale - odparła żywo. - Powiedz sam, kto zna się lepiej na swoich i cudzych przodkach niż moja mama? Jeżeli jakiś wojownik zetknął się z kimś z jej rodziny pięćset lat temu, możesz być pewny, że mama doskonale wie o tym wydarzeniu! I nie ogranicza się do genealogii. Pasjonuje się również historią... po swojemu. Chciałabym napisać do niej zarówno o Gryfie, jak i o Rufusie.

Rafe'owi oczy błysnęły, ale jego żona mówiła dalej. Wiedziała od ojca, że

sprawy, o których się nie wspomina, wydają się znacznie bardziej przerażające niż te, które się wałkuje na wszystkie strony. Doszła do wniosku, że ta sama reguła stosuje się również do tak zwanych tematów wstydliwych.

- Nie daje mi spokoju pewna uwaga Granta... dotycząca kolorów. Powiedział, że Rufus miał pomarańczowe włosy. Twoje są rdzawe, a to zupełnie inny odcień. Czy mogę opisać to mamie ze wszystkimi szczegółami i spytać o jej zdanie na ten temat?

Rafe nieco się odprężył.

-Rdzawe...? Pomarańczowe...? Jaki ma sens to rozszczepianie rudego włosa na czworo...? - spytał z lekkim uśmiechem, trawestując stare powiedzonko. - Po co zawracać sobie tym głowę? Gdyby istniał konkretny dowód, byłbym od dawna wydziedziczony jako bękart. Albo nie wisiałoby nade mną przekleństwo nieprawego pochodzenia. Nie troszcz się o mnie. Żyję z tym od tylu lat i zdążyłem przywyknąć. Ale jeśli cię to dręczy, to oczywiście rób, co chcesz!

-Chciałabym usłyszeć opinię mamy. Mogę ją wtajemniczyć?

-Jak najbardziej! - odparł. - A teraz, jeśli pozwolisz, zmienię ubranie. Cuchnę jak koń i czuję się jak ryba na piasku. Zapomniałem, jak tu bywa paskudnie, kiedy słońce się skryje.

Brenna pochyliła się znów nad listem. Gdyby ktoś ją spytał o zdanie, odparłaby, że słońce tu w ogóle nie świeci. Że to kraina mgieł i duchów, i dręczących wspomnień. Jeszcze tylko jeden dzień! - powiedziała sobie na pociechę i pisała dalej w nadziei, że list ten przyczyni się do zapewnienia im jaśniejszej przyszłości.

Dzień, w którym opuścili Arrow Court, wydawał się Brennie wyjątkowo jasny, mimo że znad morza nadciągały burzowe chmury. Wiatr z zachodu rozwiał ponure mgły i odświeżył powietrze. Zbliżał się jesienny szkwał. Rodzice ostrzegli ich o grożącej burzy.

- Wobec tego nie będziemy dłużej zwlekać. Ruszamy w drogę! - odparł Rafe, odrzucając propozycję spędzenia jeszcze jednej nocy w Arrow Court. - Oberża, w której chcemy się zatrzymać, jest bardzo uczęszczana. Jeżeli przyjedziemy zbyt późno, zabraknie dla nas miejsca.

Nareszcie odjeżdżali! Brenna od razu podniosła się na duchu.

- Mam nadzieję, że dróg całkiem nie rozmyje - powiedział Rafe, zerkając przez okno powozu na niebo. - Bardzo mi przykro, że tak cię popędzałem, ale chyba i ty chciałaś jak najprędzej wyjechać.

-To nie była żadna zachcianka, tylko kwestia życia i śmierci!

-Dzięki za twą dzielną postawę i zrozumienie - powiedział z całą powagą. - Z pewnością była to dla ciebie ciężka próba. Niech to szlag! Ładny ci urządziłem miesiąc miodowy! Ale wynagrodzę ci to, zobaczysz. Dokąd chciałybyś teraz jechać? Gdzie się zatrzymać?

- Chcę być z tobą, reszta nie ma znaczenia - odparła. - Każda miejscowość, którą wybierzesz, będzie dobra.

Rafe wydawał się oszołomiony tą odpowiedzią. Po chwili podniósł rękę żony do ust.

-Dziękuję - powiedział po prostu.

20

Przed zapadnięciem nocy dotarli do zajazdu. Miał on te same zalety, co niegdyś oberża „Pod Łabędziem”.

Ich pokój był obszerny, łóżko wielgachne, a pościel czyściutka. Ściany grube, okna solidne. Ani śladu kurzu czy robactwa. Nie było również - Bogu dzięki! - żadnych złośliwych krewnych. Brenna słyszała, jak wicher sroży się na dworze, lecz płonący na kominku ogień sprawiał, że w sypialni było przytulnie. Odetchnęła z ulgą.

- Zmęczona? - spytał Rafe, podchodząc do niej od tyłu. -No to odpocznij sobie! Nie ruszymy się stąd, póki się całkiem nie wypogodzi. Ani minuty wcześniej! Nic nas już nie goni, Bren.

Skinęła głową. Faktycznie. Wybierali się do Londynu, ale nic ich nie piliło. A co potem? Cały świat, a przynajmniej ich światek, stał przed nimi otworem. Brenna skrzyżowała ręce na piersi. Nagle uświadomiła sobie, że dzieli ten pokój z niemal obcym mężczyzną, który będzie jej towarzyszył przez resztę życia. Który będzie miał prawo do jej ciała. Pragnęła, by został jej mężem, zatem ma, czego chciała. Jednak teraz, gdy podróż

się skończyła, a ona mogła wszystko spokojnie przemyśleć, okoliczności, w jakich doszło do małżeństwa, wydały jej się dziwaczne, a sama decyzja

zbyt pochopna.

- Daj spokój! - powiedział Rafe, podchodząc jeszcze bliżej i obejmując ją ramionami. - Nie zamartwiaj się! Widzę to po twoich oczach - dodał, gdy odwróciła głowę i popatrzyła na niego pytająco. - Masz takie wymowne oczy, Bren! Mogłabyś się w ogóle nie odzywać, a ja i tak wyczytałbym wszystko z twoich oczu. Tak mi się przynajmniej zdaje... Masz rację: wpadliśmy w niezłe tarapaty. Ale teraz możemy wreszcie do prowadzić to wszystko do ładu. Nie martw się. Z pewnością nam się to uda!

Brenna skinęła głową i poruszyła się niespokojnie. Natychmiast ją puścił; odsunął się w stronę okna.

- No, tak... - szepnął z rezygnacją. - Musimy wszystko zacząć od nowa. Prawda?

Stał bez ruchu i wpatrywał się w nią; w blasku ognia wyglądał jak posąg z brązu. Na jego twarzy malowało się zmęczenie i jakiś smutek, który od razu ujął Brennę - może dlatego, że mąż starał się go ukryć. Biedny Rafe! - pomyślała. Smutek to dla niego nie pierwszozna. Towarzyszy mu przez całe życie.

Jednak uczucie, które teraz w niej wzbierało, nie było litością Współczuła mu, owszem. Ale odezwały się w niej od dawna tłumione pragnienia i ciekawość. Chciała również dać Rafe'owi do zrozumienia, że pragnie być mu pomocą i pociechą, i spodziewa się, że on żywi podobne zamiary.

- Rafe - powiedziała miękko - naprawdę musimy rozpocząć wspólne życie. Nic nie szkodzi, że posłużymy się sposobem starym jak świat. Zgadzasz się ze mną?

Wpatrywał się w nią przez długą chwilę. - Jak najbardziej - odparł, ale nie poruszył się. Zdobyła się na uśmiech, choć usta jej drżały.

- Tak! - powiedziała, spuszczaając oczy. - Właśnie to miałam na myśli.

Nie umiała określić, czy jest bardziej upokorzona, czy zraniona brakiem reakcji z jego strony, gdy nadal trzymał się z dala od niej. W pokoju nie było brudno, nikt z Daltonów nie podglądał ich ani nie podsłuchiwał... Czyżby go nadal prześladował duch nieobecnej Annabelli...? A może...

Jednym skokiem przesadził dzielącą ich przestrzeń. Chwycił Brennę w ramiona i uściskał z całej siły. Roześmiał się radośnie, oczy mu rozbłysły.

- Niech to licha, Bren! Ale z ciebie szelma! A ja się boję szepnąć słówko, nie mam pojęcia, jak o tym napomknąć... Wiesz, że ze mnie żaden mówca, a na jakiś śmielszy krok też bym się nie poważył... Jakże bym mógł...? Od pierwszego spotkania wniosłem w twoje życie tylko zamęt...

Urwał i spojrzał żonie w oczy. Były szeroko otwarte, ciemne. Nie wyczytał w nich odmowy, tylko pytanie. Jej usta były rozchylone. Prześliczne, zwrócone ku niemu usta. Ucałował je, odpowiadając tym samym na pytanie Bren. I przestał się niepokoić.

Uśmiechał się, zrzucając surdut i nie odrywając oczu od żony. Kiedy biedziła się z tasiemkami przy sukni, nakrył jej dłonie swoimi.

-Nie trudź się - szepnął. - Ja się tym zajmę.

Witał pocałunkiem każdy cal jej ciała, wynurzający się z sukni, którą z niej zdejmował. Jej ręce próbowały dotrzeć do jego skóry, ukrytej pod koszulą. Ponieważ jednak miała na sobie mniej ubrania niż on, wkrótce stanęła naga w blasku ognia, podczas gdy Rafe był jeszcze w koszuli, spodniach i butach.

Więc jednak woli zostać w ubraniu! - pomyślała z żalem, próbując się osłonić rękoma. Rafe uśmiechnął się na ten spóźniony gest skromności.

- Czuję się jak niewolnica w haremie! - wymamrotała z zażenowaniem. Istotnie, wyglądała - przynajmniej w oczach męża - jak kusicielka z erotycznej opowieści o spotkaniu szczęśliwego podróżnika z perłą haremu, gdy tak stała okryta jedynie płaszczem kruczoczarnych włosów i strojna w złote odbłaski ognia. Rafe pożerał ją oczami. Strzeliste piersi o ciemnych koniuszkach, wyprężonych z powodu zimna albo... pod wpływem podniecenia. Toczona talia, wdzięcznie zaokrąglone biodra, łagodna wypukłość brzucha... jej ciało było doskonałą kompozycją zmysłowych kształtów.

Rafe pragnął jej to powiedzieć. Chciał zapewnić Brennę, że nie jest niczyją niewolnicą, że to on stał się niewolnikiem - tym pokorniejszym, że gwałtownością swych pragnień dorównywała jego namiętności. Jednakże przemożna żądza sprawiła, że język stanął mu kołkiem.

- Nie jesteś niewolnicą. To ja... - zdołał jedynie wymamrotać.

Ocknął się z zadumy i wziął żonę w objęcia. Usta poszukały jej ust, język zetknął się z językiem. Wyciągnął ręce i przygarnął Brennę do siebie. Gdy objęła go za szyję, jego nogi znów wędrować po jej ciele.

Nagle wziął Bren na ręce i zaniósł na łóżko. Pozostawił ją samą tylko na chwilę, by ściągnąć buty. Potem z okrzykiem zniecierpliwienia zrezygnował z dalszego rozbierania. Ukochana czekała na niego i wszystko wskazywało na to, że jest gotowa do miłości.

Jej usta płonęły pod naporem jego ust; reagowała gwałtownie na każde jego muśnięcie, on zaś dotykał jej wszędzie, zachwycony delikatnością jej skóry. Pragnął jej tak, że czuł dojmujący ból w całym ciele. Ale nawet ten ból wydawał mu się rozkoszny. Nie wiedzieć jak, zdążył między przypominającymi ciemne wino pocałunkami w usta a korzennym posmakiem całusów, którymi obsypywał jej piersi, zedrzeć z siebie fular, zrzucić koszulę i pozbyć się spodni.

Co chwila jednak wracał do swej uczty i rozkoszował się ciałem Brenny. Biła od niej woń egzotycznych kwiatów, słonej morskiej wody i roznamiętnionej kobiecości. Niebawem odkrył, że sekretny otwór pod ciemnym wzgórkim jest już więcej niż gotów na jego przyjęcie. Nie wierzył wprost w swoje szczęście.

Brenna okazała się dokładnie taka, jak można się było spodziewać po jej wyglądzie: żywiołowa, doświadczona, chętna, ognista. Tak ognista, że Rafe zapomniał o swoim postanowieniu działania powoli i z rozwagą. Był jak umierający z głodu, którego zaproszono na ucztę. Nie powodowała nim zachłanność, ale przewyższające wszystko pożądanie. Mógłby przysiąc, że było ono wzajemne. Odurzony zapachem i smakiem jej ciała, niewiarygodnie podniecony jej żywym odzewem, spostrzegł nagle, że nie ma już czasu na grę wstępna. Zdążył tylko westchnąć z żalu za tym, co go ominie, i zaczerpnąć gwałtownie tchu na myśl o tym, co go zaraz czeka. Nagłym szeptem uprzedził żonę, co się zbliża, i uniósł się nad nią. A potem spadł ustami na jej usta i nakrył jej ciało swoim ciałem. Nareszcie...!

Poczuł nagle, że Brenna sztywnieje pod jego ciężarem. Przegroda uniemożliwiająca mu wniknięcie do jej wnętrza ustąpiła. Nie było mowy o zatrzymaniu się, oszczędzeniu jej bólu. Rafe nie władał w tej chwili własnym ciałem. Wejście było już drożne, zanurzał się więc w niej raz po



raz. Ale upojenie, jakiego doznał, osiągnąwszy szczyt, mieszało się z przerażeniem.

Głowa opadła mu na ramię żony, jego ciało drżało z ekstazy i z trwogi. W końcu uniósł się znowu na łokciach.

-Bren... - wykrztusił na widok jej oczu patrzących nieprzytomnie po doznanym szoku. - Nie miałem pojęcia! Nie uprzedziłaś mnie! Przepraszam, po stokroć przepraszam... ale nigdy mi nie dałaś do zrozumienia... - Ujrzał łzy wypływające spod jej zamkniętych powiek. - Bren... - szepnął - ja naprawdę nie wiedziałem! Sądziłem...

-Sądziłaś, że zachowuję się odpowiednio do swego wyglądu - podsumowała matowym głosem.

Zaczerpnął gwałtownie powietrza.

-Nigdy mi nie wyjawiałaś, że jest inaczej...

Brenna nie odpowiedziała. Zdał sobie sprawę z tego, że nie miała powodu do wyjaśnień. Jedynie on, jej mąż, ponosi winę: bez powodu zważył w jej prawość. Popatrzył na ich złączone ciała. Wzdrygnął się na widok krwi. Dla żołnierza przelew krwi to zwykła sprawa. Przywykł do tego widoku. Ale to była inna krew. Krew Bren...! Nigdy dotąd sprawy seksu nie kojarzyły mu się z ranami... a powinny! Poczuł się jeszcze gorzej.

-Sprawiłem ci ból? - spytał, lękając się jej odpowiedzi.

- Nie... No, może troszkę zabolalo... - wyszeptała. Piekący z początku ból przeszedł w niewyraźne pobolewanie. Ale cierpienie Brenny nie ograniczało się do strony fizycznej.

Zamknęła oczy i odwróciła głowę, by Rafe nie dostrzegł na jej twarzy rozczarowania i bólu. Czuła oszołomienie, strach i gniew - na siebie samą. Czemu była taka pochopna, taka chętna...?

Domyślił się, co czuła.

- Tak mi przykro... Gdybym wiedział, postarałbym się ułatwić ci tę chwilę...

Okrył się szlafrokiem i pomaszerował do umywalki. Zmoczył w wodzie lniany ręcznik i bez słowa wrócił do Bren. Wziął ją tak, jak bierze się luksusową kokotę: z entuzjazmem zaspokoił potrzeby swego ciała, nie obawiając się ani oporu z jej strony, ani wyrzutów sumienia. Takie układy znał dobrze. Nieraz z nich korzystał. Ale nigdy dotąd nie miał do

czynienia z dziewczyną. Gdyby podejrzewał, że Brenna nią jest, nie zbliżyłby się do niej tak beztrąsko.

Powinienem był to przewidzieć! - myślał ze skruchą. A przynajmniej wziąć się w karby, nie ulegać namiętności ze szkodą dla rozumu. Wrodzoną zmysłowość i naturalność Bren wziął za oznakę doświadczenia. A teraz czuł się jak ostatni dureń, żaloszny niezgraba, który zniszczył bezcenny dar. Z wahaniem podał jej mokry ręcznik.

-Obmyj się tym. A może wolisz, żebym ja...?

Brenna pospiesznie usiadła na łóżku i podciągnawszy kolana pod brodę, objęła je rękoma.

- Przepraszam - powiedziała. - Narobiłam tylko zamieszania!

-Ty?! - spytał zdumiony. - Boże święty!

Odłożył ręcznik. Przysiadł obok żony i otoczył ją ramieniem.

- Nigdy nie nadawałem się do gadania. Widzę, że i z działaniem u mnie kiepsko - dodał gorzko. - Zrozum, Bren... Wyglądałaś tak cudownie, wydawałaś się taka chętna, że nawet mi przez myśl nie przeszło... Widzisz... nigdy nie miałem do czynienia z niewinną panią. Nigdy bym nie uwierzył, że któraś mogłaby zwrócić na mnie uwagę. Ale potrafię być delikatny. Naprawdę. I chcę być taki. Proszę, nie bądź na mnie zła. Nie odwracaj się całkiem ode mnie!

Zerknęła na niego spod zasłony włosów.

-Nie jestem na ciebie zła.

-A powinnaś!

Pociągnęła noskiem.

- Dużo w tym i mojej winy... Zachowałam się jak szalona, może nie...? W dodatku wszyscy myśleli, że od czasów Toma... a ja nigdy temu nie zaprzeczyłam... Tylko... nie myślałam, że to będzie bolało!

Rafe skrzywił się żalosznie.

- Następnym razem już nie zaboli. Słuchaj, Bren... może zrobilibyśmy to jeszcze raz... jak należy...?

Zerknęła na niego podejrzliwie.

- Nie w tej chwili - wycofał się pospiesznie i wstał. - Teraz się umyję. Ale sama zobaczysz: nie będzie bolało, nic a nic. Będzie ci tylko

przyjemnie. I nie zrobimy nic, póki sama nie ze chcesz. Przysięgam!

Zanim wrócił do niej, Brenna zdążyła się umyć. Włożyła nocną koszulkę i zaszyła się znów w pościeli.

Rafe zrzucił z siebie szlafrok, wślizgnął się pod kołdrę i wziął żonę w objęcia. Oparła głowę na jego piersi. Gdy dotknęła policzkiem nagiego ciała, podnieciło ją to i zasmuciło zarazem. Więc jednak - pomyślała z odrobiną satysfakcji - sypia nago! Dobrze i to! Po tak wielkich oczekiwaniach przeżyła niewiele radości... Mogła się pochwalić tylko tym, że dała mu rozkosz... A co z nią...? Wstępne pieszczoty były bardzo podniecające, ale to, co po nich nastąpiło, okazało się niemal aktem przemocy. A już z pewnością nie było w tym nic przyjemnego...! Nic dziwnego, że mężczyźni muszą uganiać się za kobietami, jeśli chcą od nich takich rzeczy... I nic dziwnego, że kobiety zmuszają ich do ożenku, nim pozwolą tak się sponiewierać.... Użaliła się nad swoją dolą, ale szybko się opanowała. Rafe objął ją mocniej.

Pachniał dymem z ogniska i mydłem do golenia. Jego jedwabiste włosy łaskotały jej ucho. Ból, który jej sprawił, prawie już minął. Czuła tylko nieznaczne pobolewanie i jakieś dziwne pulsowanie, które nie było właściwie bólem. Nasiliło się, gdy uświadomiła sobie bliskość Rafe'a. Przesunęła nieco głowę i usłyszała przyspieszone bicie jego serca. Dotknęła ręką piersi w miejscu, gdzie tętniło. Ciało Rafe'a zareagowało gwałtownie.

-Twoje serce tak mocno bije... - szepnęła niewyraźnie.

- To dla ciebie - odpowiedział równie cicho; poczuła gorący dotyk jego ręki na plecach. - Biję tylko dla ciebie. Nie bój się niczego. Śpij!

Brenna nie mogła jednak zasnąć, gdy mąż był tak blisko niej i ani myślał o śnie.

-Bren...?

Podniosła głowę i spojrzała na niego.

- Pamiętaj: ty tu jesteś generałem. Ja tylko stoję na baczność - szepnął cichutko.

Zrobiła wielkie oczy.

Rafe uświadomił sobie dwuznaczność tych słów i przeklął swój

niezdarny ozór. To nie była pora na tłuste żarciki...! Ale chyba Bren nie zrozumie tego drugiego, ordynarnego znaczenia...? Bał się poruszyć, by nie uświadomiła sobie, jak dalece jego słowa odpowiadały prawdzie.

- Czyżby...? - zachichotała. Zerknęła, gdzie nie trzeba, przytuliła znów główkę do jego piersi i wykrztusiła między jednym a drugim zduszonym śmiechem: - Ojej...! Naprawdę!

Teraz on był wyraźnie zaskoczony.

-Można powiedzieć, że chowałam się przy wojsku - wyjaśniła, uśmiechając się. - Słyszałam już nie takie rzeczy!

-Ach, ty szelmo! - powiedział, czule głaszcząc ją po plecach. Poczuł ogromną ulgę, że mogła nawet teraz śmiać się i przekomarzać z nim. - Wcale nie to miałem na myśli!

-Doprawdy...?

Gładząca ją ręka znieruchomiła.

-A gdyby tak było... nie czułabyś się urażona?

-Skąd! To mi pochlebia.

-I troszkę intryguje? - spytał i wstrzymał dech.

Brenna zastanowiła się. Przecież wszystkie kobiety nie mogą być aż takie głupie, żeby znosić ból wyłącznie dla męskiej satysfakcji?! Z drugiej strony, może lepiej wstrzymać się z tym do jutra...? Ale Rafe znajdował się tak blisko i był taki kochany... A poza tym im dłużej będzie czekać, tym więcej będzie się denerwowała... a Rafe może źle zrozumieć jej wahanie. I mama zawsze powtarzała: „Niech księżyc nigdy nie zachodzi nad małżeńską sprzeczką!” Ściśle rzecz biorąc, nie była to małżeńska sprzeczka... ale zawsze nieporozumienie. Tylko czy o to jej chodziło...? Była ciekawa, i już! Tylu rzeczy nie rozumiała, a Rafe obiecywał, że będzie znacznie więcej przyjemności... sama jego bliskość zdawała się je zapowiadać. I nigdy jeszcze jej nie okłamał! To przekonało Brennę ostatecznie.

Koniec jej warkocza połaskotał pierś męża, gdy skinęła głową, wyrażając zgodę. Rafe pochwycił jedwabisty warkocz i rozplótł go. Gęste włosy okryły go jak zasłona. Czuł na skórze ich chłodny dotyk, wdychał ich zapach...

- Bren... - spytał - czy pozwolisz mi zrobić to tak, jak powinienem uczynić wcześniej? Powoli, ostrożnie...

Z trudem przełknęła ślinę. Potem skinęła głową.

-Bardzo chętnie.

-Zobaczysz, że ci się spodoba - zapewnił ją.

Tym razem nie nalegał, by zdjęła koszulę. Dopiero gdy sama Bren zapragnęła się jej pozbyć, dopomógł jej. Okrywającą ich kołdrę odrzucił, gdy pocałunki i uściski rozpały ich do czerwoności. Poprzednim razem wszystko docierało do Brenny jak przez mgłę. Teraz widziała swego męża wyraźnie i rozkoszowała się jego widokiem. Wiedziała już wcześniej, że jest wysoki i zgrabny; w modnym obcisłym ubraniu trudno było ukryć mankamenty figury. Nie miała jednak pojęcia, że Rafe ma taką gładką skórę, tak muskularne ciało...

Spostrzegł, w jakim kierunku spogląda i jaka jest zdumiona. Był rozbawiony i uradowany. Potem zauważył, że zmieszała się i odwróciła wzrok.

- Nic na to nie poradzę - wyjaśnił szeptem. - Takie już jest to męskie ciało. Okazuje, jak bardzo jesteś godna pożądania. Bóg świadkiem, że myślę o tobie to samo!

-A ja o tobie... - odparła równie cicho i tym razem spojrzała na niego bez skrepowania.

Była zafascynowana jego nagością. Ale wyraz jej twarzy uległ zmianie, gdy Rafe uniósł się, by wziąć ją w objęcia.

- Och...! - krzyknęła mimo woli na widok jego okaleczonego ramienia.

Cofnął się natychmiast, jakby dalsze pieszczoty były nie do pomyślenia.

-Tak, to paskudne. Bardzo przepraszam!

Brenna nie mogła zaprzeczyć, że był to przykry widok i zaskakujący kontrast z doskonałością reszty ciała. Niekształtny splot grubych blizn, ślady pospiesznych ściągów wykonanych niezdarną ręką, mięśnie zdeformowane przez straszliwe cięcie, które omal nie pozbawiło go ramienia. Ale najbardziej zaboląły ją gorzkie, upokarzające przeprosiny Rafe'a.

- Za co mnie przepraszasz? - spytała, dotykając wybrzuszenia zbliznowaczonej tkanki. - Widywałam już gorsze rzeczy. Powinieneś zobaczyć nogę Erica: pozszywana jak stary siennik. W porównaniu z tamtymi te szwy to brabantkie koronki!

Mąż spoglądał na nią w najwyższym zdumieniu.

-Mój Boże! - powiedziała ze smutkiem. - Miałam do ciebie pretensje, żeś nie domyślił się, jaka ze mnie przyzwoita panienka... Ale kto by pomyślał, że dziewczica przyznaje bez ogródek, iż widziała nagich mężczyzn, i rozprawia fachowo o ich defektach, jak włócząca się za wojskiem markietanka?!

-Zawsze miałem słabość do markietanek - szepnął z ustami wtulonymi w jej szyję. - Zgodzisz się zostać moją osobistą markietanką...?

Brenna roześmiała się. Leżała na plecach, tak jak ją delikatnie położył. Westchnęła, gdy wargi Rafe'a dotknęły jej piersi. Te pieszczoty były naprawdę cudowne! Nagle wygięła plecy w łuk i wydała zdławiony jęk. Jego usta sunęły powoli w dół jej brzucha, pozostawiając za sobą ognistą ścieżkę. Bren była nieco zawstydzona, ale i urzeczona dziwnym mrowieniem, jakie wywoływała ta pieszczota. To nie było zabawne... to przekraczało granice jej wyobraźni... Tak dalece, że nie zgadła, do czego prowadzi ta podniecająca wędrówka jego warg. Skonsternowana zeszytniała i zwarła raptownie nogi.

Rafe oderwał się od niej. Nie było to łatwe. Z trudem uniósł głowę; był niesłychanie podniecony. Miewał w przeszłości kochanki. Dzielił z nimi rozkosz. Znał dobrze kobiece gusta -i z własnego doświadczenia, i z zasłyszanych opowieści. A teraz pragnął dać jak najwięcej rozkoszy tej cudownej, egzotycznej, namiętnej kobiecie - swojej żonie. Ale nigdy dotąd nie uczył miłości. Rozum podpowiadał mu, że powinien być ostrożny... Ale co rozum ma do gadania w takiej sytuacji?!

- Nie bój się - powiedział zdławionym głosem. - Podaruj mi tylko jedną minutę, dobrze...? Jeśli minie, a tobie nadal nie będzie się to podobało, dam temu spokój. Ale myślę, że sprawię ci przyjemność... jeśli mi na to pozwolisz.

Brenna zastanowiła się.

Wiedział już, że wygrał sprawę.

Ucałował ją w usta, zanim zdążyła odpowiedzieć. Kiedy poczuł, że odprężyła się, podjął znów nieubłaganą, niewiarygodną, rozkoszną wędrówkę ognistym szlakiem. Brenna nie próbowała go powstrzymać. Nie miała najmniejszego zamiaru. Pragnęła już tylko jednego: żeby pieszczoty Rafe'a nigdy się nie skończyły.

Mieli więc wreszcie swój miodowy miesiąc i rozkoszowali się nim.

Brenna pokochała prostotę słów Rafe'a i bogactwo jego pieśzcot. Zachwycała się łagodnością i cierpliwością męża, ale równie fascynowały ją chwile, gdy cierpliwość szła w ką, a jej miejsce zajmowała namiętność, wiodąca do ekstazy. Wszystko to, co czynili wspólnie, było cudowne - a najcudowniejsze było to, że przeżywali to z takim samym entuzjazmem.

Wiele nauczyła się od Rafe'a. Pokazał jej, jak sprawiać rozkosz i równocześnie doznawać jej. Zachwycał się tym, że Bren nie ma w sobie ani krzty fałszywej skromności, że akceptuje jako coś naturalnego zarówno własne, jak i jego pragnienia. Brenna dowiodła mu, że nieskrępowana, szczerza w swej zmysłowości, hojna wobec kochanka kobieta może przekształcić akt miłosny z urzekającej rozrywki w szczęście doskonałe... albo coś bardzo zbliżonego do tej nieosiągalnej wspaniałości

Byli w najwyższym stopniu zachwyceni sobą nawzajem i zadowoleni z siebie. Dla obojga ów miodowy miesiąc okazał się ucieleśnieniem marzeń. Nie trwał jednak zbyt długo.

Brennę nawiedziła jej miesięczna przypadłość. Po raz pierwszy od przybycia do zajazdu spędziła cały dzień w łóżku, mając do towarzystwa tylko butelkę z gorącą wodą, która spoczywała na jej brzuchu - nędzna namiastka ciepłej ręki Rafe'a. On zaś wybrał się na konną przejażdżkę, by zapewnić żonie spokojny wypoczynek. Choć znajdowali się daleko od siebie, ich myśli biegły tym samym, niespokojnym torem. Wiedzieli, że muszą wrócić do realnego świata, od którego zdołali uciec. Prędzej czy później muszą opuścić zacisze, w którym przeżywali swoją idyllę. Nadejdzie pora budowania wspólnego życia, stawienia czoła plotkom, ustalenia własnej pozycji w świecie. Zdołali poznać się nawzajem i nawiązać doskonałe porozumienie... ale dotyczyło to jedynie sfery zmysłów i namiętności. Nie mieli dotąd czasu na poznanie całkowite. Prawdę mówiąc, zostało im wiele do nauczenia się i wiele do zrobienia.

-Jak tylko poczujesz się lepiej - odpowiedział Rafe kilka dni później na pytanie żony, kiedy wrócą do Londynu.

-Czuję się znakomicie! Prawie się już skończyło - odparła i zarumieniła się.

-Ciekawe, o czym ty mówisz? - spytał, uśmiechając się od ucha do ucha.

-Dobrze wiesz, co mam na myśli! Będzie mi brak tego miłego zacisza - przyznała z żalem, rozglądając się po pokoju, w którym przeżyli tyle cudownych chwil.

-Zabierzemy ze sobą to, co najważniejsze.

-To znaczy łóżko?! - spytała, udając przerażenie.

-Jeśli sobie tego życzysz - odparł rozbawiony Rafe. - Czegóż bym dla ciebie nie zrobił, moja rozpustna żoneczko?

-Nie podoba ci się to? - spytała. - Rzeczywiście, chyba się nie zachowuję jak dama.

-Nie pleć głupstw! Jesteś niezrównana. Jeszcze ci za mało komplementów?

Brenna roześmiała się. Rafe nie szczędził jej pochwał. Jak na takiego milczka był niezwykle wymowny w chwilach miłosnych uniesień. Kiedy jednak Rafe zszedł na dół, by znaleźć

Pecka i ustalić z nim termin wyjazdu, uśmiech znikł z twarzy Brenny. Przypominając sobie mężowskie komplementy, odkryła, że wszystkie jego pochwały odnosiły się do jej piersi i brzucha, jej ust i tyłeczka oraz innych szczegółów anatomii, które przypadły mu do gustu. Chwalił ją również za to, że nie była w miłości egoistką: pragnęła nie tylko odczuwać, ale i dawać rozkosz; chciała poznać bliżej ciało męża i jego reakcje.

Pochwały Rafe'a były szczerze. Ale nie takie, jakie najbardziej chciałyby usłyszeć. Nigdy nie zapewniał jej o swojej miłości (nie licząc banalnych pieścizotliwych zwrotów towarzyszących ich rozkoszonym igraszkom). Nie była wcale pewna, czy kiedykolwiek usłyszy z ust Rafe'a miłosne wyznanie. W gruncie rzeczy odzywał się rzadko i mówił prosto. Odsunęła od siebie jałowe pragnienia. Była zbyt zachłanna: chciałyby mieć wszystko! Jeśli sobie życzyła peanów pochwalnych, trzeba było wyjść za poetę! Ale wyszła za Rafe'a. Zawarli obustronnie korzystną umowę i zrobili dobry początek.

Ręce Brenny znieruchomiały na powierzchni walizy, którą miała właśnie otworzyć. Korzystna umowa i dobry początek? Przecież nie o to chodziło! Kogo chciała oszukać? Była zachwycona, mogąc poślubić Rafe'a, i przekonana, że kocha go nad życie. Co ona wtedy wiedziała o miłości...? Dopiero teraz mogła powiedzieć bez przesady, że jest w nim zakochana



do szaleństwa. Lepiej, żeby o tym nie wiedział, przynajmniej do chwili, gdy pokocha ją równie mocno... Brenna przygryzła wargę. To był przecież Rafe -milczek! Postanowiła więc, że jeśli nie usłyszy z jego ust podobnego wyznania, nie będzie się przed nim wywnętrzać... o ile nie natknie się na wyraźne dowody tego, że i on jest bliski miłosnego szaleństwa.

To ostatnie określenie skierowało myśli Bren w stronę Londynu i londyńskiego sezonu.

I uznanej londyńskiej piękności, w której Rafe był zakochany i z którą chciał się ożenić.

Ranek był dżdżysty. Lady Annabella piła w sypialni gorzką czekoladę i przerzucała najnowszą prasę. Ojciec - jak zawsze -przed wyjściem do klubu zostawił jej przeczytaną gazetę.

Wielbiciele hrabianki z rozkoszą karmili ją najświeższymi ploteczkami. Nikt tak jak ona nie potrafił okazać swego zainteresowania ani podziwu dla „wtajemniczonego” narratora. Prawdę mówiąc, Annabella zdecydowanie wolała informacje z pierwszej ręki; interesowały ją zresztą nie tylko plotki. Odstawiała właśnie pustą filiżankę na tacę, kiedy rzuciło się jej w oczy niewielkie ogłoszenie na stronie poświęconej wydarzeniom towarzyskim. Panna Wylde zbladła.

-Czy coś się stało, milady? - spytała pokojówka, widząc ból na twarzy swojej pani. - Ktoś umarł...?

-Nie, nie... Choć, w pewnym sensie, tak... Nieważne! - wymamrotała Annabella. - Przygotuj dla mnie jakąś jasną suknię -poleciła z niejakim roztargnieniem. - Zapowiada się ponury dzień!

Dzień zapowiadał się nie tylko ponury, ale wręcz koszmarny! On się naprawdę ożenił z tą kreaturą! Lord Dalton poślubił tę intrygantkę, podłą kłamczuchę, która usidliła go podstępem!

Annabella zamknęła oczy z bólu. Cierpienie było tym dotkliwsze, że uświadomiła sobie, iż skłonić go do tego ożenku mogło tylko poczucie honoru. Nie wierzyła, by Rafe naprawdę skompromitował tę dziewczuchę. A zatem zmusiły go do tego plotki, które właśnie ona, Annabella, rozsiewała po Londynie.

Panna Wylde nie miała zwyczaju obwiniać samej siebie. To, że jej wina była teraz oczywista, zabolowało ją bardziej niż zdrada Daltona. Zdrada?

Rafe nie składał jej żadnych przysięg. A ona nie była wcale pewna, czy za niego wyjdzie. Rozważała jednak jego zalety i wady; widziała w nim potencjalnego małżonka... a teraz był dla niej stracony na zawsze. Dostał się w szpony innej kobiety, która się nawet do niej nie umywała! Co tamta i inne niegodne takiego losu szczęściary mają w sobie, czego ona nie posiada...? Jakże znają sztuczki, o których ona nie ma pojęcia?

- Co się stało, Annabello? - spytała matka, wchodząc spiesznie do pokoju córki. - Czy zdarzyło się jakieś nieszczęście?

Twoja pokojówka twierdzi, że omal nie zemdliałaś. Czyżby ktoś umarł...?

- Co za głupstwa, mateńko! - Annabella roześmiała się z przymusem. - Nic złego się nie stało. Po prostu czytałam ogłoszenia towarzyskie. O narodzinach, zgonach, małżeństwach i tak dalej. I znalazłam coś zabawnego. Zobacz sama! - powiedziała ze sztuczną obojętnością. - Dalton naprawdę ożenił się z tą ladacznicą!

Hrabina wzięła do ręki gazetę i odnalazła wspomnianą notatkę. Równocześnie biła się z myślami. Ogromnie współczuła córce, rozumiała jej ból... i wiedziała, że absolutnie nie powinna o tym wspominać.

-Ależ im się spieszyło! - powiedziała lekkim tonem. - No, cóż: „Każdy musi, kiedy diabeł kusi!”, jak powiadają. Dalton szalał za tobą, nie ulega wątpliwości. Zapewne syn i spadkobierca jest już w drodze. Albo ta kreatura okłamała go i pod tym względem.

-Bardzo w to wątpię. Dalton nigdy by tak nie postąpił. To człowiek honoru! - zaprotestowała Annabella.

-Człowiek honoru? - powtórzyła drwiąco hrabina. - To przede wszystkim mężczyzna! Żaden z nich, nawet z tych najlepszych, nie odmówi, jak dają! Ta ladacznica skusiła go. Cóż mógł na to poradzić, biedaczek...? To ona jest wszystkiemu winna! To jej brak sumienia i honoru!

To brzmi całkiem sensownie - myślała Annabella. Zresztą, zbyt bolesne byłoby rozważanie własnej winy. Po cóż zadręczać się myślą, że sama spowodowała tę tragedię?! Gniew, uraza, poczucie winy i absolutnej bezradności sprawiły, że Annabella przyjęła z wdzięcznością wyjaśnienie matki.

-Biedaczek - mruknęła pod nosem. - Tak się dał oszukać! Ale co nam z tego, że wiemy, jak wygląda prawda? Co się stało, to się nie odstanie!

-Niezupenie! - sprzeciwiła się lady Wylde. - Postaramy się, żeby jej to nie uszło na sucho!

-Co ty mówisz, mamó? - Annabella roześmiała się nerwowo. - Chcesz ją wyzwać na pojedynek? Albo najać jakiegoś zbira, żeby ją zgładził?

Bądźże rozsądna! Ta... ta wszetecznicą to

chytra sztuka. Opętała takiego porządnego człowieka! Dla niego to oczywiście tragedia, ale cóż my na to możemy poradzić...?

- Możemy wyjawic całemu światu prawdę! - oświadczyła matka. - Żeby nie było dla niej miejsca w dobrym towarzystwie! Zależało jej pewnie na jego tytule i pozycji. Kto wie, czyje to dziecko, jeśli rzeczywiście spodziewa się dziecka ta... ta wszetecznicą obijająca się po całym świecie!

Annabella była jak ogłuszona. Podobne rozwiązanie nawet jej nie przyszło do głowy. Biedny Rafe! - pomyślała z wyraźną przyjemnością.

- Przecież oni wyjechali na wieś! - zaproponowała żywo. - Niewiele ich obchodzi, co się o nich mówi w mieście.

-Prędzej czy później wrócą do Londynu.

Annabella przemyślała sprawę.

-Biedny Rafe! - powiedziała raz jeszcze, tym razem na głos, z ogromną ulgą. Może teraz rozprawiać, ile zechce o staraniach lorda Daltona o jej rękę. O zalotach udaremnionych przez tę nędznicę. Teraz nie zabrzmiałoby to jak przyznanie się do kolejnej porażki. Raczej jak bojowa surma, wzywająca na wyprawę krzyżową, do boju z wysłanniczką piekieł!

21

-To jedna z najpiękniejszych ulic w całym Londynie! -oświadczył z dumą pośrednik kupna i sprzedaży nieruchomości, podczas gdy Brenna rozglądała się po salonie oferowanego domu.

-Możliwe - odparła posępnie, mierząc okiem małe okienka i niski sufit. - Ale nie będziemy mieszkać na ulicy. Choć tam byłoby chyba lepiej niż tu. Przynajmniej nie brakowałoby światła!

-Mroczno tu jak w jaskini! - przytaknął Rafe. - Może nam pan pokazać coś lepiej oświetlonego?

-Po południu ten pokój tonie w słońcu - zapewnił spieszenie pośrednik. - A

teraz mamy ranek.

-Ale ciasno tu będzie o każdej porze - stwierdziła Brenna. -Wiesz przecież - zwróciła się do męża - że nie musimy się nigdzie przeprowadzać! W twoim domu będzie nam bardzo wygodnie.

-Już mi to mówiłaś - odparł. - Jeśli się jednak zakłada rodzinę, trzeba dla niej znaleźć odpowiedni dom!

Brenna zarumieniła się. Byli małżeństwem od niedawna, lecz elementarna znajomość praw przyrody wystarczała, by przyznać Rafe'owi słuszność. Jeśli dodać do tego ich niesłabnący fizyczny pociąg... Ale ten dom nie przypadł jej wcale do gustu.

-...A poza tym - uparcie obstawała przy swoim - nie mielibyśmy tu wcale więcej miejsca niż dotąd! Co prawda jest więcej sypialń, ale wszystkie pomieszczenia są zbyt ciasne. Ten pokój powinien być o wiele większy i...

-I ogólnie rzecz biorąc, dom nam nie odpowiada - oświadczył pośrednikowi Rafe. - Może nam pan zaprezentować coś innego?

-Jest jeszcze uroczy dom z widokiem na park - oznajmił pośrednik tonem zachęty. - Będą państwo zachwyceni.

-Bardzo wątpię - odparował Dalton. - Dobry widok na park oznacza przede wszystkim widok na tłumy spacerowiczów.

-Żeby temu zapobiec, w ogrodzie specjalnie posadzono ozdobne krzewy - perswadował pośrednik. - Z okien frontowych nie będą państwo widzieli nic prócz zieleni.

-I nie będziemy słyszeli nic prócz turkotu powozów, dudnienia wozów dostawczych i tętentu kopyt. Mowy nie ma! -oświadczył Rafe. - Poszukajmy lepiej innej firmy oferującej ciekawszy wybór nieruchomości... i orientującej się w Londynie przynajmniej tak dobrze jak ja.

-Jest jeszcze niezwykle wytworna rezydencja położona przy skwerze - zaproponował pospiesznie pośrednik. - Niedaleko stąd, tylko dwie przecznice dalej.

Rafe zawahał się. Przy wspomnianym skwerze mieszkała lady Annabella. Ale była to jedna z najelegantszych dzielnic stolicy. Mimo ogromu miasta liczący się dla elity towarzyskiej Londyn był doprawdy niewielki. Gdyby chciał za wszelką cenę uniknąć kontaktów z panną Wylde, powinien na stałe przenieść się na wieś. I Brenna musiałaby się obejść bez wielkomej-

skiego komfortu i udogodnień. Z jakiej racji miałby tak krzywdzić żonę?!

Brenna i pośrednik czekali na jego decyzję. Rafe skinął głową.

-Dobrze, obejrzymy ten dom. Kiedy możemy to zrobić?

- Może dziś po południu? Po lunchu? - zaproponował pośrednik.

-Proszę o adres. Spotkamy się na miejscu - zdecydował Rafe.

-To jest z pewnością najlepsze, co ma nam do zaoferowania - wyjaśnił żonie, gdy po odejściu pośrednika przechadzali się wolnym krokiem po ulicy. - Trzecia propozycja, którą przedstawia klientowi agent od nieruchomości, jest zazwyczaj tą, na której opiera swe nadzieje. Najpierw proponuje coś tak nieciekawego, że potencjalnemu nabywcy ręce opadają. Druga oferta lepiej odpowiada jego wymaganiom. Trzecia zaś spełnia wszelkie oczekiwania klienta. I kosztuje znacznie więcej niż poprzednie. Taka taktyka opłaca się nie tylko w handlu nieruchomościami. Coś mi się zdaje, że dziś po południu zawrzemy znajomość z naszym nowym domem.

- Ale po co robić sobie tyle kłopotu? - spytała Brenna. - Mówiłam ci przecież, że - jeśli chodzi o mnie - nie jest to wcale potrzebne... a przynajmniej jeszcze nie teraz. Będę bardzo szczęśliwa w twoim mieszkaniu.

- Zaslugujesz na coś lepszego niż moja kawalerska siedziba.

- Nie chciałabym narażać cię na niepotrzebne wydatki...

Dalton zatrzymał się i spojrzał na żonę; na jego twarzy malowało się zdumienie.

- Przecież już mnie narażasz! - oświadczył. - Dwa jajka na śniadanie, a do tego jeszcze maślana bułka! Kto to widział takie zbytki?! Pójdę przez ciebie z torbami, zobaczysz! - Brenna uśmiechnęła się. Nakrył dłonią jej rękę leżącą na jego rękawie i ruszyli dalej. - Nie brakuje mi pieniędzy, Bren - powiedział już całkiem serio. - I lubię je inwestować w coś, co się naprawdę liczy: twoje i moje szczęście; naszą wspólną przyszłość.

Dzień był chłodny, lecz słońce świeciło jasno. Nigdzie jednak nie było cieplej i jaśniej niż w sercu Brenny. Rafe poślubił ją, gdyż honor tego wymagał. Mimo to ani razu od dnia ślubu nie wypomniał jej tego i

traktował ją zawsze z szacunkiem i życzliwie. Ona zaś w cichości ducha marzyła, że pewnego dnia jej mąż dojdzie do wniosku, że to, co uważał za przekleństwo losu, było w rzeczywistości błogosławieństwem. Dla niej związek z Rafe'em od początku był prawdziwym darem losu!

Wszystkie cechy męża budziły jej zachwyt: niezwykły kolor włosów, żołnierska postawa, żywa inteligencja. Innym kobietom mógł się wydawać szorstki, ale Brenna знаła wielu żołnierzy i wiedziała, że jego szorstkość była jedynie fasadą, za którą kryła się wrażliwość i czułość. Ubolewała nad tym, że Rafe ma o sobie zbyt niskie mniemanie, ale odkryła, że owocem tego poczucia niższości była niezmienna życzliwość i wyrozumiałość dla innych. Zachwycał ją również jako mąż-kochanek, który wtajemniczał ją w arkania miłości i zawsze okazywał jej najwyższe względy.

Jeśli nawet w przeszłości kochał inną kobietę, nie dostrzegała żadnych niepokojących śladów tamtego uczucia. Rafe nie był skryty; widocznie udało się jej pozyskać go całkowicie! Uśmiechnęła się do męża - dumna, triumfująca, niewiarygodnie szczęśliwa.

Dziś prezentował się - jej zdaniem - wyjątkowo elegancko. Było chłodno, ale jej gorącokrwisty mąż bardzo rzadko wkładał płaszcz lub pelerynę. Miał na sobie granatowy surdut, kamizelkę w szaroniebieskie paski i beżowe spodnie do kolan. Na głowie zaś wysoki cylinder.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności strój Brenny pasował idealnie do ubioru męża. Włożyła dziś suknię w kolorze barwinku i granatową pelerynę. Na beżowym kapelusiku sterczało zawadiacko błękitne piórko. Być może Peck wybrał garderobę dla swego pana, zapoznawszy się uprzednio ze strojem pani. Bren wyszykowała się pierwsza.

Wszystkim wiadomo, że elegancka dama korzysta z usług pokojówki. Brenna nie miała jednak pretensji do elegancji ani chęci posiadania wielu służących. Z Peckiem sprawa przedstawiała się całkiem inaczej: był nie tylko osobistym lokajem Rafe'a, ale również jego dawnym towarzyszem broni. A poza tym wzorem dyskrecji!

- Kogo ja widzę?! - rozległ się donośny głos, przerywając jej rozmyślenia. - Rafe! I lady Brenna!

Wysoki, ciemnowłosy mężczyzna o pociągłej, inteligentnej twarzy i wydatnym nosie, zbliżał się do nich wielkimi krokami.

- Drum! - zawołał rozradowany Dalton. - Co za miłe spotkanie!

Przyjaciele uścisnęli sobie ręce. Brenna wdzięcznie dygnęła. Hrabia ujął jej dłoń i przyjrzał się bacznie młodej mężatce. Jego lazururowe oczy zaślniły.

-Małżeństwo wyraźnie pani służy, milady! - stwierdził z zadowoleniem. - Powiedziałbym, że jeszcze pani wypiękniała, gdyby to było możliwe. Aż łuna od pani bije. A ten łotr ma autentycznie wesołą minę! Ledwie go poznałem.

-Może powinieneś sprawić sobie okulary? - podsunął Rafe. -Jeden rzut oka na moją czuprynę powinien rozwiać wszelkie wątpliwości. Stan ducha nie wpływa na kolor włosów. Ale masz rację: jestem szczęśliwy. To zasługa pewnej niezwyklej damy. Mojej żony.

Spojrzał czule na Brennę i opamiętał się dopiero wówczas, gdy dostrzegł, jak na twarzy Druma wykwita coraz szerszy uśmiech.

- Nie masz pojęcia, ile przez nią muszę wycierpieć! - poskarżył się przyjacielowi. - Skąpa jak wiejski proboszcz! Wymagająca jak przeorysza! Nie chce się wynieść z mojej kawalerskiej siedziby, bo - jak powiada - przysporzyłaby mi tym kłopotu. Dziś musiałem siłą wyciągać ją z domu, żeby obejrzała kilka mieszkań, które nam proponują... No właśnie! Z nieba mi spadasz,

Drum! Wiem, że się na tym znasz. Chcę, żeby Bren miała dom, z którego mogłaby być dumna. Znam się trochę na dekoracji wnętrz, ale nie mam pojęcia, które dzielnice są „w dobrym tonie” i przypuszczalnie przez dłuższy czas będą cieszyć się uznaniem. Powiedz przede wszystkim, gdzie w żadnym wypadku nie możemy się osiedlić!

-Widzi pani? Już wyłazi z niego pesymista! - zwrócił się do Brenny hrabia. - Nie pyta, co warto obejrzeć, tylko przed czym uciekać...! Ale pani jeszcze zrobi z niego normalnego człowieka. Jest pani stworzona do tej misji. Dzięki pani nauczył się już śmiać. Teraz musi mu pani wbić do głowy, że w życiu czasem się zdarza coś dobrego. Nawet w jego ż y c i u! A co się tyczy dzielnic „w dobrym tonie”, to jedną macie przed nosem. Jeszcze wytworniej jest w pobliżu skweru... a równocześnie bardzo uczęszczanej promenady, ale nie za blisko. Można liczyć na nieco prywatności i spokoju.

- Tak właśnie przypuszczałem - rzekł Rafe, kiwając głową. - Wybieramy się tam na oględziny po lunchu. Dotrzymasz nam towarzystwa?

Drum zawahał się.

- Nie gruchamy do siebie i nie obściskujemy się publicznie, słowo daję! - zapewnił go Rafe. - Jesteśmy starą, stateczną parą małżeńską. To już prawie trzy tygodnie...! No, dwadzieścia dni i nocy mamy za sobą. Nie zrobimy też nikomu wstydu w towarzystwie. Chyba że Bren coś strzeli do głowy i rzuci się na mnie. Czasem jej się to zdarza, żebyś wiedział! Przygląda mi się z niewinną minką... i masz! Coś jej eksploduje w mózgu czy gdzie tam, i atakuje mnie jak furia...! Niestychanie krępujące.

Brenna udała oburzoną i próbowała wyrwać rękę z jego uścisku. Jej pewność siebie wzrosła jeszcze bardziej. Rafe liczył dni ich małżeństwa tak samo jak ona!

- Owszem, wybiorę się razem z wami - obiecał hrabia - o ile twoja małżonka przysięgnie, że będzie się zachowywała przyzwoicie. Jestem ogromnie wstydlivy z natury. Opowiem wam najświeższe londyńskie nowinki, a wy mi zdacie sprawozdanie ze swych podróży.

- Pojechaliśmy do moich rodziców - poinformował Rafe bez uśmiechu. - Do Arrow Court. Ale nie wytrzymaliśmy tam dłużej niż trzy dni.

Drummond zrównał się z przyjacielem i szli teraz obok siebie. Z twarzy hrabiego również znikł uśmiech.

- No, cóż... Można się było tego domyślić - powiedział z zadumą w głosie.

- Zaprowadziłem Bren do Gryfa - oznajmił Rafe.

- To stały rytuał - wyjaśnił Brermie Drum. - Miałem zaszczyt zawrzeć znajomość z Gryfem, gdy Rafe zabrał mnie do Arrow Court podczas szkolnych wakacji. Gryf równocześnie przerażał mnie i fascynował... Dla Rafe'a był zawsze wzorem i natchnieniem.

- Fatalnie się złożyło - stwierdziła Brenna. - Gdyby nie on, Rafe obrałby zapewne drugą drogę kariery dostępną dla młodszych synów... Zapatrzony w swego wojowniczego przodka machnął ręką na stan duchowny... A pomyśleć tylko, jakim wzorowym byłby proboszczem: taki skromny, taki pokojowo nastawiony, taki łagodny...! Kto wie? Może by go nawet zrobili biskupem...?



Roześmiali się wszyscy troje. A potem żartowali już przez cały czas. Hrabia Drummond należał do najstarszych przyjaciół Rafe'a. Brenna była zachwycona łatwością, z jaką wyciągał jej męża na wspominki. Podczas wspólnego lunchu dowiedziała się więcej o jego przeszłości niż przez te wszystkie szczęśliwe dni od wyjazdu z Arrow Court. Jej mąż nie lubił mówić o sobie, ale jego przyjaciel wiedział, jak go do tego sprowokować.

-Spotkaliśmy się w szkole - opowiadał hrabia. - I prawdę mówiąc, różniliśmy się pod każdym względem. Ja tęskniłem rozpaczliwie za domem i uważałem pobyt w szkole za oburzająco niesprawiedliwe wygnanie. Rafe był zachwycony, że może być w szkole, a nie w domu. Znaleźliśmy jednak wspólną ideę przewodnią i wspólne pole działania.

-Psie figle - roześmiał się Rafe. - Czyli nękanie tyranów dla uciechy uciemienionych. Ależ ten smarkacz miał pomysły...! Jak tylko zaczęliśmy rozrabiać, poczuł się jak ryba w wodzie. A jak się znajdzie jakieś zajęcie, to na rozpacz nie ma czasu.

-A ten ancymonek - odwzajemnił się Drum - nie potrafił się oprzeć żadnemu wyzwaniu! Czy głupsze, czy mądrzejsze... Jemu zawdzięczam moje wysokie loty.

Mimo najszczerzych chęci Brenna niewiele się dowiedziała na temat rodziny hrabiego i środowiska, z którego pochodził. Teraz już nie wątpiła, że był prawdziwym asem wywiadu. Dobrze wiedział, jak dowcipnym słówkiem, zręcznym pytaniem czy jakimś fortelem zmienić bieg rozmowy zahaczającej o jego prywatne sprawy. Ale mimo że hrabia Drummond był postacią zagadkową, Bren widziała wyraźnie, jak bardzo Rafe go ceni. To wystarczyło w zupełności, by i ona go zaakceptowała. Do chwili gdy wybrali się na oględziny trzeciego domu, Drum zachowywał się tak skandalicznie, że z przyjemnością udusiłaby go własnymi rękami!

-Całkiem znośny - wycedził hrabia, gdy obejrzelili już dom. Brenna spojrzała na niego z oburzeniem. Zakochała się w tym domu od pierwszego wejrzenia. Był jasny i przestronny, miał wysokie sklepienia, wielkie okna, a w dodatku nowoczesne udogodnienia, jak gazowe oświetlenie czy instalację wodno-kanalizacyjną, obejmującą nawet pomieszczenia na piętrze! Na tyłach znajdował się uroczy ogród oraz dogodnie usytuowana stajnia. Brenna nie mogła się doczekać, kiedy

podzieli się z mężem swoimi spostrzeżeniami, pełnymi zachwyty.

Tymczasem Rafe, usłyszawszy oburzająco zaniżoną ocenę Druma, skinął głową na znak, że ją podziela.

- Z ust mi wyjąłeś - wycedził ze znudzoną miną. - Znośny i tyle. Co może nam pan jeszcze zaproponować? - zwrócił się do pośrednika.

Nawet nie spytał, co ja o tym sędzę! Brenna była urażona i skonfundowana. Opuścili dom, umówiwszy się z pośrednikiem na kolejne spotkanie, po czym spacerkiem udali się w drogę powrotną. Brenna kroczyła ze zwieszoną głową jak na ścięcie. Trzymała język za zębami, chcąc opanować najpierw targające nią emocje. Dobrze się stało, gdyż jak tylko pośrednik znikł im z oczu, Drum wybuchnął śmiechem.

-Boże, co za mina! - zwrócił się do Brenny. I nagle całkiem odtajał. - Najmilsza lady Bren, Zgadzam się z panią w zupełności: ten dom wart jest tyle złota, ile waży!

- Ale to jeszcze nie powód, by zdradzić się z tym przed pośrednikiem - dodał łagodnym tonem jej mąż. - Rzucalo się w oczy, jak winduje w górę cenę za każdym razem, gdy

prezentował ci kolejną zaletę tego domu! A gdy rozjaśniałaś się od razu jak słoneczko, dosłownie zacierał ręce. Z ust reflektanta nie powinna wyjść żadna pochwała powyżej „może być”, „ujdzie” albo „znośny”, dopóki pośrednik jest w zasięgu słuchu. Chyba jutro powiem mu, że jesteśmy skłonni kupić... o ile chcesz, oczywiście. Podoba ci się, prawda?

- Jest cudowny... - szepnęła ledwo dosłyszalnie.

- Doskonale! - odparł Rafe. - Zaoferuję mu połowę sumy, jakiej żąda.

Hrabia uśmiechnął się.

-Zagada cię i zapłacisz mu trzy czwarte.

-Taki właśnie miałem zamiar - przyznał Rafe. - Zadowolona? - zwrócił się do żony.

-Oczywiście! - powiedziała. - Choć to określenie tak pasuje do stanu mojej duszy, jak wasza opinia do tego cudownego domu!

Ich głośny śmiech sprawił, że elegancko ubrani przechodnie zaczęli się im przyglądać. Z okna powozu, wlokącego się w żółtym tempie po nieprawdopodobnie zatłoczonej jezdni, wyjrzała kobieca główka. Dama

rozejrzała się dokoła i dała znak stangretowi, by zatrzymał konie. Wsiadła z powozu i zaczekała, aż roześmiana trójka podejdzie całkiem blisko. Gdy tak się stało, dama uśmiechnęła się olśniewająco. Oczy jej zabłyśły.

- Rafe! - zawołała z wyraźnym zadowoleniem. - Jak miło znów pana widzieć! A fe, nieznośny człowieniu! Zniknął pan na dobre z Londynu i nie pokazał się na żadnym balu!

Ciemnoczerwona peleryna chroniła lady Annabellę od zimnego wiatru. Brenna również bardzo lubiła czerwień, ale rzadko nosiła coś w tym kolorze, gdyż jej zdaniem wyglądała w czerwieni zbyt wyzywająco. Pannie Wylde było w tej pelerynie prześlicznie. Wyglądała jak Czerwony Kapturek, który zdążył nieco wydorośleć. Żywy kolor okrycia i hebanowa czerń loków wymykających się spod kapturka podkreślały - na zasadzie kontrastu - olśniewająco białą, nieskazitelną karnację. Błękit oczu wydawał się jeszcze bardziej intensywny. Hrabianka nie odwracała ich od Daltona.

Rafe przystanął. Ukłonił się i szukał najwłaściwszych słów w odpowiedzi. Kiedy się odezwał, jego głos zabrzmiał szorstko.

-Bardzo mi przykro. Byłem pewny, że powiadomiłem panią o moim zamierzonym ożenku.

-Wielkie nieba! - roześmiała się. - Zaręczyny to jeszcze nie pogrzeb, nieprawdaż? Mnóstwo zaręczonych dżentelmenów bywa na balach. Przychodzą nawet niektórzy żonaci!

-Obecnie sam należę do tej ostatniej grupy - oznajmił. - Oto moja żona, lady Brenna. Bren, znacie się z lady Annabellą, nieprawdaż? - Była to nieistotna uwaga, pusty salonowy frazes. Nagle nerwowy skurcz, przypominający grymas bólu, zakłócił harmonię jego rysów. Rafe uświadomił sobie poniewczasie, jaką niezręczność popełnił. Po licha przypomniał im obu poprzednie niefortunne spotkanie?!

Panna Wylde wydawała się jednak zbyt zaszokowana prezentacją lady Brenny, by zwrócić uwagę na tę gafę.

- Żona? - zdumiała się i podniosła rękę do ust, jakby wymknęło się z nich nieprzyzwoite słowo. - Och! - jęknęła słabo. - Nie wiedziałam... to znaczy... - Głos jej się załamał. - ...Nie słyszałam... Wydawało mi się, że tak niedawno spotkaliśmy się w tej

właśnie dzielnicy Londynu... Wspomniał mi pan o swoich planach... A pan mówi, że już po ślubie...? Tak szybko?!

Ostatnie słowa wypowiedziała z intonacją, która zawierała wszystkie niesmaczne podejrzenia i śliskie aluzje, jakie zawsze towarzyszą pospiesznie zawieranym małżeństwom, a temu w szczególności. Brenna przybladła.

- Nie przyszło mi do głowy, że to odbędzie się tak prędko - kontynuowała Annabella. - Kiedy usłyszałam o zaręczynach, wyobraziłam sobie, że weźmiecie ślub na wiosnę... Jaka ja niemądra! - Próbowała się roześmiać, ale efekt był raczej żałosny. - Mierzyłam wszystko, oczywiście, własną miarką! Moje gratulacje, milordzie. Moje najlepsze życzenia, milady. Cóż za osobliwe zwyczaje...! I gdzież się to odbyło? Mam na myśli ślub, oczywiście. Dam głowę, że nie w Londynie!

-W moich rodzinnych stronach - odpowiedziała Brenna.

-W Tidbury - wmieszał się gładko do rozmowy Drum, bacznie obserwując Annabelle. - Nigdy nie widziałem równie uroczego miasteczka! Byłem tam oczywiście, podobnie jak Ryderowie. - Spostrzegł nagły błysk w głębi oczu hrabianki i odpowiedział prawie niedostrzegalnym skinieniem głowy, jakby przytakiwał własnym słowom. - Było to typowe wiejskie wesele, z mnóstwem gości. Aż dziw, że nie zauważyła pani zawiadomienia o tej uroczystości w gazetach, lady Annabello.

-Doprawdy? Było o tym w gazetach...? Trudno teraz znaleźć czas na lekturę, panie hrabio. Przecież to pełnia sezonu! -odparła panna Wylde. W jej głosie brzmiało napięcie.

-Sinclairowie też tam byli - ciągnął nielitościwie Drum -i mnóstwo innych osób, które pani zapewne dobrze zna.

-Zapewne - powtórzyła Anabella, wysuwając wojowniczo kształtną bródkę. - No cóż, milordzie - zwróciła się do Rafe'a -teraz, kiedy wrócił pan do Londynu, żonaty czy nie żonaty, nie pozwolę panu tak łatwo urwać się z haczyka! - zaszczebiotała przekornie. - W następnym tygodniu wydaję kolejne przyjęcie... Kto wie? Może stanie się punktem kulminacyjnym sezonu...? Muszę odwdzińczyć się moim przyjaciółom i znajomym za wszystkie zaproszenia, którymi mnie zasypywali... To bę-

dzie zwykły wieczór, nie bal... Ale zapewne potańczymy sobie trochę, tak mniej oficjalnie... Musicie państwo koniecznie zjawić się u mnie. Chce pan przecież pochwalić się swoją żoną przed całym światem, milordzie?

-Decyzja zależy od niej - odparł Dalton.

Brenna zdążyła już nieźle poznać męża. Ale kiedy przywdziewał tę maskę bez wyrazu i mówił beznamietnym tonem, nie miała pojęcia, co mu chodzi po głowie. Zauważyła tylko, że uparcie wpatruje się w hrabiankę. Cóż w tym dziwnego? Przecież z nią rozmawia! - przekonywała samą siebie. Ale o czym myśli? Czego chce?

-Zrobimy tak, jak sobie życzysz - odpowiedziała, równocześnie pragnąc i obawiając się poznać jego życzenia.

-Myślę, że dobrze byłoby przyjąć zaproszenie lady Annabelli - stwierdził z nagłą determinacją Rafe. - Zwłaszcza że niebawem będziemy jej sąsiadami.

Trudno byłoby stwierdzić, czyja twarz silniej zbladła po tej rewelacji - Annabelli czy Brenny. Ale Annabella pierwsza odzyskała głos.

- Cóż za urocza perspektywa! I jaka dla mnie pochlebna! powiedziała, uśmiechając się figlarnie do Rafe'a, i zadarłszy głowę jeszcze wyżej, rzuciła pogardliwy uśmieszek Brennie.

Tego samego dnia przed obiadem Rafe i Brenna siedzieli w milczeniu przed kominkiem w gabinecie. Ona coś pisała, on czytał. Jednak panująca tego wieczora cisza nie przypominała dawnego przyjaznego milczenia. Tak przynajmniej uważała Brenna. Odłożyła pióro. Pisanie listu do domu rozproszyło na chwilę czarne myśli, ale nie odpędziło nękających ją wątpliwości. Zerknęła ukradkiem na męża. Jego lśniącą jak miedź głowa pochylona była nad stosem korespondencji, którą właśnie przeglądał. Od spotkania z panną Wylde zamienili ze sobą tylko kilka zdań, a i to nie przyszło im z łatwością.

- Nie wybrałem tego domu ze względu na sąsiedztwo! - burknął Rafe, gdy wracali do domu, pożegnawszy się z Annabellą i Drumem. - Przyznam, że miałem pewne wątpliwości, gdy poznałem adres. Ale doszedłem do wniosku, że byłoby głupotą rezygnować z dobrej oferty z powodu czegoś takiego. Lecz ty już mnie potępiłaś, bez względu na wszystko, co zrobiłem albo

czego nie zrobiłem, prawda? Tylko ostatni głupiec kupowałby dom dla żony jedynie po to, by móc stamtąd popatrywać na... dawną flame! Uważasz mnie za takiego półgłówka?! Wobec tego czuję się równie znieważony, jak ty czujesz się urażona!

Ruszył przodem, nim jednak zdążyła się odezwać, dodał jeszcze:

- Nigdy bym cię nie skrzywdził, Bren! Uwierz mi wreszcie! Zdecyduj się na ten dom albo na inny. Wszystko mi jedno. Zaakceptuję, cokolwiek postanowisz. Chciałem tylko, żebyś była zadowolona; żebyś miała piękną oprawę, jaka się należy pięknej damie.

Brenna pojęła, że w tej sytuacji musi zdecydować się na dom przy skwerze. Gdyby z niego zrezygnowała, wyglądałoby na to, że lęka się wpływu Annabelli na swego męża. Nie zdawała sobie sprawy, że jej przygnębienie i milczenie powiedziały Rafe'owi aż tak wiele.

-Do licha! Ależ wy, kobiety, lubicie komplikować proste sprawy! - mruknął. - Czy doprawdy musisz w moim postępowaniu dopatrywać się utajonych motywów?! Chciałem po prostu zrobić ci przyjemność. Ale ty mi nigdy nie uwierzysz, prawda?! - Rósł w nim gniew i był o krok od wybuchu. - Zmieniłem zdanie: za żadne skarby nie zamieszkać w tym domu! Znajdziemy sobie inny, po stokroć piękniejszy! Sama go wybierzesz. Tylko upewnij się przedtem, żeby przypadkiem nie mieszkała w pobliżu jakaś dama, na którą kiedyś raz rzuciłem okiem!

Brenna uśmiechnęła się. Ten wybuch gniewu uspokoił ją bardziej niż najwylewniejsze przeprosiny.

- O...! W takim razie - powiedziała z miną niewiniątka - będziemy musieli zamieszkać na księżycu, nieprawdaż?

Ich wspólny śmiech rozładował napięcie.

Ale godziny mijały i obawy znów zakradły się do serca Brenny. Rafe pozornie odzyskał dawny spokój. Mężczyźni o wiele łatwiej zapominają o sprzeczkach niż kobiety... Czy równie łatwo zapominają o dawnych miłościach? Czy Rafe mógł zapomnieć o Annabelli...? W każdym razie ona - Brenna - nie byłaby w stanie o niej zapomnieć. Zwłaszcza gdyby miała ją pod bokiem!

Rozejrzała się po dobrze jej znanym pomieszczeniu. Nie miała nic przeciwko temu, by nadal tu mieszkać. Wiszące na ścianach ryciny o tematyce sportowej, wszechobecny nieporządek, nawet meble, których jedyną zaletą była użyteczność - I wszystko to jej odpowiadało. Naprawdę mąciło jej spokój tylko wspomnienie kilku nocy spędzonych tu na początku ich znajomości, na długo przed ślubem.

Dobrze pamiętała rozmowy, które wówczas prowadzili: jej j brat, Rafe i ona. Już wtedy podziwiała Rafe'a; oczywiście z daleka. Z łatwością przypomniała sobie tęskną melancholię, która ogarniała ją na myśl, że nie ma najmniejszych szans, by zwrócić na siebie jego uwagę. Starał się o rękę Annabelli. Nawet na dźwięk jej imienia twarz mu łagodniała, a spojrzenie uciekało gdzieś daleko...

Czy tak jest do dziś?

Tego wieczora w ich domu gościła niewidzialna Annabella.

Nawet jeśli Rafe nie spostrzegał jej obecności, Brenna czuła ją wyraźnie. Zadrzała... i to nie z powodu zbyt lekkiej sukni, w którą się wystroiła.

To było szaleństwo! - pomyślała z żalem. Zamiast ciepłej sukni włożyła całkiem nieodpowiednią, w kolorze chińskiego rózu, ponieważ była... prawie czerwona. Letnia suknia, z dużym dekoltem i maleńkimi bufkami zamiast rękawów, zbyt skąpa i powiewna, nie nadawała się na chłodny jesienny wieczór. Ale jej mąż miał wyraźne upodobanie do tego koloru. W każdym razie po południu nie odrywał oczu od czerwonej pelerynki. A raczej od kobiety, która ją nosiła. Natomiast prawie czerwonej sukni własnej żony jakoś nie zauważył! Brenna przysunęła się bliżej do ognia.

- Ziębłaś? - spytał Rafe, podnosząc wzrok znad lektury. - Masz ochotę na kieliszek wina? Powinno cię rozgrzać.

-Ja... Tak, bardzo proszę.

Wstał, przeciągnął się i podszedł do kredensu. Nalał ze stojącej na nim karafki wina do kieliszka.

- Coś w sam raz dla ciebie: czerwone wino na rozgrzanie ognistej krwi. A w dodatku pasuje do twojej czerwonej sukni!

Uśmiechnęła się.

- Więc jednak zauważyłeś?

Podał żonie kieliszek i usiadł obok niej.

- Owszem, zauważyłem - odparł. Istotnie zauważył, nie tylko

kolor. Dostrzegł profil Brenny, podkreślony rudawym blaskiem ognia z kominka... a raczej całe jej popiersie, od małego garbka na orlim nosku po przeżące się pod cienkim materiałem piersi. Powiódł palcem po nagim obojczyku żony i przysunął się tak blisko, że ustami niemal dotykał jej ucha. - Zwykle nie robię uwag na temat damskich strojów - powiedział, wdychając zapach perfum, muskając leciuteńko palcem jej twarz. - To bardziej w stylu Druma. Potrafi tak zagadać damy, że suknie same z nich spadają, szybciej, niż niejeden mężczyzna zdążyłby je zedrzeć!

Brenna znów zadrżała. Tym razem z powodu nagłego gorąca, które oblało ją pod dotknięciem Rafe'a.

- Zimno ci? - spytał, dotykając wargami jej szyi. Jego ustom tak się tu spodobało, że zostały na dłużej.

-Byłam niemądra, wkładając tę suknię - odparła rwącym się głosem. Dobrze wiedziała, co oznacza ten przeciągły pocałunek. Był zapowiedzią nocy miłosnej. Dziś pragnęła jej jeszcze bardziej niż zwykle: dla samej rozkoszy, jaką ze sobą niosła, i dla upewnienia się, że Rafe wciąż jej pożąda. Ale musiała mu i wyznać coś jeszcze, zanim przemówi do niego wyłącznie jej I ciało.

-To letnia suknia - powiedziała. - Zauważyłam, jak lady Annabelli do twarzy w czerwieni... Nie mam cieplejszej sukni w tym kolorze, więc włożyłam tę, bo... bo chciałam ci się wydać ładna, Rafe.

-Ładna? - roześmiał się i jego wargi przebyły drogę, którą uTORował im ciekawski palec. - Mój Boże! Co by to było, gdyby wszystkie ładniutkie kobiety stały się naraz takie ładne jak ty...!

Wziął ją na ręce i położył na kanapie. Błyskawicznie znalazł się obok niej, z ustami na jej ustach. Wpatrywała się w miedź i jego włosów gorejącą w blasku ognia, gdy przylgnął wargami do jej piersi. Pełna zachwytu zaczęła pieścić jego włosy.

-Tobie jest najbardziej do twarzy w czerwieni! -szepnęła drżącym głosem.

Rafe uniósł głowę znad jej piersi i uśmiechnął się.

-Do diabła z obiadem! - szepnął. - Chwileczkę...

Wstał z kanapy, podszedł do drzwi i zamknął je na klucz. Bren przyglądała się, jak gasi lampy i wraca do niej. W świetle ognia widziała



wyraźnie, jak bardzo jest roznamiętniony. Gdyby nawet nie czuła jego szaleńczych pocałunków, wystarczyłoby jedno spojrzenie na przyciasne spodnie. Na samą myśl o tym, jak łatwo może go podniecić, poczuła rozkoszny dreszcz. Zresztą Rafe potrafił równie łatwo ją doprowadzić do gorączki! Zdejmowała suknię, obserwując równocześnie męża ściągniętego z siebie ubranie. Pozbywszy się wszystkiego, wrócił do niej. Objęli się, skóra przylgnęła do skóry. To zetknięcie przyprawiało ich zawsze o wstrząs. Dziś był on jeszcze potężniejszy niż zwykle. Sam fakt, że kochali się nie w sypialni, nie we własnym łóżku, dodawał ich uściskom pikanterii.

Bren popatrzyła mężowi w oczy i ujrzała w nich pożar, nim zamknął powieki i pochylił się ku niej, by dać jej rozkosz. Sam o tym nie wiedząc, już obdarzył ją po królewsku. Ta miłosna scena była w jej oczach pieczęcią nobilitacyjną, potwierdzającą wyłączne prawa ich miłości i jej potęgę. W tym radosnym przeświadczeniu Brenna wstrzymała dech, gdy nareszcie poczuła ukochanego w sobie.

... Ale czy to naprawdę jest miłość...? Mimo wszystko nie była tego pewna. Na szczęście wargi Rafe'a, jego ręce, jego ciało przepędziły z jej głowy wszelkie myśli i uniosły ją w krainę niezmiernie radości.

22

Zasiedli do śniadania i jedli w niekrępującym milczeniu, jak stare małżeństwo lub dwójka dobrych przyjaciół. Albo jak para kochanków - którymi przecież byli - wyczerpanych miłosnymi zmaganiem i zażywających wypoczynku przed następnym bojem. Rafe czytał gazetę, Brenna przeglądała pocztę. Uśmiechała się, czytając list od matki, a rozchichotała się nad epistołą brata. Dalton oderwał wzrok od gazety i spojrzał z ciekawością na żonę.

- To list od Erica - powiedziała, podając go do przeczytania. - Wybiera się do nas z wizytą i prosi, byśmy znaleźli dla niego kilka najładniejszych londyńskich dam. Niekoniecznie spośród tych, które rwą się do małżeństwa.

Rafe uśmiechnął się od ucha do ucha, wziął list i za chwilę sam zaczął chichotać.

- Możemy oszczędzić sobie trudu. Będziemy raczej musieli odganiać od niego tłumy wielbicielek - podsumował i wrócił do gazety. - Ten twój braciszek jest równie wygadany, jak mój, a w dodatku wygląda na Wikinga! To zabójcza kombinacja, szczególnie dla dam.

-Tak... i właśnie dlatego Ericowi nie spieszno do żeniaczki -westchnęła Brenna. - Kobiety po prostu narzucają mu się! Nie miał nigdy możliwości poznać żadnej z nich bliżej. Ani przekonać się, czy zależy im naprawdę na nim, czy tylko są urzeczzone jego urodą.

-Biedaczysko! - mruknął Rafe. - Uważasz, że mnie los lepiej się przysłużył odmawiając mi urody?

-Znowu się dopraszasz komplementów? Jeszcze ci za mało? - spytała figlarnie Brenna.

Odpowiedział jej uśmiechem, który mówił wyraźnie, że doskonale pamięta słowa, którymi ubiegłej nocy nieprzyzwoicie go wychwalała.

-Właśnie - dodał, wskazując oczyma na usługującego przy stole lokaja. - Zapisz sobie kilka w pamięci. Wykorzystasz je... trochę później.

-Z przyjemnością - odparła Brenna z uśmiechem. Potem westchnęła (tym razem ze szczęścia) i otworzyła następną kopertę. Znajdował się w niej arkusik kosztownego perfumowanego welinu. Kiedy zapoznała się ze starannie wypisanym tekstem, zmarszczyła brwi. Odłożyła list, by za chwilę wziąć go znów do ręki. Trzymała papier ostrożnie, dwoma palcami, jakby to był jakiś jadowity owad.

-Co tam masz? - Zainteresował się Rafe, spoglądając znad Times'a, jakby słyszał duchowe rozterki żony. - I czemu trzymasz tę kartkę tak, jakbyś się bała, że cię ugryzie?

-Bo to naprawdę gryzie... w pewnym sensie - odpowiedziała, podając mu i ten list. - To zaproszenie na przyjęcie u lady Annabelli.

Wpatrywała się w twarz męża, która straciła nagle wszelki wyraz. Rafe przebiegł wzrokiem krótki tekst i zwrócił zaproszenie żonie.

- Chcesz tam pójść? - spytał, obserwując jej reakcję.

- Sama nie wiem... Może чуłabym się tam nie na miejscu? - Starła się nie okazać po sobie, czego się naprawdę obawia. - Ale z drugiej strony... Ostatecznie, jest twoją przyjaciółką.

Dalton zakrztusił się.

- Przyjaciółką? To niezbyt trafne określenie. Nigdy się właściwie nie przyjaźniliśmy.

-Chciałeś się z nią ożenić - powiedziała cicho Brenna.

Rafe wzruszył ramionami i wrócił do lektury. Rzucił okiem na tekst i znad gazety zerknął na żonę.

-Nie znaleźliśmy się tak dobrze, bym mógł uważać się za jej przyjaciela.

-Co za głupstwa... - zaczęła Brenna i urwała. Wbiła wzrok w talerz z owsianką. Kiedy się zaręczyli, Rafe nie wiedział o niej nawet tyle, by można było go nazwać choćby bliskim znajomym.

-Decyzja zależy od ciebie - oświadczył. - Nie musimy utrzymywać z nią zażyłych stosunków. Ale lady Annabella jest popularna, wszędzie ją zapraszają i chcąc nie chcąc, będziemy się z nią stykać. Ponadto twój londyński debiut może równie dobrze nastąpić na tym przyjęciu, jak i na każdej innej imprezie. Zamierzałem poprosić moich przyjaciół - Sinclairów, Ryderów, Wycoffów, a nawet Druma (prawdziwy z niego znawca mody!) - by przedstawili cię różnym znakomitościom, z których opinią wszyscy się liczą. Jeśli, oczywiście, ci na tym zależy. Prawdę mówiąc, życie towarzyskie nie pociąga mnie. Ale przypuszczam, że miałabyś ochotę zaprzyjaźnić się z niektórymi paniami, spotykać się z nimi przy herbatce i tak dalej. Myślałem nawet, że sami moglibyśmy wydać przyjęcie, kiedy się wprowadzimy do nowego domu. Uczestnicząc w wieczorze lady Annabelli, miałabyś szansę zorientować się, kogo chciałabyś zaprosić do nas. Jednak decyzja należy do ciebie.

Wziął znów do ręki gazetę, jakby przyjęcie u Wylde'ów nie miało dla niego większego znaczenia. Było jednak znamienne, że nigdy dotąd nie poświęcił ich życiu towarzyskiemu tyle uwagi. Prawdę mówiąc, w ogóle nie rozmawiali na ten temat. Brenna odruchowo uniosła rękę do ust... paznokieć dotykał już warg, gdy uświadomiła sobie, co robi. Pospiesznie opuściła rękę na kolana. Przysięgła sobie, że zerwie z brzydkim nałogiem obgryzania paznokci. Chciała mieć delikatne, wypielęgnowane dłonie, które podobałyby się Rafe'owi. Takie jak ręce

Annabelli. Ale zapomniała o swym postanowieniu w chwili zdenerwowania. Teraz zaś była bardzo zdenerwowana!

- Nie musisz mnie anonsować - odezwał się jakiś wesoły głos. - Czuję zapach grzanek i jaj. Z pewnością mnie tu oczekują!

Dal ton spojrział w stronę drzwi.

- Powinienem był uprzedzić służbę, by nie przypiekała grzanek. To tak, jakby położyć rybkę na widoku: ani chybi, kocisko się zjawi!

-Życzę ci miłego dnia, mój nieokrzesany przyjacielu - odparł Drum i swobodnym krokiem wszedł do pokoju. Ubrany był jak z igły. - Dzień dobry, lady Bren - przywitał się, pochylając się nad jej ręką. - Czy znajdzie się dla mnie miejsce przy pani stole?

-Dla pana? Zawsze - odparła z całkowitą szczerością.

-Ja również przywykłem już do twojej obecności - dodał Rafe.

- Pomyślałem, że choć wasz miesiąc miodowy jeszcze się nie skończył - oby to nigdy nie nastąpiło! - można znów was odwiedzać, najlepiej z rana. Niegdyś równie swojsko czułem się w domu mego kuzyna Sinclaira - wyjaśnił Brennie, obrzucając równocześnie wzrokiem szereg półmisek ustawionych na kredensie. - ... I cóż się stało? Kuzynek zakochał się nie w porę i wyniósł się z żoną na wieś! Po jego wyjeździe nie miałem wyboru. Zadałem się z Rafe'em, któremu akurat brakowało towarzystwa przy śniadaniu. Odtąd biesiadowaliśmy wspólnie. A jak wiadomo, od niektórych nawyków trudno się wyzwolić. Zwłaszcza że nie znoszę jadać w samotności! Moi klubowi koledzy bywają nawet zabawni wieczorem, kiedy widzą świat przez dno butelki... Ale nowy dzień najlepiej witać z przyjaciółmi. O, jajecznic! - ucieszył się, unosząc pokrywę jednego z podgrzewanych półmisek. - To coś w sam raz dla mnie... oczywiście z dodatkiem szynki, plastra wołowiny i grzanek! - poinstruował lokaja, odsuwając się od kredensu.

- Zapomniałeś o kawałku boczku - podpowiedział Dalton. Prawdę mówiąc, dobrze się złożyło, żeś do nas wpadł - dodał gdy przyjaciel usadowił się przy stole. - Z pewnością będziesz wiedział, jak należy postąpić. Dostaliśmy zaproszenie na przyjęcie u lady Annabelli i Brenna ma wątpliwości, czy powinniśmy tam pójść.

W lazurkowych oczach Druma błysnęło zainteresowanie.

-Doprawdy? - spytał, patrząc na Brennę. - Uprzedziła przecież podczas ostatniego spotkania, że zamierza to uczynić, nieprawdaz?

-Tak - odparł Rafe w zadumie. - Ale myślałem, że zmieniła zamiar, kiedy

się dowiedziała, że jestem żonaty.

-Mam wrażenie, że wiedziała o tym znacznie wcześniej -stwierdził hrabia. Zlustrował talerz, który lokaj przed nim postawił, a następnie zwrócił zimne niebieskie oczy na gospodarza. - Nie zamierzam zarzucać jej kłamstwa. Ale jeśli pojawią się w Londynie jakieś nowe plotki, można być pewnym, że lady Annabella już je zna. To światowa dama z dużym doświadczeniem, rozumiecie. Przypuszczam, że przekomarzała się trochę z tobą. To jej specjalność, jak sam dobrze wiesz.

Brenna dostrzegła subtelną zmianę na obojętnej dotąd twarzy męża. Obaj mężczyźni powadzili słowny pojedynek. Nieraz tak się zabawiali. Ale tym razem przedmiot ich rozmowy miał dla Brenny ogromne znaczenie. Rozpaczliwie pragnęła się dowiedzieć, czy dla jej męża jest równie ważny.

- Można powiedzieć, że się przekomarzała... na swój sposób - rzekł Rafe. - Chciałbym jednak poznać twoją opinię na temat tego przyjęcia. Jak myślisz, czy Brenna będzie się dobrze bawić, jeśli tam pójdziemy?

-Ja? - Hrabia udał niebotyczne zdumienie. - Ależ, drogi chłopcze! Przecież to ty powinieneś wiedzieć najlepiej! Dalton machnął niecierpliwie ręką.

-Znam Bren lepiej od ciebie, jeśli to miałeś na myśli. Wrażliwa z niej dziewczyna. A Annabella ma zawsze w zanadrzu jakieś psoty i figle. Miałem nadzieję, że orientujesz się - bo zwykle trafnie odgadujesz intencje tej czy innej damy - czy Bren będzie się dobrze bawić w gościnie u panny Wylde?

-Chodzi ci o to, czy Annabella obmyśliła dla niej jakieś specjalne wyrafinowane tortury? - spytał Drum i odparł po namyśle: - Może tak. A może nie.

-A ja mam wrażenie - wtrąciła się do rozmowy Brenna, dziwiąc się własnej śmiałości - ...że można by ją, to znaczy mnie, spytać, co mam do powiedzenia w tej sprawie!

-A któż ci broni wypowiedzieć własne zdanie? - zdumiał się jej mąż.

-Rozmawialiście o mnie tak, jakby mnie tu nie było! - odparła z urazą w głosie.

-Wybacz - przeprosił pospiesznie Rafe. - Taki już mam; zwyczaj, Drum i ja; nieraz rozgryzaliśmy do spótki trudne problemy... czasem, bez

przesady, mogliśmy dzięki temu ocalić głowy. Zresztą sama powiedziałaś, że nie wiesz, co zrobić.

-Dzieci, dzieci! - mitygował ich hrabia z dobrotliwym uśmiechem. - Nie kłóćcie się przy stole, bardzo proszę! A co się tyczy Annabelli i jej intencji, to sądzę, że zdobędę dla was te informacje... pod jednym wszakże warunkiem.

-Jakim? - spytał lakonicznie Rafe.

-Że mi któreś z was naleje filiżankę kawy. Pachnie niebiańsko

- Hrabia Drummond? - zdziwiła się Annabella, gdy wysoki, elegancki dżentelmen pochylił się w ukłonie nad jej ręką. Cóż za niespodzianka...! A może nie taka znów niespodzianka...?

-W każdym razie mam nadzieję, że przyjemna - odparł gładko Drummond. - Choć pani zdziwienie równie mnie cieszy, jak zdumiewa. Panna Wylde roześmiała się tak serdecznie, że pozostali dżentelmeni składający jej poranną wizytę podnieśli głos z niepozobawionym zazdrości podziwem.

-Wielkie nieba! - zawołała, wachlując się małą białą dłonią. - Wieści o twoim niebezpiecznym uroku, które do mnie dotarły, nie były wcale przesadzone, milordzie! A jestem zaskoczona, bo choć od mego debiutu spotykaliśmy się nieraz hrabio, nie zamieniliśmy słowa poza zdawkowymi frazesami Skąd więc to nagłe zainteresowanie?

-Byłem właśnie u okulisty - improwizował Drum. - Kilka odpowiednich kropel... i od razu wszystkie problemy tego świata stały się dla mnie jasne i wyraźne.

- Dla mnie również - odparła Annabella ze znacznie mniej entuzjastycznym uśmiechem.

-Doprawdy? - spytał. - Ciekaw jestem...

-Ja też! - warknęła.

-Łatwo temu zaradzić. Jeśli poświęci mi pani kilka minut cennego czasu, mogę wszystko wyjaśnić.

-Doprawdy? Prosto, szczerze, bez mydlenia oczu? - spytała, unosząc kształtną brew.

-Choć serce mi pęka, że nie pozwoli mi pani złożyć należnego hołdu takiej urodzie - odparł Drummond - obejdziesz się bez mydlenia oczu. O ile

pani naprawdę życzy sobie tego.

-W takim razie proszę pozostać, kiedy tamci odejdą - powiedziała, a odwracając się, dorzuciła: - Myślę, że dla nas obojga ta rozmowa będzie prawdziwym... objawieniem!

Drum był zafascynowany poprzedzającą owo „objawienie” farsą. Siedział w salonie i obserwował, jak trzech adoratorów robi z siebie pośmiewisko. Odziana we wspaniałą toaletę *vieux rose* (popielato-różowej barwy) ozdobioną złotą koronką, Annabella była istotnie jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie znał. Ale nawet bogini Afrodyta nie zasługiwałyby na tak czołobitne hołdy, jak te, które składali hrabianie zebrani w jej salonie głupcy. Drum obserwował zaloty i nie wierzył własnym oczom. Lady Annabella była prześliczna. I inteligentna. Zawsze podejrzewał, że jest również zimna, próżna i zepsuta do szpiku kości, niewiele go to jednak obchodziło. Istotne było tylko jedno: czy jest także mściwa? Przybył tu specjalnie, by się tego dowiedzieć.

Wreszcie składający wizytę wielbicieli wynieśli się, na odchodnym rzucając tyleż zawistnych spojrzeń hrabiemu, ile pełnych uwielbienia złożyli u stóp swego bóstwa. Zazdrościli wyłącznie prywatnej audiencji, gdyż Annabella nie dopuściła Druma do żadnej poufałości. Rozmawiała z nim przy otwartych drzwiach, za którymi stał lokaj. A na ławeczce w wykuszu okiennym siedziała pokojówka.

- Mówiąc bez ogródek, przyrzekłem komuś, że dotrę do sedna sprawy - oświadczył Drummond, zanim gospodyni zdążyła o cokolwiek zapytać. - Przybyłem tu, by odkryć, co skłoniło panią do zaproszenia moich przyjaciół Daltonów na przyjęcie w przyszłym tygodniu.

Panna Wylde uniosła brwi.

-Czemu tak to pana dziwi? Bardzo często zapraszam na przyjęcia bliższych i dalszych znajomych. Gdybym zapraszała tylko przyjaciół, moje salony świeciłyby pustkami! Jak powiedział pewien mędrzec: prawdziwych przyjaciół ma się nie więcej niż palców u jednej ręki. Ot i cała zagadka!

-Jednakowoż, zdaniem wielu osób, zapraszanie nowożeńców nie na wiele się zda. Ciągłe wzdychają i patrzą sobie w oczy. Niezbyt to zabawny widok dla postronnych!

-Podczas ostatniego spotkania z pańskimi przyjaciółmi nie spostrzegłam nic podobnego - odrzekła Annabella, czarując udając głębokie skupienie. - Prawdę mówiąc, nowożeniec nie odrywał ode mnie oczu, o ile pamiętam. Drum uśmiechnął się chłodno.

-Ach, tak... Dzięki. Już pani odpowiedziała na moje pytanie.

- Doprawdy? - spytała zaskoczona. - O...! Pewnie pan sądzi, że ich zaprosiłam, by udowodnić całemu światu, jak łatwo mogłabym zaprowadzić Daltona do ołtarza...? Gdyby, oczywiście, ta damulka nie sprzątnęła mi go sprzed nosa dzięki sztuczkom, do których prawdziwa dama nigdy by się nie zniżyła. Według pana żywię do niej urazę? Myśli pan, że jestem mściwa i chcę jej udowodnić, że choć nosi jego nazwisko, nie zdobyła jego serca?

Z całą powagą, niczym składający małżeńską przysięgę oblubieniec, Drummond odpowiedział:

-Tak.

-Doprawdy? No, cóż... może pan snuć najrozmaitsze domysły, ale pewności nigdy pan mieć nie będzie - rzuciła hrabianka z drwiącym uśmiechem. - Przekona się pan, że nie trzeba mi żadnych sztuczek. Sama moja obecność wystarczy. Będę tylko bardzo gościnną panią domu, a to przecież nie grzech?

-Naprawdę pani wierzy, że lady Brenna zaaranżowała ów przykry incydent w domu Daltona? I że Rafe nadal się w pani kocha?

-A pan w to nie wierzy? - spytała.

- Wobec tego doskonale się składa, że ich pani zaprosiła - odparł Drum. - Przekona się pani, lady Annabelle, jak bardzo się pani omyliła. Życzę miłego dnia! Szkoda, że pani intencje nie są równie piękne, jak pani powierzchowność. Jest pani doprawdy całkiem ładna!

Annabella spojrzała prosto w kościstą, inteligentną twarz swojego gościa z niemiłym uśmiechem.

-Doprawdy? Jakie to dziwne, że zauważył pan to dopiero teraz, gdy pański przyjaciel znalazł się pod moim zgubnym urokiem! A znajduje się, milordzie! Zapewniam, że nadal się pod nim znajduje. Może się założymy?



-Nigdy się nie zakładam, mając pewność wygranej. To byłoby nieuczciwe  
- oznajmił hrabia, modląc się w duchu, by jego słowa okazały się prawdą.

Wkraczając do gabinetu męża wieczorem tego samego dnia, Brenna przerwała jakąś prowadzoną szeptem poufną konferencję. Obaj przyjaciele - Rafe i Drum - mieli nietęgę miny.

-O co chodzi? Czy coś się stało? - spytała pospiesznie, zauważywszy, że wymieniają niespokojne spojrzenia.

-Nic, nic - zapewnił ją Rafe. - Nie przejmuj się! Po prostu masz do czynienia z parą starych ponuraków. Siadaj tu koło nas. - Poklepał miejsce obok siebie na kanapie. - Od razu się nam poprawi nastrój!

-Czym się tak zamartwiacie? - zapytała ponownie, siadając przy mężu.

-Niczym ważnym - odparł Rafe, biorąc ją za rękę. - Chyba jednak zrezygnujemy z tego głupiego wieczoru u lady Annabelli. Będzie na nim kupa nudziarzy... No, no! Patrzcie państwo! - Z ulgą zmienił temat, spoglądając z podziwem na dopiero co wyhodowane i wypielegnowane paznokcie żony.

-To dopiero początek! - oznajmiła Brenna, równocześnie uradowana i zażenowana. - Ale czemu mamy zrezygnować z tego przyjęcia? Czyżby lady Annabella odwołała zaproszenie?

-Nie - odpowiedział Rafe. - Tylko doszliśmy właśnie do wniosku, że to nie będzie nic ciekawego. Nie warto, byś robiła sobie tyle kłopotu... choćby z toaletą. Niedługo sami wyprawimy przyjęcie, zgoda? O wiele większe i atrakcyjniejsze.

Brenna wysunęła rękę z uścisku męża. Wbiła wzrok w świeżo wyhodowane paznokcie.

-Niech to szlag! - zaklął Rafe. - Nie będę cię okłamywać, Bren. Drum uważa, że Annabella jest... wrogo do nas nastawiona. Po co miałybyś wystawiać się na jej gniew?

-Myślisz, że będzie wobec mnie niegrzeczna? Zacznie robić złośliwe uwagi? Może wyrzuci mi afront?

-To nie w jej guście: zbyt prostackie - zauważył hrabia. - Jest sprytna i stać ją na finezję. W ten sposób można zadać jeszcze więcej bólu. A poza tym szerzą się nowe plotki.

-Co o nas mówią? - spytała Brenna.

-To, co zwykle. O podejrzenie pospiesznym ślubie. O pani charakterze, lady Bren. Ale jest też coś nowego: powiadają, że Dalton nadal kocha się w Annabelli i przeprowadza się, żeby być blisko niej. Drzwi w drzwi.

-Żadne drzwi w drzwi! - zirytował się Rafe. - A wspomniałem jej o przeprowadzce tylko dlatego, żeby spotykając mnie codziennie na ulicy, wiedziała, że to czysty przypadek: nie śledzę jej i nie szukam jej towarzystwa!

Drum skinął głową.

-Wcale w to nie wątpię. Lecz plotkarze szepczą również o tym, że masz złamane serce, bo wyrzekłeś się miłości z powodu dziecka, które przyjdzie na świat o wiele za wcześnie... chyba że żona okłamała cię tylko i wcale nie spodziewa się potomka. Większość jednak sądzi, że lady Bren urodzi dziecko... spuszczać oczy, dodał: -... tylko nie wiadomo czyje.

Brennie zaparło dech.

-Przecież wcale nie jestem...

Dalton zacisnął pięści.

-Gdybym stanął z nimi twarzą w twarz...

- Doskonały pomysł. Tylko nie rwij się do bicia - poradził mu hrabia. - Pokaż całemu światu, że plotki ani trochę cię nie obchodzą. Że wasze małżeństwo jest szczęśliwe. To skutecznie położy kres oszczerstwom.

-Postępowałem tak przez całe życie, Bóg świadkiem, ale nic to nie dało - rzucił szorstko Rafe. - Ludzie wierzą w to, co im się podoba. A skandal zawsze przypada im do gustu.

-Więc pozwolisz, by podłe wymysły uznano za niezbitą prawdę? - spytał Drum. Pochylił się do przodu, twarz miał śmiertelnie poważną. - Zrozum wreszcie, przyjacielu, że to nie przelewki! Plotka to potężna broń. Myślisz, że śmierć można zadać tylko szpadą czy pistoletem? To tylko najbardziej spektakularna broń. Plotka zabija równie skutecznie. W naszym „wielkim świecie” liczy się tylko to, co inni o tobie mówią. Twoja żona z czasem nauczy się odwracać głowę, gdy usłyszy jakieś szepty. Może zresztą uda się wam obojgu machnąć ręką na wszystko, opuścić Londyn i żyć szczęśliwie na jakimś odludziu. Ale kiedy wasze dzieci pójdą do szkoły i będą musiały stawić czoła światu, sytuacja ulegnie zmianie. Plotka, jeśli jej nie zdusić w zarodku, z czasem obrasta legendą.

-Ale jeśli uda się dotrzeć do źródła? - spytała Brenna. - Myślę, że nasi przyjaciele mogliby zadać kłam oszczercom.

-Plotki są jak darmowe piwo w koszarach - zauważył z goryczą jej mąż. - Każdy chętnie je łyka, nie zważając na to, kto stawia.

-Właśnie! - podchwycił Drum. - Doskonałe porównanie! Rozwińmy je nieco: stare piwo zwietrzeje i nikt nie będzie miał na nie ochoty, jeśli podadzą nowe. Stare plotki pójdą w ką, gdy rozejdą się następne. Im świeższe, tym lepsze. Jeśli zjawicie się na przyjęciu tacy promienni, oddani sobie i szczęśliwi, jacy naprawdę jesteście, wystarczy grymas na twarzy Annabelli, by sypnęła się lawina nowych plotek, tym razem niezwróconych przeciwko wam. A nasza rozpieszczona dama nie jest taką znów genialną aktorką!

Rafe skrzywił się.

Brenna dostrzegła to i zaniepokoiła się. Nie chciał zranić uczuć Annabelli? A może jego rycerska natura buntowała się przed zadaniem ciosu jakiegokolwiek kobiecie...?

Drummond wzruszył ramionami.

- „Dotrzeć do źródła”? Spójrzcie w nie czym prędzej! Ujrzycie ani chybi Annabellę i jej mamusię! Owszem, twierdzą to jedynie w oparciu o plotki. Ale jestem pewien, że znalazłem sposób na uwolnienie was raz na zawsze od wszelkich oszczerstw. Bez względu na to, kto je rozsiewa. Jeśli tylko lady Bren zechce podjąć to wyzwanie.

-Chcesz, żebym z tego zrezygnowała czy żebym tam poszła? - spytała Brenna męża.

-Zrób, co ci serce dyktuje - odparł Rafe. - Decyzja należy do ciebie.

Pierś Brenny zafalowała w ciężkim westchnieniu. Podniosła dumnie głowę.

-Nikt z naszej rodziny nie cofał się na widok wroga i nie uciekał z pola bitwy. Jeśli Annabella jest taką lwicą salonową, nie mogę jej wiecznie unikać, prawda? W takim razie, jeśli nie masz nic przeciwko temu, Rafe, chyba lepiej będzie pójść na to przyjęcie. Dostałam list od mamy. Moja rodzina przyjeżdża do Londynu. Z pewnością mnóstwo ludzi pcha się na najbardziej wytworne imprezy... ale może udałoby się zdobyć zaproszenia dla moich rodziców i brata?

-Uda się bez wątplenia - zapewnił ją hrabia. - Moja w tym głowa!

-Doskonale! - powiedziała Brenna. - Mając przy sobie moich najbliższych, stawię czoła samemu diabłu!

-Czy do swoich najbliższych zaliczasz także mnie? - spytał Rafe, spoglądając jej badawczo w twarz.

-Naprawdę chcesz stanąć po mojej stronie? - spytała otwarcie. - W takim razie, jak najbardziej!

Nie mogli zignorować tego, co dostrzegli nawzajem w swoich oczach.

-No, cóż... - rzekł Drum, wstając i prostując się. - Na mnie już czas. Mówię całkiem szczerze - uciszył protesty Daltona. -Bez urazy, nowożeńców lepiej odwiedzać rankiem niż pod wieczór. Zajrzę jeszcze tu i tam, może znajdę jakieś miłe towarzystwo. Życzę wam dobrej nocy. Zjawię się jutro rano... albo trochę później. W każdym razie zjawię się z pewnością.

-Czyżbyśmy wprowadzili go w zakłopotanie? - spytała po jego wyjściu Brenna.

- Druma? W zakłopotanie?! - zdumiał się Rafe. - Prędeż jeden z nadmorskich klifów stanie w pąsach! Przecież Drum wpadł tylko na krótką pogawędkę. Ale my pomówmy o reszcie wieczoru. Mam kilka listów do napisania, a potem... - Pochylił się ku żonie i rozkoszując się zapachem jej włosów i ciała, szepnął: - Chyba znajdziemy sobie jakąś rozrywkę w domowym zaciszu...? A może wolisz udać się do teatru... opery... albo na bal...? Ponieważ punktował każdą z tych możliwości pocałunkiem w szyję, a na koniec pocałował Brennę w usta, przez chwilę nie mogła mu odpowiedzieć. Kiedy odzyskała mowę, dotknęła pieszczotliwie policzka męża i szepnęła:

-Będę na górze.

Kiedy Rafe wszedł do sypialni, światło było przyćmione, a jego młoda żona leżała w łóżku. Wyciągnęła do niego ramiona.

Biedny Drum! - pomyślał, spiesząc ku niej. Każdy mężczyzna właśnie tego potrzebuje do szczęścia! Nie wypowiedział jednak tych słów na głos. Pocałunek Brenny usunął z jego mózgu wszelkie myśli. A poza tym miał coś lepszego do roboty niż filozofowanie na temat sensu życia. Bren była ciepłutka, stęskniona i spragniona rozkoszy tak samo jak on. Ściągnął z niej kołdrę, by nacieszyć się jej widokiem. Miała na sobie strój Ewy, który najbardziej mu odpowiadał, ozdobiony w dodatku czarującym

uśmiechem. Dzięki Bren przekonał się, że największą radość sprawia im wzajemne spełnianie życzeń i odkrywanie coraz to nowych zalet i talentów. Radował się, dotykając dłońmi ciała żony, zaspokajał pragnienie, pijąc z jej ust, ale nawet gdy nasycił się, spełniając jej życzenia, pożądanie nie odstępowało i w każdej chwili mogło przerodzić się w nienasycony głód.

- Tak... - szeptała Bren. Nic więcej nie była w stanie powiedzieć, kiedy się kochali. Lecz to jedno słówko wystarczało Rafe'owi w zupełności. Resztę wypowiadała każdym ruchem, każdym gestem. Słuchała uważnie, gdy mówił jej o pieszczotach, które sprawiały mu szczególną przyjemność. Obawiał się, że może się obruszy, przekonał się jednak, że chciała poznać wszystkie jego upodobania. Niepokoił się, czy słusznie uczynił, wyjawiając jej podobne sekrety, lecz tylko do chwili, gdy Bren z tej wiedzy skorzystała. Nigdy już nie żałował swojej wobec niej otwartości.

Nie był jednak egoistyczny w miłości. Kiedy się całowali albo pieścili, umiał zarówno dawać, jak i brać. A jeśli nawet pragnął zatracić się w słodczy gry wstępnej i w oczekiwaniu na kulminacyjny moment, jakiś wewnętrzny głos ostrzegał go, by nie tracił opanowania.

Po dłużących się w nieskończoność staraniach doprowadzenia Bren do ekstazy, Rafe usłyszał jej triumfalny krzyk. Spojrzał jej w twarz; malowało się na niej upojenie. Teraz mógł pofolgować własnym pragnieniom i znaleźć ostateczne zaspokojenie.

Leżeli spleceni ze sobą, czując, jak biją ich rozszalałe serca, jak tętno i oddech powoli wracają do normy.

-Rafe? - szepnęła Brenna.

Odpowiedział cichym pomrukiem.

- Czy to naprawdę nie sprawi ci przykrości? - spytała. - Może wolisz nie iść na przyjęcie do Annabelli?

Jej głos był tak spokojny i przytomny, najwyraźniej całkowicie już otrząsnęła się z rozkosznego oszołomienia. Zdumiewające, jak szybko kobiety przychodzą do siebie - nawet wówczas, gdy oddawały się namiętności bez reszty! Rafe przytulił żonę jeszcze mocniej.

- Nie bądź głuptaskiem. To przyjęcie nie ma dla mnie żadnego

znaczenia. A spotkanie i tak było nieuchronne, sama to mówiłaś. Więc chyba im wcześniej, tym lepiej.

Odgadł dręczące ją niewypowiedziane pytanie i odpowiedział na nie najlepiej, jak umiał:

-Ty jesteś moją żoną.

Poczuł, jak Brenna odpręża się wreszcie i odpływa w sen. W blasku dogasającego na kominku ognia widział ją dość wyraźnie. Jedwabiste włosy w urzekającym nieładzie, zaskakujący kontrast między ich czernią a białą pościeli... Zawsze pociągały go rozpuszczone włosy, zwłaszcza czarne... było w nich coś dzikiego, coś czarnoksięskiego... Uśmiechnął się na myśl o tym, jak jutro rano Brenna będzie się zżymać, usiłując rozczesać splątane włosy. Stanowczo powinna mieć pokojówkę! -

przypomniawszy sobie. Musi wypaść jak najkorzystniej na tym przeklętym przyjęciu!

Wiedział, o co żona chciała go jeszcze spytać, i był rad, że udało mu się uniknąć odpowiadania. Nie radził sobie ze słowami... Z emocjami zresztą także nie! Wypierał się swych uczuć zbyt długo i nie wyrażał ich prawie nigdy. Nic dziwnego i na tym gruncie nie czuł się pewnie.

Jak zareaguje na widok Annabelli? - zastanawiał się. Ujrzy ją wystrojoną, piękną jak anioł, tańczącą z innymi mężczyznami. Co będzie czuł, wiedząc, że jest osiągalna dla każdego z nich... ale nie dla niego? A jak się zachowa, jeśli Annabella z rozmysłem sprawi ból Brennie? Co zrobi? Czy naprawdę kochał Annabellę?

Przysięgnął sobie, że nie będzie nigdy myślał o hrabiance, leżąc u boku żony. Ale dziś nie mógł się od tego powstrzymać. Zresztą, to Bren o niej wspomniała. A teraz myśl o Annabelli go nie opuszczała. Sam już nie wiedział, co do niej czuje. Serce mu się krajało, nie warto przeczyć, kiedy tak się przejęła wiadomością o jego zaręczynach. Uświadomił sobie, że mógł ją mieć i że odebrano mu tę szansę podłym oszustwem. Czy naprawdę został oszukany? Jak mógł pomyśleć coś takiego o spoczywającej u jego boku żonie?

Ale... którą z nich by wybrał, gdyby sam mógł decydować o swoim losie...?

Rozważanie „co by było, gdyby?” nie ma najmniejszego sensu. Nigdy nie miał wyboru. Koleje jego życia były przesądzone, w chwili gdy przyszedł

na świat. Próbował walczyć z przeznaczeniem, podejmował ryzyko, odpowiadał na każde wyzwanie, nieraz narażał życie. I co to dało? Nic. Został oznakowany i umieszczony w wytyczonej z góry koleinie. Młodszy syn, a na dodatek bękart. Prawdopodobnie. I potoczyło się życie wyznaczonym torem.

Odgarnął Brennie włosy z twarzy. Przytuliła się mocniej, napierając na jego brzuch rozkosznym tyłeczkiem. Choć powinien mieć dość miłości na tę noc, poczuł wzbierające w nim pożądanie. Tak, jego życie zostało z góry zaplanowane, od momentu narodzin po dzień dzisiejszy... a zapewne i do śmierci.

Lecz nie wszystko w tym narzuconym losie było złe - pomyślał, rozpalony bliskością Brenny. Ale nawet o szczęściu nie mógł powiedzieć, że sam je zdobył albo świadomie wybrał.

Pochylił głowę i potarł pieśczośliwie nosem o ucho żony, jakby chciał w ten sposób przeprosić ją za nielojalne myśli. Odwróciła się do niego natychmiast i uświadomił sobie, że nie spała. Pocałował ją. Odpowiedziała na tę pieśczołę z rozpaczliwym zapamiętaniem. Przemknęło mu przez głowę, że myśli ich obojga były równie mroczne. Ale zaraz ogromna fala rozkoszy zagarnęła go - i nie było już mowy o żadnych rozważaniach.

Jestem z rodu wojowników. Jak oni, jestem gotowa do boju. A właściwie będę... kiedy wreszcie się zdecyduję, co na siebie włożyć - powtarzała sobie w duchu Brenna, spoglądając na stos leżących na łóżku sukien. Ani rusz nie mogła się zdecydować, którą wybrać na przyjęcie u panny Wylde.

Kusiła ją uroczo skromna biała suknia, w bieli było jej do twarzy... ale suknia robiła takie... dziewicze wrażenie. Ci, do których dotarły plotki na jej temat, uśmiechałoby się szyderczo, gdyby pojawiła się w bieli.

Ta niebieska była śliczna. Ale tę samą barwę miały oczy Annabelli; z pewnością hrabianka wyglądałaby w tej kreacji ładniej od ciemnoookiej pani Dalton.

Złota suknia była wręcz królewską szatą. Lecz wydawała się zbyt ozdobna, zbyt bogata... Taki strój stanowiłby potwierdzenie plotek o

wyrachowaniu i pazerności Brenny.

Zielona odpadała z góry: gdyby pokazała się na przyjęciu u lady Annabelli w tym kolorze, wszystkim od razu skojarzyłaby się z bohaterką starej ballady *Greensleeves* - noszącą się na zielono kurtyzaną!

Chciała prezentować się korzystnie, a równocześnie samym swym wyglądem zadać kłam plotkom. Przede wszystkim jednak pragnęła spodobać się mężowi do tego stopnia, by zapomniał przy niej o lady Annabelli. Niestety, by osiągnąć taki efekt, musiałyby skorzystać z pomocy nie krawcowej, ale dobrej wróżki!

-Czemu się tak chmurzysz? - spytał Rafe, wchodząc do pokoju. Zerknął na zaścielające łóżko stroje. - O...! Naprawdę powinnaś mieć pokojówkę, Bren! Nie musiałybyś sama troszczyć się o suknie. Jeśli chcesz, zaraz powiem Peckowi, a on ci kogoś znajdzie, raz-dwa!

-Wiem... Miałam dawniej pokojówkę - odparła Brenna. -Ale nie tym się teraz zamartwiam. Nie wiem, w co się ubrać na to przyjęcie. Żadna z tych sukien nie wydaje mi się odpowiednia. Chciałabym wyglądać... olśniewająco. To będzie przecież mój debiut towarzyski, prawda?

-Cokolwiek włożysz, będziesz wyglądać olśniewająco. -Mąż objął ją od tyłu w tali i przyciągnął do siebie. - A jeśli żadna z tych sukien nie odpowiada ci, kup sobie nową. Twoja mama przyjeżdża, prawda? Wyjdźcie razem i wybierzcie coś, co się wam spodoba.

-Bardzo by mi to odpowiadało - westchnęła Brenna i oparła się o swą żywą podporę. - Ale mama przyjedzie dopiero w przeddzień przyjęcia.

-Wobec tego skorzystaj z pomocy Druma. Wcale nie żartuję! On ma świetne oko do takich rzeczy. Sam chętnie bym ci towarzyszył, ale niewiele miałabyś ze mnie pożytku. Mam fatalny gust i mógłbym doradzać przy kupowaniu fatałaszków najwyżej jakiejś tancereczce z opery. A Drum naprawdę zna się na damskich strojach. I ma wobec mnie dług wdzięczności.

Brenna roześmiała się.

- Biedny Drum! Nie wmówisz mi, że taka wyprawa sprawiłaby mu przyjemność! Nie bądź dla niego aż tak srogi!

-Więc weź ze sobą swego brata.

-Jego gusta są bardzo zbliżone do twoich. A poza tym Eric przyjedzie razem z moimi rodzicami.



-Doprawdy? - zdziwił się Rafe. - To co w takim razie robi u nas na dole?!

Brenna obróciła się na pięcie i wrzasnęła z radości.

-Eric tu jest?! Och, to cudownie!

Zbiegła po schodach, wpadła do frontowego hallu i rzuciła się bratu na szyję.

-No, no! Co za powitanie! - śmiał się Eric, ściskając ją z całej siły. - Czyżby ten nędznik znęcał się nad tobą? Już ja mu pokażę!

-Tylko spróbuj - rzucił Rafe, obserwując wylewne powitanie rodzeństwa.

-Zatrzymasz się u nas, prawda? - rzekła Brenna i spoglądając ponad ramieniem brata, spytała: - A gdzie tata i mama?

-Z przyjemnością zatrzymam się u was, jeżeli chcecie. A rodziców na razie nie ma - odparł Eric. - Podróżują powozem, a ja przyjechałem konno. Mama przygotowała dla was obojga najwspanialszą w świecie niespodziankę. Przekonacie się sami!

-To dlatego jadą tak wolno? - dopytywała się Brenna. - Powinni byli wysłać prezent pocztą!

-Ten się nie nadaje do przesyłki - odparł jej brat z szerokim uśmiechem. - Nic nie powiem, sami zobaczycie. Dość o tym! Pisałeś, Rafe, że muszę koniecznie być na jakimś przyjęciu. Mam nadzieję, że to nie dziś? Jestem wykończony! Bez paniki: czuję się wyśmienicie, tylko od świtu galopowałem jak wariat!

-Dopiero za tydzień - uspokoił go Rafe.

-To i do Erica pisałeś, żeby przyjechał? - spytała męża Brenna.

Skinął głową.

-Pomyślałem, że poczujesz się raźniej, mając go przy boku. Twoja siostra szykuje się na zwykły wieczorek niczym na bal w królewskim pałacu - wyjaśnił Fordowi. - Bardzo bym chciał, żeby wszystko poszło po jej myśli.

-Czy lady Annabella nie będzie zła, że przyprowadzimy jeszcze jednego gościa? - zaniepokoiła się Brenna.

- Która pani domu kręciłaby nosem na szykownego kawalera?

Możesz się nie obawiać - uspokoił ją mąż. Powiedział to tak niedbałym tonem, że Bren od razu poweselała. - Dodatkowy młodzian do obtańcowywania panien siejących pietruszkę jest zawsze darem niebios - dodał, gasząc jej nadzieję, że nic nie obchodzi go, czy hrabianka zainteresuje się innym mężczyzną. - A teraz chodźmy do salonu i

podsuńmy Ericowi jakieś krzesło, Zanim z przyzwyczajenia zemdleje nam w hallu!

- Tylko tyle masz mi do zaoferowania? Krzesło w salonie? - zdziwił się Eric. - Może byś tak jeszcze dorzucił obiad i wygodne łóżko, co? Wtedy nieco łatwiej zniosę szok, że rodzony szwagier zaprasza mnie na cudze przyjęcie ku uciesze pietruszkujących panien!

Wieczór spędzili podobnie jak niegdyś - zanim Brenna i Rafe pobrali się, zanim w ogóle przyszło im coś podobnego do głowy. Siedzieli w salonie i gadali jak najęci. Eric sypał nowinkami z Tidbury, a siostra słuchała go z zapartym tchem. W końcu Rafe wstał, ziewnął i potarł kark.

- Zostawię was samych, żebyście się nagadali. Nie przeszkadzajcie sobie!  
- powiedział, gdy oboje zamilkli. - Przyznam, iż mało mnie to wzrusza, że babcia Tittle nie zostawiła synowi w spadku ani pensa, a taki czy owaki sąsiad popełnił gafę na podwieczorku u proboszcza. Mam zresztą kilka listów do napisania. Wybaczcie zatem, że was opuszczę.

-Jeszcze więcej listów? - zdumiała się Brenna.

-Tak - odparł. - Wysyłam wszystkie po to, by twój debiut towarzyski przebiegł gładko. Sama się przekonasz, że nie tylko twoja mama umie sprawiać ludziom niespodzianki. Ja też to potrafię!

-Porządny z niego chłop - rzekł cicho Eric po wyjściu szwagra. - Jesteś wreszcie szczęśliwa, siostrzyczko?

Brenna nie odpowiedziała od razu, co samo przez się było wymowne. Ford usiadł prosto i czekał, co mu siostra powie. Kiedy się w końcu odezwała, jej głos był nieco szorstki, a ton poważny.

- Sama nie wiem i w tym właśnie sęk! Nie, Ericu, nie rób takich min! Rafe jest bardzo dobry dla mnie. Nigdy by mnie nie skrzywdził z rozmysłem. Rzecz w tym, że... - zawahała się, ale brnęła dalej - ...że kocham go za bardzo. Jest dokładnie takim mężem, jakiego zawsze pragnęłam. Nie wątpię także, że w przyszłości będzie wzorowym ojcem. Ale nim nadejdzie ten dzień, chciałabym mieć pewność, że postępuję właściwie, pozostając przy nim.

-O czym ty mówisz, do diabła?! - spytał niecierpliwie Eric.

Znowu zamilkła na chwilę, zastanawiając się, czy powinna rozmawiać z nim o takich sprawach. Wtajemniczając w swoje kłopoty rodziców, zrobi im przykrość, sobie zaś niewiele pomoże. Brat opiekował się nią od kolebki. Jeśli z nim nie może porozmawiać, to z pewnością nie odważy się poruszyć tego tematu z nikim innym. Ale gdyby nie zwierzyła się komuś, emocje chyba ją rozsadziły!

- Mówię o czymś, o czym oboje dobrze wiemy - odezwała się w końcu. - Rafe ożenił się ze mną tylko dlatego, że musiał, To znaczy... w gruncie rzeczy wcale nie musiał... i wielka szkoda. Gdyby mnie uwiódł, jak wszyscy podejrzewają, miałabym tę pociechę, że przynajmniej z początku naprawdę mnie pragnął. - Mówiąc to, wpatrywała się w ogień. Jej policzki płonęły rumieńcem.

Eric zmarszczył brwi.

-Masz jakiś dowód jego niewierności? - spytał, przyglądając się jej bacznie.

-Nie - odparła, podnosząc na niego oczy pełne bólu. - Ale widziałam, jak twarz mu się zmienia na jej widok, a nawet wtedy, gdy ktoś o niej wspomni.

-Dajże spokój! Nie potępia się nikogo za to, że oko mu błysnie na widok ładnej panny!

-Nie chodzi mi o przelotne emocje... i to właśnie jest najgorsze - broniła swego Brenna. - Gdybym go tak nie kochała, nie miałoby to dla mnie znaczenia. Wiedziałam, że Rafe nie był we mnie zakochany, kiedy się pobieraliśmy. Łudziłam się jednak (pewnie z próżności), że znajdę drogę do jego serca. Teraz wątpię, czy mi się to kiedykolwiek uda, i obawiam się, że zawsze będzie myślał o naszym małżeństwie jako o smutnym obowiązku, który trzeba spełnić.

- Widziałem, jakim wzrokiem spoglądał na ciebie - powiedział Eric, uśmiechając się od ucha do ucha. - Jak możesz wygadywać takie bzdury?!

Poczuła na twarzy gorący rumieniec; odwróciła wzrok.

-To co innego! Sam dobrze wiesz, że miłość i t o... nie chodzą ze sobą w parze. Zrozum wreszcie! - rzuciła ze zniecierpliwieniem. - On kocha inną. Teraz widzę, że ona go też nie zapomniała. Nie mogę myśleć tylko o

swoim szczęściu! Czy Rafe nie ma do niego prawa?! Nie wyobrażam sobie gorszego losu niż wieczna tęsknota za czymś nieosiągalnym...

-Nie pleć bzdur! - przekonywał Eric. - Wybij to sobie z głowy! Rafe jest człowiekiem honoru. A ta jego luba panną z dobrej rodziny. Czy myślisz, że tak zgłupiała z miłości do niego, że skłoni go do romansu i narazi na szwank swoją reputację? Albo Rafe zrobi coś równie głupiego? Nie masz o nim dobrego mniemania, jak widzę!

-Mam o nim jak najlepsze mniemanie! - odcięła się. - To ty mówisz bez zastanowienia! Wiem, że ona musi wyjść za mąż. Ale bardzo wątpię, czy zazna miłości w tym małżeństwie. Ogromnie jej zależało na Damonie Ryderze, cały Londyn o tym wiedział. A potem wpadł jej w oko Rafe. Biedna dziewczyna, prawie jej współczuję... Dlatego „prawie”, że postąpiła okrutnie względem mnie. Wyjdzie za mąż i oczywiście zrobi dobrą partię. Ale wiesz chyba, jakie zasady obowiązują w wielkim świecie. Mężatka ma pełne prawo do romansów, kiedy spełni swój obowiązek i obdarzy męża synem i spadkobiercą. A gdyby Annabella nadal żywiła uczucie do Rafe'a, a on w dalszym ciągu był w niej zakochany... i w dodatku stykaliby się na każdym kroku, kto wie, co by się stało za rok albo dwa...?

-W życiu nie ma nic pewnego oprócz śmierci - odparł drwiąco Eric. - Po co zadrećcać się myślami o tym, „co by było, gdyby”?

-Gdybyś był zakochany, tobyś zrozumiał. Wiesz, jakie plotki krążą na mój temat. Mogę je znieść, bo nie ma w nich słowa prawdy. Ale co będzie, gdy część z nich okaże się prawdziwa? Jeżeli będę miała pewność, że istotnie sprzątnęłam Rafe'a sprzed nosa kobiecie, która kocha go z wzajemnością? Jeśli jestem jedyną przeszkodą, która odgradza go od szczęścia? Nie

chcę przez resztę życia czuć się podłą intrygantką, Ericu! Nie zniósłabym tego.

-O rozwodzie nie ma mowy - zauważył jej brat, podnosząc raptownie głowę. - Nie myślisz chyba o jakichś... teatralnych gestach? Powiadam ci, Bren, to kompletna bzdura! Wybij to sobie z głowy! Czego ty chcesz od Rafe'a? Żeby padał przed tobą na kolana? Żeby ci deklamował o miłości?! Rafe to prosty chłopak. Jego czyny mówią same za siebie. Nie wierzę, by zachował się kiedykolwiek wobec ciebie nie tak, jak trzeba!

-Nie zachował się i nie zachowa, możesz być pewny! Jest mi ciężko... ale nie mam do niego żadnej pretensji. I nie bój ani mi w głowie samobójstwo - zapewniła. - Ale jeśli przekonam się, że on ją nadal kocha, usunę się na zawsze... nie ze świata w ogóle, ale z ich świata.

Brat spoglądał na nią takim wzrokiem, jakby dostała pomieszania zmysłów.

-Mogę wyjechać za granicę - wyjaśniła. - Już to raz zrobiłam i zdobędę się na to po raz drugi. Wyjadę do jakiegoś obcego kraju i rozpocznę życie od nowa. W tej sytuacji Rafe bez trudu otrzyma rozwód albo unieważnienie małżeństwa. Obejdzie się bez skandalu. No, nie rób takiej zaszokowanej min Nie chcę być dla Rafe'a kulą u nogi. I, Bogu dzięki, wiem, że nie muszę nią być!

-Nie powinnaś nawet myśleć o takich rzeczach! - zagrzemiał Eric. - Ani gadać o nich! Toż to jakieś brednie!

-Doprawdy? A pani MacNeal, pani Gray, porucznik Gumn? Eric zamilkł. Były to nazwiska znanych im obojgu, z gruntu dobrych ludzi, którzy zeszli na złą drogę, zrujnowali życie sobie i innym z powodu nieszczęśliwego, pozbawionego miłości małżeństwa.

- Nie życzę podobnego losu ani Rafe'owi, ani sobie - powiedziała Brenna. - Pewnie jestem jedną z tych „nowoczesnych rozwydrzonych kobiet, które nie wiedzą, gdzie ich miejsce”. Zaliczano mnie do ich grona już wówczas, gdy postanowiłam przebyć ocean, idąc za głosem serca. Teraz moje serce należy do Rafe'a Jeśli on nie odda mi swojego, po raz drugi postąpię tak samo.

Eric potrząsnął głową.

-Nie należysz do tych, co się poddają, Bren. Nie tego ojciec nas uczył. Dobrze o tym wiesz!

-Nie warto walczyć o przegraną sprawę, Ericu. Tego też ojciec nas uczył - odparła ze smutkiem.

Ford nachmurzył się. Znali się z siostrą aż za dobrze; nie mógł kwestionować czegoś, co uważała za prawdę. Co - kto wie? - może i było prawdą?

-Zanadto wybiegasz w przyszłość. Nie spiesz się tak! - poprosił. - Jakąkolwiek podejmiesz decyzję, taką czy inną, będziesz znosić jej konsekwencje do końca życia.

-Wiem o tym! I drzę na samą myśl! - odrzekła Brenna. Próbowwała się roześmiać, lecz głos się jej załamał. - Ale właśnie dlatego, że Kocham Rafe'a, nie zniosłabym życia z nim, gdybym wiedziała, że toleruje mnie tylko z poczucia obowiązku.

Eric prychnął lekceważąco.

-Skąd pewność, że po tym jednym przyjęciu wszystko stanie się dla Ciebie jasne?! A na dobitkę przygotowujesz się z góry na najgorszy wariant!

-Lepiej przygotować się na najgorsze niż na najlepsze. A podczas tego przyjęcia nie tylko ja zorientuję się, skąd wiatr wieje! Ty również to wyczujesz.

-Jeśli o mnie chodzi, pozalecam się do damy, o której mowa - oznajmił Eric, siadając wygodnie i wyciągając przed siebie nogi. - Nie wytrzeszczaj na mnie oczu, Bren! Wolałbym umizgać się do Daltona. Bez przechwałek, znam się na kobietach i potrafię każdą zmusić, żeby zwróciła na mnie uwagę... chyba że jest poważnie zainteresowana kimś innym. Bardzo wątpię, by ta ślicznotka była zakochana w Rafie. Nie przeczę, to jest całkiem przystojny... na swój sposób. Ale ty, siostrzyczko, jesteś tak w niego zapatrzona, że nie spoglądasz realnie na świat. Może zdołam ci otworzyć oczy.

-Czy dzięki temu dowiem się, co on naprawdę czuje?

- Nie, tego się nie dowiesz - odparł bez ogródek, zupełnie jak jej mąż. - Ale kiedy okaże się, że z jej strony nie ma mowy o miłości, to może zrozumiesz, że powinnaś trwać przy nim dla jego dobra.

Brenna skinęła głową.

-Ale jeśli się okaże, że miałam rację... że nie ma żadnej nadziei na to, by mnie pokochał... Czy w takim wypadku mogę liczyć na twoją pomoc?

-Chyba w to nie wątpisz - powiedział Eric łagodnie.

Nowa pokojówka zjawiała się równocześnie z poranną pocztą. Była szczupła, niewysoka i młodziutka. Ciemnowłosa, z brązowymi oczyma przypominającymi bratki. Najpierw rozejrzała się z podziwem po hallu, potem utkwiała wzrok w twarzy pani Dalton.

Postawiła na podłodze torbę podróżną i dygnęła.

-Za przeproszeniem panienki, nazywam się Rebecca Forest. Mamusia panienki mnie tu przysłała aż z Tidbury, żebym była za pokojówkę. Mam

nadzieję, że się nadam.

-Witaj, Rebecca! - zawołała rozradowana Brenna. - Jestem pewna, że nadasz się znakomicie! - Komu jak komu, ale mamie można było zaufać, że zawsze znajdzie najlepsze rozwiązanie! Ta skromna dziewczuszka z rodzinnych stron odpowiadała Brennie stokroć bardziej od aroganctlich londyńskich pokojówek -Podejmiesz swe obowiązki jeszcze dziś: pojedziesz razem ze mną do krawcowej.

Ostatecznie jednak oprócz nowej pokojówki towarzyszyło Bren dwoje starych przyjaciół jej męża: Drum i Gilly Ryder.

- Stawiamy się na wezwanie! - oznajmiła śliczna, jasnowłosa Gilly, wkraczając do domu Daltonów tuż po śniadaniu, - Już my dopilnujemy, żebyś wystąpiła na przyjęciu w pełnej gali! To znaczy... Damon musi załatwić pewne interesy, ale wyraził zgodę, żebym towarzyszyła ci razem z Drumem.

-Na wezwanie...? - powtórzyła Brenna, spoglądając na męża, którego policzki przybrały barwę równie ognistą, jak włosy.

Zanim Rafe zdołał odpowiedzieć, odezwała się Gilly:

-Prawdę mówiąc, nie wezwanie, tylko rozkaz!

- To dlatego miałeś tyle listów do napisania...? - spytała Brenna.

Skinął głową.

- Pomyślałem, że lepiej się poczujesz, jeśli będziesz miała wokół siebie przyjaciół.

-No właśnie! - przytaknęła Gilly z promiennym uśmiechem. -Co by z nas byli za przyjaciele, gdybyśmy wam nie pomogli w potrzebie? A dla mnie to wspaniała okazja do wymknięcia się z domu! Ten pomyleniec - uśmiechnęła się zniewalająco do swego męża - myśli, że jestem pierwszą kobietą od czasów biblijnej Ewy, która ma wydać na świat potomka! Nic tylko zamartwia się i wlepia we mnie oczy jak kot w jedną jedyną myszkę!

-Coś ci się poplątało. Przysłowie mówi o kocicy z jednym kociątkiem - odezwał się Drum. Zjadł właśnie śniadanie w towarzystwie Daltonów i wyjrzał do hallu, by przekonać się, co to za rejwach.

-A ten nic, tylko by mnie poprawiał! - stwierdziła pogodnie Gilly. - Moim zdaniem mysz lepiej pasuje. Czyżbyś bał się myszy...? A propos kocicy; jak już wspomniałam, Damon zachowuje się, jakbym była pierwszą w

świecie samiczką, która się okoci! Wiem, wiem! - dodała, posyłając hrabiemu rozbawione spojrzenie. - Damy tak się nie wyrażają, prawda? Guzik mnie to obchodzi! Ale ostatecznie zgodził się spuścić mnie ze smyczy, kiedy mu powiedziałam, że Drum się mną zaopiekuje - trzepała wesoło. - Strasznie się cieszę na tę wyprawę! Rafe powiedział, że Drum pomoże nam wybrać suknię. Też coś! Znam się na sukniach lepiej od niego, chociaż ostatnio w żadną się nie mieszczę! - dodała ze śmiechem.

-Ach, ty łobuziaku! - ofuknął ją hrabia. - Małżeństwo nic a nic cię nie zmieniło! Powinienem obrazić się na ciebie, ale masz niestety rację!

-Naszej Gilly nic nie zmieni - stwierdził Damon Ryder. - Bogu dzięki!

Brenna w żaden sposób nie mogła powiedzieć tym rozdokazywanym urwisom z najwyższych sfer, że nie potrzebuje ich pomocy. I bardzo dobrze, gdyż uświadomiła sobie, jak jej się ta pomoc przyda.

- Drum może i zna się na modzie, ale ja znam Rafe'a! - zwróciła się do Brenny Gilly, gdy jechali eleganckim powozem hrabiego. - Nie martw się! Znajdziemy najwspanialszą suknię w świecie, taką, że i ty będziesz się w niej doskonale czuła, i on

będzie z ciebie dumny! Najważniejsze przy wyborze stroju jest to, żeby czuć się w nim swobodnie. Wtedy wszyscy zauważą arcydzieło krawcowej, ale w pierwszej kolejności kobietę, która jest w nie ubrana. Ale choćbyśmy mieli tkwić u krawcowej cały dzień, znajdziemy dla ciebie taki strój! Musimy tylko powstrzymać Druma od bałamucenia pańienek, które prezentują toalety!

-Najlepsza będzie ta, która przypadnie lady Bren do gustu i podkreśli jej urodę - wtrącił się hrabia.

-Nie sądzę - odparła Bren. - Chcę wyglądać na osobę godną szacunku.

W powozie zapadło niezręczne milczenie. W końcu Drummond odezwał się łagodnie:

- Jesteś godna najwyższego szacunku, lady Bren!

- Dziękuję. Ale krążą o mnie różne plotki. Nie możecie temu zaprzeczyć!

- Po to właśnie tu jesteśmy: żeby im zaprzeczyć - odparł.

Obejrzeliby chyba z tuzin sukien. Śmiali się, żartowali i sprawili, że Brenna poczuła się swobodnie w wytwornym salonie mód. Spodobała im się żółta suknia, podziwiali też różową. Wracali kilkakrotnie do popielatej



ozdobionej złotem. Brenna była zdania, że każda z prezentowanych sukien byłaby odpowiednia. Ale dopiero na widok karminowej sukni z długimi rękawami zaparło jej dech. Suknia była bardzo prosta, gładka, w kolorze dojrzałych wiśni. Żadnych falban, żadnej wierzchniej spódnicy, żadnych wstawek ani plisek. Tylko dyskretny czarny wzorek na samym dole spódnicy i wykończone ciemną wstążką rękawy oraz podwyższona talia. Luźne fałdy jedwabiu spływały od talii do ziemi. Suknia dzięki swej prostocie była bardzo oryginalna, a dzięki barwie od razu rzucała się w oczy. Oczywiście nie nadaje się - pomyślała Brenna. Zbyt wyzywająca i zmysłowa.

-Czy ta przypadła ci najbardziej do gustu? - spytała spostrzegawcza Gilly.

-Jakie to ma znaczenie? - odparła z żalem Brenna. - Absolutnie się nie nadaje!

Ale suknia była dokładnie taka, o jakiej zawsze marzyła i jakiej nigdy nie ośmieliła się sobie sprawić.

- Przymierz ją, lady Bren! - poprosił Drum. - Dziewczyna, która ją prezentuje, jest jasną blondynką. Trudno sobie wyobrazić, jak suknia będzie wyglądała na brunetce!

Brenna protestowała, ale nie słuchali jej argumentów. Musiałaby chyba nakrzyczeć na nich albo ich skłąć... a nie miała ochoty obrażać przyjaciół Rafe'a. Przy pomocy nowej pokojówki włożyła suknię, jednak do opuszczenia przymierzalni zmusił ją dopiero kategoriyczny rozkaz Druma. Kiedy wyłoniła się z pomieszczenia na tyłach sklepu, zapadła nagle cisza. Przyjaciele Rafe'a wpatrywali się w nią z zapartym tchem.

-Tak - odezwał się wreszcie hrabia. - Ta albo żadna!

- Wyglądasz cudownie! - wykrzyknęła Gilly, klaszcząc w ręce.

Ten dźwięk sprawił, że Brenna wróciła do rzeczywistości.

- Suknia jest bardzo piękna - przyznała. - Ale wyglądam w niej zbyt egzotycznie. - O mały włos nie powiedziała „zbyt erotycznie”. Przyjrzała się dokładnie swemu odbiciu w lustrze. Suknia była przepiękna... tyle że w sam raz dla rozpustnicy. Przylegała do ciała, podkreślała wszystkie krągłości, a jej barwę wymyślił chyba sam szatan dla pokusy! Wszystko razem idealnie pasowało do typu urody Bren. I do jej zaszarganej reputacji. Egzotyczna? Przypominała raczej fragment malowidła

przedstawiającego kuszenie takiego czy innego świętego. Jej wygląd stanowił dobitne potwierdzenie rozpuszczanych na jej temat plotek. Kobieta, którą ujrzała w lustrze, bez wahania rozebrałaby się do naga i upozowała w widocznym miejscu w kawalerskim mieszkaniu, by odbić ukochanego jakiejś damie. I zapewne na tym by nie poprzestała.

-Tak! - powtórzył Drum. - Egzotyczna. Niezrównana. Ani jeden z obecnych na przyjęciu mężczyzn nie będzie miał wątpliwości, co skłoniło Rafe'a do poślubienia lady Bren!

Gilly zgadzała się z nim w zupełności. Oboje zmusili Brennę do kupienia czerwonej sukni i robili jej wyrzuty przez całą drogę do domu, gdyż uparła się i kupiła także różową. Z pewnością Rafe uzna ją za bardziej odpowiednią!

- Niech no cię zobaczy w tamtej, lady Bren! - odparł na to Drum, a Gilly znacząco kiwnęła głową.

- Mamy suknię - obwieścił hrabia Daltonowi zaraz na wstępie. - Tylko zmusz żonę, żeby ci ją zaprezentowała! Rafe spojrział na Bren i uniósł brew.

-Później - odparła.

Wieczorem, kiedy zostali wreszcie sami, Brenna zrozumiała, że dłużej nie może zwlekać. Musi włożyć szkarłatną suknię i urządzić Rafe'owi prywatny pokaz. Przeszła do garderoby i się przebrała. Z zapartym tchem wróciła do sypialni. Rafe zdejmował właśnie surdut. Obejrzał się i skamieniał. Wpatrywał się w nią długo i w skupieniu.

-Zdejmij ją! - polecił wreszcie.

-No, sam widzisz! - odparła z wymuszoną wesołością, choć okazało się, że miała rację. - Wiedziałam, że ci się nie spodoba!

-Podoba mi się, jeszcze jak! - zapewnił, chwytając Bren w objęcia. - Ale musisz ją zdjąć, bo chcę się z tobą kochać... nie niszcząc tego arcydzieła!

Była już głęboka noc. Rafe spał u boku Bren. Jej sen się nie miał, mimo że była zmęczona. Rozkosze miłości tylko na chwilę pozwoliły jej zapomnieć o zmartwieniach. A martwiła się ogromnie!

Rafe był zafascynowany jej ciałem. To nie ulegało wątpliwości. Ale jego pożądanie, aczkolwiek jej pochlebiało, nie uśmierzało niepokoju.

Wiedziała, że mężczyźni całkiem odrębnie traktują popędy ciała i porywy serca.

Czego ty jeszcze chcesz?! - besztła się w duchu.

Miała jego nazwisko, jego szczere przywiązanie i jego zawsze spragnione ciało. Wszystko to jednak nic nie znaczyło, brakowało bowiem jego serca. No, nie całkiem nic! - poprawiła się, spoglądając na dużą, opaloną rękę obejmującą jej pierś nawet przez sen.

Jednak niepokój zatruł jej nawet rozkosze fizycznej miłości. Jak będą wyglądały następne lata ich wspólnego życia, jeśli Rafe kochając się z nią, będzie myślał o ciele Annabelli...? Pragnął towarzystwa Annabelli...? A gdy przyjdą na świat dzieci, na próżno będzie szukał w nich jej rysów...

Musi włożyć nową suknię - strój rozpustnicy - i udać się na przyjęcie. Przyglądać się uważnie, przysłuchiwać się jeszcze uważniej. I tym sposobem przekonać się raz na zawsze, czy ich małżeństwo było dla Rafe'a tylko nędzną namiastką szczęścia, czy też wyjątkowym darem losu: powtórna szansa zaznania prawdziwego szczęścia?

24

- Zatrzymać się u was? Ależ, drogi chłopcze, to nie do pomyślenia! Twój domek z pewnością by nas nie pomieścił - orzekła lady Dalton zaraz po przybyciu. W mgnieniu oka oceniła siedzibę syna i nie wpadła w zachwyty. Na jej twarzy odbiła się wręcz pogarda dla nikłych rozmiarów rezydencji. - Twój ojciec, brat i ja rozlokujemy się znacznie wygodniej w hotelu, możesz mi wierzyć.

Brenna była tego samego zdania i zdobyła się tylko na grzecznościowy protest. Za to Rafe wypalił bez ogródek:

-Gdybyście nas powiadomili o swych zamiarach, przygotowalibyśmy się na wasze przybycie. Albo poprosilibyśmy, żebyście wstrzymali się z wizytą, póki nie przeniesiemy się do nowego domu, co niebawem nastąpi. Oczekujemy właśnie rodziców Bren. Mają się u nas zatrzymać. Toteż, choćbym nie wiem jak chciał, nie mogę was namawiać na pozostanie u nas. Wolno spytać, co was skłoniło do tak nagłego przyjazdu?

-No, cóż... Dowiedzieliśmy się, że twoi teściowie wybierają się do

Londynu, a mamy ogromną ochotę ich poznać... - wyjaśniła markiza, ściągając rękawiczki. - Doszły nas również słuchy, że w tym sezonie atrakcji nie zabraknie. Wymarzona okazja dla Granta! Nie jest już taki młody... Najwyższy czas, by znowu uwił sobie gniazdko w Londynie.

-Znowu? - zdziwił się Rafe.

-Bawiłem tu nieraz przez te wszystkie lata, kiedy się nie widywaliśmy. Niestety, zawsze cię wtedy nosiło po świecie.

-Rzeczywiście, wyprawiał się do Londynu Bóg wie ile razy -przypadkiem słodko markiz - ale zawsze wracał z pustymi rękami.

-Z pustymi rękami? - spytał zdezorientowany Rafe, gdy jego rodzice wymienili znaczące uśmiechy.

-Bez żony - wyjaśnił mu zwięźle brat.

-Możecie sobie wyobrazić, jak nas ucieszyła wieść, że Grant wyrusza znów na łowy - podjęła markiza. - Być może małżeńskie szczęście młodszego brata tak go natchnęło.

-Albo myśl o tym, że młodszy brat znów go w czymś wyprzedził, popchnęła go wreszcie do działania! - zauważył kąśliwie ojciec. - Przekonał się naocznie, że czas nie czeka, nawet na pierworodnych.

-Jesteś w błędzie, ojcze - odparł Grant, siląc się na wesołość. - To nie ja zamartwiam się, że Rafe przejmie tytuł. Tyle czasu spędził na wojnie, że prawie udało się wam zapomnieć o jego istnieniu.

-Prawie, ale niezupełnie - odparował markiz. - Wiecznie lamentowałeś, że mama wyczytuje się w doniesienia z frontu. Jeśli chcesz polemizować, mój drogi chłopcze, to poustawiaj swe argumenty w jakimś logicznym porządku!

-Zarzucasz mi brak konsekwencji, ojcze? - odparował Grant. -Przecież to ty ni stąd, ni zowąd zaczęłeś nalegać na mój wyjazd. I w dodatku uparliście się z mamą towarzyszyć mi tym razem, Bóg raczy wiedzieć... a raczej diabli wiedzą po co!

-Nie szastaj boskim imieniem! Wykaż odrobinę szacunku -ofuknął go ojciec z uśmiechem, który świadczył wyraźnie, że jego święte oburzenie jest tylko pozą. - A co do naszego przyjazdu, to powinieneś wiedzieć, że trwa właśnie londyński sezon. Ani twojej mamie, ani mnie nie zabraknie w Londynie zajęcia.

-Lepiej przyznaj szczerze, że zamierzacie dopilnować, bym się tym razem

uwinał i dopiął na ostatni guzik sprawę, na której tak wam zależy - zauważył z goryczą Grant. - Bo gdybym padł ofiarą jakiejś choroby, albo rzezymieszka, czy czegoś tam jeszcze, Rafe albo któryś z jego potomków, którzy się niebawem sypną,

jak nic odziedziczy rodowy tytuł! Dopiero teraz dotarło to do ciebie, nieprawdaż? Stąd to poganianie! Ale uprzedzam, ojciec to ja wybiorę sobie żonę. Albo uznam, że nie jest mi potrzebna

Bren zacisnęła palce tak mocno, że dopiero co wyhodowane paznokcie wbiły się jej we wnętrza dłoni. Trójka z Arrow Court, złączona nierozzerwalnym, potępieńczym węzłem, warczała i kąsała się nawzajem. Może nie zdawali sobie sprawy, jaki ból sprawiają Rafe'owi ich uwagi? A może wiedzieli, ale nic ich to nie obchodziło... Za to ją raniło każde słowo, podobnie jak Rafe'a, choć zachował kamienną twarz.

- Na przyjęciu u lady Annabelli nie zabraknie młodych, po-saźnych panien z najlepszych rodzin - wtrąciła pośpiesznie, zanim któreś z nich zdążyło zadać kolejny bolesny cios. - Prawdę mówiąc, ona sama jest do wzięcia. A w dodatku powszechnie uchodzi za największą piękność w Londynie.

Wszyscy zwrócili się z zainteresowaniem w stronę Brenny. Ona jednak dostrzegła tylko wyraz twarzy męża. Z trudem przełknęła ślinę.

-Tylko nie jestem pewna, czy uda nam się jeszcze zdobyć dla was zaproszenia - zakończyła szeptem, wstrząśnięta do głębi duszy.

Twarz Rafe'a była znów nieprzeniknioną maską. Jednak pod pozorną obojętnością kłębiły się w nim gwałtowne uczucia. I nagle Brenna uświadomiła sobie, co zrobiła. Starając się skierować rozmowę na inny temat, nie zauważyła kryjącej się w jej słowach sugestii. To, że Annabella była dla niego nieosiągalna, było dla Rafe'a wystarczająco bolesne. Tymczasem ona - Boże wielki! - niemal zachęcała jego brata do małżeństwa z Annabellą! Ileż by to sprawiło bólu Rafe'owi...? I jej samej...

- Lady Annabella? - spytała markiza i oczy jej zabłyśły. - Czy to nie ta dama, o którą ty się starałeś, Rafe, nim zdarzył się ten wypadek...? Chciałam powiedzieć: zanim poznałeś swoją śliczną żoneczkę?

-Ta sama - potwierdził jej syn.

-I ona was zaprasza na przyjęcia? No, no! Cóż za wielkoduszna niewiasta!

- wtrącił markiz. - Znasz ten wzór dyskrecji i chrześcijańskiego przebaczenia, Grancie?

-Z widzenia - odparł syn. - Tylko z widzenia. Trudno byłoby jej nie zauważyć. Uchodzi za największą ozdobę Londynu. Ale zawsze panował wokół niej ogromny ścisk. Nie zamierzam nikogo wielbić w tłumie innych czcicieli.

-Coś mi się zdaje, że ten tłum nieco się przerzedził - wymruczała markiza jak zadowolona kotka. - O ile dobrze pamiętam, jest ozdobą Londynu od dobrych paru lat. Chyba już się... nieco opatrzyła.

-Fascynujące - stwierdził markiz, spoglądając to na jednego, to na drugiego syna. - Nie mógłbyś zdobyć dla nas zaproszeń, Raphaelu?

Rafe skinął głową.

- Wasze nazwisko powinno być wystarczającą rekomendacją. Zawiadomię lady Annabelle, że macie ochotę wziąć udział w jej przyjęciu.

W pokoju zaległa cisza. Brenna nie miała pojęcia, o czym mówić. Język stanął jej kołkiem, serce ciążyło. Siedzieli w salonie w kompletnym milczeniu. Wlewające się przez okna jasne światło słoneczne nie zmniejszało napięcia, jakie wniesli ze sobą nieoczekiwani goście, ani niepokoju, który dręczył Brennę. Nagle usłyszała, że otwierają się drzwi. Pospiesznie zerwała się z miejsca, gotowa skorzystać z każdego pretekstu, byle opuścić salon. Okazało się to jednak niepotrzebne.

- Dzień dobry! - odezwał się dobrze jej znany, wesoły głos. - Nie przeszkadzam?

Na progu stał Eric.

-Skądże znowu! - odparł Rafe. - Chodź no tu, Ericu. Zapoznaj się z moją rodziną!

-Nigdy bym nie przypuściła, że jesteście rodzeństwem! -wykrzyknęła markiza, spoglądając na Erica i Brennę.

-Tylko przyrodnim - wyjaśnił Eric. - Ale kochamy się nie połowicznie, tylko w dwojnasób.

-Ładnie powiedziane - pochwalił markiz. - Widocznie bracia i siostry bardziej się kochają niż sami bracia. Nasi chłopcy także nie są do siebie podobni. - Wykrzywił usta w uśmiechu i zerknął na żonę.

Brenna spojrzała na męża. Z kamienną twarzą przyjął kolejną aluzję do

swego nieprawego pochodzenia.

- Ale obawiam się, że nie są do siebie zbyt przywiązani - dodał markiz sucho.

Rafe nadal milczał. Grant lekko się skłonił, jakby w podzięce za komplement.

- O, my w ogóle jesteśmy kochającą się rodziną - powiedział Eric. - Mamy w sobie tyle miłości, że starczy jej dla wszystkich. Na przykład moi rodzice wprost nie mogą się doczekać spotkania z państwem. Bardzo brakowało nam was na weselu Bren i Rafe'a. Wszyscy ogromnie żalowali. Mam nadzieję, że wróciła pani całkiem do zdrowia, markizo?

Jesteśmy kochającą się rodziną. O, tak! - myślała Brenna. Brat skoczyłby do gardła samemu diabłu w jej obronie! Pomyślała również, że Eric i Grant stanowili najlepszy dowód, jak dalece różnią się ich rodziny.

Obaj byli wysocy, jasnowłosi, przystojni. Ale na tym kończyło się podobieństwo. Eric poruszał się jak lew: ze swobodnym wdziękiem znamionującym siłę. Był człowiekiem wielkiej dobroci, godnym zaufania, skorym do śmiechu. Nie tylko kobiety miały do niego słabość. Liczni przyjaciele przepadali za nim i cenili go. A jego podkomendni w wojsku skoczyliby za nim w ogień. Niejeden zresztą dowiódł tego czynem.

W przeciwieństwie do niego Grant przypominał posąg z lodu i było w nim akurat tyle ciepła. Jego smukła postać i niewątpliwa uroda nie zjednywały zbyt wielu serc; wydawał się uosobieniem pychy. Całe szczęście, że nie został oficerem - myślała Brenna. Żaden z podkomendnych nie czułby się dobrze pod takim dowódcą! Miała też poważne wątpliwości, czy kobiety lubiły przebywać w towarzystwie wicehrabiego. Nawet rodzice, choć go wyraźnie faworyzowali, nie mogli się jakoś z nim dogadać.

-Dziękuję za pamięć - odparła markiza. - Wróciłam całkowicie do zdrowia. - Była jednak nieco speszona.

-Ogromnie się cieszę. Doskonale się złożyło, że państwo tu są - rzekł Eric - bo moi rodzice zjawią się niebawem.

-Niebawem?! - zagrzemiał dobrze znany bas z frontowego hallu. - Nie łżyj, Ericu! Już tu jesteśmy!

Brenna spojrzała ponad ramieniem brata.

- Tatusiu! - wrzasnęła radośnie. - Mamusiu! -I nie zważając na to, co teściowie sobie pomyślą o jej manierach, popędziła na spotkanie rodziców.

-Jak długo tu jesteście? Och, ty łobuzie! Wiecznie sobie stroisz żarty! - ofuknęła brata, obejmując naprzemian to jedno, to drugie z rodziców. Powitanie było bardzo radosne i bardzo hałaśliwe. Witali się po miesiącu tak, jakby nie widzieli się od lat. Wkrótce jednak Brenna opamiętała się. Był już najwyższy czas wrócić do salonu i we wzmocnionym składzie stawić czoła rodzinie męża.

Rafe dokonał prezentacji.

Markiz skinął głową; pułkownik wyciągnął rękę. Markiza wyjęła lorgnon i zlustrowała Maurę Ford, nim raczyła się z nią przywitać. Na twarz Bren wypłynął gorący rumieniec, gdy spostrzegła wyrządzoną jej matce zniewagę. Ale zaraz uśmiechnęła się w duchu z satysfakcją. Jej mama nie dała się zawojować odpłaciła markizie pięknym za nadobne. Widać było, że wielka dama wcale jej nie imponuje. Popatrzyła na nią jak na dziwny okaz i uśmiechnęła się.

-Jak miło wreszcie pana poznać, milordzie - zwróciła się słodko do markiza, dygając z gracją. - I panią, markizo - dodała, witając ukłonem matkę Rafe'a. - Ale tego młodzieńca nikt mi nie musi przedstawiać - zwróciła się do Granta. - W odróżnieniu od Rafe'a po panu od razu można poznać, czyim jest synem!

Komuś wyrwał się stłumiony okrzyk, innym zapało dech. Oczy Rafe'a błysnęły, ale nadal stał bez ruchu. Maura For dokonała nie lada wyczynu: zaszokowała Daltonów do tego stopnia, że na chwilę odebrało im mowę. Oni sami na każdym kroku pozwalali sobie na aluzje do pochodzenia Rafe'a... oczywiście w rodzinnym gronie! Ale żeby ktoś obcy odważył się uczynić taki afront?! Co też mamie strzeliło do głowy?! - zdumiewała się Brenna.

Jej matka wydawała się nieświadoma popełnionej gafy. Kontynuowała w tym samym tonie.

-Tak, tak, pański pierworodny to skóra zdjęta z tatusia zwróciła się do markiza. - Za to Rafe jest nieodrodnym potomkiem swego czcigodnego przodka - dodała wesolutko.

-Swego... przodka? - spytał ostrożnie markiz.



-Oczywiście! Znamienitego założyciela waszego rodu- wyjaśniła pani Ford. - Sir Griffitha. Legendarnego Gryfa Z Arrow Court.

-Mało prawdopodobne - wycedził markiz, któremu wyraźnie ulżyło. - Przypuszczam, że pani zasugerowała się tym, że Rafe, w pewnym sensie, poszedł w ślady tego nieustraszonego wojownika. Ale nie zachowało się żadne świadectwo na temat wyglądu słynnego Gryfa.

Maura Ford roześmiała się; jej niewinny, srebrzysty śmiech zmaćcił ciszę, która zaległa w pokoju.

- Ależ zachowało się! Nie wiem, czy moja córka zdradziła państwu, że moją największą pasją jest genealogia. Nie należę do tych, którzy naprzykrzają się wszystkim, wyliczając swoich przodków, począwszy od Adama i Ewy! Mogłabym to oczywiście zrobić, ale moje zainteresowania nie ograniczają się do jednego drzewa genealogicznego.

Zainteresowałam się genealogią, gdy Brenna przyszła na świat. No cóż, każdy od razu widzi, że Eric wdał się w tatusia, a Brenna we mnie. Ponieważ wszyscy posądzali moje biedne dziecko o domieszkę jakiejś egzotycznej krwi, postanowiłam udowodnić, że jest Walijką i tylko Walijką. Przy okazji zawarłam fascynującą znajomość ze swymi przodkami. Dzieje ludzkości są długie, rody też istnieją przez całe wieki... Ale krew nigdy nie kłamie! A matka natura jest leniwa i lubi powtarzać stare, wypróbowane wzory. Krótko mówiąc, kiedy Brenna mi napisała, że poznała pańskiego syna, zainteresowałam się historią waszej rodziny. Może pan z niej być dumny, markizie: godna szacunku linia! Ród prawie tak stary jak mój. Znalazłam wiele wzmianek na jego temat. Nic więc dziwnego, że gdy tylko ujrzałam Rafe'a, od razu zorientowałam się, od kogo się wywodzi. Ma wyraźne cechy rodzinne, których - niestety - nie odziedziczył ani pan, markizie, ani pański pierworodny. Za to Rafe to przykład wspomnianych przeze mnie wzorów powielanych przez naturę. Widać to na pierwszy rzut oka!

- Na pierwszy rzut oka? - spytała ze zdumieniem markiza.  
- Ależ oczywiście! - odparła równie zdumiona Maura. Przecież musieliście to dostrzec zaraz po urodzeniu! Dziwię się, że nie nazwaliście chłopca Griffith albo Gryf...! Co prawda w zdrobieniu „Rafe” można doszukać się pewnego śladu... Te dziedziczne cechy nieraz znikają na

kilka pokoleń, by pojawić się na nowo. Towarzyszą wiernie rodowi, aż do wygaśnięcia linii.

Markiz chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Zastygł w zadumie z rozchylonymi ustami. Jego żona wpatrywała się w przestrzeń. Grant zmrużył oczy. Rafe nadal stał bez ruchu. Brenna spostrzegła nagle, że Eric i jej ojciec z trudem wstrzymują się od śmiechu. Poczowała ogromną ulgę i wsunęła rękę w lodowatą dłoń męża. Przez całe życie miała absolutne zaufanie do swej matki. Z pewnością nie zawiedzie się na niej i teraz.

-Ależ, markizie! - wykrzyknęła Maura Ford. - Czyżby panu nic nie mówiły te imiona? Sir Griffin, Gryf?

-Okazuje się, że nie - odparł lodowatym tonem markiz. - Może pani zechce udowodnić naszą ignorancję, która ją tak bawi?

-Ależ oczywiście, drogi panie! - odrzekła mama Brenny, wysuwając się przed męża, któremu wyraźnie nie spodobał się pogardliwy ton głosu markiza. - Po pierwsze, imię. Po drugie, cechy dziedziczne. Założę się, że w waszej okolicy nie brak rudowłosych! Mogłabym godzinami rozprawiać o plemionach saksońskich, gaelickich i celtyckich, wśród których dominował ten właśnie kolor włosów. Zamieszkiwały one te tereny na długo, bardzo długo przed bitwą pod Hastings! Co tam Hastings! Na długo przed Rzymianami i przed Wikingami! Czy imię waszego protoplasty też wam nic nie mówi?!

Sapnęła ze zniecierpliwienia, spostrzegając konsternację słuchaczy. Opanowała się jednak i tłumaczyła cierpliwie niczym nauczyciel w klasie wyjątkowo tępych uczniów.

-„Gruffydd” to imię walijskie, nieco zmieniona forma imienia „Griffin”, w skrócie „Gryf”. Tak się nazywał założyciel waszego rodu. Nietrudno się domyślić, czemu otrzymał to imię - poza tym, oczywiście, że był równie groźny, jak legendarny gryf. W tamtych czasach ludzie myśleli bardzo konkretnie, nie wychowywali się na klasykach, może nawet nie słyszeli o gryfach... Właśnie ta myśl popchnęła mnie na właściwą drogę. Następny wniosek był oczywisty. „Gruffydd”, „Griffin” czy celtycki „Griffith” znaczą to samo, co łacińskie imię „Rufus”. A to wyjaśnia wszystko. Nieprawdaż? Zakończyła przemowę, bardzo z siebie rada. Kiedy jednak spostrzegła, że słuchacze dalej gapią się na nią, nic nie rozumiejąc, dodała z podejrzaną

słodyczą:

-Wszystkie te imiona znaczą „rudowłosa”. Wasz słynny Gryf musiał być kropka w kropkę podobny do Rafe'a. Bez wątplenia!

-Bez wątplenia... - powtórzyła jak echo markiza po chwili ciszy. Po raz pierwszy uśmiechnęła się szczerze i odetchnęła głęboko. - Bez wątplenia!  
- powtórzyła, unosząc dumnie głowę i spoglądając z triumfem na męża. - Oczywiście, że nikt nie powinien w to wątpić!

-Nie wiem, ile w tym prawdy - odezwał się Rafe ni stąd, ni zowąd, przerywając nocną ciszę.

Brenna wstrzymała dech. Nie musiał jej wyjaśniać, o co mu chodzi. Odkąd jej mama wyskoczyła ze swymi rewelacjami, wszyscy myśleli tylko o jednym, choć nikt nie wyrzekł ani słowa. Daltonowie pożegnali się przed kilkoma godzinami, zamyśleni i zdumiewająco małomówni. Rodzina Brenny spała już w pokojach gościnnych.

Brenna i jej mąż leżeli obok siebie w łóżku. Podłożywszy ręce pod głowę, Rafe wpatrywał się w sufit. Tej nocy się nie kochali.

Nagle roześmiał się cicho.

- Ale nie mam też żadnej pewności, że tak nie jest. I o to właśnie chodziło, nieprawdaż? Boże święty! Ależ z twojej mamy bohaterka! Możliwe, że to wszystko bzdura... ale widziałas, jakie mieli miny?! Mama wyglądała jak kot, który właśnie wrąbał kanarka. Ojciec po raz pierwszy w życiu był zbity z tropu...! I Grant, biedaczysko... Tak się pysznił swoim prawym pochodzeniem, bo tylko pod tym względem nade mną górował...jeśli nie liczyć tego, że urodził się pierwszy. A teraz, gdy twoja mama wetknęła kij w mrowisko, nikt już nie jest  
niczego

pewny. Wieczne wątpliwości będą odtąd nękać Arrow Court.

-Ale przecież moja mama dowiodła... - zaprotestowała Brenna.

Mąż objął ją ramieniem i przygarnął do siebie.

- Niczego nie dowiodła - zaprzeczył. - Cały jej wywód opiera się na jednym imieniu. A czym w końcu jest imię...? Przypuszczam, że moja matka sama nie wie, jak wygląda prawda. Pewnie czekała, aż dziecko się urodzi, żeby z jego wyglądu zorientować się, kto jest jego ojcem. Kiedy urodziłem się rudym jak hultaj, z którym się zabawiała, doszła do wniosku, że jestem jego

synem. Ale nigdy nie wyznała ojcu tej, jak sądziła, oczywistej prawdy. Niepokoila go i podniecała tą nierozwiązaną zagadką tak, że uznał ją za jeszcze bardziej godną pożądaną, zamiast wyrzucić z domu, do czego miał pełne prawo. Cóż... okazała się nad podziw sprytna! Tylko że ten jej spryt omal nie doprowadził mnie do samobójstwa... a całą naszą rodzinę do cna wyzuł z naturalnych uczuć.

- Więc myślisz, że nigdy nie poznasz prawdy...?

- Nie liczę na to. Ale, dzięki Bogu, we mnie także zrodziły się wątpliwości. A to już coś! - Roześmiał się. - Ciekawe, czy był kiedyś na świecie człowiek - prócz mnie - który cieszył się z tego, że nie wie, kto go spłodził...? Może naprawdę jestem potomkiem Gryfa...? Bardzo w to wątpię. Ale nie mam pewności. Rozumiesz? Co za cudowny dar! Twoja mama obdarzyła mnie szcudrzej, niż przypuszcza!

Pocałował Brennę.

- Czy to pocałunek dla mojej mamy? - spytała bez tchu.

- Nie - odparł, przyciągając ją do siebie. - Całowałem cię dla własnej przyjemności. I dla twojej, mam nadzieję!

- O, tak! - potwierdziła i nie zdążyła dodać nic więcej, gdyż pocałował ją ponownie.

Żałowała jednak, że nie powiedział: Tak, to dla twojej mamy. Za to, że dała mi ciebie!

Brenna wpatrywała się w swoje odbicie w lustrze.

Jej suknia była czerwona co się zowie! I wyglądała w niej naprawdę kusząco. Na jej piersi połyskiwał mały złoty medalion. Innych ozdób nie miała. Wyszczotkowane do połysku włosy zaczesane były do tyłu i zebrane w węzeł, przepleciony cienką czerwoną wstążeczką. Pochyliła głowę w prawo, potem w lewo... Ze wszystkich stron uczesanie prezentowało się efektownie i nad wyraz egzotycznie. Zupełnie nie wyglądała na angielską damę. A już na pewno nie na cnotliwą matronę! Zawahała się. Była jeszcze ta druga suknia. Różowa. Niebudząca grzesznych myśli.

Zauważyła, że jej nowa pokojówka, podobna do płochliwej sarenki, wpatruje się w nią. To dobra dusza, niewinne dziecko -pomyślała. Pochwyciła w lustrze spojrzenie dziewczyny.

-No, toaleta skończona - stwierdziła, nie odrywając oczu od lustra. - Czy dobrze wyglądam? Powiedz mi szczerze.

-Dobrze? - spytała zdumiona Rebecca. - Chyba już nie może być lepiej!

-Dajże spokój! Odpowiedz szczerze! Nie przejmuj się tym, czy spodoba mi się to, co powiesz, czy nie. Muszę znać prawdę!

Rebecca milczała przez chwilę, głęboko zamyślona.

- Nie potrafię znaleźć słów takich, jak trzeba... wiem, że to bardzo ważne, panienko. Znaczy się, milady...! - powiedziała cicho. - Ale pani dziś wygląda jak raz tak... - Spuściła głowę i zarumieniła się. - Panin mąż czasem na panią patrzy tak, że aż mu się oczy świecą do pani... Jest taki... taki w siódmym niebie, pani wie? No to teraz, jak popatrzy, od razu poleci do ósmego albo i dziesiątego nieba...! Ja bardzo przepraszam, ale ani rusz nie umiem tego lepiej powiedzieć.

- Dobrze już, dobrze... No i znowu nic nie wiem. Miejmy nadzieję, że jakoś to będzie - wymamrotała Brenna pod nosem, wzięła szal i ruszyła ku drzwiom, by stawić czoła groźnemu fatum.

Ale zanim to nastąpiło, natknęła się na swoją matkę. Maura Ford zrobiła wielkie oczy.

-Zdążę się jeszcze przebrać! - rzuciła pospiesznie Brenna. -Od początku wiedziałam, że ta suknia się nie nadaje, choćby przyjaciele Rafe'a nie wiem co mówili!

-Nie nadaje się?! - powtórzyła zdumiona matka. - Ależ, moje dziecko! Idealnie się nadaje! Taka... szokująca! Taka piękna! Taka wspaniale dobrana!

-Rafe też mi to mówił - westchnęła Brenna. - I Eric, i hrabia Drummond... Ale to przecież mężczyźni! Co prawda, Gilly Ryder powtarzała to samo. Mimo to naprawdę nie mogę uwierzyć...

-Najwyższy czas, żebyś wreszcie uwierzyła! - stwierdziła kategorycznym tonem matka. - Jesteś w tej sukni piękna, rozumiesz? Pokaż, że jak każda porządna dziewczyna masz w nosie wszelkie złośliwe ploty! I postaraj się, do licha, żeby cały świat to zobaczył i w to uwierzył!

-A jeśli uwierzą, że naprawdę usidliłam Rafe'a podłymi sztuczkami i... ukradłam go Annabelli? - spytała ze smutkiem Brenna.

-Co ty wygadujesz, dziecko?! - wykrzyknęła Maura Ford. -Co jak co, ale na złodziejkę nie wyglądasz. A w tej sukni raczej ciebie ktoś wykradnie. Niech cię Rafe nie spuszcza z oka!

-Dziś wieczorem będzie patrzył przede wszystkim na Annabelle - wyjaśniła Brenna.

Jej matka uśmiechnęła się.

- Na Annabelle? Doskonale! Najwyższy czas, żeby się jej dokładnie przyjrzał! Nie uważasz?

Brenna skinęła głową. Jej mama miała rację. Przyjaciele mieli rację. Lepiej z podniesionym czołem wyjść na spotkanie fatum, niż chować się po kątach, jakby się poczuwała do winy. Na gorzkie żale będzie miała dużo czasu. Resztę życia.

Było to olśniewające przyjęcie. Nie ulegało wątpliwości, że nazajutrz cały Londyn będzie mówić tylko o nim. Zjawili się dosłownie wszyscy. Tak przynajmniej zapewniali obecni na przyjęciu goście. Miejska rezydencja Wylde'ów była przestronna, ale chyba tylko królewski pałac mógłby pomieścić takie tłumy. Jednak goście nie przyszli tu dla wygody. Gniętli się w tłoku z rozanielonymi minami. Liczyło się tylko to, że się tu znaleźli! Było to idealne miejsce do słuchania plotek, rozsiewania plotek lub dementowania ich. Londyn przepadał za plotkami, a te krzewiły się bujnie.

Brenna i Rafe stali u wejścia na salę balową. Towarzyszyli im rodzice Brenny. Eric i Drum trzymali się nieco z tyłu. Reszta przyjaciół Daltona zmieszała się z tłumem gości. Nawet najstarszy z nich, Ewen, wicehrabia Sinclair, i jego żona przybyli specjalnie ze swej wiejskiej rezydencji. Brenna ukradkiem zerknęła na męża i serce wezbrało jej miłością. Jego rodzice ani brat nie zjawili się. Tym lepiej! Miał inną rodzinę, z wyboru. Mało kto może pochwalić się przyjaciółmi, którzy stawiają się w komplecie, gdy tylko się ich wezwie. Tak jak dziś zjawili się, by wesprzeć Bren w ciężkiej próbie.

Uśmiechnęła się w duchu, widząc, jak mąż usiłuje przygładzić włosy. Czuł się jeszcze nieswojo w nowym uczesaniu. Napomknęła mu kiedyś, że pieszcząc jego włosy wolałaby czuć pod palcami jedwabną przędzę, a

nie rżysko. Nie była pewna, czy Rafe zwrócił uwagę na jej słowa. Ale zwrócił. Nie przycinał już włosów tak bezlitośnie, pozwolił im podrosnąć. Zmieniły się na korzyść nie tylko w dotyku. Jako dziecko miał podobno czuprynę czerwoną jak ogień. Obecnie jego włosy połyskiwały w świetle lamp brązem i miedzią i naprawdę dodawały mu uroku, ożywiając nieco jego surową twarz.

Ponieważ nie był to bal, tylko mniej oficjalny wieczorek. Rafe ubrał się ze zwykłą dla niego prostotą w granatowy obcisły surdut, nieskazitelnie białą koszulę i kremowe spodnie. Zdaniem Brenny był najbardziej atrakcyjny ze wszystkich mężczyzn na sali.

Do tego samego wniosku doszła lady Annabella.

Kiedy oznajmiono przybycie lorda Daltona z małżonką, Annabella wyteńczyła wzrok i spojrzenie jej pięknych błękitnych oczu poszybowało nad głowami otaczających ją (jak zawsze) wielbicieli i przyłgnęło do Rafe'a. Potem zerknęła na Brennę. Zmierzyła ją od stóp do głów, zauważając oczywiście jej suknię. Kiedy dostrzegła, że i Brenna się jej przypatruje, uniosła czarną brew, a na jej ustach pojawił się dyskretny uśmieszek. Znowu skierowała oczy na Daltona i napatrzyła mu się do syta. Rafe także na nią spojrział. Jaki mężczyzna by nie spojrział?! -pomyślała Brenna. Czarne włosy hrabianki otaczały jej twarzyczkę burzą loków. Jej suknia podkreślała zalety figury. Powiewna, jasnoróżowa, ze złotoróżową wierzchnią spódnicą, przypominała obłoczki na porannym niebie. Dekolt był przepastny, ale niewinna barwa sukni wykluczała podejrzenia o nieprzystojne intencje.

W Brennie zamarło serce. Annabella mogłaby pozować do ilustracji zatytułowanej „Cnota”. Widziała kiedyś podobny obrazek w podręczniku dla szkółki niedzielnej. Ona sama mogła znaleźć się tam w swej szkarłatnej sukni wyłącznie jako uosobienie występku. Powiedzmy, „Jawnogrzesznicą”.

Panna Wylde nadal nie odrywała oczu od Daltona.

- Przystojny chłop z naszego Rafe'a - mruknął Drum do Erica. - Ale nie zasłużył na równie przeciągłe spojrzenia. Coś mi się zdaje, że Annabella tak się na niego gapi, bo Bren prezentuje się dziś jeszcze korzystniej niż zwykle.

Jego słowa dotarły do uszu Brenny, ale jej mąż zdawał się ich nie słyszeć.

-Wreszcie wydobyliśmy się z tej łaźni parowej w hallu! -zwrócił się do żony, kiedy dotarli na salę balową. - Co prawda, niewiele tu chłodniej, ale można przynajmniej zgiąć rękę w łokciu bez obawy, że się kogoś dźgnie w pierś albo w brzuch. No cóż... jak już tu jesteśmy, to można by zatańczyć.

-Czarujące zaproszenie - stwierdził Drum. - Brawo, Rafe! Gdybym był kobietą, zemdlałbym chyba z wrażenia! Ale nie jestem, Bogu dzięki! Mimo wszystko spróbuję i ja pokusić się o odrobinę szczęścia. Jakby to... O, już mi świta! - Skłonił się nisko przed Brenna. - Lady Bren, czy zechce pani ofiarować

mi następny taniec... czy też mam przez resztę wieczoru usychać, zrozpaczony i samotny?

-Znowu mi robisz wstyd przy ludziach? - roześmiał się Dalton. - Masz rację, zasłużyłem na to. Ale mimo braku ogłady i kwaśnej miny mam męzowskie prawo do pierwszego tańca. Wybacz mi, Bren! Powiedz, że zatańczysz ze mną, nim zlecą się tu wszyscy mężczyźni w jak najgorszych zamiarach!

-No i widzisz! Jak się przyłożysz, to stać: cię nawet na komplement - zauważył hrabia z rozbawieniem.

-Wcale nie musi prawić mi komplementów - powiedziała Brenna, spoglądając mężowi w oczy. - Tak, Rafe. Zatańczę z tobą bardzo chętnie.

Nigdy potem nie mogła sobie przypomnieć, co to był za taniec. Z pewnością nie walc, bo pamiętała dokładnie, że żałowała, iż Rafe nie może objąć jej ramieniem i podtrzymać. Ale nawet dotyk jego ręki i uśmiech na jego twarzy były dla niej podporą. Automatycznie wykonywała wszystkie figury tańca. Patrzyli sobie z Rafe'em prosto w oczy. Całe szczęście! Zdała sobie z tego sprawę, gdy na ułamek sekundy jej spojrzenie umknęło w bok.

Wszyscy goście na sali nie mogą przecież spoglądać na mnie... - myślała w panice, wracając znów do bezpiecznej przystani męzowskich oczu. Nie, nie spoglądali! Gapili się, wybałuszali oczy, pożerali ją wzrokiem! I szeptali coś do siebie między jednym a drugim zerknięciem w jej stronę. Brenna wiedziała, że jej suknia może się wydać niestosowna. Wiedziała, że zjawili się zbyt późno. Ale jedynie poprzednim plotkom na jej temat mogła przypisać to nieprzyzwoite wprost zainteresowanie jej osobą.



- Nie zwracaj na nich uwagi - uspokajał ją Rafe między jedną figurą taneczną a drugą. - Wyglądasz przepięknie! I to jest pierwszy powód ich zainteresowania. - Zgodnie z układem tańca musiał w tym momencie ją opuścić. Gdy do niej wrócił, dodał: - Drugim powodem jest bez wątpienia ciekawość. Ale ciekawość zblednie. A twoja piękność będzie kwitła.

Zrobiła wielkie oczy. Rafe roześmiał się.

-Tak, jeśli chcę, umiem prawić komplementy. Rumienisz się? Doskonale. Bardzo ci z tym do twarzy!

Jeszcze większych kolorów dostała podczas tańca z Drumem. Pochlebiał jej niemiłosiernie!

- Cudownie! - powiedział, gdy zaczerwieniła się po raz pierwszy. - Nie wiedziałem, że umiesz się tak rumienić, lady Bren! Nie mogę się oprzeć pokusie... Nie, nie! Lepiej się powstrzymam, bo spotkamy się z Rafe'em o świcie... i to nie przy śniadaniu! No właśnie! Zabawne, jaki ten niedźwiedź jest o ciebie zazdrosny...! Ale któż by nie był na jego miejscu? O, znowu rumieńce? Dobra nasza!

Bren tańczyła z Drumem, tańczyła z Ryderem, tańczyła z dwoma innymi wytwornymi przyjaciółmi męża: Wycoffem i Sinclairem. Zaczęła się naprawdę dobrze bawić... dopóki nie rozejrzała się po sali w poszukiwaniu Rafe'a i nie spostrzegła Annabelli. Nie tańczyła. Nie uwodziła Rafe'a. Stała z boku i z ożywieniem rozmawiała z mężczyzną, który wyraźnie zrobił na niej duże wrażenie. Był to Eric.

Brennie ścisnęło się serce. Choć ucieszyło ją, że to nie Rafe towarzyszy hrabiance, miała nadzieję, że Eric nie zachwyci się nią tak jak jej mąż. To byłoby okropne, gdyby schwytała w szpony także Erica! Dla Brenny był on nie tylko bratem, ale przyjacielem i ostoją. Jeśliby pokochał Annabellę, straciłaby zarówno brata, jak męża. Fatalnie, jeśli Rafe nadal kocha Annabellę... ale byłoby stokroć gorzej, gdyby weszła do rodziny. Rafe miałby ją zawsze przed oczyma, porównywałby ją ze swoją żoną, pragnąłby jej. Brenna nie wątpiła, że Eric potrafi zdobyć każdą kobietę, na której będzie mu zależało. Modliła się więc w duchu, by nie zapragnął właśnie tej. Prosiła o to ze względu na własne szczęście... i na szczęście brata.

Annabella wachlowała się. Była rozgorączkowana nie tyle tańcem, co nagłym pojawieniem się nieznanego mężczyzny, który wyrósł obok

niej jak spod ziemi w chwili, gdy partner, z którym przetańczyła ostatni taniec, skłonił się i odszedł. Nieznajomy był tak wysoki, że musiała odchylić głowę do tyłu, by mu się dokładnie przyjrzeć. Jasne włosy i spojrzenie pełne

podziwu. Oczy o barwie zmięszu, włosy koloru miodu. I te szerokie bary! Odgradzały ją od reszty świata. A jego twarz...!

-Obserwowałem cię i czekałem cierpliwie, piękna pani - powiedział niskim głosem, w którym brzmiało rozbawienie. - To był bardzo skomplikowany układ taneczny. Rana, którą otrzymałem na wojnie, dokucza mi i wyglądałbym groteskowo, puszczając się w takie pląsy. Postanowiłem więc zaczekać, aż zagrają walca. To coś w sam raz na moje siły. Zresztą, ruszyłbym góry z posad (mimo swojej rany), gdyby pani zechciała ze mną zatańczyć.

-A to wyborne! - odpowiedziała wesoło. - Widzę, że opłaciło się wydać to przyjęcie. Oto pojawia się tajemniczy nieznajomy i...

-Tajemniczy nieznajomy? Czyżby mnie pani wzięła za złodzieja dybiącego na pani biżuterię? Mam zaproszenie na to przyjęcie, słowo daję! Nie musi pani wzywać lokajów, by wyrzucili mnie za drzwi. Zamierzam skraść pani jedynie... chwilę cennego czasu.

-Tego już zdołał pan dokonać - odparła Annabella. Zbliżał się właśnie dżentelmen, któremu obiecała następny taniec. Odwróciła się do niego plecami. Nie zamierzała rozstawać się w tej chwili ze swym rozmówcą. Od tygodni... Nie, od miesięcy nie spotkała nikogo równie interesującego, jak ten nieznajomy. Był czarujący... i najwyraźniej oczarowany nią. Sprawił, że zapomniała o goryczy, którą odczuła na widok Rafe'a wchodzącego na salę w towarzystwie tej... tej ladaczniczki! Może ten nieznajomy pomoże jej podnieść się po kolejnym ciosie? Nadaremnie rozsiewała plotki o tej (pożał się Boże!) pani Dalton! Wcale jej to nie zaszkodziło, lichy wie czemu. Trzeba będzie znaleźć inne lekarstwo, które ukoji bezsilny gniew i zranione serce. Spojrzała znów na nieznajomego. Od dawna nie widziała tak atrakcyjnego mężczyzny! A on nie mógł od niej oderwać oczu. Uśmiechnęła się.

- Twierdzi pan, że otrzymał zaproszenie. Jak to możliwe? Przecież to ja wydaję to przyjęcie. A pana nie znam. Z całą pewnością!

- Ma pani właśnie okazję mnie poznać - odparł aksamitnym głosem i podał jej ramię.

Annabella znowu się roześmiała. Serce biło jej coraz szybciej. Zwróciła uwagę na tego mężczyznę od chwili, gdy ujrzała go po raz pierwszy, jakieś pół godziny temu. Jak mogłaby go nie zauważyć?! Przewyższał o pół głowy większość zebranych na sali mężczyzn. A wszystkie damy bezwstydnie ściagały go wzrokiem. Był najlepiej ubranym i najprzystojniejszym z obecnych dżentelmenów, z wyjątkiem Damona, rzecz jasna. I nie tańczył z nikim. Przez cały czas wodził oczyma za nią.

Miała ochotę wyzbyć się ostrożności, rzucić ją na cztery wiatry i wesprzeć się na ramieniu, które jej podawał z taką pewnością siebie. Jego spojrzenie, uśmiech, a nawet tupet całkiem ją rozbroiły. Pozostawało jedynie pytanie: co z tego wyniknie? Przelotny flirt czy coś poważniejszego...? Czy fascynujący nieznajomy okaże się dobrze urodzonym, majątnym, odpowiednim pod każdym względem konkurentem? Czy też podstępny intruzem, pasożytem, niestosownie ambitnym nowobogackim, niegodnym jej uwagi? Annabella nie była pozbawiona serca. Lecz ono - jak dotąd - narażało ją tylko na cierpienie. Postanowiła więc kierować się wyłącznie rozumem.

-Miałabym tańczyć z nieznajomym?

- Najmocniej przepraszam ~ odparł. - Myślałem, że słyszała pani, gdy mnie anonsowano. Eric Ford, do pani usług. Do niedawna porucznik dragonów Jego Królewskiej Mości. - Skłonił się i znów spojrzał jej prosto w oczy.

Wyciągnęła do niego rękę, która znikła całkowicie w jego wielkiej dłoni. Annabella była filigranową kobietką i w porównaniu z większością mężczyzn wydawała się bezbronnym maleństwem. Ale przy tym olbrzymie czuła się równocześnie bezbronna i całkowicie bezpieczna. Bardzo jej to odpowiadało. A więc żołnierz... Ale przynajmniej porucznik! Ford... Zamrugnęła nagle oczyma.

- Nazywa się pan Ford? Czyżby pan był spokrewniony z Brenna Ford? Żoną Raphaela Daltona?

-Jestem jej bratem - odparł Eric, nadal trzymając hrabiankę za rękę.

-Bratem? Pan żartuje - powiedziała, stojąc bez ruchu, choć zabrzmiały już pierwsze tony walca. - Nie jesteście ani trochę podobni: dzień i noc!

-To moja przyrodnia siostra. Istotnie, bardzo się różnimy z wyglądu. Jestem podobny do mego ojca i jego pierwszej żony. Oboje byli blondynami. Brenna odziedziczyła oryginalną urodę po swojej mamie, a mojej macosze. Mężne serce zaś po naszym wspólnym ojcu.

-A lorda Daltona po mnie, nieprawdaż? - rzuciła gniewnie Annabella, wrywając rękę z uścisku Forda. Oddech miała przyspieszony. - Czy we dwoje ukartowaliście ten... ten żarcik?

-Skądże znowu! Żarcik? Nie widzę w tym nic zabawnego.

-Ja również! - Panna Wylde prychnęła jak rozzłoszczona kotka. Odetchnęła głęboko i nieco się uspokoiła. Pozornie. Krew nadal w niej kipiała. Serce waliło młotem. Myśli goniły jak szalone. Przypomniała sobie rozmowę, którą prowadziły z Brenną pod tym dachem. Pamiętała każde słowo tej podłej, dwulicowej oszustki! Ta rzekoma skrucha, te przeprosiny, te zapewnienia o niewinności... A wszystko podszyte fałszem! Ta wywłoka przysięga zostawić Rafe'a w spokoju... a zaraz po opuszczeniu tego domu łamie przyrzeczenie, usidla go, wlecze do ołtarza, odbiera jej, Annabelli, na wieki...! A teraz na dobitkę przysyła swego brata, by umizgał się do kobiety, której odbiła narzeczonego!

Oczywiście - myślała Annabella - ta złośliwa, bezwstydną kreatura postanowiła zatriumfować całkowicie! Po cóż innego wkładałaby tę czerwoną kieckę, która wrzeszczy wielkim głosem: „nierządnica“!? Tylko po to, by chełpić się swoim podbojem i pokazać całemu światu, na co ją stać! Po cóż wysłałaby swego brata, by omamił jej rywalkę w jej własnym domu, na jej przyjęciu, na którym wszyscy tłoczyli się nie wokół niej, tylko tej Jezebel?! Wyłącznie po to, by zatriumfować nad nią ostatecznie!

- Odechciało mi się tańca - oświadczyła z olśniewającym, lodowatym uśmiechem. - Zresztą, nie tańczę z byle kim. O, pańska siostra opuściła swego męża i hasa z kim innym. Wcale mnie to nie dziwi. Chyba szepnę biedakowi coś miłego na pociechę. Żegnam, poruczniku.

Obróciła się na pięcie i odeszła.

-Rafe! - zawołała, spiesząc ku niemu.

Walc już się rozpoczął, ale muzykanci dobrze wiedzieli, kto im płaci. Nie spuszczała oka z lady Annabelli. Zresztą, nie tylko oni. To było jej przyjęcie, więc śledzono każdy jej ruch. W dodatku podniosła głos, co

samo przez się musiało zwrócić ogólną uwagę. Muzyka ucichła; grajkowie oczekiwali na jakąś wskazówkę ze strony pani domu. Może poleci zagrać im jeden z tradycyjnych ludowych tańców? A może nadeszła pora kolacji...? Hrabina Wylde przerwała rozmowę z innymi matronami, z którymi wymieniała ploteczki, i spojrzała na córkę. Reszta zebranych także.

Dalton usłyszał, że ktoś woła go po imieniu, i odwrócił wzrok od tańczących par.

-Rafe! - powtórzyła Annabella, która właśnie dotarła do niego. - Gdzieś się podziewał przez cały wieczór?

-Byłem tutaj - odparł krótko. Przez cały czas stojąc z boku, obserwował swoją żonę, ilekroć z nią nie tańczył. - Jak się masz, Annabello - dodał poniewczasie. - To wspaniałe przyjęcie. I piękna suknia.

-Podoba ci się? - spytała już ciszej, spuszczać oczy, jakby dostrzegła coś na spódnicy. W jej głosie zabrzmiał smutek. - Bo sama już nie wiem, co o niej myśleć... Nie jest czerwona jak ogień... Nie przylega do ciała... Nie uważasz, że jest... za dziecinna...? Chciałam powiedzieć... czy naprawdę jest mi w niej ładnie...?

Uśmiechała się nieśmiało. Była taka drobniutka i taka ładna... W pastelowo różowej sukni wydawała się uroczo krucha. Robiła wrażenie zagubionej i bezbronnej, jak wówczas, gdy ujrzał ją po raz pierwszy. Rafe poczuł wyrzuty sumienia. To była jego wina. To on, choć pragnął jej pomóc, zwiększył jej cierpienia.

Na jego twarzy odmalował się żal.

Brenna przerwała taniec i podeszła do męża. Kiedy ujrzała, że spogląda na pannę Wylde z takim zmieszaniem i smutkiem, zawahała się i chciała odejść. On jednak spostrzegł to i przyciągnął ją do siebie. Zmarszczył brwi, czując, jak ręka żony drży w jego uścisku.

- A, to lady Dalton! - odezwała się Annabella. - Miło mi panią widzieć. Co za piękna suknia! Mówiłam właśnie Rafe'owi, że całkiem zaćmiła moją. A on nie zaprzeczył!

Rafe dostrzegł łzy w oczach Annabelli.

- Tylko dlatego, że nie nadaję się do takiej konwersacji. Powiedziałem przecież, że to piękna suknia. I bardzo pani w niej do twarzy, naprawdę!

Spojrzała na niego tkliwie.

- Naprawdę, Rafe? Naprawdę tak uważasz? Więc dlaczego nie poprosiłeś mnie do tańca?

Dalton roześmiał się, ale nie był to bez troski śmiech.

- Proszę nie zapominać, że jestem żonaty.

Hrabianka zaśmiała się równie smutno.

- Ależ wiem, że jesteś żonaty, Rafe! Ale żonaty to jeszcze nie umarli!

Jego twarz nie zmieniła wyrazu. Dostrzegła jednak w głębi jego oczu jakiś niezrozumiały błysk.

- Obiecałem ten taniec mojej żonie, milady - odparł.

Mimo to wyciągnęła do niego rękę. Na sali zaległa cisza. Nikt się nie poruszył. Annabella uniosła głowę do góry, by Rafe mógł zobaczyć w jej oczach wyzwanie i pragnienie.

- To moje przyjęcie - powiedziała niemal błagalnie. - Zatańcz ze mną, Rafe! Ze swoją żoną możesz tańczyć przez resztę życia.

Brenna stała nieruchomo jak posąg.

- Ma pani słuszność, lady Annabelle - odparł Rafe.

Na ustach hrabianki pojawił się cień uśmiechu.

Rafe nie ujął jednak ręki, którą do niego wyciągnęła. Skłonił się Annabelli.

- Bardzo mi przykro - powiedział całkiem szczerze. - To prawda, że mam całą resztę życia na taniec z moją żoną... Ale to dla mnie za mało. Nie miałbym dość tego szczęścia, choćbym nawet mógł żyć dwa razy i od kolebki do grobu tańczyć z moją Brenną.

Panna Wylde stała jak skamieniała z wyciągniętą ręką, wpatrzona w Daltona.

- Pani to rozumie, prawda? - dodał jeszcze. - I wybaczy nam, że już się pożegnamy. Przybyliśmy tu, by okazać, że doceniamy pani przyjaźń. Bawiliśmy się doskonale i jesteśmy bardzo wdzięczni. Ale jak to nowożeńcy mamy jeszcze inne plany na dzisiejszą noc. Pora wracać do domu. Najwyższy czas!

Skłonił się raz jeszcze i trzymając Brennę mocno za rękę, odwrócił się i odszedł, pozostawiając Annabellę otoczoną kręgiem milczących, wpatrzonych w nią widzów.

Brenna płakała i płakała. Siedziała w powozie, jechali do domu, a ona szlochała tak, jakby serce miało jej pęknąć. Rafe przeganiał włosy ręką.

-Czym cię uraziłem? Co takiego zrobiłem?! - pytał bezradnie. - Nie chciałaś jeszcze wracać? Bardzo cię przepraszam! Myślałem, że chcesz. A może o to ci chodzi, że pochwaliłem jej suknię? Jak mogłem tego nie zrobić? Do licha ciężkiego, Bren, odpowiesz mi wreszcie?! Lejesz łzy jak fontanna, a ja nie mam pojęcia, o co chodzi!

-Nigdy... nie płaczę... - łkała. - Nie tak! A teraz... sama nie wiem... co mi się stało...! - Ocierała oczy, głos jej się rwał. Gdy mąż chciał przysunąć się bliżej, powstrzymała go gestem ręki. Wiedziała, że jeśli Rafe weźmie ją w ramiona, rozplynie się we łzach.

-Nie płakałam... kiedy mi powiedzieli, że Tom... już nie wróci...! - dowodziła jękliwie, kiwając głową. - Ani po zdradzie... Spencera... Ani jak się dowiedziałam, że Eric... leży chory... samiutki... w obcym kraju...!. - Udało jej się zaczerpnąć tchu. Płakała już trochę mniej, ale jej głos ociekał łzami.

Była taka dziecinna w swej rozpacz, że Rafe'owi chciało się równocześnie płakać i śmiać. Nie uczynił ani jednego, ani drugiego, tylko wręczył jej chustkę.

-Wytrzymaj nosek! - polecił.

Wytarła posłusznie. Odetchnęła głęboko.

- Wcale nie płaczę jak fontanna! - powiedziała niemal spokojnie. - I nie przy ludziach! Tylko wtedy, kiedy jestem sama. Ale teraz... z powodu tego, co powiedziałaś... Tak się ucieszyłam! Mówiłaś poważnie..,?

Dalton wpatrywał się w żonę bez słowa.

- Nie zatańczyłaś z nią... - mówiła dalej Brenna, zwracając ku niemu twarz mokrą od łez. - I nie wyglądałaś na zakochanego w niej... Och, Rafe! Byłam taka pewna, że ją kochasz...! Naprawdę żałowałam, że się ożeniłaś ze mną... Nie masz pojęcia, jak... Chciałam wyjechać gdzieś daleko... żeby ci nie zawadzać... gdyby się okazało, że nie możesz bez niej żyć...

-Wyjechać...? - spytał zaszokowany.

Skinęła głową.

- Tak, gdyby to było konieczne. Już raz wyjechałam w nieznane,

prawda? Byłabym zrozpaczona, że nigdy więcej cię nie zobaczę... Ale gdybym została, byłoby jeszcze gorzej... Zresztą, co to za miłość... stawać ukochanemu na drodze do szczęścia?! Nie chciałam ci zawadzać! A potem, kiedy zobaczyłam, jak Annabella cię uwodzi... Chciała mnie poniżyć... ale jej się nie udało...! Odmówiłeś jej i niewiele cię to kosztowało, prawda? A może jednak...? Powiedz mi, Rafe, tak naprawdę: kochasz mnie?

-Oczywiście, że cię kocham! - odparł, obejmując ją.

Nie rzuciła mu się na szyję. Czuła, że ma jej coś więcej do powiedzenia.

-Posłuchaj... - zaczął. - Wiesz, że nie potrafię gładko mówić. Niech to szlag! - Potarł czoło, jakby to mogło ożywić tok jego myśli. - Ale postaram się wszystko ci wytłumaczyć... choć to trochę tak, jakby ryba próbowała ćwierkać, albo coś w tym rodzaju.

Mógłby niemal przysiąc, że wargi żony zadrżały, jakby chciała się uśmiechnąć. Dodało mu to odwagi.

- Kochałem Annabellę, to prawda. Albo wydawało mi się, że ją kocham. A że nigdy w życiu nie kochałem żadnej kobiety oprócz ciebie, skąd miałem wiedzieć, że to nie była prawdziwa miłość?

- Jest bardzo piękna - stwierdziła z całą powagą Bren. -Trudno się dziwić, żeś się w niej zakochał.

- No właśnie. Jest bardzo piękna - przytaknął ochoczo. - I o to właśnie chodzi! To chyba była... zapowiedź. Rozumiesz? Taki drogowskaz: idź dalej tą drogą, a dojdiesz do miłości! W Annabelli widziałem słabe odbicie ciebie... Tylko w odwrotnej kolejności, rozumiesz?

Z twarzy Brenny jasno było widać, że nie rozumie.

- Ona była zapowiedzią ciebie, i tyle - tłumaczył Rafe. - Zawsze lubiłem kobiety z ciemnymi włosami. Nie miałem pojęcia czemu. Widzisz, ja po prostu w nich szukałem ciebie! Rozumiesz? Annabella ma ciemne włosy, więc mi się spodobała. Lecz te prawdziwe ciemne włosy, o które mi chodziło, masz tylko ty. Nie tylko włosy, ale wiele innych rzeczy! Mogę z tobą gadać jak z mężczyzną... Do licha, ładny komplement! - jęknął.

Pochylił się ku Bren.

-Widzisz, w tobie znalazłem wszystko, czego szukałem w świecie. I



znacznie więcej, niż mi się marzyło! Muszę cię mieć przy sobie, rozumiesz? Kocham cię nie tylko za twoją piękną buzię albo twoje cudowne ciało. Dla mnie nie musisz wkładać tej czerwonej sukni- chociaż przyznam, że jak cię w niej widzę, to myślę tylko o tym, żeby ją z ciebie zerwać! Ale kocham cię całą. Jesteś dla mnie stworzona. Pasujemy do siebie pod każdym względem. Lubię z tobą rozmawiać prawie tak, jak kochać się z tobą... a to nie byle co!

Zaczerpnął tchu.

- Po co więc miałbym oglądać się za kimś innym? Annabelli współczuję, i to wszystko. Przysięgam! I jestem rad, że pojechaliśmy dziś na jej przyjęcie, bo przekonałem się na własne oczy... i ty także - dodał pospiesznie - jak sprawy stoją.

Nie chciał, by Brenna zorientowała się, że nie miał pojęcia, ile dla niego znaczy, aż do dziś, kiedy Annabella chciała go zmusić do zranienia i ponizenia żony. O, co to, to nie! Nigdy by tego nie zrobił. Prędzej by sobie uciął to ramię, o które tak

wojował z lekarzami. Można powiedzieć, że ocalił rękę siłą woli! No i przy odrobinie szczęścia. A zaświeciło mu w pełni, kiedy w jego życie weszła Bren. Jednak zrozumiał to dopiero dziś. Nigdy tego jej nie powie, do wszystkich diabłów!

Brenna zawahała się przed zadaniem następnego pytania.

- Ale nie zaprzeczysz, że ożeniłeś się ze mną tylko z obowiązku, prawda?

W powozie zapadła cisza. Rafe główkował jak szalony. Wiedział, jak wiele zależy od jego odpowiedzi. No, cóż... kości rzucone. Wóz albo przewóz.

- Tak, to prawda - przyznał. - Ale wtedy nie wiedziałem, że tylko ty jesteś mi przeznaczona i tylko cię będę kochał. Widzisz... Annabella była dla mnie jak jasna gwiazda, bardzo, bardzo daleka... (Ty durniu! - mruknął pod nosem do siebie - wychwalasz inną, a chcesz, żeby Bren ci uwierzyła, że tylko ją kochasz?!) Rozumiesz? Taka daleka - dodał w nagłym przypiływie natchnienia - że choć błyszczy, nic cię z nią nie połączy. Ale jak to gwiazda, pokazała mi drogę. Do ciebie! Tak właśnie było - zakończył z ulgą.

Brenna spojrzała na niego ze zdziwieniem. Wziął ją za rękę.

- Kiedy jestem z tobą, Bren, zdaje mi się, że wróciłem do domu z dalekiej i niebezpiecznej podróży. Do prawdziwego domu, nie takiego, jaki miałem w dzieciństwie. A że każdy wędrowiec potrzebuje gwiazdy, żeby go wiodła, znalazłem sobie Annabelle. To była pomyłka... ale jestem jej wdzięczny nawet za cierpienia, które mi sprawiała. Bo, widzisz ona, nic o tym nie wiedząc, prowadziła mnie do ciebie. Tylko ty jesteś moim szczęściem, moją największą radością. Pamiętaj o tym zawsze!

Brenna uśmiechała się, choć był to uśmiech przez łzy. Dalton widział to wyraźnie w świetle powozowej latarni.

- Nikt mi dotąd nie powiedział czegoś równie pięknego! Naprawdę.

Odetchnął wreszcie.

- A ja nigdy nikomu nie mówiłem takich pięknych rzeczy! Ale nie chodzi o to, że są ładne. Grunt, że nie kłamię, a ty o tym wiesz. Mówię ci to raz na zawsze, bo chyba bym nie potrafił wyłożyć tego jeszcze raz, w dodatku tak ładnie. Kocham cię, nie ma dla mnie żadnej innej, i tak będzie zawsze. Słowo honoru! Co mi teraz powiesz?

Nie powiedziała nic, tylko rzuciła mu się na szyję. Pocałował ją. W głębi duszy Rafe stwierdził, że nie był to zbyt udany pocałunek: mokry i słony, a ponieważ Bren równocześnie śmiała się i płakała, coraz to natykał się na jej zęby. Ale trzymał ją w swych ramionach i to mu wystarczało do szczęścia.

Oparła główkę o jego bark, z fryzury zostały marne resztki, więc delikatnie odgarnął do tyłu włosy, które opadały jej na twarz.

-Wyobrażasz sobie, jak plotkują na nasz temat? - spytała smętnym tonem.

-Jasne! Widzisz, coś ty narobiła?! Będą nas teraz ciągać na wszystkie przyjęcia!

Zachichotała.

Odwrócił się i znów ją pocałował. Ten pocałunek był w znacznie lepszym gatunku. A kolejny jeszcze lepszy... Bren ochoczo okazywała mu, jak bardzo go kocha. A on aż się palił do tego, by udowodnić jej, jak bardzo się z tego cieszy. Skóra Bren była równie jedwabista, jak suknia, i Rafe urządził sobie rozkoszną zgadywanę, gorliwie poszukując miejsc, w

którym jedna jedwabistość się zaczynała, a druga kończyła. Tuląc w ramionach gorące ciało Bren i całując spragnione jego pocałunków usta, zapomniał niemal, gdzie się znajdują. Przywrócił go do przytomności nagły wstrząs powozu, który natrafił na wyrwę w bruku ulicznym. Omal nie spadli z ławki.

- Nie tutaj... - wykrztusił, odsuwając się od żony. - Jesteśmy już prawie w domu. A Peck siedzi na koźle. Wyobrażam sobie jego minę, gdyby zobaczył, że my... Przestań, Bren! Błagam. Wprost marzę o tym, ale naprawdę nie możemy. Do końca życia musiałbym wysłuchiwać jego morałów!

Siedzieli więc w milczeniu, trzymając się za ręce.

Gdy powóz zatrzymał się przed domem, Bren wysiadła otulona szczelnie peleryną, z dziwnie nieobecnym wyrazem twarzy. Włosy miała upięte byle jak, jej policzki pałały. Rafe był również niezbyt przytomny. Powiedział Peckowi „dobranoc”, pokojówce Brenny kazał wracać do łóżka, zostawił wiadomość

dla swoich teściów i Erica, że spotkają się jutro rano, i ruszył w te pędy po schodach za żoną.

Weszli do sypialni i zamknęli drzwi na klucz.

Kochali się najpierw spieszenie, potem leniwie, a potem stracili rachubę i nie zastanawiali się nad głupstwami.

- Boże wielki! - jęknął Rafe, gdy opadli wreszcie na poduszki. - Zamęczysz mnie, kobieto...!

Zaraz jednak oparł się na łokciu i spojrzał jej w twarz z całą powagą.

- Posłuchaj, Bren... Muszę ci powiedzieć o czymś, co mnie dręczy. Dałaś mi tak wiele... To, oczywiście - mówił, przesuwając ręką po jej brzuchu. - Ale nie tylko to. Okazujesz mi zaufanie, masz do mnie cierpliwość... Mogę liczyć na twoje oddanie, twoją lojalność... To, że twoja rodzina stała się moją rodziną, to również cudowny dar od ciebie... A lepszej rodziny ze świecą szukać! Obie z twoją mamą pomogłyście mi dojść do jakiego takiego ładu z moją rodziną...

Mina Rafe'a świadczyła wyraźnie o tym, że czymś się gryzie.

-I co dostałaś w zamian za te wszystkie skarby?! Skołatanego życiem

starego wiarusa, milczka bez towarzyskiej ogłady, a w dodatku brzydala. Dobry zrobiłaś interes, nie ma co...! Powiedz, Bren: jak mam ci się wypłacić? Czym mógłbym ci się odwdzińczyć?

-Tym, co masz najcenniejszego! - odparła z takim pośpiechem, jakby lękała się odmowy.

- Powiedz, co masz na myśli - poprosił równie spieszenie - a dostaniesz natychmiast!

-Daj mi... siebie.

Okazał się niezwykle szczodry.